

24331-  
46  
ERAZM MAJEWSKI

# KAPITAŁ

ROZBIÓR PODSTAWOWYCH ZJAWISK  
I POJĘĆ GOSPODARCZYCH

WYDANIE CZWARTE  
PRZEJRZANE PRZEZ AUTORA

A, E. WENDE i SKA

G. G. SEYFARTH, E. WENDE i S-ka.  
— POZNAŃ, M. NIEMIERKIEWICZ,  
WO KSIĘGARNI KRESOWYCH.

24331

B. P. im. Ł.

1000831687



24331-

46605

ERAZM MAJEWSKI

# KAPITAŁ

ROZBIÓR PODSTAWOWYCH ZJAWISK  
I POJĘĆ GOSPODARCZYCH

WYDANIE CZWARTE  
PRZEJRZANE PRZEZ AUTORA .

WARSZAWA, E. WENDE i S<sup>KA</sup>

L WÓW, H. ALTENBERG, G. SEYFARTH, E. WENDE I S-ka.  
ŁÓDŹ, LUDWIK FISZER. — POZNAŃ, M. NIEMIERKIEWICZ.  
TORUŃ, TOWARZYSTWO KSIĘGARNI KRESOWYCH.

1821

ERANM MAJEWSKI

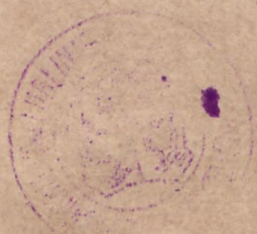
# KAPITAŁ

ROZBIOR PODSTAWOWYCH ZAWISK

Woj. Biblioteka Publ.  
 Nr .....  
 LUBLIN  
 im. H. Łopacińskiego

Wojewódzka Biblioteka Publ.  
 Nr II-456306  
 LUBLIN  
 \* im. H. Łopacińskiego \*

330.1



WARSZAWA, E. WENDEL'SKA

LWOW, H. ALLENBERG, C. SEYDARTH, E. WENDEL'SKA

DRUK SEKCJI OPIEKI MIN. SPRAW WOJSKOWYCH TŁOMACKIE 9.

1-415/04/11

## SPIS RZECZY.

### CZEŚĆ PIERWSZA.

	<i>Str.</i>
I. Wstęp . . . . .	1
II. Przegląd pojęć głównych. Przyroda, dobro ludzkie, czyli bogactwo i kapitał. Niedogodność operowania u podstaw pojęciem kapitału . . . . .	5
III. Co przeobraża przyrodę w bogactwo? . . . . .	11

### CZEŚĆ DRUGA.

#### Rozbiór i korekta pojęcia pracy.

IV. Co to jest praca? . . . . .	14
V. Czem „praca“ ludzka różni się od zwierzęcej? . . . . .	20
VI. O niejasności pojęcia pracy ludzkiej . . . . .	22
VII. Ludzki proces psychiczny nie może być nazywany siłą. Oddzielenie go od pracy ludzkiej . . . . .	30
VIII. Czwarty czynnik, przybywający do przyrody, pracy ludzkiej i kapitału . . . . .	33

### CZEŚĆ TRZECIA.

#### Rola duszy w gospodarstwie.

IX. O duszy ludzkiej . . . . .	36
X. O materialnej władzy dusz ludzkich. Rola narzędzi sztucznych . . . . .	42
XI. Bogactwo dziełem dusz. Druga kategoria bogactwa	48
XII. Druga kategoria kapitału . . . . .	52
XIII. Głód społeczny . . . . .	56
XIV. O własności osobistej i wolności człowieka . . . . .	60

	<i>Str.</i>
XV. O nierówności ludzi . . . . .	67
XVI. O skutkach majątkowego zrównania ludzi . . . . .	74
XVII. Czy korzyść jednych musi się koniecznie opierać na stracie innych? . . . . .	80

#### . CZĘŚĆ CZWARTA.

##### Nasza teoria wartości.

XXVIII. Zagadnienie wartości . . . . .	87
XIX. Jak się płacze wartość z użytecznością . . . . .	92
XX. Jak się wikła w ekonomii wartość z ceną . . . . .	99
XXI. Dowód, że cena niema nic wspólnego ani z wartością, ani z ilością pracy . . . . .	105
XXII. Cudowne własności towaru . . . . .	108
XXIII. Towar przedmiotem sprzedaży, lecz nie kupna . . . . .	118
XXIV. Droga do rozwikłania zagadki wartości bezwzględnej. Sformułowanie różnicy między cennością a wartością . . . . .	125
XXV. Tajemnica dźwigni i tajemnica wartości rzeczywistej . . . . .	132

#### CZĘŚĆ PIĄTA.

##### Teoria kapitału.

XXVI. O prawdziwym kapitale i dwóch jego kategoriach . . . . .	141
XXVII. Pieniądz. Symbol towaru, wartości, bogactwa i kapitału . . . . .	152
XXVIII. Najniższa cena pracy ludzkiej jedynym wyrazem wszelkich cen i wartości. Pieniądz symbolem jedynie kapitału . . . . .	158
XXIX. Teoria zysku handlowego. Ścisły związek wartości z własnością . . . . .	165
XXX. O cenie i wartości ludzi . . . . .	171
XXXI. Przyczyna nierachowania się z wartością przedmiotową dzieł ludzkich. . . . .	176

#### CZĘŚĆ SZÓSTA.

##### Oświetlenie niektórych kwestyi gospodarczych.

XXXII. Potrzeba rachowania się z wartością ludzi . . . . .	179
XXXIII. O względności pojęć „drogo” i „tanio” . . . . .	189
XXXIV. O niedostatku, ubóstwie i nędzy . . . . .	198
XXXV. Co mniemać o szkodliwości drożyzny środków spożywczych? . . . . .	210
XXXVI. O względności bogactwa . . . . .	213

	<i>Str.</i>
XXXVII. Wiek kapitalizmu . . . . .	221
XXXVIII. Czemu cenność dzieł ludzkich opada niespodziewanie powoli? . . . . .	228
XXXIX. Zjawisko twórczości nie mogło pójść torem, przewidy- wanym przez teoretyków . . . . .	233
XL. Nauka o potrzebach narodu . . . . .	239
XLI. Widoki na przyszłość . . . . .	248
XLII. Pro aris et fociis certamen. . . . .	253

276			
277	Wiek królestwa	XXXVII	
278	Czynnienie dzieł ludzkich czyni niepodobanie	XXXVIII	
279	powoli		
280	Zjawisko twórczości nie mogło być, tożym, twórcy	XXXIX	
281	wanym przez teatryków		
282	Nauka o politycech narodu	XI	
283	Wzrost na przykład	XII	
284	Pro ais et oia carant	XIII	

285			
286			
287			
288			
289			
290			
291			
292			
293			
294			
295			

296			
297			
298			
299			
300			
301			
302			
303			
304			
305			
306			
307			
308			
309			
310			
311			
312			
313			
314			
315			
316			
317			
318			
319			
320			

321			
322			
323			
324			
325			
326			
327			
328			
329			
330			



## PRZEDMOWA DO PIERWSZEGO WYDANIA.

Książkę niniejszą wywołał zamiar przedstawienia zjawiska *twórczości społecznej* w sposób zgodniejszy z psychiczną naturą tego zjawiska, co pociągnęło za sobą skonstruowanie nowego pojęcia wartości przedmiotowej.

Związałem wykład niniejszy z teorią cywilizacji, naprzód dlatego, że jest jej wynikiem, powtóre, aby skłonić gruntownego Czytelnika, interesującego się zjawiskami ekonomicznymi, do zapoznania się z treścią obu tomów poprzednich, gdyż dopiero na tle pojęć tam szerzej wyłożonych i ustalonych mogą być trafnie i w pełni rozumiane główne terminy,—jak praca, dusza, różnica między siłą, a mocą lub potęgą, któremi się tu posługujemy. Inaczej łatwo o czysto formalne nieporozumienia.

Pierwotnie przeznaczyłem na tom 3-ci „*Ekologię Cywilizacji*“, rozpoczętą w r. 1909-m, jednak z powodu zajęcia się tematem „*Kapitału*“ praca ta została odłożona i, o ile danem mi będzie ją ukończyć, znajdzie się w tomie IV-m.

*Autor.*

Warszawa, 28 kwietnia 1913 r.

---

## SŁÓWKO O WYDANIU TRZECIEM.

Gdy w probierczym ogniu fachowej krytyki z żadnej strony nie padło zakwestjonowanie bądź podstaw bądź wniosków, kolosalne zaś przewroty ekonomiczne, będące nieoczekiwanem następstwem bezprzykładnej w dziejach wojny, nie tylko nie zadały kłamu teorii, ale, przeciwnie, jaskrawo okazały się z nią zgodne,—oddaję nowe wydanie bez zmian żadnych. Jedynie skróciłem tekst przez usunięcie mniej potrzebnych słów i zdań w dążeniu do treściwości.

*Autor.*

Warszawa, 15 stycznia 1919 r.

---



## I.

Zdawałoby się, że świetny i długi szereg myślicieli na polu ekonomii rozjaśnił już wszystkie główne zjawiska gospodarcze, a przynajmniej dał podstawy do ich właściwej oceny, ale daleko do tego. Istnieje mnóstwo sprzecznych zapatrywań w kwestjach nawet najogólniejszych i podstawowych, a szkoły i obozy ścierają się wciąż jeszcze ostro na punkcie zagadnień elementarnych i wzajemnie przekonać nie mogą.

Przez długi czas zdawało się, że Adam Smith położył już trwałe podwaliny pod gmach nauki ekonomii. Głęboki ten myśliciel zrozumiał i rozjaśnił tak wiele, jak nikt przed nim, jak zaś przemożnym był wpływ jego idei, o tem mogą świadczyć słowa Buckle'a, który o „Przyczynach bogactwa narodów”<sup>1)</sup> nie zawahał się powiedzieć, że to „książka najważniejsza ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisano”.

Okrzyknięto go „ojcem” ekonomii społecznej i politycznej, pojęcia jego i wskazania wcielone zostały w praktykę większości państw, i cóż się stało?

W połowie ubiegłego stulecia zjawił się drugi genialny myśliciel i opierając się na tych samych podwalinach (że praca jest jedynem źródłem wszelkiego bogactwa), przeciwstawił się całkowicie Smithowi, porywając swemi rozumowaniami większość umysłów w stronę wprost przeciwną poglądom Smitha. Jest nim Karol Marx. Od tego czasu walczą ze sobą mniej lub więcej zreformowani następcy i zwolennicy obu mistrzów, usiłując zasady ich

---

<sup>1)</sup> Inquiry in to the nature ad causes of the wealth of Nations, London, 1776.

wprowadzać w życie. Jednak nauki obu nie wszystkich zadowolily. Od dość dawna szkoła, zwana psychologiczną, usiłuje oprzeć gospodarstwo narodowe na zasadach całkiem odmiennych zarówno od klasycznej nauki Smitha, jak grubo materialistycznej Marxa, lecz dąży drogami tak okólnymi, że mimo znacznych powodzeń w krytyce systemów poprzednio rozwiniętych, daleka jest od mety, a daleka dlatego, że nie umie błędności ich udowodnić z należytą ścisłością naukową.

W takich warunkach można powiedzieć śmiało, że nie mamy jeszcze ekonomii prawdziwie naukowej, bo brak niezachwianych linii wytycznych, po których możnaby kroczyć bez obawy błędu w wyprowadzeniu pojęć szczegółowych.

Czem się to dzieje? Sprawili to głównie fenomenalna potęga rozumowania. Umysły trzech już pokoleń nie mogą się wyzwolić z pod czaru pomysłów najgenialniejszych jej przedstawicieli.

Logiczność konstrukcji zarówno Smitha, jak Marxa tak zaśloniła wspólny ich błąd u podstawy, że go nawet nie podejrzewano. Powtórzyło się zjawisko tylokrotnie już sprawdzone w nauce, że postęp nauki bardziej hamują błędy genialne, niżeli te grube, które się łatwo odkrywa, a jeszcze łatwiej prostuje.

Od chwili, gdy uznano niemal za pewnik, że praca jest źródłem bogactwa (czyli dzieł ludzkich), od chwili, w której sformułowano pojęcie kapitału, jako takiego zasobu pracy, wcieloonej w materję, który służy do łatwiejszego przeobrażania materji przez nową pracę w bogactwo, od tej chwili spory toczą się już tylko na temat pojęć szczegółowych. Co do roli i znaczenia pracy nie odczuwano nawet potrzeby poddania tego pojęcia ścisłej analizie naukowej i filozoficznej.

Wprawdzie najprostsza obserwacja ustawicznie przeczy utartej formule, jakoby praca była źródłem bogactwa, ale nawet taki stan rzeczy skłania raczej do piorunowania na niesprawiedliwość stosunków społecznych, niżeli do spokojnej rewizji orzeczenia, tak jaskrawo sprzecznego z faktami.

Cóż to za źródło bogactwa, gdy można się zapracować i zostawać wciąż biednym? W tym względzie można postawić dwa przypuszczenia. Albo praca większości ludzi bywa rzeczywiście wyzyskiwana przez mniejszość, jak to twierdzą Marxiści, albo

w twierdzeniu kryje się nieściskość. I otóż dotychczas nie wiemy, co jest prawdą? Nie wiemy, bo spory toczą się już nie dokoła pojęcia pracy, ale dokoła kwestyi kapitału i własności, którym wielka część ekonomistów przypisuje złowrogą rolę względem przedstawicieli „pracy”. Podzielono też świat ludzki na przedstawicieli „kapitału” i na przedstawicieli „pracy” i ubóstwo tych ostatnich uznano za wynik stałego wyzysku „pracy” przez właścicieli „kapitału”.

Wiele się tu przyczynia do powstawania różnych wątpliwości niezdawanie sobie należycie sprawy z pytania, czym jest człowiek w naturze? Odmieniamy przez wszystkie przypadki „człowieka”, ale gdyby rozpytać dokładnie: co rozumiemy pod tym wyrazem, okazałoby się, że każdy ma co innego na myśli — i nic dziwnego, bo używamy jednego wyrazu dla takiej różnaitości, która nie mieści się już w jednym wyrazie w sposób zrozumiały. Rozumujemy tak, jakby na miejscu poszczególnych ludzi istnieli jacyś jednakowi „ludzie wogóle”. Tymczasem „człowieka wogóle” nie było nigdy i wcale niem. Są tylko „ludzie” realni, indywiduala, w wysokim stopniu niepodobne między sobą. A skoro tak, to cóż dziwnego, że generalizując człowieka, mamy tyle różnych pojęć o wolności, wartości, prawie, obowiązkach, sprawiedliwości i t. d., i t. d.

Jedni w poszukiwaniu norm, mających rządzić ludźmi, biorą za punkt wyjścia człowieka odosobnionego, jakiegoś idealnego Robinsona,—inni wyśmiewają taką metodę. I do dziś niewiadomo, kto ma słusność, znikąd nie pada promyk światła; gdzie szukać podstaw dla pojęć „człowieka”, „prawa” i „bezprawia”, „sprawiedliwości” i „niesprawiedliwości”, „dobra” i „zła”, „wartości” i bezwartościowości”, wolności, własności i t. d. O własności np. mamy dwa sprzeczne pojęcia. Jedni dowodzą, że własność prywatna, osobista jest prawem naturalnem, innym podoba się lepiej twierdzenie, że taka własność jest tylko usankcyonowanym gwałtem, zwłaszcza zaś własność środków produkcji.

Ludzie wytwarzają „wartości”, albowiem wszelkie bogactwo, to wartość. Zdawałoby się, ważąc prostym rozsądkiem, że im więcej wytwarzamy przedmiotów wartościowych, tem wartości (przedmiotowej) przybywa, tymczasem z nauki Marxa wynika, że ogólna suma wartości prawie się nie zwiększa. Jak to może

pomieścić się w głowie? A jednak od lat pięćdziesięciu nikt nie zdemaskował błędu, będącego przyczyną, tak jawnej niedorzeczności.

Jedni uważają „zysk” otrzymywany przy wymianie dóbr za zjawisko naturalne, ale inni twierdzą, że przy zamianach nie powinno być zysku, albowiem przy zamianach oddajemy sobie, a przynajmniej powinniśmy oddawać sobie wartości równe. W przeciwnym razie jeden musi być pokrzywdzonym. Byli już ekonomiści, którzy utrzymywali, że żadna ze stron może nie być pokrzywdzoną przy zamianie, a nawet że obie zyskują, lecz zwolennikom Marxa wydawało się to fizycznym i logicznym niepodobieństwem — więc wszelki zysk mianują nadwartością albo wartością dodatkową, która powstaje z krzywdy innego.

Na terenie tych i wielu podobnych sprzeczności ekonomiści obracają się bardzo często w błędnym kole wyrazów, którym nadają dowolne i różne znaczenie, i cóż potem dziwnego, że nie mogą zgodzić się na jedno?

Bardzo być może, iż w swoim czasie niepodobna było uniknąć niedokładności, utrudniających porozumienie, ale dla nas nie ulega wątpliwości, że postęp na pokrewnych polach wiedzy uniemożliwiał już od pewnego czasu odpowiednią rewizję oraz korektę pojęć pierwszorzędnej doniosłości w ekonomii. Jeżeli więc dotąd ekonomia nie zdołała wybrnąć z wątpliwości oraz sprzeczności, które ją kompromitują, to dlatego, że operuje niemal apriorycznie sformułowanymi pojęciami zasadniczymi, jako prawdami, i nie czuje potrzeby poddania tych rzekomych prawd troskliwej rewizji na tle szerszem nauki o cywilizacji i o człowieku. Zanadto zasklepiono się w sferze pojęć, sformułowanych niegdyś na podstawie światopoglądów dziś już należących do historii, aby spostrzedz, że zaszły już w socjologii i filozofii zmiany, które mogą położyć kres dotychczasowym niepewnościom. Socjologia ogólna i psychologia nie traciły próżno czasu, rozwinęły się w ostatnich czasach w naukę o człowieku, analizując tak głęboko zjawiska świata ludzkiego, że ekonomia nie może nie rachować się z ich zdobyczami.

Analiza zjawisk społecznych, przeprowadzona przez nas w „Nauce o cywilizacji” i w „Teorii człowieka i cywilizacji”,

nie mająca zresztą wcale na widoku rozwiązywania zagadnień ekonomicznych, odsłoniła nam, jak sądzę, pewien szczególny sposób ujmowania stosunków międzyludzkich. Mniemam też, że wskaże ona, w czym leży główna omyłka dotychczasowych systemów ekonomicznych.

---

## II.

### **Przegląd pojęć głównych. — Przyroda, dobro ludzkie, czyli bogactwo i kapitał. Niedogodność operowania u podstaw pojęciem kapitału.**

Pierwszym krokiem naszym musi być porozumienie się co do znaczenia kilku wyrazów podstawowych, od których rozumienia takiego lub innego zależą wszystkie dalsze pojęcia.

Wyborem wyrazów pokieruje naczelną zasada, niemal powszechnie przyjęta w ekonomii, że na proces wytwarzania dóbr ludzkich składają się trzy czynniki: przyroda, praca ludzka i kapitał. Mamy tu cztery wyrazy, któremi zajęć się wypada dla tego, że lubo w mowie pospolitej zdają się nie nastroczać żadnych wątpliwość, — to jednak w nauce ekonomii dają szerokie pole do nieporozumień. Nie dość, że znaczenie ich bywa raz wąskie, drugi raz bardzo szerokie, jest gorzej, bo w wielu przypadkach cała treść jednego z tych wyrazów bywa z łatwością przenoszona na inny. Często też nie łatwo uchwycić moment przemiany, aby skontrolować prawidłowość czyjegoś rozumowania. Zależnie od niedopilnowania się, zaliczamy np. w pewnych warunkach do przyrody to, co inny nazwie dobrem ludzkim, lub kapitałem, — do kapitału, co według innego może być bądź przyrodą, bądź tylko dobrem ludzkim, a nawet pracą ludzką, — do pracy ludzkiej to, co inny nazwie przyrodą, dobrem ludzkim lub kapitałem. *Quodlibet!*

Czy można sobie przedstawić materyał, podatniejszy do wywołania i utrzymywania zamętu, nad tę kameleonową czwórkę

i czy można dziwić się potem, że ludzie piszą grube tomy, odpowiadają sobie tomami i nie rozumieją się wzajem?

Dla tego — najpierwszem zadaniem naszym musi być ustalenie treści tych najkonieczniejszych wyrazów. Zaznaczyć przy tem wypada, że dwa pierwsze następują stosunkowo drobne trudności, dopiero pozostałe dwa są źródłem nieskończonych nieporozumień.

\* \* \*

Zacniemy od przyrody.

Wszystko, co należy do naturalnego otoczenia ludzkiego, na którego istnienie lub zjawienie się żaden człowiek nie wywarł świadomie i celowo żadnego wpływu, jest w ekonomii przyrodą, skarbem natury, bogactwem naturalnem albo dobrem naturalnem, o ile stanowi czynnik z jakichkolwiek względów dodatni względem człowieka. Należy tu, powtarzamy, wszystko, co człowiek otrzymuje lub bierze sam, siłami swego ciała wprost od przyrody, darmo. A zatem: ryba w rzece niczyjej, istniejąca bez interwencji ludzkiej, jest czystym skarbem naturalnym; drzewo na pniu w lesie niczym, są przyrodą czystą, albo bogactwem naturalnem.

Cóż będzie dobrem ludzkim?

Wyrazem tym oznacza się wszelki wytwór ludzki lub własność ludzką, a więc 1) dobro naturalne, owładnięte przez człowieka, oraz 2) dobro naturalne, przeobrażone przez niego.

Z pierwszego punktu okazuje się, że dobrem ludzkim może być nawet czysta przyroda, wcale nie przeobrażona przez człowieka w coś nowego dla samej przyrody, przez sam akt idealny wzięcia we władanie choćby niefaktyczne. Więc las, choćby dziki i nietknięty, staje się dobrem ludzkim, gdy stanowi własność ludzką.

Jednak w zasadniczem rozróżnianiu przyrody od „dobra ludzkiego” nie możemy tego rodzaju dobra odrywać od kategorii „przyrody” albowiem ono jeszcze nie jest dobrem ludzkim, pomimo, że już jest „własnością” czyjąś. To dopiero materia, z którego powstanie kiedyś dobro ludzkie.



Zatem tylko druga kategoria dóbr może być słusznie nazwana „dobrem ludzkim”, które jest prawie równoznaczne z „dziełem ludzkim”. Będzie niem wszystko, co zostało wytworzone z materji lub sił przyrody przez działalność człowieka, lub co człowiek przez jakąkolwiek działalność przetworzył z przyrody w rzecz użyteczną.

A więc ryba w rzeczce niczyjej była czystą przyrodą, była dobrem naturalnem, ale jeżeli ją rybak złowi ręką, siecią lub na wędkę już przeobraziła się w dobro ludzkie, albowiem do ryby przyłączyła się praca rybaka, albo też jeszcze narzędzia (kapitał) rybaka, zużyte w całości lub częściowo na schwytanie ryby. Mówią tedy, że ryba, pozostająca we władaniu rybaka, stała się już połączeniem przyrody z pracą ludzką lub jeszcze z innym dobrem ludzkim. Jeżeli więc rybak złowił pewną ilość ryb siecią lub na wędkę, to już do każdej ryby należy doliczyć prócz pracy rybaka, części sieci lub wędki, które zużywają się przy łapaniu ryb.

W ten sposób drzewo na pniu w lesie niczym jest czystą przyrodą, ale ścięte staje się już dobrem ludzkim, albowiem obejmuje całą ilość pracy ludzkiej, niezbędnej do ścięcia drzewa i częśćkę zużytej do ścięcia siekiery — kapitału. Wywiezione z lasu stanowi znaczniejsze dobro ludzkie, gdyż przyłączyła się doń nowa ilość pracy ludzkiej i zwierzęcej, np. konia lub wołu, a także koszt zużytych narzędzi lub utrzymania konia lub wołu.

Skarbem natury są żelazo w rudzie i włókno w żywych konopiach dzikich, — dobrem ludzkim ruda żelazna w hucie, żelazo w bryle i wędka lub piła z niego sporządzona, równie jak włókno, choćby nieoddzielone jeszcze od konopi sianych, nici z niego ukrecone oraz sieć sporządzona z nici konopnych.

Nie potrzebujemy mnożyć przykładów, ilustrujących dobro ludzkie, i możemy przejść do kapitału.

Z nim sprawa bez porównania trudniejsza.

Kapitałem nazywają najpowszechniej takie dobro ludzkie, które jest potrzebne, przydatne lub użyte do wytwarzania nowych dóbr. W samym tem określeniu odsłania się zupełna niejasność tego pojęcia.

Zaraz się to okaże. Według większości ekonomistów, zwłaszcza dawnych, wędka i sieć na ryby są nie tylko dobrem ludzkim, ale równocześnie i kapitałem.

Siekiera i piła — są również kapitałem, gdyż ułatwiają przeobrażenie drzew-przyrody na bale i deski, będące dobrem czyli bogactwem ludzkim. Czemu będą ryby złapane? Będą albo tylko dobrem ludzkim, albo także kapitałem zależnie od tego, co z nimi rybak zrobi. Różnica bowiem między dobrem ludzkim, a kapitałem na tem polega, że kapitał (wędka, siekiera, piła) zużywa się na to, aby wystąpił w innej formie, w formie nowego dobra ludzkiego, zwykle zaś bogactwo zużywa się bezpowrotnie.

Wędka, piła — odpowiada więc dobrze definicji kapitału, ale ryba przyniesiona przez rybaka do domu nie będzie kapitałem, jeżeli ją rybak z rodziną musi spożyć, będzie zaś kapitałem, jeżeli ją rybak wymieni na wędkę.

Widzimy z tego, że niemal każde dobro ludzkie może być przeobrażone w kapitał, ten zaś równie łatwo w proste dobro ludzkie. Kapitał mieni się w oczach: niby go niema i nagle zjawia się. Może unikać, nie ginąc realnie, i dla tego może się znów pojawić, choć nic realnie nie przybyło. Wciąż może przeobrażać się w coś innego, co może być albo tylko bogactwem, albo także kapitałem,—z tego powodu staje się niewątpliwem, że kapitał nie oznacza wcale rzeczy konkretnej, lecz tylko pewną właściwość rzeczy. Określa on tylko pewien stosunek rzeczy do człowieka, a nawet pewien stosunek między ludźmi.

Wyraz „dobro ludzkie” oznacza rzecz całkiem realną, zawsze dającą się odróżnić od „przyrody”. Nie znika ono, póki nie znika rzecz sama, lub przymioty jej realne. Pozostaje czem było, nawet wówczas, gdy staje się kapitałem.

Kapitał — przeciwnie, może przestać istnieć, choć rzecz, nazywana kapitałem, nie znika. Rzecz konkretna traci tylko charakter kapitału, nie ginąc wcale, albo nabywa tego charakteru, niepowstając, gdyż była.

Gdybyż kapitał miał u wszystkich ekonomistów to jedno znaczenie, możnaby wówczas łatwo dojść do ładu. Ale gdzie

tam! Istnieje cały szereg wzajemnie wykluczających się pojęć o kapitale.

W znaczeniu najstarszem, jak również w mowie potocznej, jest to tylko zasób pieniędzy, pożyczany na „procent”. Inne znaczenie posiada, gdy ma reprezentować jeden z trzech czynników, niezbędnych w procesie wytwarzania. Wówczas cała suma dóbr, zaoszczędzonych w produkcji poprzedniej i zachowania dla następnej — nazywa się kapitałem<sup>1)</sup>.

U Marxa jest to jeszcze coś innego. Ani wędka, ani piła nie będą kapitałem. „Nie każdy pieniądz i nie każdy towar (dobro ludzkie, przeznaczone do wymiany) jest kapitałem; jest to tylko substancja, stająca się kapitałem dopiero gdy odbywa pewną działalność, wymagającą dla swego ukazania się szczególnych warunków historycznych”. A otóż jak Kautsky określa go w swej „Teorii wartości”<sup>2)</sup>: „Obieg kołowy: towar—pieniądz—inny towar—wtedy tylko przedstawia normalny wygląd, gdy wartość towaru, ukazującego się ku końcowi sprawy, równa się wartości towaru, stojącego na początku”. Otóż obieg odwrotny: pieniądze — towar — pieniądze, różni się od pierwszego co do swojej istoty. Tutaj kto kupuje z zamiarem sprzedaży, ten czyni to po to, aby drożej sprzedać. Otrzymuje on przyrost. Kautsky orzeka, że tylko pieniądz, odbywający taki właśnie obieg i przynoszący wartość dodatkową jest kapitałem. „Kto to przeoczy ten uwikła się w pajęczynie sprzeczności. Kapitał można pojąć tylko ze stanowiska tego ruchu  $P - T - (P + p)$ ”

---

<sup>1)</sup> Kapitałem może być również i to, co właściwie nie pomnaża wcale dóbr ludzkich materialnych, ale co bywa tylko środkiem do utrzymania się osobnika, czyli co pomnaża dobra osobiste. Skrzypce np. w ręku muzyka zawodowego są kapitałem. Mamy tu zgoła nowe i sprzeczne z pierwszym pojęcie kapitału, choć dobrze uzasadnione, bo skrzypek daje innym przyjemność, dobro duchowe, wzamian za dobra materialne.

Lecz częściej rozumie się w ekonomii nie tylko pieniądze, i nie tylko czynnik wytwarzania, nie tylko rzecz, służąca do pomnażania dóbr,—ale każdy „walor”, mający wartość wymienną na rynku, albo „przeznaczony do uzyskania nowych wartości”. (K. Gide. Zasada ekonomii społecznej, Warsz. 1913, str. 195). Będzie więc nim nawet umiejtność grania na skrzypcach, albo umiejtność śpiewu, albo nawet sam głos śpiewaka, czyli sam rodzaj głosu!

<sup>2)</sup> Kautsky. Teoria wartości, przekład polski, Lwów 1891 rozdz. III, I.

(rozdz. III). „Kapitałem jest wartość, rodząca wartość dodatkową” (czyli dobro ludzkie, rodzące nowe dobro ludzkie), ale tylko w pewnych warunkach społecznych. Co to znaczy „w pewnych warunkach”? Oto Marx uznaje za kapitał taką tylko część dóbr (uważanych przez innych za kapitał), która komuś służy do produkcyjnego zatrudniania innych na korzyść swoją, więc: do wyzyskiwania pracy innych na rzecz własną”.

Kapitałem u Rodbertusa i Marxa jest każde dobro, zapewniające posiadaczowi dochód, bez względu na jego pracę. Marx ma na widoku poprostu s p e c y a l n y stosunek między osobami <sup>1)</sup>.

Możnaby poczytywać za kapitał Marxa pieniądze, ale tylko w pewnych warunkach <sup>2)</sup>.

Widzimy z tych kilku przykładów, że o ile dobro ludzkie ma granice stosunkowo wyraźne, albowiem zaczyna się tam, gdzie kończy się czysta przyroda, nie można tego powiedzieć o kapitale. Bywa on różnie pojmowany.

Wobec chimerycznej łatwości zwięzania w różnym stopniu pojęcia kapitału, jako czynnej, czyli poniekąd twórczej części dobra ludzkiego, wobec trudności utrzymania się przy jednym znaczeniu w ciągu jednej pracy badawczej, wyraz ten może stać się źródłem błędów mimowolnych i trudnych do zauważenia.

Aby więc później zdać sobie należycie sprawę ze znaczenia i roli kapitału, i ograniczyć go na stałe, jeden tylko widzimy sposób. Trzeba będzie na początku pracy badawczej wyrzec się całkowicie używania zarówno tego pojęcia jak wyrazu i poprostu wszelkie dobro, materialne, bez wzglę-

---

<sup>1)</sup> „Kapitał nie jest rzeczą, lecz stosunkiem społecznym między osobami, który to stosunek ustanowiony zostaje za pośrednictwem rzeczy”. (K. Marx, Kapitał, przekł. pols. z III wyd. niem. str. 328). „Kapitał, to stosunek społeczny natury produkcyjnej, co więcej, to stosunek historyczny” (K. Marx, Lohnarbeit und Kapital).

<sup>2)</sup> „Kapitał występuje na scenę... zawsze w formie pieniędzy, które za pomocą pewnych szczególnych procesów przemieniają się w kapitał”. K. Marx, Kapitał. Przekł. polsk, rozdz. IV, str. 48.

du na to, czy rodzi nowe dobro, lub jest przeznaczone do zużycia, uważać tylko za dobro ludzkie i zanic więcej.

Wówczas staną naprzeciw siebie tylko dwa wyraźnie określone elementy: przyroda i dobro ludzkie, bogactwo naturalne i bogactwo ludzkie, zaspakajając w łączności wszelkie ludzkie potrzeby materyalne.

Wówczas okaże się, że dobro ludzkie, czyli bogactwo ludzkie jest prosto więcej, niż przyrodą; jest tem, co powstaje ustawicznie z przyrody dzięki działalności ludzkiej i, zaspakajając różne potrzeby lub pragnienia człowieka, — zużywa się wcześniej lub później bezpowrotnie.

---

### III.

#### Co przeobraża przyrodę w bogactwo?

Aby „bogactwo” ludzkie scharakteryzować — trzeba zwrócić uwagę na tę okoliczność, że nie jest ono potrzebne z punktu widzenia przyrodniczego, zoologicznego. Mogłoby ono wcale nie istnieć, całkiem bez szkody dla istnienia gatunku *Hominis*. Wszak ród ludzki wcale nie wytwarzał bogactwa przez niezmiernie długi okres swego bytu przed-człowieczego, i przetrwał równie dobrze ten okres, jak wszystkie zwierzęta. Działalność tedy, której produktem bogactwo, może być, ale może i nie być wywierana na przyrodę. Wytwarzanie „bogactwa” nie jest czynnością naturalną w znaczeniu przyrodniczem, nie stanowi dla gatunku ludzkiego kwestyi życia...

A więc, jeżeli nie jest produktem naturalnym, płynącym z czynności zwierzęcych, — musi płynąć z czynności nadzwierzęcych, a, co za tem idzie, zaspokajać potrzeby nad-zwierzęce.

Powtarza się w ekonomii komunal, że bogactwo — jest to połączenie „przyrody”, czyli materyi oraz sił naturalnych „z pracą

ludzką”, z trudem ludzkim. Skoro jednak „praca” zwierząt nie wytwarza nic, co by było produktem nadnaturalnym, nic, co by miało zaspokajać potrzeby nad-zwierzęce, — przeto wniosek prosty, że „praca” ludzka musi się czemś różnić od pracy zwierząt, i to zasadniczo, bo wytwarza coś, niepotrzebnego z punktu widzenia przyrodniczego.

Połączenie orzechów—z pracą wiewiórki—nie daje „więcej niż przyrody”, bo służy do zaspokojenia wyłącznie organicznej zwierzęcej potrzeby.

Ale człowiek, prócz zaspokajania potrzeb fizyologicznych, przetwarza jeszcze przyrodę na mnóstwo przedmiotów, zgoła nie tym potrzebom służących. Wytwarza on z przyrody ogromną różnorodność przetworów, i tej właśnie nie widzimy w rzekomem bogactwie zwierząt jednego gatunku.

Co więcej, bogactwo ludzkie krąży—od ludzi do ludzi. Przyczyną jednak krążenia nie może być „praca” uwięzła w dziełach ludzkich, tylko różnorodność form i przeznaczeń tego bogactwa. Lecz skądże się bierze owa różnorodność i dlaczego sprowadza krążenie? Z pewnością nie z „pracy”, bo sam dodatek pracy do przyrody nie może być warunkiem różnorodności dzieł pracy, a już tem mniej krążenie. A więc płynie z rozmaitych sposobów pracowania i różnorodności potrzeb.

Krążenie jest dowodem, że osobniki uważają za stosowniejsze, czy dogodniejsze wymieniać między sobą różne owoce swej pracy, aniżeli wszystkim swym potrzebom ludzkim osobiście czynić zadość.

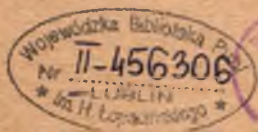
Już tego, cośmy tu powiedzieli, wystarczy, aby spostrzedz, że kwestya „pracy” i „bogactwa” dziwnie się nam pogłębiła i zaciemniła. Bogactwo ludzkie mogłoby nie istnieć bez szkody dla istnienia rodu ludzkiego, — a jednak wciąż jest wytwarzane w coraz większej ilości, i każdy czuje się nieszczęśliwym, doznając jego braku. Bogactwo jest niby kwestyą „pracy”, a jednak nawet ci, co „pracują”, bywają nierówno w bogactwo uposażeni, przytem jest go na ogół więcej, niż by być powinno, waząc prostym rozsądkiem. Wszak produkty pracy zwierzęcej zostają w prostej i nieubłaganej zależności od środo-

wiska naturalnego (i od sił zwierzęcia), np. większy urodzaj na kwiaty — więcej miodu i wosku, gorszy urodzaj, mniej jednego lub drugiego, albo obu razem. Ale z ludzkim bogactwem tak się nie dzieje. Nawet w środowiskach, jednako uposażonych od natury, widzimy w różnych czasach niejednakowo obfite wytwarzanie bogactwa. Ilość jego może wzrastać wśród ludzi pomimo wzrastającego zużycia. Rzekłbyś, że sił ludzkich przybywa, a przecież ludzie nie stają się ani silniejszymi, ani też bardziej pracowitszymi, niż dawniej.

Już z samych poruszonych tu faktów wypływa wniosek, że człowiek musi być czemś innym, niż zwierzę, i to czemś więcej niż zwierzę.

Dlaczego „więcej”? Oto dla tego, że jeżeli podzielimy świat, otaczający człowieka na dwie części, na czystą przyrodę i na „więcej niż przyrodę”, którą nazwalibyśmy bogactwem, zostaje nam już tylko sam człowiek i rodzi się wtedy pytanie: co mamy uczynić z nim samym? W której przegródce go umieścić? Czy mamy zaliczyć go do przyrody, czy też do „więcej niż przyrody”.

Wychodząc ze stanowiska przyrodniczego nie mamy prawa zaliczać człowieka do „więcej niż przyrody”, boć przecież, jako organizmy, jesteśmy wszyscy dziełem tajemniczej potęgi naturalnej, którą nazywamy życiem, a która powołuje do istnienia zarówno trawkę i robaczkę, jak człowieka w łonie matki. Ale z drugiej strony — niepodobna znowu zaliczać człowieka do czystej przyrody, albowiem wówczas wypadłoby całą produkcję ludzką, którąśmy tylko co nazwali „więcej niż przyrodą”, — uważać wprost za „dzieło przyrody”. Ujęcie bogactwa ludzkiego w charakterze „przyrody” zatarałoby wszelkie różnice między rzeczami, których wzajemny stosunek usiłujemy rozpoznać. Zamknęlibyśmy się w błędnem kole ogólników. Mniejsza, że produkt ludzki: kaszę i chleb wypadłoby nazwać tak samo czystą przyrodą, jak żyto, dziko wyrosłe bez interwencji ludzkiej. To jeszcze nie razi, ale któż zgodziłby się książkę, zegarek i maszynę parową uznać za dzieła przyrody? Wszak one nie rodzą się same. A więc... zaraz na samym wstępie rozważań rzuca się nam w oczy nadzwyczaj osobliwy charakter „człowieka”. Z punktu widzenia przyrodniczego, jest to przecież organizm,



jak wszelkie inne, a jednak... rola jego w przyrodzie nie ogranicza się do roli wszystkich innych organizmów.

Człowiek nie dość, że tworzy, ale tworzy różnorodność, nie dość, że tworzy różnorodność, ale wytwarza jej coraz więcej. Niedostatek i tego. Z postępowaniem czasu człowiek tworzy coraz większe dzieła, będące już owocem zbiorowych wysiłków wielkiej ilości osobników—tak, że nie można już twierdzić, aby je „człowiek” tworzył—bo je tworzy zbiorowość. Człowiek przestał wystarczać sobie, a natomiast stał się użyteczny innym i dopiero przez to sobie samemu. Wzajemna użyteczność ludzi komplikuje się i wzrasta nieustannie. Wiele dzieł bywa owocem kolejnej pracy długiego łańcucha pracowników, a tego wszystkiego wcale nie widzimy wśród zwierząt.

\* \* \*

Cóż za czynnik szczególny tkwi w człowieku i tylko w człowieku, dający skutkiem oddziaływania na przyrodę „bogactwo”?

Pytanie to nawskroś gospodarcze i wypada zwrócić się o rozwiązanie jego do ekonomistów. Otóż ci, począwszy od Adama Smitha, dają nam odpowiedź bardzo zgodną i stanowczą. Całe to dziwnie urozmaicone bogactwo ma być owocem pracy ludzkiej, wykładanej na przeobrażenie materiału, dostarczonego w gotowym stanie przez przyrodę,—dzieło ludzkie.

W tych warunkach zdaje się, że nie popełniamy ani naiwności, ani niedyskrecyi, stawiając sobie pytanie: więc cóż jest praca ludzka, czemże ona się różni od pracy zwierząt, nie dającej bogactwa?

---

#### IV.

### Co to jest praca?

Co to jest praca w ogólności jako pojęcie przyrodnicze, o tem poucza nas fizyka. Pokonanie pewną siłą jakiegoś oporu nazywa się w fizyce pracą. Praca będzie tem większą, im większy pokonała opór. Może ona być mierzona iloczynem siły i drogi<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Energię mechaniczną określa się za pomocą pracy, która jest iloczynem z siły (mechanicznej) przez drogę, przebytą w stosunku do kierunku tej siły.



W mechanice za jednostkę do mierzenia pracy wykonanej przyjęto ilość siły (praca), pokonywającej opór jednostki siły (kilogram) na długość jednostki drogi (metr). Taką jednostkę pracy nazywa się kilogramometrem.

Przeprowadzając odpowiednie zamiany na siły, można za pomocą tej jednostki wyrażać i mierzyć pracę nie tylko martwych sił przyrody (np. ciśnienie wody na koło młyńskie), ale i pracę zwierząt, a nawet człowieka, zajętego pracą niemal czysto fizyczną. Można np. wyrachować średnią ilość pracy, którą zdolny jest wydać człowiek w określonym czasie. Absolutne np. maximum pracy mężczyzny, ważącego 70 kilogramów, idącego po równej drodze z ciężarem 18 kilogramów z szybkością 1 metra na sekundę, wynosi w ciągu 8-iu godzin 43.200 kilogramometrów pracy użytecznej, to znaczy pracy czystej, zostającej po potrąceniu pracy, niezbędnej do unoszenia własnego ciała. Zbytecznym byłoby podkreślać, że mowa tu o pracy fizycznej ludzkiej, czyli o sile ciała, pokonywającej opory fizyczne.

Zachodzi pytanie: czy taką pracę „użyteczną” mamy rozumieć pod ekonomicznym terminem pracy ludzkiej?

Nie! Gdyby praca ludzka była tem samem, czem „praca” choćby konia lub wołu, byłoby w najwyższym stopniu dziwnem, czemu zwierzęta wolne, które rozporządzają siłami swych ciał, nie wytwarzają dla siebie samych kapitału lub choćby bogactwa własnego. Praca ludzka musi zatem różnić się czemś zasadniczem od pracy zwierząt.

Smith określił ją mianem *industry*, co oznacza przede wszystkim „pilność”, *pracowitość* i nie odpowiada ściśle ani *Arbeit*, ani *travail*, ani polskiemu *praca*. Ale i ten wyraz zawiera w sobie to, co mieści się również i w „pracy” wielu zwierząt, podawanych ludziom już od czasów zamierzchłych za wzór pilności, *pracowitości* i *przemysłowości*.

Czemuz człowiek przewyższa owe pracowite zwierzęta w rezultatach, choć nie dorównywa w zaletach?

Dla pojęcia „*industry*” Smitha wytworzył się u nas wyraz *przemysł*, ale nie odpowiada on wiernie angielskiej treści wyrazu Smitha, choć lepszy jest zapewne od niemieckiego nic nie mówiącego wyrazu „*Arbeit*” lub francuskiego „*tra-*

vail". Zapewne też skutek tego wyraz angielski przeszedł żywym do francuzczyzny i niemczyzny, chociaż, rzecz dziwna, oznacza tam już coś innego' na miejscu zaś „industry” Smitha pozostawiono Arbeit i travail. Nasi ekonomiści, wzorując się ślepo na niemieckich wzorach, również wprowadzili w użycie na miejsce „industry” czysty wyraz „praca”, lub „praca ludzka”, przyczyniając się tem z punktu do zaciemnienia pojęć. Właściwszem bowiem od tego byłoby już określenie: „działalność produkcyjna”, bo nie narzuca nam już tak czysto mechanicznego pojęcia, jakie nasuwa wyraz „praca”. Ciekawą więc będzie rzeczą, jak też określa pracę ludzką antagonistą Smitha Marx, od którego mamy prawo spodziewać się określenia ścisłego i głębszego, skoro „pracę” uczynił źródłem wszystkich dzieł ludzkich.

Praca ludzka powiada Marx, jest to zużywanie siły roboczej ludzkiej. Zdawałoby się że jest to już coś innego, niż siła-praca mechaniczna, ale gdy pod siłą roboczą pojmuje się zwykle energię użyteczną, wydawaną (przez ciało żywą albo maszynę) na pokonywanie oporów zewnętrznych, to trzeba przyznać, że określenie Marxa jest co najmniej zbyt ogólnikowe i przez to wcale nie jasne. Zdaje się ono mówić, że praca ludzka jest użytecznym wydawaniem, czyli spożytkowaniem siły fizycznej osobnika, i możnaby też oczekiwać, że nasz ekonomista ma na myśli tylko siłę fizyczną, (tkwiącą w człowieku, jako w motorze), ale w rzeczywistości jest inaczej. Pod siłą „roboczą” ludzką, rozumie Marx „świadomą i celową działalność ludzką”, albo „świadomą czynność w celu wytwarzania”.

Jest to oczywiście coś znacznie więcej od prostej siły roboczej, którą wydaje także każdy silnik (motor) mechaniczny, ale niestety, jest to również niewiele mówiący ogólnik i należy sobie z tego zdać sprawę w całej pełni.

Przedewszystkiem wypada podnieść okoliczność, że świadomość i celowość są warunkami niezbędnymi przy wykonywaniu czynności nawet czysto mechanicznych przez istotę żywą. Organizm gdyby mógł zniżyć się dokładnie do roli automatu, już po kilku sekundach podobnej pracy, stałby się niezdalny do dalszej pracy dla jednego z tysiąca możliwych

powodów. Przewróciłby się, pokaleczył lub zabił. Człowieka tedy bez świadomości wprost niepodobna sobie wyobrazić przy czynności użytecznej.

To samo dotyczy celowości.

Gdy tedy ekonomista nasz nie określił bliżej stopnia czy granic świadomości i celowości, niezbędnych, ale i dostatecznych w pracy ludzkiej, to w jego pojęciu „pracy ludzkiej” mieści się dobrze wszelkie ich minimum, niezbędne, ale i dostateczne przy pracy nawet fizycznej, np. przy najprostszym przenoszeniu ciężaru po równej drodze.

Dopiero, gdy tę okoliczność uwzględnimy, spostrzeżemy, jak niewiele<sup>1)</sup> odróżniają pracę ludzką od pracy zwierząt oba warunki „pracy ludzkiej”, wymienione przez Marxa.

Można się zgodzić i na taką definicyę, ale pod taką pojętą pracą, albo siłą roboczą trzeba rozumieć i wolno brać tylko to, co się w definicyi mieści, jako konieczny składnik, i nic nad to, jeżeli mamy się trzymać drogi rzeczywiście naukowej, zapewniającej nadal ścisłość rozumowania.

Jednak Smith, Marx i inni operują w rozumowaniach swoich nie tylko tak ciasnym pojęciem siły roboczej ludzkiej.

Jeśli dozorca robotników, zajętych pracą, stoi tylko i czuwa, to zajęcie jego Smith z Marxem uważają także za pracę, mimo, że dozorca właściwie nie wykonał żadnej pracy mechanicznej. Za pracę tedy uważa się nie tylko wydawanie fizycznej energii „użytecznej”, lecz pracę użyteczną jakąkolwiek, choćby nawet wcale nie dawała się wyrazić w kilogramometrach.

Wypada więc stwierdzić, że ekonomiści operują pojęciem bardzo źle ograniczonym i tak niewyraźnie zdeterminowaną, „siłą roboczą” (czy „pracę”), uważają za jedyne (oprócz przyrody), źródło bogactwa i kapitału. Jeszcze raz mamy pełne prawo postawić dwa skromne pytania. Czemu żadne zwierzę nie zdobyło się na wytworzenie czegoś analogicznego do kapitału, a choćby tylko do bogactwa ludzkiego (choć wszyst-

---

<sup>1)</sup> Nie powiadamy: „wcale nie odróżniają”, lecz tylko niewiele.

kie posiadają świadomość i celowość, wystarczające im w pełni do egzystencji), a następnie drugie: czemu ludzka praca przewyższa od pewnego czasu przedhistorycznego wszelkie prace zwierzęce? Bo przecież, lubo stała ona niegdyś na poziomie działań zwierzęcych, to przecież—przeobraziła się od pewnego czasu w kapitałodajną, a następnie staje się coraz łatwiej kapitałodajną?

Jeżeli bowiem nawet pracę fizycznie nieprodukcyjną dozorczy nazwalibyśmy pracą i nazwalibyśmy słusznie, to jeszcze i taka praca nie zawiera nic takiego, czegoby brak było w pracy zwierzęcej. Wszak i zwierzę pracuje często w podobny sposób, niby nie czynny. Lis czy lew nie tylko wówczas pracują na życie, gdy gonią zdobycz albo gdy jej szukają, czyli gdy wydają na zewnątrz energię fizyczną, ale i przez te długie godziny nieruchomego czuwania (czatowania), które poprzedzają zwykle osiągnięcie celu czuwania. Więc nawet zwierząt praca różni się od pracy maszyn istnieniem w niej tej samej cechy, którą ekonomiści przypisują pracy ludzkiej, mianowicie „świadomości oraz celowości”.

Odrzekną nam, iż w pracy ludzkiej tkwi więcej świadomości i celowości, niż w zwierzęcej. Jakkolwiek tego rodzaju dodatek rujnuje już ścisłość poprzedniego określenia pracy, bo tam wcale nie powiedziano, ile świadomości i celowości czyni z pracy ludzkiej coś specyficznie ludzkiego, to i ten dodatek nie pomaga jeszcze do dokładnego rozróżnienia obu „sił roboczych”: zwierzęcej i ludzkiej, gdyż ani wskazuje skąd się bierze owo „więcej”, ani co ono wnosi do pracy, ani co ten dodatek wart, jako źródło bogactwa? Podkreślić przytem należy, że w pojęciu pracy ludzkiej u większości ekonomistów zawarta w założeniu i definicyi tylko i jedynie jakaś przeciętna siła robocza ludzka, której nie usiłowano szczegółowiej analizować.

Tak jest i tego nie kryją ekonomiści szkoły Marxa. Oni nie tylko nie usiłują rozróżnić, czy stopniować różnych prac ludzkich, ale je nawet rozmysłnie generalizują. Marx w rozdz. VI-m „Kapitału” powiada, że „siłą roboczą jest suma sił fizycznych i umysłowych, zawarta w ciele człowieka, którą tenże musi wprawiać w ruch dla wytwarzania przedmiotów użytecz-

nych”<sup>1)</sup>. „Jednak wszelka siła robocza osobnika, powiada znów Kautsky za Marxem, w tem jest podobna do każdej innej, że posiada charakter przeciętnej siły społecznej”<sup>2)</sup>. „Cała siła robocza społeczeństwa, zawarta we wszystkich wartościach (dobrach ludzkich), powinna być uważaną za jedną prostą siłę, pomimo, że składa się z niezliczonych sił osobnych”.

Trzeba tedy stwierdzić, że nie szukano i nie uwzględniano w pracy ludzkiej nic specyficznego, czegoby brakło w pracy zwierząt, która nie daje bogactwa, czy też kapitału. Jeżeli nawet ową specyficznością ma być pierwiastek psychiczny, to i jego uwzględnienie nie rozstrzyga jeszcze o niczem w koncepcyi naszych ekonomistów, albowiem pierwiastek psychiczny tkwi również w pracy zwierząt, ilość zaś jego oraz jakość w ludzkiej sprowadzono bez osobnego oceniania, do jednej przeciętnej. Zostawiono więc całkowicie bez odpowiedzi kwestyę, czem oraz do jakiego stopnia siła robocza (praca) ludzka różni się od pracy zwierząt, jak również nie zatroszczono się o zbadanie, czy można wprowadzić pojęcie przeciętności do różnych prac ludzkich. Wobec wstrzemięźliwości co do pierwszego pytania—musimy wyrazić domysł, że jednak w pracy ludzkiej kryje się taki czynnik, którego całkiem brak w zwierzęcej, i jego właśnie obecność decyduje o różnicy skutków pracy ludzkiej, że istnieje jakiś czynnik, którego nasi ekonomiści nie uwzględnili w obrachunkach, choć objęli ogólnikowo w definicyi, a to nie może być uważane za ścisłą metodę. Nie ulega wątpliwości, że połączyli w jedno wydatek energii fizycznej, dający się obrachować i mierzyć, z wpływami strony psychicznej, nie dającej się mierzyć<sup>3)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Kapitał. Przekł. pols. t. I. Lipsk. 1884. Str. 57.

<sup>2)</sup> Teorya wartości. Prz. polsk. Lwów, 1891. Str. 21.

<sup>3)</sup> Gdyby chcieć nawet uwzględniać wydatek energii, towarzyszący procesom psychicznym, co daje się przeprowadzić w fizyologii, to jeszcze uwzględnienie znikomo drobnego wydatku w porównaniu do wydatku energii fizycznie produkcyjnej nie dałoby zrozumiałych wyników.

Rewizya tedy panującego w ekonomii pojęcia „pracy ludzkiej” daje nam w rezultacie wielkie niewiadome.

Ponieważ jednak jest to pojęcie tak ważne, jak może żadne inne, nie mamy prawa zniechęcać się pierwszym niepowodzeniem. Musimy starać się odszukać w pracy ludzkiej czynnik, różniący ją od pracy zwierząt, a wymieniony u ekonomistów bardzo niedokładnie i ogólnikowo.

---

## V.

### Czem „praca” ludzka różni się od zwierzęcej?

Istnieje pewna poważna sprzeczność u samych podstaw ekonomii, bardzo więc być może, że w niej kryje się coś, co rzuci światło na wyjątkowy charakter pracy ludzkiej.

Przyjęło się powszechnie orzeczenie Smitha, że jedynym źródłem bogactwa (i kapitału) jest (na tle przyrody) praca ludzka (industry), ale równocześnie utrzymuje się stale twierdzenie, że w procesie wytwórczym ludzkim niezbędne są trzy czynniki: przyroda, praca ludzka i kapitał. Cóż jest prawdą? Jeżeli praca ludzka ma być jedynym czynnikiem, wytwarzającym dobro ludzkie z przyrody, to wówczas kapitał powinien być zbędny, jeżeli zaś kapitał jest niezbędny, to sama praca nie może już być nazywana jedynym czynnikiem obok przyrody. Rozstrzygnięcie tej sprzeczności nie trudne. Że kapitału niegdyś nie było, choć istniał już człowiek, to nie może ulegać wątpliwości. Sam więc fakt, że musimy kapitałowi wyznaczyć początek, późniejszy od zjawienia się człowieka, nadaje „pracy” wagę pierwszorzędną. I w istocie, gdzie choćby w najdogodniejszej przeszłości musimy sobie wyobrazić człowieka, pozbawionego jeszcze kapitału (materiałnego dobra ludzkiego), musimy uznać, że taki właśnie człowiek wytworzył pierwszy kapitał. Czemże go zdobył? Oczywiście, że własną tylko „pracą”, choćby nawet z dodatkiem „oszczędności”, jak chce tego Adam Smith. Wta-

kim razie zjawia się pytanie: jakim prawem wolno twierdzić, że człowiek późniejszy nie władny jest uczynić tego samego? Skoro kapitał (dobro ludzkie) nie był konieczny w początkach człowieczości, to tembardziej nie może być niezbędnym później, albowiem człowiek, ogólnie, nie cofa się przecież w uzdolnieniach, więc do czego był zdolny niegdyś, do tego tembardziej musi być uzdolniony na dalszych szczeblach rozwoju.

Kapitał więc nie może być uważany za niezbędny czynnik w wytwarzaniu bogactwa. Ale gdy odrzucimy jego niezbędność, staje się rzeczą w najwyższym stopniu niezrozumiałą, dla czego jeden tylko człowiek (jako gatunek zwierzęcy) wytwarza kapitał „pracą” własną, żadne zaś zwierzę nie zdobyło się na produkcję czegoś analogicznego.

Powiedzą nam może, iż w pracy ludzkiej tkwi więcej elementu psychicznego, niż w zwierzęcej — i to stanowi o różnicy skutków, chcąc jednak kroczyć po gruncie pewnym, musimy zaznaczyć, że rozważamy tutaj początki bogactwa, a zatem taką epokę, która być może ciągnęła się lat tysiące, ale w której człowiek nie miał w sobie elementu psychicznego więcej, niż inne blizkie mu organizacją zwierzęta. Homo non erat sapiens. Dziś nie możemy sobie już inaczej przedstawić przeszłości człowieka. Nie ulega wątpliwości, że psychika jego rozwijała się z tego samego poziomu, na którym stały i stoją dotychczas inne jestestwa. Jeżeli więc powiemy, że człowiek bogactwo swoje zawdzięcza psychicie wyższej od zwierzęcej, to obalamy już podstawy ekonomii dzisiejszej, która nietylko głosi, że jedynym źródłem bogactwa praca ludzka, ale równocześnie niewiele troszczy się o element psychiczny specjalnie ludzki, albowiem topi go w „przeciętnem” pojęciu pracy. Wprawdzie nikt z ekonomistów nie zaprzecza temu, że umysły ludzkie różnią się między sobą, jakościowo oraz ilościowo, ale w ekonomii Marxa, różnic indywidualnych nie bierze się w rachubę. „Wszystkie siły robocze ludzkie powinny być uważane za jedną prostą siłę.

---

## VI.

### O niejasności pojęcia pracy ludzkiej.

Gdy w poszukiwaniu miary porównawczej dla różnych wytworów ludzkiej działalności wyłoniła się kwestya wartości dzieł wymienianych. Smith zawyrokował, że skoro źródłem produktu jest praca ludzka, przeto tylko ona może być źródłem wartości produktu, a również miarą wartości.

Orzeczenie, że „wartością przedmiotu, który pragnę wymienić na co innego, jest ściśle równa ilość pracy dająca się za ów przedmiot nabyć lub w działanie wprawić”, stało się już dogmatem w ekonomii.

Wprawdzie Smith nie rozstrzyga w jaki sposób ma być mierzona praca jednego człowieka, aby za nią sprawiedliwie mógł otrzymać równą ilość pracy innego. Głęboki ten myśliciel spostrzegł, że jest to zadanie niezmiernie trudne, więc, nie chcąc siebie ani innych w błąd wprowadzać, rzekł się zadania ponad siły. Ponieważ zaś jego ideą przewodnią była wolność ludzi, przeto uznał, że najwłaściwiej będzie zostawić każdemu swobodę w ocenianiu swej pracy, albowiem niekrępowane współzawodnictwo najlepiej ureguluje wymianę produktów oraz ich cenę. Wszelka przesadna ocena spotka się z oporem i musi uleść słusznej obniżce.

Inaczej odnieśli się do tej sprawy późniejsi ekonomiści pozytywni, Ricardo, a zwłaszcza Marx. W imię tej samej zasady wolności ludzi (a zarazem równości ich, którą zresztą uznał i Smith), a zarazem w dążeniu do zaprowadzenia sprawiedliwej wymiany produktów, szukają oni podlegających wymianie. Nie chcą pozostawić wytwórcom swobody w ocenianiu własnych wytworów według ich widzimisie.

Omijając nieprzezwycięzone przeszkody, nastęrczające się w tym względzie, obrali za miernik „czas pracowania” i stało się to epokowym zdarzeniem w nauce. Nazywa się to do dziś wielkiem odkryciem ekonomicznem.

Rozumowanie było proste. Pracowanie jest źródłem produktu, pochłania ono siły i czas, więc czas, poświęcony pracy, jest źródłem produktu. A skoro tak, przeto na-



leży wszelką pracę osobników oceniać tylko długością jej trwania. Według Marxa, każda rzecz, wytworzona przez człowieka, ma tylko jedną stałą i istotną wartość, wartość ludzkiego czasu roboczego.

Wprawdzie zaraz nastęrczała się wielka przeszkoda do mierzenia miarą czasu wyników nawet najmniej złożonej pracy. Nawet jeżeli uznamy godzinę pracy za stałą jednostkę, mogącą służyć za miarę pracy, to czyż czas trwania pracy może decydować o ilości trudu, rzeczywiście zużytkowanego? Wszak pracowity lub zręczny wytwórca wykona w ciągu godziny to, na co nieudolny, niewprawny, powolny albo leniwy zużyje trzy godziny, albo nawet więcej.

Czyż w wyrobie nieudolnego lub leniwego będzie rzeczywiście tkwić trzy razy więcej pracy, przeobrażonej w realne bogactwo, niżeli w wyrobie pilnego lub sprawnego? Czyż wytwór pracownika leniwego będzie miał istotnie trzy lub cztery razy większą wartość od wytworu pracowitego? Czyż sam czas pracy może być zarówno miernikiem, jako źródłem wartości produktu? Nigdy! Zauważył to sam Marx, że czas, zużyty na wykonanie takiego samego dzieła w tych samych warunkach przez dwóch lub więcej ludzi, może być różny w bardzo szerokich granicach. Jakże tedy utrzymać powagę miernika z trudem odnalezionego?

Okazało się niezbędnem dla ratowania cennej zasady obstawić ceną miarę zastrzeżeniami praktycznemi. Z takiej potrzeby zrodziło się pojęcie „przeciętnej pracy społecznej”. Oto jak rzecz Marx formułuje: „Społecznie potrzebną pracą jest czas pracy, wymaganej do wytworzenia pewnego użytecznego przedmiotu przy istniejących społecznie normalnych warunkach produkcji i społecznie przeciętnym stopniu uzdolnienia oraz natężenia pracy”.

Potworek cudowny, „praca ludzka”, przeobraził się tedy w równie cudowny i kameleonowy „przeciętny czas pracy”, a chociaż miewa on w praktyce bardzo różną wartość, bo zależy nie tylko od pilności, ale jeszcze od zmiennych warunków produkcji, od zmiennego uzdolnienia osobników i zmiennego natężenia pracy, oparła się — na zastosowaniu podobnego miernika cała budowa społecznego syste-

mu Marxa i nie tylko jego zwolenników, ale ogromnej większości ekonomistów społecznych. Gdy zaś lepszej miary do oceny wartości zamiennej produktów ludzkich nie odszukano, więc wytłumaczono sobie, że nie jest to potrzebne również do oceny różnych rodzajów pracy. Uznano, że zastosowanie metody mierzenia użytecznej działalności ludzkiej czasem jej trwania zapewni najsprawiedliwszy podział dóbr między ludźmi. Przy takiej metodzie wartość wymienna wszelkich niepodobnych do siebie produktów, inaczej trudna do odnalezienia, będzie sprowadzona do czasu pracy koniecznego, którego obrachowanie jest rzeczą wykonalną. Skoro nie możemy pracy mierzyć kilogramometrami, gdyż w takim razie wypadłoby pracę dozorczy robotników szacować bez porównania niżej od pracy samych robotników, pracę inżynierów niżej od pracy drwala, wreszcie pracę zegarmistrza niżej od pracy kowala podków, przeto trzeba pracę mierzyć tylko czasem jej trwania, wartość zaś wytworów czasem, niezbędnym do ich wytworzenia. Przy takiej zasadzie nie może być już więcej mowy o krzywdzie jednych, nieprawym zaś zysku innych.

Teorye Smitha i Marxa, powtarzani, są tak konsekwentnie zbudowane na tem zasadniczem rozumowaniu, że musiały olśnić nadzwyczajną prostotą i ścisłością zarówno umysły głębokie, jak kierujące się tylko prostym zdrowym rozsądkiem. Nie zostawiają żadnych wątpliwości.

A jednak, czemuże się to dzieje, że żadna z tych teorii nie zapanowała nad umysłami? Czemu zresztą z tej samej podstawowej koncepcji pracy Karol Marx wyprowadził wskazania praktyczne, wprost przeciwne wskazaniem Smitha i do dziś nikt nie poprzestaje na wynikach osiągniętych, lecz jedni poprawiają Smitha, inni rewidują i poprawiają Marxa, jeszcze zaś inni szukają całkiem nowych podstaw i wyjaśnień?

Główna przyczyna tego spoczywa właśnie w niejasności, która tkwi u podstawy, w samem pojęciu pracy ludzkiej. „Praca produkcyjna”, albo „industry” jest pojęciem nie tylko złożonem, ale wprost ciemnem. To ogólnik, który nic nie mówi, to wcale nie czynnik, któryby, rozpatrywany ilościowo, cośkolwiek zrozumiałe objaśnił. Miejmy odwagę raz to przyznać.

\* \* \*

Operowanie pracą ludzką, niby jakąś niezłożoną siłą roboczą, już przez to samo okazuje się procederem zgola nie naukowym, że nie tłumaczy najbardziej bijących w oczy faktów ekonomicznych. Nie wyjaśnia np. czemu bogactwa przybywa statecznie w niektórych społeczeństwach, gdy w innych znowu trzyma się ono zaledwie w mierze, albo nawet uszczupla się? Dlaczego w czasach przedhistorycznych przyrastało wszędzie niezmiernie słabo <sup>1)</sup>, gwałtownie zaś narasta w społeczeństwach, zwanych najwyższemi? Skąd taka nierówność skutków pracy, więc skutków czynnika, w który ludzie normalni powinni być, zdaje się, uposażeni mniej więcej jednakowo?

Na takie pytanie dotychczasowe systemy ekonomiczne nie dają nam odpowiedzi prawdziwie naukowej i jasnej.

Upatrywano np. główne, jeżeli nie jedyne źródło wzrastania bogactw w powszechnym wroście pracowitości. Niektórzy znowu chcieli widzieć źródło nierówności bogactwa u różnych społeczeństw, jako też osobników, w ich mniejszej lub większej umiejętności oszczędzania. Zwłaszcza Smith podniósł do wielkiego znaczenia oszczędność i słusznie, albowiem nicby z tego nie wynikło, choćby naród był nawet najpracowitszym, ale łatwo marnował wytworzony nadmiar. Ale czyż oszczędność, dodana do pracowitości, wystarcza już do wytłumaczenia takiego nagromadzenia się bogactwa, jakie widzimy w niektórych społeczeństwach? Nie! Już prostym rozsądkiem ważąc, łatwo dojść do przekonania, że oszczędne używanie owoców pracy może istotnie powiększać zapas społeczny, ale tylko powoli i zawsze w jednym tempie, bo gdzie źródło (praca) zawsze jednak ograniczone siłami organizmu, tam szybkość przyrostu zapasów musiałaby zależeć tylko od wzrostu oszczędności w używaniu. Zapas nie mógłby wciąż się wzmacniać, bo musielibyśmy wszyscy w zamożniejszych społeczeństwach stawać się w tym celu coraz większymi skąpcami. Czyż jednak naprawdę nie dzieje się rzecz odwrotna? Nie ulega przecież wątpliwości,

---

<sup>1)</sup> Jak również w społeczeństwach, zwanych „pierwotnymi” (ludy egzotyczne).

że wszyscy, w społeczeństwach, rosnących w zamożność, coraz więcej zużywamy; potrzeby nasze rosną, lecz nie maleją. Skądże więc przybywanie coraz obfitsze, gdy ubywanie jest również coraz silniejsze?

A zatem oszczędność w korzystaniu z bogactwa jest tylko jedną z przyczyn jego wzrastania, ale nie może być jedyną.

Bogactwo wcale nie jest jedynie zaoszczędzoną pracą, czy też „zakrzepłą w dziełach ludzkich pracą ludzką”, jak się wyrażają klasycy i mechanicy. Ono musi być stanowczo czemś więcej i czemś o wiele więcej.

W twierdzeniach, że bogactwo — to prosty rezultat pracowania, czyli pracy, pojmowanej jeneralnie, po Marxowsku, tkwi dowód, że zwolennicy prostej teorii pracy byli nie tylko złymi przyrodnikami i filozofami, ale nawet słabymi obserwatorami.

Naprzód w społeczeństwach mało rozwiniętych i biednych nie pracuje się tak znowu mało, a w najwyższych tak znowu dużo, jakby tego wymagał stosunek bogactwa do ilości ludzi, a zatem i do ilości sił ludzkich, w krańcowo biednych i krańcowo bogatych społeczeństwach. Jeżeli możnaby utrzymywać, że ludy trwające na łonie bujnej przyrody pracują niewiele, to nie da się tego samego powiedzieć o ludach, żyjących na obszarach skąpo uposażonych w płody natury, których to obszarów jest najwięcej. A przecież i na ostatnich utrzymują się społeczeństwa zarówno bogate, jak i biedne.

Powtóre należy brać w rachubę, że nawet i samo zużycie bogactwa pochłania pewną i to znaczną nawet część ludzkich „sił roboczych” rozporządzalnych oraz czasu. Zużycie jest także swego rodzaju pracą, i to fizyczną, lub destruktcyjną dla bogactwa. Jest ono także szeregiem wysiłków, absorbujących siły organizmów naszych, a nawet, jeśli chcemy wciągać tu w grę t. zw. „siły psychiczne”, to trzeba orzec, że i używanie absorbuje w równym stopniu nasze myśli, uczucia oraz dążenia, odciągając je przez czas „używania” od czynności „tworzenia”. Gdy zużywam owoce pracy swojej—wówczas nie tworzę i odwrotnie, gdy tworzę—nie mogę równocześnie oddawać się używaniu. To przecież jasne.

Ludzkość możnaby nazwać Penelopą z tą różnicą, że śpiąc

i odpoczywając w nocy, niszczy przez część doby, przeznaczonej na czuwanie i działanie, to, co przez drugą część doby wytworzyła.

Wreszcie sporo siły, a głównie czasu pochłania ludziom samo nawet używanie bogactwa, wcale nie połączone z destrukcją, ale połączone jedynie z niezbędną wówczas stagnacją w wytwarzaniu.

Gdy człowiek już z natury bardziej jest skłonny do odpoczywania i próżniactwa, niż do pracy, do używania bardziej, niż do produkowania i oszczędzania,—to w społeczeństwach bogatszych o wiele więcej znaleźlibyśmy osobników, marnotrawiących czas, siły fizyczne i bogactwo, niżeli to znieść może najpobłaźliwszy rachunek statystyczny oraz założenie przeciętnie większej pracowitości oraz większej oszczędności w społeczeństwach bogatych.

Z tych wszystkich względów łatwo spostrzedz, że gdyby założenia ekonomistów były słuszne, to ani bogactwo ani używanie nie mogły się nigdzie wśród ludzi dalej powiększać,—wprost dla braku na to sił i czasu, zaabsorbowanych już całkowicie na tworzenie, używanie i zużywanie bogactwa oraz traconych w próżnowaniu,—tymczasem nigdzie podobnego stadyum bądź nasycenia, bądź zapracowania nie zauważono. Przeciwnie tam, gdzie zużycie bywa największe, tam widzimy nie tylko przeciętnie największy dobrobyt, ale jeszcze najwyższy wzrost bogactwa.

Dlaczegoż bogatym Anglikom lub Francuzom bogactwa wciąż i to szybko przybywa—pomimo, że wydają czyli zużywają najwięcej, gdy tymczasem oszczędniejszym i nie mniej zabiegliwym Grekom—bogactwo narodowe przyrasta o wiele słabiej? Powie ktoś, że Anglikom i Francuzom pomaga przyroda, lecz w takim razie czenież wytłumaczyć fakt, że przed dwoma tysiącami lat stosunek tych narodów był odwrotny? Grecya opływała w bogactwa—wówczas, gdy biedni mieszkańcy Anglii i Francji wiedli żywot bardzo surowy na łonie tej samej swojej przyrody?

Albo weźmy Amerykę Północną. Czemuż dzielni Czerwonoskórzy, będąc przez tysiącolecie panami swej ziemi, nie doszli do tych wyników—do których w ciągu paru stuleci doszli

przybysze? Na swój sposób nie mniej oni pracowali od przybyszów, a choćby nawet dopuścić pewną różnicę w pracowitości, to czyż może ona tłumaczyć tak nieporównanie inny stan zamożności, jaki jest udziałem tych ludów na tej samej ziemi? Gdy to wszystko zważymy, to nawet bez przeprowadzania szczegółowych obrachunków musimy przyjść do przekonania, że wytwarzanie bogactwa, którego ilość, mimo wzrastającego zużycia, najczęściej powiększa się w narodzie, nie następuje wyłącznie kosztem wydawania energii fizycznej ciał ludzkich, albowiem nie starczyłoby na to ani sił wszystkich ludzi, ani czasu.

Ale i tego mało. Trzeba na rzecz spojrzeć i z innej całej strony. Bogactwo ludzkie—to przecież ogromna różnorodność zarówno materyałów, jak kształtów i przeznaczeń. Cała zaś ta wprost nieogarniona różnorodność w żaden sposób nie może płynąć z samej pracy. Różnorodność form bogactwa, jakieśmy się przekonali w rozdziale III-im, zaspokaja potrzeby stanowczo nadzwierzęce, więc musi płynąć także z czynności nadzwierzęcych (por. III-ci). Prosta zatem koncepcja fizyczna czy mechaniczna „pracy” nie objaśnia zrozumiale różnorodności dzieł ludzkich. Bogactwo musi być wynikiem działalności nadzwierzęcej, a więc jakiegoś *pracowania nadzwierzęcego*. Uwzględniając tę oczywistość ekonomiści znajdują rozwiązanie bardzo proste. Oto dzieła ludzkie płyną z sił, tkwiących także w psychice specjalnie ludzkiej. Takim orzeczeniem zaspakajają oni odrazu swą ciekawość oraz zakłopotanie i są przekonani, że już wszystko objaśnili. Jednak to złudzenie! I tu właśnie występuje na plac nasz zarzut niedostatecznego orjentowania się filozoficznego i przyrodniczego, które panuje wśród ekonomistów.

Że człowiekowi przychodzą w pomoc martwe lub żywe siły przyrody (praca maszyn i zwierząt) o tem dobrze wiedzą ekonomiści, boć zresztą tego nie dostrzegać jest rzeczą niemożliwą, ale tem większa jest ich wina, że za mało się troszczyli i troszczą o należyte zrozumienie: co zniewala te obce siły do współpracy z człowiekiem i na jego korzyść? Poprzestali na koncepcji pracy ludzkiej, będącej połączeniem „sił” fizycznych z umysłowymi,

ale czyż wolno było na tem poprzestać? Wszak „siły umysłowe”, jeżeli zechcemy tem mianem nazywać władze umysłowe, ostatecznie płyną jedynie z ciał naszych, równie, jak „fizyczne”—skądże zatem bierze się choćby sama tylko ich różnorodność, będąca stałą cechą sił i czynności ludzkich? Przecież ciała nasze są prawie tak podobne między sobą, jak ciała zwierząt w jednym gatunku, więc skądże ma się brać odmiennosc i różnorodność uzdolnień psychicznych? Ale mniejsza o różnorodność, bo nastęrcza się kwestya stokroć ważniejsza, mianowicie: skąd ma się brać pomoc martwych lub żywych sił przyrody? Cóż zniewala owe siły obce do pomagania człowiekowi — i to każdemu inaczej? O tem, aby ludzkie siły fizyczne, z którymi się rodzimy, zniewalały martwe siły przyrody do pracy na rzecz człowieka, niema co myśleć, albowiem pokonywanie oporu fizycznego ludzką fizyczną siłą roboczą (choćby świadomą i celową) odebrałyby wszelki zysk, mogący wynikać dla ludzi z pracy samej przyrody. Niechże woźnica ciągnie opornego osła, który nie chce ciągnąć taczki, a zobaczymy, że tyle się napracuje, ileby się spracował, — ciągnąc sam taczkę. Zostają więc „siły psychiczne“. Może one zagadkę rozwiążą. Niestety próżna nadzieja. O tem, aby opory fizyczne martwych sił przyrody miały być pokonywane przez tak zwane „siły“ psychiczne, przez „pracę“ psychiczną,—nie może być nawet mowy i postaramy się to udowodnić. Że zaś znowu sama przyroda nie wprzęga się do produkcyi bogactwa, o tem upewnia dostatecznie fakt, że ta przyroda nie okazuje się łaskawą względem żadnego zwierzęcia.

Cóż więc zniewala przyrodę do „pracy“ na rzecz człowieka?

---

## VII.

### **Ludzki proces psychiczny nie może być nazywany siłą. Oddzielenie go od pracy ludzkiej.**

Ustawicznie słyszy się o „siłach” psychicznych, bez przerwy brzmia nam w uszach „siły umysłowe” i t. d., tymczasem czas to już sobie raz wyperswadować, albowiem procesu psychicznego nie można uważać za siłę. Utarty sposób wyrażania się, lubo bardzo zakorzeniony, nie uprawnia nas jeszcze do przenoszenia w dziedzinę czystej nauki pojęć pospolitych, wynikłych tylko z obrazowego i wręcz nienaukowego sposobu przedstawiania sobie zjawisk. Czas wielki pozbyć się złudzenia, jakoby wewnętrzny proces psychiczny był jakąś rzeczywistą pracą w znaczeniu ekonomicznym, materialnym, jakoby był jakąś siłą. Wprawdzie przy myśleniu wre w organizmie ludzkim proces fizyologiczny i zachodzi zużywanie systemu nerwowego i możnaby z tego powodu myślenie nazwać pracą, ale taka „praca” toczy się przecież wyłącznie w głębi organizmu i zewnątrz organizmu nie pokonywa żadnych fizycznych oporów. Nie wydaje ona na zewnątrz żadnych efektów fizycznych, któreby wolno nazwać namacalnymi rezultatami pracy produkcyjnej, przetwarzającej przyrodę w dobro ludzkie.

Samem myśleniem nie poruszymy nawet słomki. Cóż więc warte myślenie jako praca? Wyobraźmy sobie, że wszyscy ludzie poza czynnościami, potrzebnymi do zaspokojenia głodu, tylko myślą, a zrozumiemy, że po najdłuższym szeregu pokoleń, nie powstanie z myślenia najmniejsze bogactwo ludzkie, nie powstanie kapitał.

To samo dotyczy uczuć i woli.

A zatem, dopóki myślę lub czuję, dopóki tylko chcę, moja myśl i wola nie są pracowaniem, nie są „użytecznym” wydawaniem siły, bo nie przeobrażają przyrody w dobro ludzkie.

Czas wielki położyć na tę okoliczność szczególny nacisk. Czas jest pójść nawet dalej i zaznaczyć, że to, co ekonomiści



nazywają pracą psychiczną, jest biegunowo przeciwne gospodarczemu pojęciu pracy, albowiem efekty fizyczne ludzkiego pracowania, połączonego ze skomplikowanym myśleniem, muszą być stale mniejsze od efektów pracy czysto fizycznej ludzkiej, której nie towarzyszy skomplikowane myślenie. Tego nie trzeba nawet dowodzić, dość zważyć, że gdy „pracuję” psychicznie, nie mogę równocześnie oddawać się ciężkiej pracy fizycznej, pod grozą, że jedno lub drugie będzie mocno szwankować. Jeżeli w trakcie rąbania drzew przyjdzie mi ochota rozwiązać proste zadanie arytmetyczne, to muszę przerwać pracę, bo inaczej nie zdołałbym przeprowadzić w myślach rachunku. Myślenie zatem jest procesem, który absorbuje czas i siły organizmu, ale nie może być pracą w gospodarczym znaczeniu wyrazu, gdyż samo przez się nie zwiększa sił fizycznych ciała, nie pokonywa oporów fizycznych, nie dodaje nic do samej „pracy”, — wreszcie nie wytwarza nic widocznego ani namacalnego.

Powtarzamy to, aby się uwydatniła jaknajdosadniej niesłuszność przypisywania wszystkim bogactw pracy ludzkiej fizycznej, a tembardziej zmieszanej z t. zw. niesłusznie pracą psychiczną.

Sił fizycznych ludzkich nie starczyłoby nawet gdyby zużywano je najprodukcyjnej, tem zaś mniej bogactw możemy przypisywać własnym siłom ciał naszych, gdy, odliczając trudy destrukcyjne, którym się ciągle oddajemy, dodamy do nich jeszcze wielką ilość czasu, który pochłaniają procesy psychiczne, same zgoła nie produkcyjne, i wykluczające w chwili, gdy się toczą, oddawanie się jakimkolwiek skutecznym wysiłkom fizycznym. Ponieważ zaś właśnie oddawanie się tym procesom wewnętrznym zajmuje ludziom w społeczeństwach bogatych daleko więcej czasu niż w ubogich, przeto materialne wyniki produkcyjnej pracy własnej osobników ludzkich (ciał) powinnyby być w społeczeństwach bogatszych słabsze, niż w biednych,—a tymczasem jest odwrotnie.

Musimy więc koniecznie dotychczasowe pojęcie pracy ludzkiej, sprzeczne z faktami, oczyścić przez odcięcie od niej pierwiastku psychicznego wyższego,—i trzeba ograniczyć wyłącznie do zużywania surowej siły roboczej fizycznej ludzkiej.

Pierwiastku psychicznego nie wolno łączyć z pracą fizyczną w jedno integralne pojęcie pracy ludzkiej produkcyjnej.

Skutki fizyczne mieszanego pracowania koniecznie muszą być mniejsze od skutków ludzkiej pracy czysto-fizycznej, choćby od noszenia ciężarów. Im bardziej przeważa w czyjemś pracowaniu element psychiczny, tem wydatek zewnętrzny osobistych sił fizycznych jego musi być mniejszy, tem mniej dobra ludzkiego zostanie wyprodukowane bezpośrednio siłami osobnika.

W takim razie cóż zostało w „pracy ludzkiej”, po odjęciu od niej jedyne go pierwiastku, który ją różni od pracy zwierząt?

Nic więcej nie zostało, bo i nie powinno zostać. „Praca” spadła nam do tego znaczenia, które mieć stale powinna i właśnie dopiero teraz sprawa zacznie się wyjaśniać.

Zacznie się wyjaśniać dopiero po odcięciu od siebie braci syamskich, zrosniętych w ekonomii w jedną niby nierozdzieloną całość.

Droga do rozwikłania zagadki twórczości ludzkiej, nie wiedzie przez klasyczne pojęcie pracy ludzkiej. Właśnie w tem złączeniu czynników, których łączyć w jedno nie należy, tkwi źródło wszystkich sprzeczności i nieporozumień ekonomicznych oraz socjologicznych, tkwi także źródło niepokonanych do dziś dnia trudności w ocenianiu wartości dzieł ludzkich.

W świecie ludzkim musi koniecznie istnieć coś takiego, co własnymi siłami przyrody przeobraża przyrodę w bogactwo, całkowicie bez udziału pracy ludzkiej czyli bez ludzkich wysiłków fizycznych.

Ależ to byłaby potęga bezprzykładna, cudowniejsza jeszcze od pomysłu „przeciętnej pracy ludzkiej”! zawołasz czytelniku.

Że to potęga, temu nie będziemy przeczyć, ale co do bezprzykładności jej—o tem pozwalamy sobie wątpić i kwestyę tę rozwiniemy na miejscu stosowniejszem. Tutaj wypada zaznaczyć, że bez względu na to, czem jest tapotęga, siedlisko jej tkwi wewnątrz osobników ludzkich, ale już poza granicami t. zw. sił fizycznych, które dają zwykłą pracę.

## VIII.

### Czwarty czynnik przybywający do przyrody, pracy ludzkiej i kapitału.

Jest jeden taki element, którego brak w ciałach zwierząt, i o którym dotychczas nie było wcale tu mowy. Nie kwąpił-śmy się z wymienieniem jego zanim nie zaszła konieczna tego potrzeba, że, przystępując do rozbioru i oceny podstaw społecznej ekonomii społecznej, mieliśmy obowiązek rachowania się przedewszystkiem z czynnikami w niej uwzględnianemi. W systemach tych zaś gmach gospodarstwa ludzkiego oparto na trójcy, złożonej z przyrody, nieokreślonej pracy ludzkiej produkcyjnej i kapitału.

Teraz dopiero czas zająć się tym elementem. Może być nim już tylko to, co powszechnie nazywa się duszą człowieka.

To mi dopiero odkrycie! A toż przecie ekonomiści rachują się i to bardzo, z wiedzą i rozumem, które są częścią składową duszy ludzkiej!

Prawda, że nikt z ekonomistów nie wdawał się w zaprzeczanie duszy ludzkiej, ale i to prawda, że zamało troszczono się o gruntowne zbadanie jej roli w materialnem gospodarstwie ludzkim. Najczęściej nie wiedziano, co począć z duszą, stała się więc najczystsza „quantité négligeable”. Marx utopił ją całkowicie w pojęciu „pracy ludzkiej”, mianowicie w nieokreślonem pojęciu „celowości i świadomości”—i przeważnie nie dostrzeżono, jak grubym było to błędem metodycznym. Nie wątpliwie nie była to omyłka umyślna, płynęła raczej z panującego za czasów Marxa światopoglądu skrajnie materialistycznego i zgoła nie naukowego, mogącego wybujać i władać umysłami tylko w dobie głębokiego upadku myślenia filozoficznego. Nie dostrzeżono braku zresztą i dla tego, [że chcący, czy nie umyślnie, Marx zatarł to pominięcie duszy w mistrzowskim pomysle „przeciętnej pracy ludzkiej”. Do niej spłynęły, niby wszystkie rzeki do jednego morza, wszelkie „siły” indywidualne zarówno fizyczne, jak psychiczne.

Takie zmieszanie wszystkiego w jedno „przeciętne” pozwoliło w konsekwencji na operowanie mieszaniną jak gdyby była „wielką wiadomą”, w gruncie zaś rzeczy, pozwoliło tylko na operowanie fikcją.

„Przeciętnej pracy ludzkiej” bliżej już nie rozbierano, nie kontrolowano, więc też nie dostrzeżono, że właściwie była i została wręcz tem, co się nazywa w matematyce „niewiadomą”. Tak—stała się dusza ludzka istnem piątym kołem w rydwanie Ekonomii, zgoła nie sięgającym ziemi, ani jej spraw. Nad ekonomistami zaś, którzy chcieli uwzględnić duszę, ale, mówiąc prawdę, nie wiedzieli jak się wziąć do tego<sup>1)</sup>, nauka dominująca, przesiąknięta przesądem materialistycznym, albo przeszła do porządku dziennego, albo ich lekceważy, jak się lekceważy nieumiejętne dowodzenia. Jakże więc można było ów czynnik nieuchwytny, ważny, ale zdyskredytowany, wprowadzać na arenę naukową, dopóki nie wykazało się, że u rydwanu ekonomii brak istotnie czwartego koła i że tem kołem nie może już być n i c i n n e g o nad duszę ludzką

Dopiero teraz, możemy udowodnić, że ekonomia materialistyczna nie słusznie zrobiła z procesu wytwarzania się i zużywania się „dóbr ludzkich”, b e z d u s z n y m e c h a n i z m. Realność, będąca przedmiotem socjologii i ekonomii musi być całością, daleko bardziej skompikowaną od mechanizmu, albowiem wchodzi tu w grę, jako ważny czynnik, t o, c z e g o n i e m a w ż a d n y m m e c h a n i z m i e, a t a k ż e w ż a d n e j g r o m a d z i e.

\* \* \*

Nie chcielibyśmy być posądzeni choćby przez chwilę o naiwną pretensję do odkrycia w człowieku duszy, albo też o pretensję do zaszczytu pierwszeństwa w uwzględnianiu jej w ekonomii. Nie o uwzględnienie duszy chodzi w tej chwili, lecz raczej o rzecz odwrotną i o wiele ważniejszą: o t a k ą k o r e k t ę p o j ę c i a s i ł r o b o c z y c h l u d z k i c h i p r a c y

---

<sup>1)</sup> Tu zaliczamy, między innymi „optymistów” w ekonomii, których intuicje były przeważnie trafne, tylko rozumowania bezpodstawne, skutkiem czego wnioski pływały w powietrzu.

ludzkiej, aby z niej właśnie wydzielić duszę, jako pierwiastek, który trzeba wziąć osobno pod uwagę. Pragniemy bowiem z różnorodnej rudy, jaką reprezentują różne „prace ludzkie”, wydzielić pierwiastki czyste w znaczeniu przyrodniczym i filozoficznym. Dotychczas, z powodu nieoddzielenia procesu psychicznego od pracy fizycznej, nigdy nie było wiadomem, a co gorsza, prawie zawsze było obojętnem, ile w czyjejś pracy jest wydatku jego własnej energii fizycznej, ile czasu ludzkiego, zatraconego na sam proces psychiczny, oraz czasu, dawniej zatraconego na to, aby on mógł wystąpić, ile zaś elementu całkiem obcego, mianowicie pracy sił natury, które działają wprawdzie za interwencją ludzkiego procesu psychicznego, ale niekoniecznie płyną z procesów psychicznych tego osobnika, który wykonywa pracę. I ta niejasność, czy niepewność, rozmyślnie zresztą, a nawet celowo wprowadzona, decyduje o nieściśłości Marxowskiego pojęcia pracy. U niego przyjmuje się za wyniki pracy osobnika zarówno to, co płynie rzeczywiście z osobnika (bądź z fizyczności jego, bądź z duchowości), jak i to, co nie z niego wpływa do jego pracy i (czasem) powiększa, niekiedy zaś pomniejsza wyniki rzekomo jego pracy. I z drugiej znowu strony u Marxa nie przyjmuje się na dobro osobnika tego wszystkiego, co do jego pracy wpływa z niego samego powiększając wyniki jego pracy ponad normę przeciętną.

Pozwól więc, czytelniku, abyśmy od nigdy nieanalizowanej mieszaniny, odjęli ludzki proces psychiczny, jako część dotychczas niedostatecznie zbadaną i zrozumianą! O tej części psychicznej, na razie nie możemy nic więcej powiedzieć prócz tego, że nie jest siłą fizyczną.

Po jej odjęciu, zostanie nam w dawnym pojęciu „pracy ludzkiej” już tylko pierwiastek (czynnik), dający się ściśle określić. Pierwiastkiem (czynnikiem) tym będzie produkcjne wydawanie na zewnątrz jakiegokolwiek energii fizycznej ciała ludzkiego.

Oczywiście mowa tu o świadomem wydawaniu, lecz należy zastrzedz, iż w owem świadomem wydawaniu energii fizy-

cznej mamy na myśli jedynie świadomość, niezbędną do samego wykonywania ruchu, nie zaś potrzebną do nadania mu charakteru gospodarczego, produkcyjnego. Mamy tu więc na uwadze owo minimum świadomości, które nie charakteryzuje wyłącznie ludzkiego procesu psychicznego, ale jest niezbędne przy wszelkiej, najbardziej mechanicznej lub automatycznej pracy fizycznej.

Tę właśnie część pracowania z niezbędną i przeciętną „świadomością” nazwiemy *fizyczną pracą ludzką*, aby ją odtąd oddzielać od drugiego składnika wszelkiej pracy ludzkiej od procesu psychicznego osobniczego.

Tylko taką drogą można będzie dojść do sformułowania pojęć wolnych od przymieszki składników nieokreślonych i wprowadzić rozważania ekonomiczne na tory ściśle naukowe.

---

## IX.

### O duszy ludzkiej.

Mogłoby się zdawać, że wpadliśmy w sprzeczność z własnym niedawnym twierdzeniem o ważnej roli duszy. Czyż bowiem proces czysto wewnętrzny, nie pokonywający oporów zewnętrznych fizycznych, pozbawiony charakteru siły roboczej, może brać udział w pracy? Wszak „myślenie” hamuje nawet oddziaływanie własną siłą fizyczną na świat zewnętrzny i to, tem silniej, im bardziej „pochłania” człowieka. Praca ludzka, której nie towarzyszy wysiłek psychiczny, stale bywa fizycznie wydajniejsza. To jedna strona, jest zaś i druga, jeszcze cięższa, dodatniego wpływu procesu psychicznego na wyniki pracowania.

Skoro wydajność sił ciała nie dochodzi w czasie pracowania do maksimum, które można osiągnąć, pracując przy tak minimalnym udziale procesu psychicznego, jaki jest właściwy zwierzętom,—to czemuż można wyjaśnić produktywność człowieka większą od produktywności zwierząt, i wydaj-

ność społeczeństw czynniejszych duchowo większą od mniej pod tym względem czynnych? W końcu staje się niezrozumiałym w samej zasadzie jak i k o l w i e k wpływ czynnika, któremu odmówiliśmy znaczenia siły. Nie-siła nie może wpływać na siły. Powiedzą nam zapewne, że produktywność człowieka można wytłumaczyć a u t o m a t y z m e m psychologicznym, ale słuszne to objaśnienie nie ma w t e j c h w i l i żadnego znaczenia, a nawet szkodziłoby, zamącając czystość pierwiastków, którą chcemy utrzymać dla dokładnego zdania sobie sprawy z procesu twórczego.

Automatyzm psychiczny — to wynik zlania się dwu pierwiastków, k t ó r e o d d z i e l i l i ś m y o d s i e b i e, aby je wówczas dopiero łączyć, gdy rola każdego stanie się jasną. Czynność automatyczna — to już działanie dwoma pierwiastkami, z których jeden j e s t siłą, drugi b y ł początkowo nie siłą, bo jedynie świadomym procesem psychicznym, ale właśnie dlatego, że był nie siłą, n i e m ó g ł s i ę i później p r z e o b r a z i ć w s i ł ę, gdy stał się prostym odruchem.

\* \* \*

Proces psychiczny, toczący się automatycznie, może więc tylko n i e h a m o w a ć rozporządzalnych sił ciała ludzkiego, ale ich powiększyć w żaden sposób nie jest w stanie — i o tem należy pamiętać.

Skądże zatem płyną siły, pokonywające tak znaczne opory, że już, na oko sądząc, nie będziemy ich przypisywać ciałom ludzkim?

Przez takie postawienie kwestyi wiążemy nareszcie zagadnienie podstawowe ekonomii: t w ó r c z o ś ć l u d z k ą z ogólnem zagadnieniem c z ł o w i e k a, które było przedmiotem dwu naszych poprzednich tomów „Nauki o cywilizacji” i zbliżamy się do odśłonięcia idei, zapowiedzianej na wstępie, a wyłożonej gruntownie zwłaszcza w „Teorii człowieka i cywilizacji”. Zagadka człowieka i jego skutecznej twórczości związana jest jaknajściślej z zagadką d u s z y ludzkiej, ta zaś znowu z zagadką s p o ł e c z e ń s t w a oraz zjawisk, ujmowanych pod mianem c y w i l i z a c y i

Od najgłębszej starożytności dusza była przedmiotem podziwu dla myślicieli. Wszystkie religie uczą o n a d-

z i e m s k i e m pochodzeniu duszy, albowiem subtelne umysły prędko odczuły i zrozumiały, że tak o b c ą c i a ł u, jaką bywa dusza ludzka, nie może ona być b e z p o ś r e d n i e m dziełem czystej przyrody, na równi z ciałem naszym.

I doprawdy, nie może nie wzruszać i nie budzić podziwu to wczesne, a powszechne wśród umysłów subtelniejszych a całkiem intuicyjne rozpoznanie, że się jest czemś nie tylko zgoła i n n e m, niż zwierzę, ale czemś zasadniczo w i ę c e j, niż zwierzęciem

W takich warunkach prosta logika zmusiła do zastanawiania się nad pytaniem: skądże się bierze w nas owa istność nadzmysłowa, która w nas czuje, myśli, chce i działa po ludzku? Skoro ona obca wszelkim innym jestestwom, do których jesteśmy fizycznie (anatomicznie) podobni,—więc musi przybywać skądś z poza ciał, a nawet z poza przyrody i musi wnikać w nas w jakiś tajemniczy sposób od zewnątrz. choć nie od przyrody.

Rozumnym wnioskiem, jaki się musiał każdemu porządnemu umysłowi nostręczyć, stała się koncepcja n a d z i e m s k o ś c i duszy. Istność obca ciału, a obecna i czynna w człowieku, istność niecielesna i niematerialna, musi być gościem „z zaświata”.

Zaiste, nie mylono się w adoracji tego utworu, bo to istotnie coś zupełnie obcego wszystkim siłom n i ż s z y m, ziemskim, (jeśli pod mianem „ziemski” będziemy rozumieli widomy dla zmysłów świat materji nieożywionej, oraz cały świat jestestw ożywionych, słowem świat, którym zajmuje się przyrodoznawstwo). Mylono się tylko w tem, że przypisywano duszy ludzkiej pochodzenie nadziemskie i metafizyczne. Niedocieczono, skąd się bierze dusza ludzka, bo niedoceniono zjawiska dobrze znanego i pospolitego w świecie ludzkim, które należycie rozumiane, ukazuje, że to wszystko, co w naszej ludzkiej naturze wykracza ponad właściwości zwierzęce,— jest to wynik s k o m p i k o w a n i a się pozłomej natury ziemskiej i zwierzęcej pod wpływem s ł o w a, m o w y, w człowieczość. Nie docieczono, że warunkiem człowieczości jest z w i ą z e k organizmów nie w gromadę ale w społeczeństwo. Niezrozumiano, że d u s z a l u d z k a i d z i e z n a r o d u.



Na ziemi stał się cud <sup>1)</sup>; powstał — nie człowiek, mądry, ale powstało społeczeństwo, czyli gromada związana jedną mową w związek o skutkach nie znanych na ziemi, — związek ten różniący się od zwykłej gromady zwierzęcej, że obdarzony zdolnością rozwijania się, i rozradzania przez reintegrację, — czego w żadnej nie ludzkiej gromadzie nie mamy przykładu.

Na ziemi stał się cud; powstały rozrastające się i podległe interpsychicznemu rozwojowi, całości psychofizyczne zwane pospolicie Ludami, a później w miarę wyższego ich rozwoju, Narodami. Powstały całości wielkie, posiadające własne ciało i własnego ducha czyli własną psychikę, której dusze ludzkich osobników stanowią części składowe i nieodłączne.

„Dusza narodu” to wcale nie przenośnia retoryczna lub poetycka, za co ją do niedawna miano, — to zupełnie realna i rozległa sprawa psychofizyczna, której granice wyznacza język narodu<sup>2)</sup> oraz ta cała część przyrody kraju która różni się w czemkolwiek od przyrody krajów, obcych względem narodu. Owa przyroda staje się przez ludzi już jakgdyby ciałem narodu oraz tego wszystkiego, co przez duszę narodu zostało stworzone. Dusza zaś narodu może być znowu uważana za duszę kraju. Każdy osobnik ludzki ma w sobie jej część i taką, jaką wziął w siebie (Teor. czł. i cyw., XXX 214). Każdy jest widzem duszy narodu, ale ogląda ją tylko od wewnątrz, więc w sobie (Teor. czł. i cyw., XXXIII s. 234-5), i tyle, ile jej w sobie wzbudził pod wpływem narodu.

Powstał człowiek myślący, mądry i coraz potężniejszy, ale tylko dlatego że „indywiduum” zawsze dotychczas będąc osobnikiem izolowanym, albo członkiem rodziny izolowanej, przeobraziło się w fragment nieodłącz-

---

<sup>1)</sup> który jednakże jest tylko następstwem skomplikowania się życia w wyższą formę.

<sup>2)</sup> Patrz „Teoria człowieka i cywilizacji”, r. XIX, XXIV i XXX.

ny wielkiej całości naturalnej, której na imię lud, naród albo społeczeństwo<sup>1)</sup>.

Poszukując źródła różnicy, która się wytworzyła między człowiekiem a zwierzęciem, przekonaaliśmy się naprzód, że przyczyna społeczeństwa i cywilizacji nie leży w gromadnym trybie życia, jak to dawniej przypuszczano.

‘Długo uchodziło za rzecz pewną, że „przyczyną społeczną” są wysoko rozwinięte władze umysłowe, jednak szereg metodycznie przeprowadzonych badań przekonał nas, że jest odwrotnie (Nauka o cywiliz., Prolegom. r. XV). To samo bowiem okazało się z wielkim mózgiem ludzkim. Wolno go uważać już tylko za skutek przyczyny ucłowieczającej, która mózg nieczłowieczy przeobraziła w człowieczy.

\* \* \*

Powszechnie wiadomo, że niema zgody co do pytania: skąd się w nas bierze poznanie. Jedni filozofowie za jedyne źródło poznania uważają zmysły, (sensualiści), inni samo tylko myślenie, (intelektualiści). Jest jeszcze stanowisko trzecie, akceptujące oba źródła. Nie zajęliśmy żadnego z tych stanowisk, o ile chodzi o poznanie ludzkie. Uznaliśmy je <sup>2)</sup> za wynik z b i o r o w e g o postrzegania zmysłowego, m o ż l i w y t y l k o d z i ę k i m o w i e i żywotowi pośród ludzi. Każdy z nas człowieczeństwo swoje zawdzięcza jedynie n a l e ż e n i u d o s p o ł e c z e ń s t w a. „Gdyby go od urodzenia izolować od wszelkich wpływów ludzkich, wtedy, choć nawet urodził się człowiekiem, stałby się prózną łupiną człowieka”... „człowiek izolowany od innych ludzi znalazłby się w tem samym położeniu, w jakim jestestwo, obdarzone oczami, znalazłoby się w jaskini, zupełnie pozbawionej światła.

---

<sup>1)</sup> Przyrodnicy wmawiali w nas długo, że człowiek jest, najdoskonalszą latoroślą kręgowców, że stoi na jakimś szczycie drabiny rozwojowej zwierząt przynajmniej kręgowych, wreszcie, że jest najpóźniejszym wśród nich typem. Wszystko to nieprawda! (Nauka o cywilizacji Prolegomena, wyd. II, rozdz. XX, str. 137). Udowodniliśmy to w Prolegomenach, w rozdz. XX—XXIV (J. c. str. 134—183).

<sup>2)</sup> Teor. człow. i cywiliz. str. 70—„Nauka o Cywilizacji“ r. XVII i inne,

Praktycznie stanęłoby na równi z jestestwami zupełnie nie posiadającymi oczu. Podobnie jak „widzenia” nie może być tam, gdzie brak zmiennych f a l świetlnych, tak „myślenia” ludzkiego nie może być tam, gdzie brak f a l mowy ludzkiej, a więc po za społeczeństwem<sup>1)</sup>).

Pełne pasmo procesu psychicznego, toczącego się w osobniku, okazało się zjawiskiem n a d o r g a n i c z n e m. Podstawę jego odkryliśmy w istnieniu f i z y c z n e g o ł ą c z n i k a m i ę d z y c i a ł a m i l u d z k i e m i<sup>2)</sup>). Łącznik ten umożliwia materyalne oddziaływanie z odległości ludzi, a właściwie dusz na dusze. Jest on czynnikiem tak niezmiernej wagi, że najlepiej go scharakteryzujemy, nazywając go n i e z b ę d n y m w a r u n k i e m i s t n i e n i a d u s z l u d z k i c h, a nadto twórcą pośrednim tych, które działają, wytworem zaś tych które działały, a których działanie już minęło.

Czynnikiem tym i łącznikiem jest, powtarzamy, ogół wibracji „mówionego”, na wyższych zaś szczeblach rozwoju społecznego, jeszcze i ogół pisanego, prócz tego zaś wszystko, co może być w y r a z e m działającym na zmysły ludzkie, czyli f o r m ą m y ś l i, u c z u ć l u b w o l i l u d z k i e j<sup>3)</sup>).

Dzięki temu pośrednikowi ludzie jednego narodu stanowią jedną całość, niby jednostkę biologiczną wyższego rzędu. Wszyscy ludzie jednej mowy stanowią wielką całość interfizyologiczną.

Nie potrzebujem<sup>4)</sup> się tu rozwodzić nad jaskrawą różnicą między małą niby-duszą zwierzęcą<sup>4)</sup>, ściśle zamkniętą w ciele zwierzęcem, więc prawie jednakową u wszystkich normalnych osobników jednogatunkowych, a rozległymi i o t w a r t e m i, a urozmaiconymi do najwyższego stopnia duszami ludz-

---

<sup>1)</sup> Teor. człow. i cywiliz. str. 83.

<sup>2)</sup> W pierwszej fazie swego rozwoju.

<sup>3)</sup> Patrz „Teorya człowieka i cywilizacji“, rozdz. VII, V, zwłaszcza zaś X i XI następnie IV, XXI i XXII.

<sup>4)</sup> „Duszy nie może być po za społeczeństwem, t. j. tam gdzie brak symbolów akustycznych lub optycznych, czyli „mówionego“. (Teor. czł. XI, str. 83). „Dusza jest zjawiskiem ściśle społecznem“ (tamże XII, 84).

kiemi<sup>1)</sup>. Przedmiot ten gruntownie został już rozwinięty i uzasadniony w dziele, na które powołaliśmy się przed chwilą. Tutaj chodzi o podkreślenie myśli, że dzięki sumie „mówionego”, brzmiającej nieprzerwanie w narodzie wszelka dusza ludzka osobnicza jest integralną częstką rozległej wszechduszy społecznej, rozlanej po wszystkich ciałach, połączonych jedną mową, zwierzęca zaś to tylko drobna i skończona całość, zamknięta w granicach organizmu i w każdym organizmie tego gatunku jednaka.

Ludzka więc, to z konieczności utwór poniekąd nadorganiczny, to tylko fragment duszy narodu, bo rozwinął się wpawdzie na gruncie ustroju zwierzęcego, ale budowa jej czyli jakość nie zależy już wcale od gatunkowej budowy ciała, u wszystkich ludzi prawie jednakowej, lecz jedynie od położenia osobnika w społeczeństwie, w środowisku społecznym, które nie we wszystkich miejscach jest jednakowe. Dusze ludzkie formują się w jaskrawe indywidualności pod wpływem innych dusz właśnie tylko dzięki trwaniu materyalnego pośrednika między organizmami<sup>2)</sup>.

---

## X.

### O materyalnej władzy dusz ludzkich. Rola narzędzi sztucznych.

Powszechnie powtarzamy, że dusza rządzi siłami ciała, w którym niejako mieszka. Co to znaczy? Znaczy to, że ciało jest niejako narzędziem i służą duszy. I to jest

---

<sup>1)</sup> „Prawdziwe indywidualium ludzkie—to dusza, nie zaś materya ciała, która w człowieku ciągle się zmienia, t. j. przez człowieka przepływa“ (tamże, XXVI, a. 185).

<sup>2)</sup> „Dusze istnieją tylko dzięki istnieniu mowy“ (Teor. czł. VIII, s. 55).—„Dusza to wynik zbiorowego postrzegania, możliwy tylko dzięki mowie“, (Nauka o cywil. Prolegomena XVI, s. 110 oraz Teor. człow. X, 70).—„Myślenie ludzkie jest zjawiskiem społecznym, możliwym tylko przez mowę, przez łączność psychofizyczną“ (Teor. czł. XVI, s. 110).—„Symbolika akustyczna (lub optyczna) jedyna formą myślenia ludzkiego (Teor. człow. XVI, s. 110.)

prawda. „Osobnikiem” myślącym, czującym i chcącym po ludzku—jest nie ciało nasze, lecz właśnie dusza, ale ponieważ dusza nie może przejawiać się na zewnątrz inaczej, jak przez czynności ciała, — przeto faktycznie ciało spełnia materialnie nakazy duszy<sup>1)</sup>. Jeżeli pragnę np. aby drzwi w trzecim pokoju zostały zamknięte, a siedzę na krześle, muszę sobie rozkazać, abym wstał, przeszedł przez dwa pokoje, ujął drzwi za klamkę —i zamknął je. Moja myśl i wola wykona tedy pewną pracę fizyczną, ale siła mi ciała swego, więc jakgdyby siłami przyrody.

Łatwo jednak dostrzedz, że władza dusz ludzkich nie ogranicza się do władania własnym ciałem. Dusze ludzkie władają również ciałami innych ludzi, należy tylko pamiętać o tem, że władają jedynie dlatego, iż pozostają w fizycznej, a właściwie społeczno-fizycznej łączności z temi ciałami.

Na czemże polega owa łączność? Oto na istnieniu mowy, złożonej z wyrazów. Co zaś za korzyści daje nam ona, łatwo ocenimy, gdy powtórzymy doświadczenie z drzwiami. Jeżeli pragnę, aby drzwi w trzecim pokoju zostały zamknięte, to nie potrzebuję koniecznie sam wstawać z krzesła, aby dokonać tej czynności. Mogę ograniczyć się do zakomunikowania swego pragnienia innej osobie za pomocą mowy dla nie zrozumiałej. Wówczas ona sama, pobudzona wołą moją, która stała się następnie jej wołą, zamknie drzwi za mnie. Moja tedy myśl i moja wola wykona pewną pracę fizyczną, ale już siłami innego człowieka.

W tym punkcie wypada zwrócić jednak uwagę na to, że skutku nie byłoby, gdybym tylko pomyślał, aby drzwi zostały zamknięte. Nie sama więc myśl, ani sama wola moja zniewoliły innego osobnika do wykonania pracy. Uczyniły to w małej części siły fizyczne mego ciała, więc praca moja, pokonywająca fizyczne opory (mówienie), następnie zaś dopiero przeważnie siły obce, czyli obca praca ludzka. Ten tylko zachodzi osobliwy stosunek między zużyciem sił moich i cudzych, że moja praca (wydatek mych sił) była tu nader

---

<sup>1)</sup> Ciało zwierzęcia jest pod tym względem wolne (niezależne), — bo spełnia tylko nakazy przyrody, czynnej w nim oraz zewnątrz niego.

drobna w stosunku do pracy wykonanej. Mianowicie myśl moja i wola zniewoliły naprzód moje własne organy cielesne do wykonania szeregu wysiłków wewnętrznych cielesnych, stanowiących, gdy je razem ujmemy, wyrażenie się, wypowiedzenie się. Gdym wyrażał życzenie (lub rozkaz) wydałem naprzód pewną ilość siły fizycznej, potrzebnej na pokonanie oporów wewnętrznych w mem ciele, następnie zaś zewnętrznych, albowiem aparatem mowy poruszyłem powietrze, wywołując w niem seryę drgań akustycznych, które doszły do ucha osobnika słuchającego i oddziały fizycznie na jego aparat słuchowy, a następnie na organy wewnętrzne. Nie dusza więc moja, lecz za pobudką duszy praca fizyczna mego ciała dała wynik fizyczny zewnątrz mego ciała i ta praca wywarła wpływ fizyczny na ciało drugiego osobnika, nastrojonego do odbierania urozmaiconych bodźców fizycznych tego rodzaju, jakie zewnątrz mego ciała wywołałem.

Ta tylko zaszła ekonomia dla mnie, że sam wydałem niezmiernie drobną ilość energii fizycznej, i to bezpośrednio nieprodukcyjnej, t. j. nie wpływającej na przyrodę zewnętrzną, pozaludzką, lecz tylko na innego człowieka; drugi dopiero osobnik wydał tyle pracy fizycznej, ile jest potrzeba do zamknięcia drzwi. Mówiąc krótko: wyręczyłem się siłami cudzemi, ale na tej samej zasadzie, na jakiej „ja” psychiczny wyręczam się ustawicznie fizycznymi siłami własnego ciała mego.

\* \* \*

Po oddzieleniu zatem pracy fizycznej ludzkiej w nowem, naszym jej pojmowaniu, został nam w twórczym fizycznie procesie społecznym wcale nie sam proces psychiczny ludzki (dusza). Został bowiem jeszcze fizyczny łącznik między duszami, wykryty w badaniach naszych, a niewzględniany należycie ani w psychologii ani w socyologii, tem mniej zaś w ekonomii.

Zostało mówienie jako fizyczna praca i mowa (mówione, powiedziane), jako fizyczne narzędzie dusz, zdolne inne ciała ludzkie pobudzić do działania.

Indywiduum ludzkie, dzięki takiej łączności fizycznej z innymi, może zatem wykonywać pracę fizyczną siłami innego indywiduum, byleby to ostatnie zostawało z pierwszym w zgodności woli. Innymi słowy, jedna dusza może pobudzać inne dusze do oddziaływania na ich ciała podobnie łatwo, jak sama oddziałuje na organy własnego ciała, zniewalając je do wykonywania pracy produkcyjnej. Możliwe to jest dla tego, że własne jej ciało jest już tylko drobną składową cząstką tej wielkiej całości, którą nazywamy narodem.

Działalność organizmu ludzkiego wcale nie ogranicza się tedy do władania tylko własnymi siłami fizycznymi. Dusza osobniczo—może władać, za pomocą mowy, siłami fizycznymi nie jednego, ale wielu ludzi—i to w tak przedziwny sposób, że małym wydatkiem sił własnego ciała—może wykonywać prace, wymagające bardzo wielkich fizycznych wysiłków. Władza ta staje się prawie nieograniczoną. Jedno słówko, jeden rozkaz, nikły wydatek sił jednego ciała, — może przecież poruszyć do zgodnej i określonej pracy równie łatwo dwóch ludzi, jak dwustu i więcej. Wówczas jedna myśl i woła pobudziły siły fizyczne setek, a nawet tysięcy ludzi do wykonania w ciągu np. godziny, tak wielkiej sumy pracy, której ciało rozkazującego nie byłoby w stanie wydać przez całe życie.

Na tym prostym przykładzie okazuje się jak ważną rolę w gospodarstwie materialnym może odgrywać jedna dusza, z pozoru ograniczona do posługiwania się siłami tylko jednego ciała, własnego. Ponieważ łącznik społeczny czyni z niby oddzielnych ciał ludzkich jedno wielkie ciało społeczne, przeto władza duszy odpowiednio wpływowej—może rozciągać się choćby na cały naród, dzięki owemu ekonomicznemu pośrednikowi fizycznemu.

Jednak nie byłoby wcale znacniejszego bogactwa, gdyby działalność duszy kończyła się na prostym przekazywaniu pracy fizycznej innemu człowiekowi. Ciała ludzkie czy to połączone, czy izolowane, wydałyby bowiem zawsze jednako ograniczoną sumę pracy, wytwarzałyby zawsze ograniczoną ilość dzieł, gdyż same są fizycznie ograniczonym źródłem energii fizycznej. Wyręczanie się w pracy ludzi ludźmi, wcale nie powiększyłoby ilości sił rozporządzalnych. Przeciwnie, zmniej-

szłyoby nawet ich sumę przez ubytek użytecznej działalności tych jednostek, które tylko wyręczają się pracą innych. Łącznik „społeczny” wywołuje skutki bezporównania donioślejsze od omówionych w rozdziale poprzednim.

Posiadając trwałość i ciągłość bezporównania dłuższą od żywotów ludzkich, łączy on bezustannie pokolenia dorastające ze starzejącymi się i zapewnia własną długotrwałość, a zarazem rozwój, znikomym, jak ciała ludzkie, myśłom, uczuciom i dążeniom osobników, co znaczy, że zapewnia istnienie i rozwój myśłom, uczuciom i dążeniom społecznym. Osobniki, znikome i krótkotrwałe, stapia w niezmiernie długowieczny naród.

Mowa przenosi ustawicznie doświadczenie jednych indywiduali na inne, czyli rozwija dusze. „Mówione”, wzięwszy początek niegdyś w rodzinie, stojącej zaledwie nieco wyżej od poziomu zwierzęcego, z biegiem tysiącleci rozrosło się w wielkie i cenne środowisko, otaczające ludzi od kolebki aż do zgonu i pozwalające podmiotom ludzkim rozwijać się ustawicznie. „Doświadczenie” ludzkie, przechowujące się w owym środowisku, przenosi się zawsze do pewnej liczby głów nowych—i tam staje się pod postacią „wiedzy” i „wiary” w słowa innych, podstawą do działań i doświadczeń coraz nowych. Niezatrącalność doświadczenia przodków jest też głównym powodem istnienia nieprzerwanego rozwoju oraz mnożenia się narzędzi sztucznych. Czem zaś są narzędzia sztuczne, to było już szeroko rozważone w dziele, na któreśmy się powoływali. Wystarczy więc ogólne powtórzenie, że stanowią najrzeczywistsze uzupełnienie ciał ludzkich, ważne z powodu ich nieograniczonej rozmiarowości, a odrzucalności.

W narzędziach sztucznych dusze ludzkie zdobyły obce ciałom siły przyrody i uzupełniły wątłe siły ciał własnych. Jedne narzędzia odgrywają rolę specjalnych członków ciała, jakgdyby przedłużenie oraz różnicowanie ręki lub nogi (młot, cęgi, dłuto, nóż, pędzel, łyżwy, samochody, okręty), inne grają rolę subtelniejszych zmysłów (lupa, luneta, drobnowidz, cieplomierz, mikrofon, odczytniki chemiczne i t. d.), je-



szcze łne takich części ciała, i o takich własnościach, których żadne jestestwo żywe nie mogłoby osiąść na drodze prostej ewolucyi, ze względu na ograniczone własności fizyczne materji żywej (tygłe do topienia metali, piece hutnicze, naczynia przechowujące kwasy i żrące substancye, materje wybuchowe i broń palna, płyty fotograficzne). Z tych powodów narzędzia odrzucalne, uzupełniając ciało—pozwalają indywiduom wykonywać przedmioty, których człowiek sameni rękami, nigdyby nie był w stanie wytworzyć, a które jednak wchodzą poważnie w skład bogactwa społecznego.

Odrzucalność tych uzupełnień ciał ludzkich ma dla nas szczególną wagę. Człowiek bowiem może zmieniać dowolnie specjalne uzdolnienia swego ciała (niejako kształty jego i własności fizyczne), zatrzymując je tylko tak długo, jak długo jest to dla niego potrzebne lub pożądane. Poza tem pozostawia go ciągle jednakim i pozwala mu korzystać z urozmaiconych do nieskończoności dóbr powszechnych.

Gdy orzeł ma wzrok bystry na wielką odległość, człowiek z lunetą przewyższa go, ale tylko wówczas, gdy chce tego. Nie potrzebując już sondować wzrokiem przestrzeni odległej, odrzuca dalekowiedz i może patrzeć przez mikroskop, zdobywając przez to widnokręgi, niedostępne dla orła. Dzięki odrzucalności — może być uniwersalnym w bardzo rozległych granicach, pozostając zawsze podstawowo podobnym do innych ludzi, więc mogąc dzielić z nimi mnóstwo wspólnych myśli, uczuć i dążeń.

Jeżeli więc łącznik zapewnia ciągłość ludzkemu doświadczeniu, jeżeli dzięki łącznikowi, osobnik może czerpać z nagromadzonego doświadczenia przodków dowolną jego ilość oraz jakość, jeżeli na podstawie tego doświadczenia może przeobrażać, uzupełniać i uzdalniać swoje ciało do czynności najrozmaitszych. to musimy się z tem zgodzić, że to wszystko, co stanowi bogactwo materialne zawdzięczamy owemu łącznikowi, nie zaś zaletom ciał naszych, w których się ródzimy niemal jednakowi.

Im ten łącznik jest wszechstronniej rozwinięty oraz głębiej wplata się w życie jednostek, tem owe jednostki są wszechstronniej i potężniej rozwinięte, tem sprawniej funkcjonuje czyn-

ne ciało narodu. Gdy zaś wszystkie czynne narzędzia sztuczne są literalnie uzupełnieniami ciała społecznego, gdy na to ciało składają się nie tylko ciała ludzkie, ale właśnie wszystkie narzędzia, gdzież więc tajemnica większej produktywności społeczeństw najbardziej rozwiniętych.

W potęgę sumy ich dusz. Potęga ta wspiera się na narzędziach, któremi osobniki ludzkie przeobrażają wedle swej woli przyrodę czystą w bogactwo materialne. Rozporządzając lepiej rozwiniętymi i liczniejszymi narzędziami, naród włada doskonalszym i potężniejszym ciałem, które sobie zbudował. Zaprzęga większą ilość sił martwych do służenia sobie. Mówiąc krótko, ludzie i narody w chwili działania twórczego literalnie ożywiają swym duchem pewną ilość materii obcej, oraz pewną ilość sił zewnętrznych i czynią z nich realne uzupełnienie swego żywego ciała, posłuszne skinieniom duszy. Każdy osobnik ludzki może wprawiać w działanie rozumem swoim pewną ilość i jakość t. zw. martwych sił przyrody, zależną od jakości władz duchowych.

W ten sposób w machinie, działa wcale nie „praca ludzka” siłami przyrody zewnętrznej (np. motoru i palącego się węgla pod kotłem parowym), ale wprost dusza ludzka (więc rozum ludzki) pracą przyrody, przy minimalnym stosunkowo udziale fizycznej pracy ciała ludzkiego.

Cała tajemnica wytwarzania bogactwa na tem polega, że dusza małym nakładem pracy organizmu ludzkiego wyręcza się ekonomicznie pracą sił przyrody. Cudu jednak tego dokazują ciała, jako siedliska dusz, władające nie tylko siłami fizycznymi, własnymi, ale jeszcze siłami tkwiącymi w narzędziach sztucznych, jak również w przyrodzie, podległej oddziaływaniu owych narzędzi sztucznych,

---

## XI.

### **Bogactwo dziełem dusz. Druga kategoria bogactwa.**

Początkowo, pod wpływem klasycznych teorii pracy bogactwo ludzkie przedstawiało się nam, jako dzieło pracy

ludzkiej. Teraz widzimy, że słuszniej możemy je poczytywać wprost za dzieło dusz. Cóż bowiem znaczy fakt, że do wykonania dzieł tych niezbędną jest praca, czyli pokonywanie fizycznych oporów,—gdy ona stanowi tylko środek, nie zaś przyczynę. Przyczyną bogactwa są tylko dusze. Tej nieogarnionej różnorodności dzieł potrzebują nie ciała nasze, ale jedynie dusze, i to między innymi tłumaczy nam, dlaczego zwierzęta ani nie wytwarzają rzeczy analogicznych bogactwu ludzkiemu, ani ich potrzebują. Jeżeli więc my swe bogactwo ustawicznie wytwarzamy, pożądamy go, i potrzebujemy, to właściwie zarówno wytwarzamy, jak pożądamy oraz zużywamy to wszystko jedynie tylko jako jestestwa, obdarzone innymi i szerszymi aspiracjami, ale też zarazem szerszymi władzami od zwierząt.

Bogactwo lubią nam przedstawiać ekonomiści głównie pod kątem widzenia ilościowym, jako pewną masę wartości lub użyteczności, a spuszczają z uwagi wzgląd na jego jakość. Tymczasem właśnie tylko ogromna różnorodność tej masy bogactwa nadaje jej wartość oraz użyteczność. Bogactwo jednorodne i jednokształtne nie byłoby wcale bogactwem i nie da się nawet pomyśleć! Ponieważ zaś owa różnorodność form płynie bezwarunkowo z ducha i z różnorodności dusz, więc mamy prawo orzec, że jest dziełem nie pracy, lecz ducha i musimy je związać w związek przyczynowo-celowy tylko z duchem.

W ten sposób, mamy w narodzie kompleks realny przedmiotów i podmiotów, istniejący tylko przez ich ścisłą współzależność. I nie dość że ten związek materii z duchem istnieje; ów kompleks rozwija się pod postacią bezustannego procesu stawania się, zagłady i znowu stawania się ale nie bezładnego, lecz przeciwnie, ściśle uporządkowanego.

Z tak dostrzeżonego stosunku płynie nie małej wagi konsekwencya. Oto trzeba się [pogodzić z uznaniem równoległości obu zjawisk, to znaczy przedmiotów i podmiotów, i skoro przedmiot nazwaliśmy bogactwem, to i przyczynę oraz warunek jego istnienia oraz powstawania, mamy prawo nazwać również tem imieniem. Obok bogactwa form materialnych dostrzegamy więc w społeczeństwie istnienie źró-

dła duchowego, z którego owe formy biorą początek; źródła—ale zarazem i celu, dla którego owe formy istnieją. Siły czysto cielesne, którym ekonomiści tak ważną przypisali rolę, stanowią w powstawaniu tych form—samo tylko narzędzie, albo podstawę na której się wspiera fizyczna działalność ducha. Reprezentują one w akcie stwarzania raczej czystą przyrodę, ślełą siłę mięśni, niewładną nic stworzyć, władną tylko niszczyć, dopóki sama sobie zostawiona. Dopiero władze ducha są ową potęgą, która powołuje do istnienia ogół tych form materialnych. Póki tych władz niema—bogactwo materialne nie zjawi się; póki różnaitość tych władz niewielka, małą również musi być różnaitość form bogactwa. Więc to wszystko, co powstaje jako dzieło ludzkie, płynie z tej dziwnej potęgi, która stanowi ideę tych wszystkich form, prawdziwą ideę twórczą, całkiem realną, nie tę metafizyczną, o której Bergson prawi. Bogactwa form materialnych bez równego bogactwa idei być nie może. Więc też świat idei, rozpinający się w narodzie na niemilknącej tkance „mówionego“, jest drugim jego bogactwem, albo raczej pierwszym, bo niezbędnem do tego, aby drugie powstawało.

\* \* \*

Widzimy jak słuszną była powściągliwość w określaniu roli człowieka w twórczości gospodarczej. Gdyśmy określali bogactwo mianem „więcej, niż przyrody” (roz. III), odstąpiliśmy wówczas od kwalifikowania samego człowieka, aby przez prędkość nie popełnić omyłki. Dostrzegliśmy jedynie w jego działalności coś, co powołuje do istnienia bogactwa, a nie płynie z natury zwierzęcej. Nie nazwaliśmy tego pracą ludzką, lecz działalnością ciała i duszy. Poprzednio jednak nie było jasnem, jak to dusza może wprzęgać przyrodę do pracy. Teraz rozumiemy, że wystarcza, jeśli dusza ma władzę nad własnem ciałem, bo przez nie nabiera władzy nad przyrodą.

Dopiero więc analiza „pracy” klasyków upewniła nas, że osobniki ludzkie stanowią mieszaninę „przyrody“ z bogactwem. Należą mianowicie z razu do czystej przy-

rody jako produkty czystego życia, bogactwem—stają się dopiero po wytworzeniu się w nich specjalnie ludzkiego elementu psychicznego.

Przez sam fakt narodzin i cielesnego rozwoju są surową materią społeczną: czynnikiem społecznym stają się w ciągu życia dopiero przez ducha.

Powiedzieliśmy, że twórcą dusz jest naród. Zgodzić się z tem łatwo, albowiem tylko owa trwała i płynna struktura, która oplata wszystkich, przeobraża struktury psychiczne osobników jedne pod wpływem drugich. Jakość duchowa dzieci urabia się przedewszystkiem przez mówienie z wychowawcami. Nowy człowiek, nawet wówczas, gdy przynosi ze sobą pewne skłonności dziedziczne, staje się duchowo tem, czem go uczyni bezpośrednio jego otoczenie ludzkie. Z nieprzejrzanej struktury mówionego, będącej źródłem życia duchowego, każdy osobnik czerpie (przez obcowanie) tę tylko cząstkę, która krąży w jego sferze i dlatego niezróżnicowana zrazu dusza dziecka, materiał niemal uniwersalny, kształtuje się wyłącznie na obraz i podobieństwo dusz otaczających. Świat pozostałych wpływów jest mu jeszcze zgoła obcy i dopiero później zaczyna przeobrażać i rozwijać strukturę psychiczną, uformowaną już do pewnego stopnia w środowisku rodzinnem. Należy o tem pamiętać, że mówione nie zawiera w sobie myśli lub uczuć, lecz tylko ich symbole, że obce myślenie i uczuwanie wcale nie przenosi się w innego człowieka, lecz tylko wzbudza w nim myśli i stany psychiczne i wzbudza tylko takie, które mogą się ułożyć z materiału duchowego, już uformowanego w osobniku i które układają się w sposób konieczny i dostateczny, ale indywidualny. Z osobnika do osobnika nie przenikają ani gotowe myśli obce, ani ściśle takie same, jakie były w mówiącym, lecz tylko układają się możliwie podobne. Mamy tu oddziaływanie przez szablonowy łącznik, podobne do oddziaływania stałych czynników środowiska naturalnego na jestestwa żyjące. Jakiś czynnik przyrody, np. promienie świetlne, działają wprawdzie jednakowo w danej chwili na wielką liczbę jestestw różnych, ale mimo to,

efekty muszą być w każdym gatunku organizmów i w każdym nawet osobniku różne, z powodu ich wewnętrznej niejednakowości<sup>1)</sup>.

## XII.

### Druga kategoria kapitału.

Kiedyśmy stwierdzili istnienie dwóch bogactw zupełnie odrębnych i doskonale określonych, mianowicie istnienie materii społecznej i potęgi społecznej, nadto kiedyśmy w nieokreślonej „pracy człowieka” rozróżnili dwa jej składniki (mianowicie przyrodę czystą, oraz potęgę społeczną, czyli oddziaływanie duszy), i kiedyśmy się przekonali, że klasyczna „praca ludzka”, zależnie od przewagi w niej tego drugiego elementu, może być w bardzo niejednakowym stopniu produkcyjna, możemy powrócić do kwestyi kapitału.

Było tu powiedziane, że słowem kapitał, najpowszechniej oznaczone bywa dobro ludzkie, potrzebne lub użyte do wytwarzania nowych dóbr ludzkich. Różnica więc między zwykłym dobrem (=bogactwem), a kapitałem polega na tem, że ostatni zużywa się na to, aby się pojawił w nowej formie jakiegoś bogactwa. Jeżeli ta ogólna definicya nie jest [mylna, to obecnie zjawiają się nam z konieczności także dwa rodzaje kapitału.

Stosując klasyczną definicyę kapitału do „potęgi społecznej”, musimy nazwać kapitałem również tę część władz duchowych (rozumu, wiedzy, uczuć i woli) narodu lub osobnika, która jest potrzebna lub użyteczna, w chwili pracowania, do wytwarzania nowego bogactwa, bądź nowej materii społecznej (=bogactwa materialnego), bądź też nowej potęgi społecznej (=dóbr duchowych).

Zwracaliśmy już uwagę (r. II), że niemal każde dobro ludzkie materialne może być przeobrażone w kapitał, ten zaś równie łatwo w proste dobro ludzkie. Kapitał mieni się w oczach, niby go niema i nagle zjawia się, choć nic re-

<sup>1)</sup> Porówn. Teor. człow.

alnie nie przybyło. Gdy „bogactwo” nie znika póty, póki rzecz sama nie znika, nie tak jest z kapitałem. Ten może przestać istnieć, choć rzecz nie znika. Rzecz traci tylko charakter kapitału, nie ginąc wcale, lub odwrotnie. nabywa nagle tego charakteru, nie powstając zgoła, gdyż była już przedtem jako bogactwo.

To wszystko stosuje się również do bogactwa duchowego. Dopóki osobnik nie oddaje się pracy produkcyjnej, póty reprezentuje jedynie pewną sumę bogactwa duchowego, i sam będzie tylko bogactwem. Kapitałem (duchowym) staje się jego bogactwo dopiero z chwilą oddawania się pracy produkcyjnej. Ale i wówczas, bez względu na doniosłość i rozległość całego bogactwa, które w swej osobie reprezentuje, ta tylko jego część nabiera znaczenia kapitału, która jest potrzebna i użyteczna w jego pracowaniu. Reszta pozostaje nadal prostem bogactwem.

Podobnie, jak materya społeczna może być albo tylko bogactwem, albo jeszcze i kapitałem, tak samo może być potęga społeczna albo tylko bogactwem, albo także jeszcze kapitałem. Stwierdzamy tedy istnienie dwóch kategorii kapitału<sup>1)</sup>, których rola i ważność nie są jednakie.

Kapitał bowiem duchowy tem różni się od materyalnego, że jest pierwszym i niezbędnym warunkiem bogactwa materyalnego, a nawet wogóle bytu społecznego. Biorąc rzecz przyrodniczo, odgrywa on literalnie rolę życia samego. Gdyby bowiem bogactwa duchowego nagle nie stało, albo gdyby przestało być twórczą siłą czyli kapitałem, wówczas zdarzyłoby się ze społeczeństwem to samo, co się zdarza z organizmem, gdy zawieszają się w nim czynności życiowe odtwórcze i twórcze. Stałoby się trupem. Stagnacya w odtwarzaniu się bogactwa duchowego pociągnęłaby rychło zupełną stagnacyę w odtwarzaniu się materyalnego. Przemiana materyi w społeczeństwie zostałaby zawieszona i rozwój społeczny

---

<sup>1)</sup> Pojmowanego w sensie klasycznym, dawnym. Dodajemy to zastrzeżenie dlatego, że później kapitał określi się nam inaczej, czyniąc proces gospodarczy zrozumialszym.

ustąpiłby miejsca zjawisku szybkiej dezorganizacji, którego kresem byłoby doszczętne rozłożenie się bogactwa materialnego w prostą przyrodę, z drugiej zaś strony zanik dusz w narodzie aż do rozmiarów i znaczenia zwierzęcych.

Pierwszorzędność bogactwa duchowego w tem się zaznacza, że gdy [utracone nagle materialne może być względnie łatwo odtworzone w narodzie, w którym nie wygasły mądrość, wiedza, uczucia i wola,—odwrotny stosunek obu bogactw byłby niemożliwy.

I w tej nieodwracalności stosunku obu bogactw do siebie odsłania się najjaskrawiej z jednej strony słuszność, z drugiej wszakże niedokładność dawnego twierdzenia, że źródłem bogactwa jest „praca ludzka”. Nojogólniej biorąc, jest to prawdziwe z uwagi, że każdej, choćby najprostszej pracy ludzkiej towarzyszy choćby drobna szczypta „potęgi społecznej”, następnie, że bierzemy wówczas sumarycznie wszelkie prace ludzkie, bez ich szczegółowego oceniania. Ale gdy weźmiemy pod uwagę, że praca pracy nie równa, że pewnym pracom towarzyszy i przewodniczy niezmiernie wielka ilość kapitału duchowego (wiedzy i mądrości), gdy innym zaledwie minimalna jego ilość, to zrozumiemy jak dalece wyniki różnych prac „ludzkich” muszą być odmienne.

Zródłem bogactwa materialnego jest tedy nie „praca [ludzka”, ale twórcza część duszy ludzkiej, czyli kapitał duchowy, połączony z pracą fizyczną ludzką w jedno działanie na przyrodę.

Takiem połączeniem bogactwa duchowego (potęgi społecznej) z pracą fizyczną (z materią społeczną) w kapitał społeczny jest każdy osobnik ludzki, czynny produkcyjnie, ale, rzecz zrozumiała, osobniki te reprezentują mieszaninę tych pierwiastków w niejednakowym i najrozmaitszym wzajemnym stosunku. W jednych działa drobna ilość „bogactwa duchowego”, w innych bardzo wielka, stąd społeczna doniosłość prac jednego i drugiego może się różnić niezmiernie. Da się to wyrazić w języku ekonomicznym w ten sposób, że osobniki ludzkie reprezentują bardzo rozmaitej wielkości kapitały duchowe, a bardzo jednakowe siły fizyczne.



Dopiero, gdy się to zważy, odsłoni się w całej nagości, powiem wręcz, prorocstwo i niedokładność metody, która każe oceniać i mierzyć wartość pracy osobników (t. j. doniosłość społeczną pracowników) samą długością czasu, poświęconego na pracowanie.

Metoda taka mogłaby być dobrą wówczas, gdyby chodziło o interesowanie się samym wydatkiem sił fizycznych, rzeczywiście dość jednakowych u wszystkich osobników. Ale gdy metoda ta pomija udział w „pracowaniu” indywidualnej potęgi, u jednych nader drobnej, u innych bardzo wielkiej, to zgodzić się musimy, że grzeszy ona krańcową niedokładnością. Uwzględnia bowiem to właśnie, co mogłoby być, jako jednakowe lub prawie jednakowe, pominięte, pomija zaś to, co samo jedno stanowi o stopniu twórczości, o wydajności pracy. Metoda owa dopuszcza się zaś tak ważnego pominięcia pomimo, że na wszelką twórczość społeczną (z wyjątkiem tylko prostej pracy mięsniowej wyrobników), składa się zwykle drobna odsetka sił fizycznych ludzkich, bardzo zaś wielka i niejednakowo wielka, procesów duchowych.

Do tej ważnej kwestyi wrócimy jeszcze na innem miejscu, gdzie to będzie wiązać się z doniosłym zagadnieniem, którego tu jeszcze nie poruszamy, tymczasem zaś, możemy zamknąć ogólne uwagi nad bogactwem duchowym przypomnieniem, że i o wielkości narodu, o realnej mocy jego, a równocześnie o wielkości jego bogactwa materialnego decyduje wcale nie ilość osobników, nie ilość dusz, lecz ich wielkość oraz jakość. I nie tylko to. Decydującą okolicznością będzie tu jeszcze wielkość kapitału duchowego, czynnego w narodzie. Można bowiem wyobrazić sobie [narod, posiadający bardzo znaczną ilość osobników bardzo bogatych duchowo, ale biernych. Wówczas bez względu na wielkość swego ogólnego bogactwa duchowego, ów naród, będzie reprezentował drobny kapitał czynny i może produkować mniej, niż inny naród, znacznie uboższy duchowo, ale czynniejszy i bardziej twórczy. Pierwszy będzie wielkością, pogrążoną w stagnacji, złotem zamkniętym w skrzyni, drugi małością wprawdzie, ale twórczą, żywotną, więc wzrastającą w siły. Ten

będzie jakgdyby mądrym próżniakiem, zjadającym szybko swe bogactwo, tamten niezbyt uczonym, ale pracowitym dorobkiewiczem, prędko przychodzącym własnymi siłami do potęgi.

Że takie różnice między narodami zdarzają się, o tem świadczy historia na licznych swych kartach, o ile chodzi o terażniejszość.

---

### XIII.

#### Głód społeczny.

Poznaliśmy w najniezbędniejszym zarysie doniosłą rolę wibracyi mówionego, szczególnego środowiska społecznego, w którem kąpie się niejako człowiek od kolebki aż do zgonu i które niweczy fizyczne odległości między indywiduami. Dzięki mowie i pismu dusze obcują ze sobą bez względu na przestrzeń i czas, kosztem niewielkiego wydatku pracy fizycznej. Obcują nawet z pokoleniami minionymi. Co zaś najważniejsza, one same istnieją tylko dzięki „mówionemu” i władają nietylko siłami innych ciał ludzkich, ale jeszcze siłami martwej przyrody.

Tak szeroka władza czyni z ogółu coś jakgdyby jedno wielkie ciało, a zarazem wielką duszę, splecioną z dusz indywidualnych, władającą narzędziami sztucznymi oraz temi siłami przyrody, które podlegają wpływowi owych narzędzi. Śmiało możemy powtórzyć, że to naród, przez dusze czynnych w nim osobników, stwarza bogactwo z czystej przyrody. Myśl rozumna, krzewiąca się w narodzie przetwarza przyrodę w bogactwo. Ale nie sama myśl, dokonywa tego, boć za sprężynę całego procesu twórczego, który wciągnął w swój wir nawet martwe siły przyrody, musimy poczytać sumę dążeń ludzkich czyli aktów woli. Bez woli, bez chcenia, myśl nicby sama nie działała.

Lecz zachodzi nowe pytanie: czemu to myśl i wola tworzą cośkolwiek? Przecież czysta żądza tworzenia nie może być zrozumiałą przyczyną ustawicznych i świadomych wy-

siłków fizycznych, które składają się na pracę twórczą. Przecież do pracy, zwłaszcza natężonej, nikt nie porywa się dla samego pracowania, a choćby dla tworzenia. Chociaż bywa, że pracujemy dla samej przyjemności, to jednak daleko częściej pracowanie stanowi przykrość. Czemuż nawet w takich razach pracujemy? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy, wciągając do naszego rozważania trzeci psychiczny składnik duszy—*czucie*, przeobrażone na stopniu społecznym w znacznej części w *uczucia ludzkie*.

Jeżeli prawdą jest, że często pracujemy dla samej przyjemności pracowania, to o wiele częściej, a nawet z zasady — zawsze pracujemy dla uniknięcia przykrości. Aby to w pełni zrozumieć, dość zważyć, czym jest żywot zwierząt w stanie natury. Jest on nieustannem odczuwaniem potrzeb, dążnością do ich zaspokojenia oraz zaspakajaniem kosztem pewnych wysiłków. Jest walką z odczuwanym brakiem. Życie zwierzęce, to niekończący się szereg wysiłków, zmierzających do zastąpienia uczucia cierpienia przez uczucie zadowolenia. To przedewszystkiem dążenie do sytości.

Otóż stan społeczny w niczem nie może być gorszy ani lepszy „od stanu natury”, boć różni się tylko skomplikowaniem i obszernością skali odczuć. A zatem sprowadzony do ostatecznych ogólników, musi być tem samem, różniąc się tylko podwójnością potrzeb. Zwierzęca dążność do sytości, będąc potrzebą ciała, nie milknie w żadnym osobniku ludzkim, choćby najbardziej uduchowionym. Druga dopiero dążność, rozpościerająca się nad tamtą, jest już czysto-społeczną potrzebą duchową. Zdawałoby się, że tę drugą łatwiej zaspokoić, ale obie kategorie jednako są nienasycone, gdyż głód fizyczny, lubo daje się względnie łatwo zaspokoić, odnawia się w ciągu całego żywota, druga znowu chociaż mogłaby znaleźć kres, — nie znajduje zaspokojenia, bo stale wzrasta.

Jednostki ludzkie dążą do stanu, „sytości” społecznej przez cały żywot, ale dążą napróżno, bo kres jego w miarę zaspakajania, ustawicznie się oddala. Człowiek, choćby syty żyje w ustawicznej pogoni za zadowoleniem swych pragnień ludzkich i bez względu na stopień powodzenia rzadko znajduje

uspokojenie, albowiem wciąż sięga po nowe zadowolenia, sięga zaś dlatego, że w miarę wspinania się wyżej, dostrzega coraz liczniejsze przedmioty, godne pożądania.

To, co budziło zrazu tylko prostą ciekawość, uczucie miłe, po pierwszym zaspokojeniu staje się rychło pożądaniem, więc brak tego wywołuje już lekką przykrość, której pragniemy się pozbyć przez nowe zadowolenie pożądania. Ale po krótkim szeregu zaspokojień staje się już potrzebą, której niezaspokojenie przyprawia o cierpienie.

Oczywiście owo cierpienie usiłujemy z tem większą energią usuwać, im jest dotkliwsze, ale rzecz dziwna, dalsze zaspakajanie nie daje nam już tej sumy zadowolenia, co początkowo, bo przyzwyczajenie stępiło uczucie przyjemności. Przykrość z doznawanego braku zjawia się zawsze, ale żywe zadowolenie pierchło; jeżeli więc nie odczuwamy z tej strony braku, wnet zjawia się inna ciekawość, nowe pożądanie, będące dopiero zdrowym apetytem, ale będące zarazem zarodkiem przyszłych cierpień i radości. Jeżeli bowiem ów drugi apetyt dozna raz zaspokojenia, co da nam uczucie żywego zadowolenia, i jeżeli będzie się stale zaspokajając, — już przeobrazi się w potrzebę nową, której niezaspokojenie przyprawi nas o prawdziwe cierpienie, natarczywie domagające się ukojenia.

Więc żołnierz marzy o stopniu podoficera; ale zostawszy nim, marzy o stopniu oficera; stawszy się kapitanem — radby być pułkownikiem i t. d. Jenerał marzy o buławie marszałka. Mieszczanka marzy o herbach, szlachcianka o wyższym tytule, hrabianka o księciu, handlarz o coraz większych „obrotach” i zyskach, posiadacz miliona o drugim milionie, drobny talencik o sławie, większy o pomniku. Każdy człowiek zdrowy krząta się tak właśnie, jakby był wiecznie głodny, i jest on istotnie głodny tym głodem społecznym, który nigdy nie daje się nasycić. Sięgamy po coraz nowe zadowolenia bo istotnie cierpimy brak idealny, tylko nie wszyscy rozumiemy, że dusza zawsze musi cierpieć (pragnąć czegoś), aby doznawać zadowoleń, zupełnie tak samo, jak ciało zawsze musi doznawać głodu, aby doznawało przyjemności jego zaspokajania. Różnica ta tylko, że dusza musi wynajdywać coraz nowe przedmioty, na których kanwie osnuwają się kon-

trasty czuć przyjemności i przykrości, pragnień i zadowoleń, gdy ustrój cielesny automatycznie dochodzi do czucia głodu. Głód społeczny sięga w najidealniejsze nawet sfery działalności. Artysta dąży do większej doskonałości, mędrzec bezinteresowny do poznania coraz trudniejszych zagadek, nawet do broczyńca marzy o świadczeniu jeszcze więcej dobra. Na tle elementarnej walki o sytość toczy się więc na wyżynie bytu w cywilizacji druga jej edycja, „szlachetniejsza”, przejawia się już w formach skomplikowanych, tak rozwiniętych, że trudno w nich rozpoznać jej prototyp.

Różnie można taką walkę nazwać. Bywa ona walką o utrzymanie się na poziomie raz zdobytym, częściej bywa dążeniem naprzód, zdobywaniem tego samego, co mają inni. Sprężyną jej głód materii społecznej lub potęgi społecznej, głód posiadania, władzy, wiedzy lub rozkoszy. Ponieważ zaś marzeniem każdego jest posiadanie więcej (materii lub potęgi), stąd nieustanne kolizje sprzecznych interesów i wysiłki.

Materiałne dobra, niby piłka w ręku dzieci, przechodzą z rąk do rąk i stają się przedmiotem pożądania ogólnego. Pogoń ta nie daje nikomu spocząć — i ona to nie pozwala na upraszczanie się cywilizacji, na niwelowanie się różnicowań, lecz owszem, popycha do coraz nowych skomplikowań.

Ekonomiści szkoły Marxa potępiają całe te wyścigi, a zwłaszcza szczęśliwszych lub dzielniejszych, bo nie zdawali sobie sprawy z natury zjawiska społecznego. Ale kto głębiej umie patrzeć w świat przyrody, ten nawet z punktu widzenia gospodarczego nie będzie pytał: co znaczą te wyścigi, i czym są bodźce do nich: cierpienie i rozkosz? Wystarczy, gdy wzniesie się na wyżynę filozofa przyrody. Wtedy bowiem ujrzy, że to, co żyje — usiłuje trwać. Żeby się alegorycznie wyrazić, Naturze nie chodzi o przyjemność osobnika, ale chodzi o jego byt, o trwanie. Więc, aby ciało usiłowało trwać — musi ono doznawać głodu i musi doznawać przyjemności w jego zaspokojeniu — bo tylko te uczucia instynktowne, nie pozwalają zginąć zwierzęciu. Otóż to samo jest z głodem społecznym. Naturze społecznej nie chodzi również o przyjemność indywidualów, ale tylko o byt utworu, który raz

powstał. Bez tego głodu, bez tych cierpień duchowych, których doznajemy—nie byłoby cywilizacji, duch nie dążyłby do tworzenia, cywilizacja do rozwoju. Jest to więc poprostu także instynkt życia cywilizacji. Zanikanie w osobniku dążności twórczej musi być przeciwne naturze zjawiska społecznego i dlatego obwarowane jest od dołu cierpieniem, a od góry perspektywą zadowolenia. To też indywidualia, popadłe w obojętność i w bezpłodność społeczną, rychło wyprowadza poza nawias cywilizacji, a nawet życia.

Dążność do stanu sytości społecznej i w tem jest podobna do zwykłego uczucia głodu fizyologicznego, że w okresie pełni sił i rozwoju narodu lub osobnika—nagromadza więcej, niż zużywa, wchłania więcej, niż wydziela, czyli, potrącając zużyte, stanowi dążność wybitnie twórczą, stanowi czynnik, nagromadzający bogactwo społeczne obu kategorii.

---

#### XIV.

### O własności osobistej i wolności człowieka.

Na tle tylko co przeprowadzonych porównań zjawia się natarczywie pytanie, do kogo mają należeć owoce pracy osobnika ludzkiego? Czy do niego samego, czy do społeczeństwa? Zjawia się kwestya prawa własności osobistej, prywatnej. Prawo to oddawna prawodawcy i ekonomiści poddawali uzasadnianiu, krytyce lub negacji. Tłumaczono nam dobrotliwie, że własność prywatna powinna być uznana, albowiem jest pobudką do pracy, wytrwałości, zabiegliwości, oszczędności. To znowu odnoszono się do niej, jako do źródła złego, albowiem rozwija chciwość, egoizm i t. d. wreszcie zarzucano, że, ona to stała się źródłem podziału społeczeństwa na klasy, podstawą olbrzymich różnic w uposażeniu, źródłem wyzysku, nędzy, i t. d. i t. d.

Zdaje się, że większość tych rozpraw byłaby zbytęcną, gdyby po rozwiązaniu kwestyi zwrócono się do samej przyrody, która je oddawna rozwiązała.

Pytanie: czy mamy prawo do całkowitych owoców swej pracy należy postawić przedewszystkiem na tle pytania: czy zwierzę ma takie prawo i czy człowiek, zostawiony na łonie czystej przyrody, ma je również?

Na tym punkcie niema żadnej wątpliwości. Wszystkie prawodawstwa zgadzają się, że dzieła czystej przyrody, będące dobrem niczyjem, każdy może brać darmo. Tak biorą prawe zwierzęta, zostające na łonie czystej przyrody, tak bierze i człowiek na łonie niczyjej przyrody.

Obdarzony temi samemi instynktami, radby brać zawsze darmo wszystko, czego pragnie, ale tymczasem, przychodząc do społeczeństwa z okresu dziecinnej nieświadomości, wszędzie natrafia na własność cudzą, na zakaz; wszędzie za to, co chce otrzymać od innych dla siebie, każe mu płacić z razu prośbą (dopóki jest dzieckiem i nie umie pracować), później pracą. Rychło powiadają mu, że chcąc mieć—trzeba tworzyć, czyli pracować użytecznie, bo gdybyśmy chcieli brać darmo (przemocą albo prośbą), prędko wszystkobyśmy zużyli i nie byłoby co brać, prócz przyrody. Rychło nicbyśmy wszyscy nie mieli.

Skąd taka różnica między światem zwierzęcym, a ludzkim? Różnicy żadnej niema. Polega ona na prostem złudzeniu, że zwierzę bierze coś darmo. Tak nie jest.

Ono za to co bierze, płaci tem, co ma, siłą i nawet nie wie o tem, że każdy jego wysiłek jest chojną zapłatą, bo życie całe upływa mu na zabiegach w celu podtrzymania życia. O ile zaś ma liczne chwile spoczynku, zadowolenia, rozkoszy, to równoważą się one chwilami niepokojów (głodu, pragnienia) i cierpień. Praca za tem<sup>1)</sup>, to wcale nie wynalazek ludzki. I zwierzęta na swój sposób pracują, a nawet ciężko pracują—cała różnica, że nie wiedzą o tem, gdy człowiek ma świadomość swej pracy, a co więcej pracuje nie instynktowo, ale celowo<sup>2)</sup>. Zatem dopiero wiedza i umiejętność

---

1) W znaczeniu użytecznego wydawania energii organizmu.

2) i o tyle skuteczniej, że pracuje twórczo.

ność jest jego wynalazkiem i wespół z „pracą” dają mu to, za czem ludzie gonią.

Jedynie tylko niczyje może się stać mojem przez prosty akt wzięcia w posiadanie (siłą własną). Poza tem mojem może już być tylko to, co nie istniało wcale i co sam powołałem do istnienia, co sam stworzyłem.

Dzieła więc [ludzkie charakteryzują się tem, że stanowią własność czy jaś, twórcy lub posiadacza, grupy twórców lub posiadaczy, albo wreszcie całego społeczeństwa. Gdy mojem może być przedewszystkiem to, co było niczyje, a następnie co sam stworzyłem, przeto prawo do całkowitych owoców swej pracy wydaje się być pierwszym społecznym prawem osobnika, opartem na prawach natury.

Francuska „Daklaracya praw człowieka i obywatela” z roku 1789 (artykuł drugi i siedemnasty) głosi, że „własność jest przyrodzonym prawem człowieka i obywatela, prawem świętem i nietykalnem”.

Skoro jednak z obozu socyalistów, syndykalistów i komunistów rozbrzmiewają donośne protesty, odmawiające osobnikowi bądź prawa do bogactwa osobistego, bądź prawa do kapitału osobistego,—wypada sprawdzić, kto się myli? Ku temu posiadamy obecnie jeden środek, ale pewny.

Oto równocześnie z kwestyą własności indywidualnej wyłania się kwestja wolności indywidualnej. Jak wiadomo, właśnie przeciwnicy własności prywatnej są bezwzględny mi rzecznikami wolności człowieka. Zachodzi więc przedewszystkiem pytanie: Czy mamy prawo do samych siebie, do władania samym sobą? Wszak tylko dobro przyrodzone może być własnością niczyją.

Człowiek, będąc „dobrem ludzkim“<sup>1)</sup> już przez to samo musi być uważany za czyjąś własność. Do kogóż on należy?

Mogą tu być dwie odpowiedzi. Albo każdy jest panem siebie, albo też musi być niewolnikiem bądź jednostek bądź

---

<sup>1)</sup> produktem społeczeństwa, nie zaś samej natury.



grupy. Stajemy tu przed dylematem: wolności człowieka (czyli swobody osobistej), albo też niewoli społecznej.

Oba poglądy mają swoich rzeczników i obrońców. Ze względu, że człowiek zawiera w sobie element psychiczny, który wnikł weń od społeczeństwa, ze względu, że jest poniekąd dłużnikiem społeczeństwa, można utrzymywać, że on jest własnością narodu. Ale to jest ogólnik nadto szeroki, a w części niezgodny z prawdziwym stanem rzeczy. Zważmy przecież, że człowiek jest równocześnie dziełem:

- 1) pracy swego otoczenia,
- 2) mimowolnych i bezwiednych oddziaływań otaczających osobników oraz rzeczy martwych, wreszcie
- 3) dziełem pracy własnej (nad kształceniem siebie).

Jesteśmy więc, jako dusze — produktami zarówno pracy cudzej, jak własnej, a poza tem, dziełem wpływów bynajmniej nie celowych, czyli w pewnej części jesteśmy prostą wypadkową oddziaływań środowiska społecznego. Ludzie kształtują się psychicznie wprost pod wpływem cywilizacji na łonie której żyją, w której są pogrążeni. Rolę czystej przyrody, która otacza zwierzę, ale także i człowieka, uzupełnia względem dusz ludzkich inna przyroda, na którą zwierzęta są zgoła nieczułe, mianowicie cywilizacja, z jej tysiącznemi formami, w której panują równocześnie, podobnie jak w zwykłej przyrodzie, wszystkie stadya przeszłości, kojarzące się ze wszystkimi odmianami aktualności.

Skoro zatem nie całe społeczeństwo uczyniło osobnika tem, czem stał się, ale tylko grupa, która nań najsilniej oddziaływała, dalej, skoro nie praca innych, uczyniła go tem, czem jest, ale tylko w części owa praca, a tylko praca taka nadaje prawo do uważania osobnika za dzieło, a więc i za własność urabiających, — najstoszniej przeto byłoby nazwać osobnika częściowo własnością grup która go uczyniła tem, czem jest, w części zaś musi być uważany za bezsporną własność swoją.

Jednak nie zmienia to już losu jednostki, czy ma być własnością społeczeństwa, lub też jego części, i wychodzi tak samo na jedno, jak dla birana kwestya czy ma być zjedzony przez jednego wilka, czy przez całe stado. Tak, czy owak,

nie miałby człowiek wolności osobistej. Przeciw takiemu pogładowi można jednak wytoczyć poważny argument.

Żaden człowiek nie prosił, aby go społeczeństwo formowało, nie prosił, aby go uczyniono tem, czem został. On został uformowany bez własnej woli, wiedzy i zgody, ma więc pewne prawo nie poczuwać się do żadnych obowiązków względem innych. Gdy przyszedł do rozumu, jest jakim jest, i nikomu nic do tego, co dalej ze sobą pocznie. Jeśli chce być wolnym, ma do tego prawo, bo nie zawierał z nikim układu, któryby go swobody rozporządzania sobą pozbawiał.

Któryż z tych dwóch poglądów jest prawdziwy? Nie pytam który słuszny, lecz który prawdziwy, bo prawda polega na zgodności naszych poglądów na rzeczy z faktycznymi stosunkami, istniejącymi między rzeczami.

Może się to wydać dziwnem, gdy powiem, że nawet bez względu na udział własnej pracy w samokształtowaniu oba poglądy są prawdziwe, pomimo, że są sprzeczne. Człowiek, jest równocześnie własnością swoją i społeczną, jest wolnym, a zarazem niewolnikiem. Bezwzględną swobodę człowieka i bezwzględną niewolę społeczną można sobie [tylko imaginować. W naturze ludzkiej oba te przeciwieństwa nie są przeciwieństwami, gdyż wyrażają tylko wyjątkowe stanowisko człowieka<sup>1)</sup>.

Lubo człowiek stanowi rzeczywiście część całości społecznej, to przecież reprezentuje on indywidualium, czyli oddzielną [całość. Łączy więc w sobie dwie pozorne sprzeczności: jest naprawdę i częścią i całością, jest niewolnikiem całości wielkiej, ale równocześnie rzeczą oddzielną i skończoną w sobie, czynnikiem do pewnego stopnia niezależnym!

Jak można pogodzić swobodę z niewolą? Bardzo prosto. Człowiek zawiera w sobie element psychiczny, wprowadzony w znacznej mierze przez społeczeństwo, ale nie mówmy, że przez to musi już być własnością społeczną, gdyż być włas-

---

<sup>1)</sup> Nie niwelują się tylko obowiązki względem bezpośrednich wychowawców, a co za tem idzie i odpowiedzialność wychowawców względem wychowywanego.

nością społeczną nic to nie wyraża od chwili, gdy wszyscy nią jesteśmy. Być własnością wszystkich — jest to także być w części i swoją. Wiedzieć, że wszyscy są także własnością wszystkich, jest to wiedzieć, że są oni i moja. Jest to w rezultacie nie być niczyją poszczególną własnością.

„Społeczeństwo”, to abstrakcja wyższa, z którą nie spotykamy się nigdy oko w oko. Spotykamy się tylko z ludźmi. Jeżeli więc każdy ma do mnie pewne (mniejsze lub większe) prawo, lecz i ja również do każdego takie samo, to prawa nasze krzyżując się, niwelują się wzajemnie<sup>1)</sup>. Ale owa niwelacja praw i obowiązków nie jest równoznaczna ze zniesieniem zależności — i ze swobodą bezwzględną.

Swoboda osobista i niezależność bezwzględna trwa tylko póty, dopóki osobnik nie potrzebuje nic od nikogo. Może on nie uważać się za dłużnika tylko póki sobie wystarcza, dopóki nie żąda dla siebie nic od ludzi.

Z chwilą, gdy zwróci się do nich z żądaniem zaspokojenia jakiegokolwiek własnej potrzeby, nie może tego wymagać od nikogo darmo, bo każdy bez wyjątku jest tak samo własnością swoją i wszystko, czem rozporządza, ma prawo uważać za swoje.

Gdziekolwiek tedy zwrócimy się z żądaniem usług, natrafiamy już nie na abstrakcję, „społeczeństwo”, lecz na wolnych ludzi, panów swych czynów i dzieł. Równe prawa pociągają za sobą równe obowiązki. Za usługi trzeba oddawać usługi. Chcąc wolności własnej, musimy uznawać cudzą, żądając własności dla siebie, trzeba uznać cudzą. Brać darmo wolno tylko dobro niczyje, poza tem aby brać — musimy dawać.

---

<sup>1)</sup> Nie niwelują się tylko obowiązki względem bezpośrednich wychowawców, a co za tem idzie i odpowiedzialność wychowawców względem wychowywanego.

Teraz musimy wspomnieć o trzecim sposobie przychodzenia do własności, o otrzymaniu bez dawania. Płyne on z zasadniczego prawa własności prywatnej.

Gdy każdy ma prawo własność swoją sam zużyć, więc ma równe prawo zaoszczędzić, choćby dla oddania innemu wedle swej woli. Brać bez dawania nie mamy prawa, ale dawać bez brania, czyli rozporządzać swoją własnością, mamy prawo. I ono jest powodem, że ktoś może przyjść do własności bez własnej pracy, jak również **bez pogwałcenia praw innych**. I dopiero z powodu, że najmniejszą całością społeczną jest nie osobnik, ale rodzina, zjawiała się potrzeba ograniczeń w prawie rozporządzania nawet własnością prywatną. Wszelako ograniczenia te nietylko nie naruszają zasady, lecz skierowane są ku jej przestrzeganiu.

Byt społeczny opiera się na istnieniu rodziny, czyli naturalnej całości, która posiada ciągłość większą od ciągłości osobnika, bo łączy przeszłość z przyszłością, dziadów z wnukami. Z nieuniknionego podziału pracy w granicach rodziny, z niepłatności bezpośredniej usług wzajemnych w zakresie rodziny, a zwłaszcza z bezpłatności usług, świadczonych dzieciom przez rodziców, płyną prawa i obowiązki, ograniczające swobodę członków rodziny w rozporządzaniu wspólną własnością oraz władza kierownicza „głowy” rodziny.

Z samej przyrodniczej niepodzielności takiej komórki społecznej, a równocześnie z jej nieprzerwanej ciągłości w czasie, płynie solidarność interesów dzieci i rodziców. Miłość rodzicielska otacza dzieci najczulszą opieką, czyni je droższymi nad życie i skłania do ofiar oraz wysiłków altruistycznych **na rzecz dzieci**. Ona jest głównym źródłem oszczędności. Jeżeli rodzice otrzymali zaoszczędzone przez swych rodziców dobro, to z kolei, przez miłość rodzicielską starają się je pracą i oszczędnością powiększyć „dla dzieci”. Nie oszczędzamy „dla obcych” tak gorliwie i z takim zaparciem się siebie. Nie byłoby też w innych warunkach owych oszczędności. I dlatego można powiedzieć, że dzieci bez pogwałcenia praw innych osobników w społeczeństwie korzystają z zapasu, nagromadzonego przez najbliższych im krwią, jako

ze swojej własności. One mają to, co dano im dobrowolnie i co dla nich oszczędzano. Gdy zaś w ten sposób rodzice spłacają dług, zaciągnięty u swych rodziców, prawo krępuje do pewnego stopnia nawet złą wolę głowy rodziny, gdyby się przejawiała względem prawych dziedziców pod postacią ograniczeń w pośmiertnym rozporządzeniu majątkiem.

Podnoszono już w ekonomii pierwszorzędną doniosłość społeczną oszczędności. Otóż zanim zaczniemy krytykować słuszność dziedziczenia, pamiętajmy, że bodźcem do oszczędzania nie jest wyłącznie egoizm osobisty, ani bezwzględny altruizm, ale jedynie altruizm względem dzieci, czyli egoizm rodzinny. Gdyby go prawo nie ochraniało znikłby najpotężniejszy bodziec do wysiłków twórczych i do oszczędzania, a wraz z tem przestałoby się wytwarzać bogactwo w takiej obfitości, jak widziemy.

---

## XV

### O nierówności ludzi.

Jest jedno wielkie złudzenie, ogromna omyłka, podniesiona oddawna do godności zasady, mającej regulować stosunki ludzkie<sup>1)</sup>; jest maleńkie słówko, podawane z ust do ust, jako kwintesencya mądrości i humanitaryzmu. Słówko to, brzemienne w nieobliczalne skutki, dopiero na gruncie dokładnego zrozumienia, czem jest dusza ludzka, okazuje się mirażem i utopią. Brzmi ono równość ludzi<sup>2)</sup>. Trudno o większą omyłkę, większe złudzenie, większy fałsz.

Pomijając wiele przyczyn drugorzędnych, które złożyły się na powstanie błędu, możemy wskazać cztery główne źródła jego nadzwyczajnej popularności. Naprzód niezdawanie sobie po dziś dzień sprawy z pytania, czem człowiek różni się od zwierzęcia, następnie czem różni się od dzie-

---

<sup>1)</sup> Zasada równości Proudhon'a.

<sup>2)</sup> Według Baboeuf'a „pierwsza podstawa wszelkiego uspołecznienia“ i pierwsza potrzeba „człowieka“ (p. jego Manifest).

cka, potrzebie wzniosłe i uzasadnione uczucie miłości bliźniego, które nakazuje widzieć w każdym brata i miłować go, jak siebie samego, wreszcie poczucie istnienia licznych niesprawiedliwości społecznych.

Z nakazu [etycznego, z zasady wielkiej w sferze uczucia, oraz z chęci poprawy stosunków społecznych, więc potrzeby zniesienia wielu niesprawiedliwych przywilejów, wyrosła w sferze myśli, pozornie jako logiczne następstwo, wcale już nie logiczna dedukcja następująca: skoro wszyscy podobniemy między sobą jak bracia i siostry, i rzeczywiście blizyśmy sobie krwią, niby jedna rodzina, skoro mamy się miłować i wspierać,—więc jesteśmy albo musimy być równi.

Dedukcja to z gruntu fałszywa. Komuniści sądzą, że sam tylko majątek czyni między ludźmi różnice. Tak nie jest. „Maksyma o równości ludzi jest w całości absurdem”<sup>1)</sup>, bo najważniejszą cechą, odróżniającą ludzi od zwierząt jest właśnie niejednakowość funkcjonalna i potencjalna<sup>2)</sup>. Nawet z okoliczności, że wszyscy mamy duszę, nie płynnie jeszcze wniosek, aby one były sobie równe, abyśmy byli jednacy potencjalnie i dynamicznie pod względem gospodarczym i t. d. Nakaz zaś, abyśmy się miłowali, wspierali i byli sobie braćmi, także nie wymaga jeszcze uznania równości, której niema i nie może być.

Dedukcja ta—to tylko skutek płytkiej interpretacji wzniosłych nakazów etycznych, i równie wzniosłych dążeń do „sprawiedliwego” podziału dóbr, w dziedzinie zaś nauki, to skutek zbyt zoologicznego traktowania człowieka, to skutek grubego materyalizmu.

Rozumowanie, oparte na świetnych zdobyczach przyrodoznawstwa, pozornie bardzo jest logiczne. Człowiek, według pojęć zoologów i materyalistów w socjologii, to przecież tylko zwierzę, które dosięgło najwyższego szczebla rozwoju. Ponieważ zaś zwierzęta jednogatunkowe różnią się między sobą w bardzo szczupłych granicach, więc z jakiejże racji zewnętrznie podobni między sobą ludzie mieliby być sobie nierówni?

---

1) Teorya człowieka i cywiliz. Warsz.1911, rozdz. XXX, str. 215.

2) Teor. człow. i cyw., Wstęp. str. 4.

Oto filozofia ewolucjonistów w socjologii, humanistów materialistycznych, którzy żywcem przystosowują do człowieka miarę, używaną z pełną słusnością w przyrodoznawstwie; oto filozofia od podstaw błędna, bo nie dostrzegła, iż prawo ewolucji, mające zastosowanie do wszystkich organizmów—nie wystarczy do tłumaczenia wyjątkowych na ziemi zjawisk świata ludzkiego.

Że tego nie dostrzegli przyrodnicy, dziwić się im nie można. Oni badają naturalne formy materii i prostych sił, oni nie podejmują się wyjaśnienia zjawisk społecznych. Ich metody nie sięgają w skomplikowany świat ducha. Ale humaniści mogliby okazać więcej krytycyzmu oraz niezależności od metod ściśle fizycznych i biologicznych. Mogliby zauważyć, że z chwilą zawiązania się mowy i cywilizacji, wystąpiło na ziemi zgoła nowe zjawisko, które nie pozwala już wtłoczyć człowieka w ramy prawa prostej ewolucji na tle czystej przyrody <sup>1)</sup>.

Dla zrozumienia człowieka niezbędne jest rachowanie się z jego duszą. Tu trzeba sformułować dodatkowe prawa, tu bowiem kończy się dziedzina niższego przyrodoznawstwa, a zaczyna się nowa, wyższego przyrodoznawstwa, czyli socjologii albo nauki o cywilizacji. Dziedzina ta ma się tak właśnie do biologii organizmów, jak ta ostatnia do biologii jednokomórkowców, a ta do chemii oraz fizyki.

Wprawdzie spostrzeżono to już od czasów Comte'a, przeczuwano zaś o wiele wcześniej, ale nie wyprowadzono stąd należytych wniosków, psychiczne bowiem władze nasze wciąż uważano za proste funkcje organizmów niezależnych wzajem od siebie. Mamy też do dziś systemy ekonomiczne i społeczne, oparte na czystym darwinizmie, na prostej teorii ewolucji, a w skutkach bezsilność naukową tych systemów, zadziwiających płytkością i rozmijaniem się z najbardziej bijącymi w oczy faktami w dziedzinie stosunków społecznych. I nic w tem dziwnego, albowiem naturalne prawa ewolucji są

---

<sup>1)</sup> „Mądrość ludzka nie tłumaczy się prostym rozwojem rozumu pra-człowieka, prostym rozwojem psychiki ludzkiej ze zwierzęcej”. T. czł., XV, str. 103.

tak samo niedostateczne do wytłumaczenia zjawisk społecznych, czyli zjawisk duchowych, jak prawa chemiczne i fizyczne do wytłumaczenia zjawisk życia. Nie twierdzimy przez to, aby zjawiska społeczne miały się toczyć wbrew prawom biologicznym, lecz tylko, że proste zastosowanie tych praw do zjawisk społecznych czyli duchowych, nie wystarcza, albowiem w człowieku mamy już do czynienia z więcej niż organicznem skomplikowaniem zjawiska życia, dla którego wyrozumienia trzeba formułować dodatkowe prawa, odpowiadające tym skomplikowaniom. Podstawy tedy i argumentów dla tezy o równości ludzi należy szukać wyłącznie w sferze zjawisk społecznych, nie zaś biologicznych. Pytam jednak, czy najprostsza obserwacja potwierdza tezę o równości ludzi? Jedynie tylko ciała nasze, są względnie podobne sobie. Dusze nasze nie są już dziełem czystej przyrody <sup>1)</sup>. One kształtują się pod wpływem innego środowiska, pod wpływem „mówionego”, oraz dzieł cywilizacji. Zawdzięczamy je naprzód rodzicom, ale wcale nie jako rodzicielom, lecz jako wychowawcom, następnie najbliższemu otoczeniu, wreszcie wszystkim, z którymi się stykamy. Wpływy społeczne, o których tu mowa, są dla różnych osobników nieskończenie różne, nie może więc podlegać żadnej wątpliwości, że wytwarzają one z osobników początkowo prawie jednakowych, nieskończenie różne indywidualności. Indywidualności te wykończają się i pogłębiają nadal w znacznej już mierze zależnie od nas samych.

Jeżeli prawdą jest, że wiele złego i dobrego zawdzięczamy swoim najbliższym, to drugą prawdą jest i to, żeśmy sami także kowalami własnych losów. Tak więc stajemy się z biegiem lat jakościami coraz bardziej odmiennymi. Gdyby różnice między nami były obojętne dla innych, jak również dla dobrobytu w narodzie, możnaby nie zwracać na nie uwagi, jak się nie zwraca w gromadzie kur lub bydła, na to, że jedne sztuki

---

<sup>1)</sup> „Gdyby człowiek był dziełem prostej ewolucji, powinniśmy mieć psychikę jeżeli nie równą jakościowo, to przynajmniej ilościowo”.  
Teor. czł. i cywil. str. 303-4.



są białe, inne żółte, szare, pstre lub czarne. Ale nasze różnice są różnicami uzdolnień i funkcyj, więc nie dość je rozróżniać, trzeba je nie jednako szacować, bo niosą doniosłe skutki dla innych.

Naród, to nagromadzenie rozmaitych jakości i wielkości, to nie gromada. Jeżeli milion osobników zwierzęcych, myszy, czy bawołów, uzmysłowimy sobie pod postacią miliona kulek wielkości grochu, to ze względu na bardzo drobne różnice psychiczne, zachodzące między osobnikami, będzie to także milion prawie jednakowych całości psychicznych i dynamicznych. I dlatego nie ma potrzeby rozróżniać osobników od osobników, bo tu psyche i ciało pokrywają się wzajem. Ale milion ludzi w społeczeństwie, zwłaszcza mocno zaawansowanym w rozwoju, przedstawi nam inny zgoła obraz.

Pod względem cielesnym, będzie to również milion kulek, dajmy na to wielkości grochu, ale pod względem psychicznym żadna dusza nie będzie odpowiadać rozmiarom ciała. Wszystkie będą większe, tylko niejednakowo większe. Najwięcej ujrzymy drobnych, ale stopniowo będziemy mogli zauważyć wszelkie wielkości, aż do imponujących rozmiarów kul o parometrowej średnicy, tylko że coraz większych będzie w owym milionie stopniowo coraz mniej. Gdzie tu równość — choćby ilościowa, albo objętościowa? Niema jej i być nie może.

Lecz „objętość” nie wyczerpuje różnic między duszami. W grę wchodzi jeszcze jakość. Podobnie, jak w równej objętości skrzynkach może się kryć zawartość bardzo różna, tak dusze, nawet przy równej wielkości nie są sobie równe.

Reprezentują one czynniki rozmaitej siły i rozmaitych rodzajów siły. O doniosłości tych różnic żaden obraz zmysłowy nie da już nam należytego wyobrażenia. Dość powiedzieć, że niema na ziemi dwóch dusz zupełnie jednakowych. Ważność zaś społeczna jednych może być o miliony razy większa od ważności innych. Czyż ich funkcjonowanie można nazwać funkcjonowaniem równych sobie całości, zwłaszcza, gdy niezależnie od ich wielkości oraz jakości, jedne funkcjonują pełnią swego psychizmu, inne drobną jego częścią,

jeszcze zaś inne stoją nieprodukcyjnie? Jeżeli dusze reprezentują bogactwo duchowe, to osobniki są różnej wielkości i jakości bogactwami. Gdy zaś kapitałem jest znowu tylko czynna część bogactwa, to osobniki ludzkie bez względu na wysokość swego bogactwa duchowego, będą różnej wielkości kapitałami społecznymi, nader różnymi wartościami.

Więcej jeszcze! Działalność osobników może być, niezależnie od jej doniosłości, dobra lub zła (pożyteczna lub szkodliwa dla innych), co wywołuje nową skalę różnic. Doniosłość dynamiczna jednych może rozciągać się poniżej zera na skali społecznej: dobro-zło, — gdy innych powyżej owego punktu neutralnego. Wówczas to, cośmy przed chwilą nazwali wartością dusz będzie poniżej zera wartością ujemną, czyli albo całkowitym brakiem wartości społecznej albo szkodliwością, a tylko co ponad zerem stanie się prawdziwą wartością — ale o różnych rozmiarach jej i rodzajach.

\* \* \*

Wiem, że „równość“ w socjologii ma znaczenie specjalne równości wobec prawa, — równości prawa do korzystania z „owoców swej pracy“, ale w zastosowaniu tej słusznej zasady tkwi ogromna niejasność.

Gdy tylko powiemy sobie, że „praca pracy równa“, wówczas wypadnie przyznać, że i osobniki czynne są sobie równe zarówno w obowiązkach społecznych, jak w prawach do bogactwa społecznego. Wówczas ideałem prawodawcy stanie się jednaki udział wszystkich w bogactwie społecznym, albo równy podział bogactwa między pracujących członków społeczeństwa.

Tak właśnie rozumują i do tego dążą szlachetni marzy-ciele różnych odcieni, którzyby radzi widzieć jeżeli nie niebo, to już napewno raj na ziemi i wyobrażają go sobie w idealnie równym uposażeniu wszystkich członków społeczeństwa.

Ale kwestya nie okaże się tak prostą, gdy zważymy, że doniosłość społeczna trudów ludzkich wcale nie bywa jednakowa, zależy bowiem naprzód od duchowego bogactwa, który osobnik wprowadza w grę, następnie od sposobu użytkowania

tej potęgi więc na pożytek lub „szkodę” innych. Wówczas ideałem „sprawiedliwości” mógłby być podział bogactwa według rzeczywistego udziału w jego wytwarzaniu, czyli, jak to dawniej określano, według z a s ł u g i. Wówczas stosunki musiałyby się układać całkiem inaczej.

Jak jednak? tego nikt nie wskazał, gdyż i tu, pomimo rzekomej prostoty zasady, natrafiamy na mnóstwo momentów ciemnych, które można w rozmaity sposób tłumaczyć. Pośród tych wątpliwości, jedno jest faktem, mianowicie, że materialne bogactwo narodu nie jest rozdzielone ani w prostym stosunku do ilości dusz, ani w proporcjonalnym bądź do wielkości każdej, bądź do wartości czynnej i twórczej. Dwa bogactwa rozłożone są między jednostki zgoła nierównomiernie i bez wzajemnego związku; zachodzą tu wszelkie możliwe kombinacje. Skutkiem tego musi istnieć jakaś ilość osobników, związana z pewną ilością bogactwa w stosunku normalnym, albo też „sprawiedliwym”, powyżej jednak rozciąga się kategoria nadmiernie uposażonych, oczywiście, ze szkodą trzeciej kategorii, upośledzonych.

Stosunku normalnego nie znamy — nikt jeszcze nie sformułował zasady, któraby odpowiadała koniecznym warunkom ścisłości naukowej, a więc także i idealnej „sprawiedliwości”, skutkiem czego najdonioślejsza może ze wszystkich zasada, będąca centralnym punktem całej ciężkiej „kwestji socjalnej”, sprowadza się właściwie do kwestyi r a c y o n a l n e g o r o z k ł a d u d w u b o g a c t w (stosunku bogactwa twórczego względem wytwarzanego), czyli do kwestyi w ł a ś c i w e g o s t o s u n k u d u s z d o b o g a c t w a.

Niema już chyba takich, którzyby nie dostrzegali stałego zjawiska, któremu na imię w zwykłej mowie „niesprawiedliwość społeczna”; jedni boleją nad niem, inni radziby je usunąć, lecz tu dopiero zaczynają się trudności, nie tylko wykonania, ale choćby sformułowania zasady kierowniczej. Stosunki ludzkie tak są skomplikowane, tyle może być dowolnych interpretacji, tyle niewiadomych, że sumienny badacz spostrzega, iż brak jeszcze podstawy do reformowania złych stosunków. Reformy zaś, dokonywane na oślep, czy na domysł, byłyby raczej niepewnymi i mocno rezykownymi próbami, dokonywanymi na ży-

wym organizmie, niżeli lekarstwem na chorobę niesprawiedliwości społecznej.

Istnieje tedy pałaca potrzeba dociekań, ale zarazem konieczność doskonałego spokoju i bezstronności, takiego spokoju, jakby w tych badaniach nie o nasze najżywotniejsze interesy chodziło. Gorączkowe szukanie zaślepia najczęściej, zwłaszcza gdy przedmiot badania skomplikowany, jak nasz, a mieni się, zależnie od obranego, albo z góry już nam narzucanego punktu widzenia.

---

## XVI.

### O skutkach majątkowego zrównania ludzi.

Myśliciele, nie zdający sobie sprawy z natury twórczości społecznej, wyobrażają sobie, że każdy, kto wznosił się na wyższe szczeble bytu społecznego, musiał ovladnąć tem, co powinno należeć do stojących niżej. Wyobrażają sobie, że wszelki wyzysk społeczny jednych musi opierać się na stracie innych, że wszelkie bogactwo jednych stało się powodem ubóstwa lub nędzy mniej obrotnych lub zabiegliwych.

Nie wniknęli tacy myśliciele należycie w mechanizm cywilizacji, zapominają o tej doniosłej, a przecież elementarnej prawdzie, że materji społecznej przybywa przez stwarzanie jej, nie jest więc ani potrzebne, ani konieczne odbieranie innemu, aby posiadać więcej, niż mają inni. Może to być stworzone na nowo. I w istocie, dopóki cywilizacja wznosi się, póty dzieł ludzkich przybywa daleko więcej niż ubywa. Dzieje się to dzięki działalności tych, którzy łakną tworzenia dla samego tworzenia, jak również więcej tworzą niż trwonią. Tak jedni, jak drudzy pierwiej sami ustępują z powierzchni ziemi, niżeli ich dzieła, często tak wielkie i niewyczerpane, że sami nie mogli nawet części ich przez użycie zniweczyć. Te właśnie dzieła stanowią niby szkielet olbrzymiego jestestwa zbiorowego, niby rafę koralową, którą nowe żyjątka tylko nadbudowują. Ludzie, jak miękkie i znikome żyjątka koralowe rychło umierają, ale

potomstwo ich trwa na miejscu wśród szkieletu cywilizacji. Nowe zatem żyjątka nawet bez dziedziczenia dziedziczą zarówno dobra materialne, jak duchowe i do dawnych dorzucają nowe.

W podobnych warunkach czyż może być mowa o tem, aby wszystko, czem się cieszą więcej posiadający—miało być nieprawnie zagarniętą własnością mniej posiadających? O ile to nie własny dorobek bardziej twórczych, jest to przeważnie dziedzictwo po silnych duchem (rozumem), jest to dzieło dusz wielkich, nie zaś ciał słabych. Są to rzeczy, wydarte przyrodzie siłami samej przyrody za sprawą ducha, nie zaś siłami mięśni maluczkich. O tem należy pamiętać i z tem się rachować.

\* \* \*

Czemże jest w takim stanie rzeczy dążność do zniesienia własności prywatnej i do równego podziału dóbr — co wydaje się niektórym myślicielom nie tylko stosunkiem pożądanym, ale i jedynie sprawiedliwym?

Zdaje się, że wobec nierówności ludzi dynamicznej (twórczej), byłoby ono nie tylko pogwałceniem prawa własności, ale także zaprzeczeniem wolności osobistej.

A jednak wypisywano i wypisuje się jeszcze na sztandarze ludzkości dwa hasła: „Precz z własnością prywatną!” obok żądania „wolności dla wszystkich”.

Trzeba zdumiewającego zaślepienia, aby nie widzieć, że jedno drugie wyklucza. Pod hasłem: precz z własnością, bo ona niesie krzywdę słabszym, przemoc i niewolę — {sankcjonowałoby się przemoc i niewolę, tylko w większych jeszcze rozmiarach.

Jeśli bowiem własność prywatna płynie z prawa rozporządzania sobą, to usiłowanie zrównania własności wszystkich byłoby nie tylko zamachem na własność prywatną, ale nieprzerwanym łańcuchem gwałtów przeciw wolności osobistej, co więcej, gwałtów przeciw wszystkiemu, co nieprzeciętne. Ponieważ zaś bogactwo ludzkie stoi tylko tem, i pomnaża się, że w narodzie istnieje sfera najwięcej przyczyniająca bogactwa, przeto zrównanie ich z najmniej produkcyjnymi, obniżenie

i ztrata, — byłoby ciosem, wymierzonym w samo źródło bytu społecznego i w jego rozwój duchowy i materialny.

Przyjaciół „ludzkości”, dość potężny do odegrania roli niwelatora społecznego, stałby się prawdziwym niedźwiedziem z bajki. Zabiłby wprawdzie muchę niesprawiedliwości na czołe przyjaciela, ale równocześnie zabiłby w nim człowieka. Wypędziłby z ludzi duszę. Zachodziłoby to powoli, ale nieuchronnie. Materialna (więc połowiczna) równość, będąc wynikiem nieprzerwanego łańcucha wywłaszczeń, gdyby mogła być ściśle przestrzegana aż do końca, stałaby się w końcu także i duchową równością — ale w bezsilności.

Wszak najważniejszym źródłem bogactwa są osobniki, które posiadły wielką moc ducha. Wszak źródłem bogactwa jest element psychiczny, wprzęgający samą przyrodę do produkcji bogactwa. Sama praca mięśniowa (nie poparta elementem psychicznym) pozwalałaby człowiekowi zaledwie nie umrzeć z głodu — dawałaby więc tyle właśnie — ile daje zwierzętom. Z chwilą, gdyby największe nawet bogactwo duchowe osobiste zostało zrównane w prawach do owoców własnej wytwórczości z każdym najmniejszym, znikłaby racja dążenia do rozwijania w sobie mocy duchowej, twórczej, nikt bowiem nie pielęgnuje tego, co nie daje korzyści<sup>1)</sup>. Powiedzą nam może, że to już kwestya praktyczna, poprawmy więc wyrażenie „racja dążenia” przez dodanie uwagi, że znikłyby także i warunki istnienia dusz wielkich i mocnych, bowiem one do pojawienia się i trwania potrzebują odpowiedniego środowiska duchowego i materialnego.

Wszystkie więc wysiłki ponad powszedniość, wszystkie protuberancje ducha, główne przyczyny twórcze bogactwa stopniowo malałyby pod obuchem żelaznego prawa równości, ustępując mierności, spadającej coraz niżej, aż do zupełnego zaniku, z drugiej strony z powodu braku warunków do ich istnienia i odtwarzania się. Byłoby to zwycięstwo Pyrrhusowe uniwersalnej pseudosprawiedliwości nad cząstkową niesprawiedliwością, zwycięstwo grubej materji na gruzach ducha, oraz na gruzach materji społecznej.

---

<sup>1)</sup> Za miskę soczewicy prędzej można sprzedać brata swego Abła, niż szukać gorliwie skarbu, który mamy oddać innym.

Wielkie pytanie, czy o takim rezultacie poprawy stosunków społecznych marzyli szlachetni rzecznicy równości materialnego uposażenia.

Jan Jakób Rousseau powiadał, że dobrym jest stan natury, złym stan społeczny z powodu licznych jego stron ujemnych i niesprawiedliwości. Zaiste, jeśli chodziło o pozbycie się stanu społecznego, wówczas idealne zrównanie materialne byłoby wyborym do tego sposobem, ale kto ciekaw rozkoszy dobrego „stanu natury” niech o nie zapyta lepiej przyrodników, niżeli marzyciela. Zdaje się, że powracając do stanu natury, ludzie wpadliby tylko, jak z deszczu pod rynnę.

Cierpienia, związane z bytem społecznym, nie znikłyby, bo to nieodłączne towarzysze nawet z zwykłego życia, na równi z rozkoszą. Zabrakłoby jedynie statystyków, kronikarzy i spektatorów wiecznie jednakowego na świecie widowiska. Znikłoby tylko skomplikowanie cierpień i nieszczęść, zabrakłoby świadomości rejestrującej zło i dobro, ale same nieszczęścia i rozkosze wypełniłyby i nadal czarę wszelkiego życia, bo życia bez czucia żaden filozof nie zdoła sobie wyobrazić, czuć zaś można tylko na przemian przyjemność i przykrość, rozkosz i ból. Niemasz życia, któreby dawało wyłącznie tylko czucia miłe. Niema mocarza, któryby mógł zapewnić samo szczęście, samo zadowolenie. Tępicielem nierówności materialnej byłby tylko niwelatorem wyższych rozkoszy i cierpień do poziomu mierności; odbierałby wyższe dobra, nie usuwając mimo to cierpień i nieszczęść.

\* \* \*

Aby ocenić w pełni doniosłość czynnika psychicznego, którego nasi wielcy ekonomiści szkoły materialistycznej nie uwzględnili, a zarazem ocenić zawilość zagadnienia własności indywidualnej,—czyli prawa do owoców własnej pracy—ośmielimy się użyć przykładu i przypomnimy pewnego człowieka, który raz zawołał: „dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię!”

Nie był to wcale waryat lub zwykły marzyciel, nie miał także siły fizycznej większej „od przeciętnej siły roboczej”

ludzkiej. Przyszedł mimo to do przekonania, że własną siłą fizyczną i sam jeden zdołałby podważyć ziemię, byleby tylko miał punkt oparcia i drąg dostatecznie długi.

Nie ulega wątpliwości, że gdyby mu dano warunki, których żądał, spełniłby, co zamierzał, wykonałby sam jeden (przy pomocy drąga) pracę, której zjednoczone siły fizyczne całej ludności ziemi, pomnożonej przez milion, jeszczeby nie podolały, nawet mając punkt oparcia.

Oczywiście człowiekowi temu nie dano warunków, bo przynajmniej jeden na zawsze zostanie niepodobieństwem fizycznym (punkt oparcia zewnątrz ziemi), więc ziemia nie została i nigdy nie zostanie przez człowieka wyważona z orbity. Zdawałoby się, że ostatecznie nic on nie zrobił więcej ponad to, co zrobiło bardzo wielu innych ludzi, zdawałoby się, że zwolennicy pojęcia „pracy przeciętnej” mogą tryumfować, lecz praca Archimedesesa nie spełzła tak na niczem, jak się wydaje.

Trudno wyrachować, ile to już bilionów kilogramów materii podniosła ludzkość w górę i to darmo przez zastosowanie praktyczne i świadome prawa fizycznego, które odkrył i sformułował dokładnie ten człowiek o przeciętnej sile roboczej mniejszej od sił zwykłego chłopca. Trudno wyrachować, ile trylionów „jednostek pracy” martwych sił przyrody ludność ziemi wprzęgła już darmo do produkcji swego bogactwa dzięki zasadzie, sformułowanej przez Archimedesesa.

Na czymże polegała jego zasada? Na spostrzeżeniu fizycznym, które da się sformułować w ten sposób, że człowiek potrzebuje do wykonania jakiejś pracy fizycznej tem mniej siły własnej, im więcej sił przyrody wprzęgnie do pomocy.

Ponieważ drąg, mianowicie sztywność jego jest siłą przyrody, przeto potrzebował on dostatecznie wielkiej a posłusznej sobie siły przyrody do tego, aby, dołączywszy do niej swoją wątłą siłę fizyczną i wolę wykonać zadanie o miliardy razy przerastające jego siły fizyczne.



Można jednak i trzeba zapatrywać się na drąg jeszcze z innego punktu widzenia. Drąg jest narzędziem, a narzędzie w ekonomii nazywają kapitałem, wynaga więc on, oprócz punktu oparcia, tylko dostatecznie wielkiego kapitału i z jego udziałem czuł się na silach wyważyć sam jeden choćby ziemię całą z jej orbity. Zatem potrzebował bądź przyrody bądź kapitału odpowiednio wielkich

Jeżeli miał słuszność to skutki osobistej pracy jednego człowieka mogą przewyższać o miliardy razy skutki pracy innego osobnika, zależnie od tego, jaka ilość bądź sił przyrody, bądź kapitału dopomaga mu w pracy.

Zachodzi więc pytanie: jak mamy zapatrywać się na wynik takiej działalności złożonej; czy cały wynik mamy przypisać jemu samemu, czy też tylko tę część, która płynie bezpośrednio z jego własnej siły fizycznej, zużytej na wykonanie zadania? Jest to pytanie ważne, bo zasadnicze.

Rozwiązanie jego zależy od tego, czy człowiek przybrał do pomocy niczyje siły przyrody, czy też kapitał, a więc, czy pomoc sam sobie przybrał, czy mu jej dostarczono?

Gdyby np. Archimedesowi udało się znaleźć w przyrodzie drąg dostatecznie długi i drągiem tym wyważyć ziemię z jej orbity, wówczas pełny wynik należałoby przypisać jemu samemu, bo siły przyrody były ślepe, bierne i tylko posłuszne woli Archimedesesa. Przecież byłoby nonsensem utrzymywać, że ziemia sama się wyważyła ze swej orbity, gdy dokonało się to dopiero w chwili, gdy Archimedes postanowił ją wyważyć i przyłożył do tego skutecznie swą rękę.

Ale możliwa jest i druga ewentualność.

Wyobraźmy sobie, że Archimedesowi, albo też prostemu robotnikowi dano drąg dostateczny i polecono wykonać zadanie—on zaś je wykonał. Komuż będzie świat zawdzięczać wykonanie tak wielkiej pracy? Człowiekowi, naciskającemu drąg, czy kapitałowi? Tu nie będzie już wątpliwości i każdy przyzna, że dzieło zostało wykonane przeważnie przez kapitał, a dopiero w drobnej części przez władającego drągiem.

A przecież, stojąc na gruncie klasycznej koncepcji „pracy ludzkiej” wypadłoby utrzymywać zarówno w pierwszym, jak drugim przypadku, że to „praca” działającego drągiem wyważyła ziemię. I tu bowiem „praca” i tam „praca” tej samej osoby. Czyż obie prace byłyby sobie równe?

---

## XVII.

### **Czy korzyść jednych musi się koniecznie opierać na stracie innych?**

Gdyby produkty ludzkie były tylko przyrodą, połączoną z poziomą pracą ludzką własną i niczem więcej, wówczas, wobec trudności trafnego oceniania nawet produktów własnej pracy, cóż [zaś dopiero produktów cudzych, o których wytwarzaniu słabe mamy pojęcie, rzadko zdarzyłyby się zamiany, nie przynoszące straty jednej ze stron. W ogromnej większości przypadków wymiana produktów ludzkiej działalności kończyłaby się, nawet bez zlej woli, zyskiem tylko jednej strony, stratą zaś drugiej. Bystrzejszy lub przebieglejszy zyskiwałby najczęściej, słabiej orjentującemu się groziłoby wyczerpanie sił i rychła niemożność prowadzenia wymiany. Korzyść zresztą zamiany zawsze byłaby niewielką. W rezultacie zamiany musiałyby się dokonywać z największą ostrożnością i nieufnością, oraz jedynie w granicach konieczności — a pomimo to nie tylko względna równość posiadania, ale powszechne ubóstwo byłyby stałym i normalnym zjawiskiem bytu społecznego.

Więcej jeszcze. Ponieważ owoce pracowania zawsze byłyby skromne, przeto musieliby pracować wszyscy, prócz dzieci, chorych i starców. W tych warunkach uboższymi musieliby być stale ci, którzy posiadają więcej dzieci, starców lub chorych, zamożniejszymi mogliby być jedynie nieobarczeni takim ciężarem. W rezultacie unikanoby utrzymywania dzieci, postarzałych rodziców i chorych, większość ginęłaby też z bra-

ku środków do życia. Próźniacy i niedołęgi nietylko nie byliby cierpieni, ale wogóle nie mieliby dostatecznych podstaw bytu. Utrzymywałyby się też stale znaczna równość posiadania przy bardzo słabym przyroście ludności i okrucieństwie obyczajów.

Znaczniejsze bogactwo byłoby zjawiskiem wprost nieznanem, naprzód dla tego, że dojście do niego byłoby niezmiernie trudne nawet dla bardzo pracowitego i przebiegłego, powtóre, że możnaby się bogacić tylko zbyt wyraźną krzywdą innych, więc rychło bogaty obudziłby czujność wyzyskiwanych, oraz ich nienawiść, potrzebie, że w takich warunkach bogaty musiałby się wprost ukrywać ze swem bogactwem, co odebrałoby mu większą część racyi bogacenia się, wreszcie, że posiadanie większego bogactwa nie byłoby cierpiane, jako jawne i ciężkie przestępstwo wobec innych.

Takie stosunki, z pewnemi wyjątkami, polegającemi na istnieniu władzy jednostki, nie są rzeczą nieznaną. Życie ludów, pozostających w tak zwanym stanie „dzikości” daje ich obraz dość wierny. Ani się one nadto mnożą, ani jednostki bogacą, rola zaś starców jest nie do pozazdroszczenia. Przyczyna tego wszystkiego w słabej wydajności pracy wszystkich, uwarunkowanej powszechną ciemnotą, powszechną drobnością dusz.

Sam więc fakt, że stosunki społeczne w bardziej oświeconych społeczeństwach nigdy nie układały się w wyżej wskazany sposób, dowodzi, że założenie co do natury samej „pracy” musi być nieprawdziwe.

Wiemy już dobrze, w czem ono chybia, lecz aby postępować systematycznie, nie zawadzi podnieść jeszcze raz pytanie: dla czego tak chętnie zamieniamy się własnościami? Po co bierzemy od innych, gdy musimy równocześnie dawać? Czy nie prościej byłoby nic nie brać i nic nie dawać?

Nie lękajmy się z powodu tak prostego pytania krążenia w kółko. Powrót nasz do punktu wyjścia nie będzie rozpoznaniem tego samego. Nasz temat ma tyle stron, że nie podobna rozpatrzyć wszystkich za jednym zamachem. Teraz chodzić będzie nam o uwydatnienie tej właściwości bogactwa, że musi ono krążyć od ludzi do ludzi, albowiem tylko krą-

zenie jego może zaspokajać nasze potrzeby, z drugiej zaś strony, że tylko zamiana pozwala nam brać więcej niż dajemy i to bez krzywdy oddającego. Gdyby inaczej być miało, mielibyśmy prawo wręcz utrzymywać, że wszelkie zamiany pozbawioneby były sensu.

Wyjaśnienie, że zysk jednych bez krzywdy innych jest normalnem zjawiskiem społecznem, będzie celem niniejszego rozdziału. Przyczyna tak dziwnego zjawiska leży w samej naturze bogactwa i w podstawowych właściwościach duszy.

W tem miejscu musimy przypomnieć (p. rozdz. II), że bogactwo to nie prosty zapas środków, zaspokajających poziome potrzeby, ale ogromna różnorodność, zaspokajająca potrzeby zarówno poziome, jak szczytne.

Gdy raz zjawiała się różnorodność przedmiotów i potrzeb, musiała się ona zwiększać, albowiem nowe przedmioty wywoływały nowe pożądania, nowe zaś pożądania, powoływały do istnienia znowu coraz inne przedmioty. Zjawił się łańcuch nieprzerwany przyczyn przeobrażających się w skutek i skutków, przeobrażających się w przyczyny.

Narzędzia pierwotne poczęły się tu i owdzie doskonalić pod wpływem doświadczenia, zwiększając niejednakowość osobników funkcjonalną. Z upływem wieków dzieła ludzkie stawały się coraz różnitsze.

Pożądamy niekiedy tego, cośmy sobie tylko wyobrazili ale najczęściej tego, co istnieje i o czem wiemy, że jest miłe lub użyteczne. Dzieła więc ludzkie, będące w posiadaniu innych, stają się przedmiotem pożądania wielu tych, którzy nie umieją ich sporządzić, ale widzą u innych. Aby osiąść taki przedmiot, muszę go dostać od wytwórcy lub posiadacza. Najprostszą drogą byłoby wprawdzie odebranie przedmiotu pożadanego, ale to, droga pozornie tylko najprostsza, zwłaszcza w stosunkach pierwotnych. Odbieranie pociąga za sobą walkę i ryzyko niepowodzenia, kalectwa lub śmierci, w najlepszym zaś razie odwet. O wiele dogodniejszą drogą jest oddanie wzamian czegoś, czego ktoś pożąda, lub co mu może być użyteczne.

Gdy raz zadzierzgnęła się między osobnikami wymiana dobrowolna, ustaliła się ona rychło jako najłatwiejszy sposób zaspokajania pożądań.

Komplikowanie się przedmiotów użytecznych oraz potrzeb potoczyło się odtąd niepowstrzymanym pędem i toczy się nadal z rosnącą szybkością. Ludzie z nieufnych i wrogów—stali się coraz użyteczniejszymi sobie i przestali się unikać właśnie dlatego, że jeden umie to, czego inny nie umie — i że wymieniają między sobą owoce nie tyle swej pracy, ile umiejętności. Dzięki takiej metodzie zaspokajania pożądań, stali się oni specjalistami w wytwarzaniu, a (mniej więcej) uniwersalnymi w używaniu. Taki jednak ich charakter mógł się wykształcić tylko na skutek niejednakowości duchowej, wcale zaś nie, jak dawniej mniemano, na skutek wymiany usług i wytworów, albowiem sama wymiana jest już skutkiem niejednakowości funkcjonalnej. Wymiana wydaje nam się tylko skróconą aż do zneutralizowania formą obustronnej grabieży. Ja od ciebie biorę twoją własność, którą chcę posiadać — oto formuła pierwotna obu stron, ukryta na dnie ich dusz. Zamiast zaś brać siłą lub podstępem czyli płacić stratą czasu, walką, guzami, zamiast narażać się przytem na niepewne losy walki oraz na utratę w blizkiej przyszłości tą samą drogą mego własnego dobra, zamiast narażać własne bogactwo i narzędzia pracy na prawdopodobne zniszczenie w procesie odbierania, daję ci odrazu to, co chcesz odemnie wziąć, aby być zaspokojonym, daję ci moją własność. Na tem tle zawiązuje się specjalna postać szczątkowa walki, pozbawiona jednak jej grozy, targ.

Wprawdzie głównym motywem zamiany jest zdobycie przedmiotu użytecznego, dodatkowym jednak celem jest jeszcze elementarna chęć egoistyczna zapłacenia jak najmniej, czyli zdobycia więcej, niżeli sam daje.

I właśnie ta dążność znajduje pełne zaspokojenie przy większej części wymian i to bez wiedzy zamieniających się. Sama natura ustroju społecznego daje ludziom ten dziwny benefis.

Dlaczegoż tranzakcje wymienne nie wymagają bardzo dokładnego rachowania się z własną pracą, włożoną w pro-

dukt? I dlaczego wielkie przynoszą korzyści? Dla tego, że obok materji, której dostarczyła darmo przyroda i obok własnej pracy producenta, każdy niemal produkt pracy ręcznej zawiera jeszcze w sobie pewną ilość <sup>1)</sup> pracy martwych sił przyrody, wprzęgniętej do produkcji przez „siły psychiczne”.

Jeżeli więc Paweł zamienił niebacznie owoc 10 godzin pracy własnej na owoc 7-miu godzin pracy Gawła, to powierzchownie biorąc, transakcja dała Pawłowi dotkliwą stratę trzech godzin jego pracy, w gruncie jednak rzeczy stosunek ten może się przedstawiać wcale nie tak źle. Najczęściej, mimo tak niekorzystnego wyniku, żadna ze stron nietylko nic nie traci, ale obie dużo zyskują. Aby to dostrzedz, trzeba wprowadzić do rachunku pracę ludzką oszczędzoną w produkcji umiejętnej. Wyobraźmy sobie, że Paweł i Gaweł zamienili się wytworami, sporządzonemi przez każdego z nich osobiście, ale przy pomocy niejednakowych narzędzi sztucznych. Wówczas Paweł oddał owoc 10-godzinnej pracy własnej, ale dokonywanej przy pomocy narzędzi oraz wprawy osobistej, które mu oszczędziły dajmy na to 50 godzin pracy. Oddał on tedy za wyrób cudzy ekwiwalent 60 godzin pracy własnej bez narzędzi.

Gaweł znowu oddał owoc 7 godzin pracy własnej, ale narzędzia jego i wprawa oszczędziły mu przytem 45 godzin pracy, oddał więc ekwiwalent 52 godzin pracy własnej bez narzędzi. Gdy uwzględnimy ostatnie cyfry, to okaże się, że Paweł nietylko nie stracił 3 godzin pracy, lecz nawet pięciokrotnie zyskał, gdyż za 10 godzin pracy własnej otrzymał przedmiot, mający dla niego osobiście wartość co najmniej 52 godzin pracy.

Transakcja przedstawia się tedy, jak następuje:

Paweł wydał 10 godzin pracy za rzecz, któraby go kosztowała co najmniej 52 godzin własnej pracy. Zyskał więc 42 godzin pracy.

Gaweł wydał 7 godzin pracy za rzecz, któraby go kosztowała co najmniej 60 godzin pracy. Zyskał 53 godzin.

---

<sup>1)</sup> Często bardzo znaczną.

Paweł stracił pozornie 3 godziny, rzeczywiście jednak zyskał co najmniej 42 godzin.

Gaweł zyskał pozornie 3 godziny, naprawdę zaś zyskał co najmniej 53 godzin.

Zysk obu wprowadzie bardzo jest nierówny, ale o rzeczywistej stracie nie może być nawet mowy.

Zamiana mogłaby się odbyć jeszcze niekorzystniej dla Pawła, np. mógłby on wydać nie 10, ale nawet 50 godzin pracy własnej, i jeszcze nie straciłby na czysto, albowiem zostałoby mu 2 godziny własnej pracy oszczędzonej. Jedynie zysk jego byłby znacznie mniejszy od zysku Gawła.

Wyraziliśmy się tutaj, że Paweł dostał przedmiot, mający dlań wartość co najmniej 52 godzin pracy. Wypada powiedzieć, co ma za znaczenie słówko „co najmniej“. Otóż Gaweł oszczędził samemu sobie 45 godzin pracy (gdy wkładał własnej tylko 7), Pawłowi oszczędził on niewątpliwie jeszcze znacznie więcej. Gdyby bowiem Paweł chciał sam sporządzić taki przedmiot, to nawet przy posiadaniu narzędzi Gawła, ale bez jego znajomości rzeczy, bez wiadomości skąd brać materiały surowe i t. d., napracowałby się jeszcze znacznie dłużej, zepsułby dużo materiałów i otrzymałby wytwór o wiele mniej doskonały, prawdopodobnie zaś wcaleby go nie zdążył sporządzić. A cóż dopiero wypadłoby—gdyby Paweł musiał w pierw zdobywać sam narzędzia, potrzebne do wytworzenia produktu Gawła.

W rzeczywistości tedy stosunek zamienny przedstawia się jeszcze znacznie korzystniej dla obu. Paweł wydał 10 godzin pracy własnej umiejętności za to, na co nie wystarczyłoby mu może nawet sto, dwieście lub więcej godzin pracy przy narzędziach Gawła, ale bez jego znajomości rzeczy. Otrzymał więc przedmiot pożądania za bezcen. Gaweł wydał 7 godzin pracy za przedmiot, którego by nie sporządził choćby pracował sto, dwieście, lub więcej godzin, przy narzędziach Pawła, ale bez jego znajomości rzeczy, otrzymał więc również przedmiot pożądania swego za bezcen. Ponieważ zaś nabycie narzędzi nie opłaciłoby się żadnemu do produkcji na osobistą tylko potrzebę, więc albo koszt własny byłby

jeszcze bez porównania wyższy, albo wypadłoby się całkiem obejść bez przedmiotów pożądaných. I tylko skutkiem takiego stosunku pracy wydanej do pracy, która musiałaby być wydana, gdyby każdy pracował dla siebie, ogólna suma bogactwa produkowanego przez ludzi może rozrastać się, nawet pomimo rozrzutnego zużycia. Dopiero gdyby ludzie nie mogli działać inaczej, jak tylko siłami i organami własnego ciała, choćby zresztą jeszcze przy pomocy pewnych narzędzi, mało udoskonalonych, bo dość uniwersalnych, wówczas produkcya ich pokrywałaby zaledwie najniezbędniejsze potrzeby.

Dzięki zaś wyspecjalizowanym narzędziom sztucznym, podziałowi pracy i wymianie, ludzie pracują coraz owocniej i każdemu dość łatwo zbywa znaczny nadmiar, coś jakby owoc specjalnych uzdolnień, przyrost, darowany mu przez przyrodę dzięki interwencji jego duszy.

Stosunek ten maluje się dobrze w pospolitem wyrażeniu, że ludzie wymieniają między sobą przeważnie płody „przemysłu”. Są to istotnie owoce ich przemysłiwania, myślenia, nie tylko zaś pracy fizycznej.

Naszkiecowailiśmy tu stosunek wymienny w najprostszycjch jego zarysach, bez pretensji do poruszania skomplikowań, które wytwarza daleko idący podział pracy, coraz większe różnicowanie się uzdolnień <sup>1)</sup>, powstawanie narzędzi coraz bardziej złożonych, zrzeszanie się celem wykonywania dzieł bardzo złożonych i wielkich oraz celem coraz bardziej masowej i maszynowej produkcji i t. d.

W tej chwili chodzi nam jedynie o uwydatnienie tego faktu, że przy specjalizacji pracy i wymianie produktów albo usług, każdego cena (nie tylko monopolowa i amatorska, nie tylko normalna rynkowa, ale nawet najbardziej wygórowana rynkowa), którą płacimy (w warunkach normalnych) za cudzy wyrób (bądź jednostki bądź grupy) jest o wiele niższa od tej, którą byśmy musieli zapłacić pracą własną i własnym przemysłem.

---

<sup>1)</sup> Albo trafiający się często brak specjalnych uzdolnień lub narzędzi.



Innemi słowy, każda rzecz, którą własnowolnie otrzymujemy drogą wymiany, bywa dla nas o wiele cenniejszą (oczywiście w różnym stopniu) odrzeczy, którą oddajemy. Zawsze wyroby obce nabywamy zbyt tanio w stosunku do (objektywnej i subiektywnej) wartości, jaką mają one dla nas<sup>1)</sup>.

To jest cecha zamian normalnych. Rzecz prosta, że zdarzają się często zamiany, w których tylko jedna strona odnosi korzyść, ale są to wymiany, dokonywane w wyjątkowo niekorzystnych warunkach i nie mogą świadczyć przeciw zasadzie. Jednak ponieważ się zdarzają, zjawia się potrzeba oceny obu produktów, potrzeba porównywania ich wartości.

Gdy jedna ze stron bywa pokrzywdzoną, mówimy wtedy, że jeden oddał drugiemu „wartość” większą od otrzymanej. I oto zjawia się tajemnicze, a doniosłe słówko „wartość” obok pragnienia posiadania miary, któraby pozwoliła przy wymianach oddawać możliwie równe wartości.

---

## XVIII.

### Zagadnienie wartości.

Sam fakt, że pytamy o miarę wartości, że jej szukamy, pomimo, że zamiany dokonywają się od najbardziej zamierchłej przeszłości, — sam fakt, że co moment stajemy bezradni, nie wiedząc czy przedmioty, które bierzemy warte są odda-

---

<sup>1)</sup> Gdybyśmy się zaś uparli przy zdaniu, że w towarach nabywamy pracę, to należy pamiętać, że nie może to być nabywaniem pracy cudzej, ale raczej własnej, zaoszczędzonej nam, za sprawą władz psychicznych producenta. Gdy zaś obaj wymieniający są najczęściej w tem samem położeniu, łatwo zrozumieć, że obaj odnoszą korzyść, żadnej nie ponosząc straty.

wanych wzamian<sup>1)</sup>, sam ten fakt dowodzi jaskrawo, że zamieniamy się po większej części na oślepy, że nie znamy zasady, któraby powinna przewodniczyć tego rodzaju aktom.

Człowiek nieobeznany z literaturą ekonomiczną słusznie może doznać zdziwienia, gdy się dowie, że kwestya wartości oddawna już urosła do godności całej osobnej „nauki o wartości”, zdziwiłby się zaś jeszcze bardziej, gdyby mógł się przekonać, ile to już wygłoszono przeróżnaitych „teoryi wartości”, ile włożono mozolu w ten pozornie prosty temat, wreszcie, gdyby się dowiedział, że dotychczas żadna z wyłożonych teoryi nie dostąpiła uznania powszechnego,

Każdy z autorów zapowiadał z radością i dumą koniec wątpliwości, niejeden głosił już tryumfalnie upadek poprzednich teoryi niedoskonałych, kończył jednak sam na braku uznania i zapomnienia. John Stuart Mill był święcie przekonany, że „w prawach wartości niema już nic, coby wymagało obecnie lub w przyszłości jakiegokolwiek jeszcze wyjaśnienia”<sup>2)</sup>, ale wyjaśnienia sypią się wciąż jeszcze, co zaś gorsza, nie wiele wyjaśniają.

Oto przyczyna, dla której unikaliśmy dotychczas samego wyrazu „wartość”, pomimo, że już kilkakrotnie narzucała się jaskrawo jego potrzeba; unikaliśmy zaś dlatego, że bez bliższego omówienia przyszłoby znowu operować słowem, pod które łatwo podłożyć treść dowolną, coby prowadziło do wzajemnej niezrozumiałości. Zlebyśmy powiedzieli, twierdząc, że „niema bodaj wyrazu, któryby nastroczał więcej nieporozumień, albowiem takich wyrazów w każdej nauce iest mnóstwo, ale nawet dziś jeszcze można powtórzyć znamienne słowa Ricardo, że „znikąd nie wpłynęło tyle błędów w nauce ekonomii, co z powierzchownego i niedokładnego wykładania wyrazu wartość”<sup>3)</sup>, Wyraz ten do dziś nie ma jednego znaczenia, pomimo, że bardzo wielu tęgich ekonomistów zajmowało się pilnie

---

<sup>1)</sup> Gdybyśmy się wyrazili inaczej, mianowicie: „czy warte są tyle ile oddawano w zamian“ już uprzedzalibyśmy odpowiedź, gdyż kierowalibyśmy ją na drogę ilości, gdy wartość jest równocześnie j a k o ś c i ą.

<sup>2)</sup> J. St. Mill. Principles. III. rozdz. I.

<sup>3)</sup> Ricardo. Principes de l'économie politique... t. I, str. 8.

kwestią wartości i pomimo, że losy całych systemów ekonomicznych zależą od takiego lub innego tłumaczenia wartości.

Dawno już temu jeden z ekonomistów (C. A. Schramm) słusznie powiedział np., że „jeżeli teoria wartości Marxa jest prawdziwa, to dalszym jego wnioskiem nic zarzucić nie można, jeżeli jednak jest błędna, to cały system Marxa upada”. Słowa jego można zastosować i dziś nie tylko do teorii Marxa, ale do wszystkich ekonomicznych, i tylko podziw bierze, czemu tak długo utrzymują się wątpliwości, pomimo dociekań tylu głów dzielnych?

Czemu? Z pewnością dlatego, że obok istotnych trudności natury filozoficznej za mało baczono, aby naukową treść jego określić ściśle, więc często spierano się o wyraz, w przekonaniu, że o treść inną chodzi.

Natworzono już tyle rodzajów i odmian wartości w samej ekonomii, pomijam już że i w filozofii niema zgody na punkcie pojęcia wartości, — że nawet historykowi ekonomii trudno się w tem orientować. Jest już kilkadziesiąt teorii wartości z których niektóre pozornie podobne do siebie, z powodu jednakowej nomenklatury, w istocie rzeczy są zupełnie różne, inne znowu bywają ze sobą pokrewne mimo pozornej odmienności. Wychodzą one z najrozmaitszych założeń ale i te, które opierają się na jednakowych różnią się między sobą. W końcu doszło do tego, że krytyczni badacze, jak np. Gottl<sup>1)</sup>, uznali wartość wprost za wyraz bez treści, bezpotrzebnie wprowadzony do ekonomii.

Sąd ten godny jest uwagi z tego powodu, że z rozbioru Gottla okazuje się, iż większość autorów mówi o „wartości” jako o czemś powszechnie znanem i jednak o rozumiałem dla wszystkich, i dla tego uważają oni za zbyteczne dawanie dokładnego określenia własnego pojęcia. Tymczasem, jeśli wyrozumieć starannie: co który z autorów rozumie pod tym wyrazem, okazuje się najzupełniejsza rozbieżność w poj-

---

<sup>1)</sup> Gottl. Der Wertgedanke, ein verhülltes Dogma der Nationalökonomie. Kritische Studien zur Selbstbesinnung des Forschens im. Bereiche der sogenannten Wertlehre (Staatwissenschaftliche Studien). 1897.

mowaniu „wartości”. Nie istnieje nic tak określonego i wspólnego, co by mogło być uważane za ogólnie znany przedmiot tego wyrazu.

Poruszać w tak fatalnych warunkach kwestyę wartości nie należy do zadań wdzięcznych, gdy jednak niepodobna jej pominąć, z drugiej zaś strony, gdy nie chcemy zapuszczać się ponad konieczną potrzebę w rozbiór krytyczny, obierzemy drogę najkrótszą. Zaznaczamy istnienie we współczesnej nauce dwóch biegunowo przeciwnych sobie pojęć wartości, będących osią wszystkich pojęć szczegółowych.

Rozpatrzymy

wartość przedmiotową

i wartość podmiotową.

Obie bywają dzielone na użytkową i zamienną. W ten sposób będzie to już rozpatrzenie czterech zasadniczo różnych pojęć:

- 1) wartości przedmiotowej użytkowej
- 2) „ „ „ „ zamiennej
- 3) wartości podmiotowej użytkowej
- 4) „ „ „ „ zamiennej.

Wartości te w rozmaity sposób płaczą się ze sobą u różnych autorów. U jednych pierwsza z wymienionych (przedmiotowa użytkowa) stała się filarem całej budowy, ale zdaniem innych, ta właśnie wcale „nie wchodzi w zakres nauki gospodarstwa społecznego, gdyż oznacza tylko zdolność faktyczną dobra czy usługi do zaspokojenia potrzeb ludzkich”<sup>1)</sup>. Natomiast trzecia (podmiotowa użytkowa) ma być „najważniejszą, albowiem na niej opierają się wszystkie inne rodzaje wartości”<sup>2)</sup>.

Czemże ona jest? Jest ona „znaczeniem, jakie przyznaje gospodarz dobru lub usłudze ze względu na swe własne potrzeby”<sup>3)</sup>.

W oczach zwolennika takiej wartości podmiotowej „użyteczność przyrodnicza” czyli wartość przedmiotowa użytkowa nie ma użyteczności ekonomicznej, albowiem ona „znika

---

<sup>1)</sup> Karol Gide. Zasady Ekonomii społecznej. Przekł. polsk. Warszawa 1913, str. 81.

<sup>2)</sup> I. c. str. 81.

<sup>3)</sup> I. c. str. 81.

całkowicie, gdyśmy się nasycili przedmiotem, albo gdy mamy go w nadmiarze”<sup>1)</sup>, Wychodzi więc na to, że wartość dóbr zmniejsza się — gdy zwiększa się ich ilość, oraz odwrotnie, a tymczasem tu zmniejsza się tylko pożądanie, ze względu na łatwość otrzymywania. Powiedziałbym jeszcze zmniejsza się cenność przedmiotu. Ale tu nie mowa o wartości przedmiotowej, bo wypadłoby wtedy utrzymywać, że im naród więcej dóbr wytwarza, tem mniej wytwarza wartości, a przecież same dobra są także wartością.

Zdawałoby się, że dla wyznawców takiej teorii wartości (podmiotowej) jedyną wartością będzie już użyteczność, ale gdzie tam. Oni wynaleźli jeszcze jakąś inną wartość. „W praktyce, mówi Gide, najważniejszą jest wartość wymienna”<sup>2)</sup>, ale nie tyle znaczenie „ze względu na potrzeby cudze“ (wartość czwarta), ile wartość targowa, czyli cena (wartość druga).

Najważniejszą więc w praktyce wartością, jest dla nich to, co nie jest wcale wartością, bo jest ceną! „Nie mniej jednak, ciągnie dalej ten sam autor, nie należy mieszać ceny z wartością, jak to czyni lud<sup>3)</sup>, bo „cena jest oznaczeniem wartości jednego przedmiotu wartością drugiego”<sup>4)</sup>. Zatem cena jest i nie jest wartością! Jest niby wartością drugą (zamienną) — choć nie leży w przedmiocie samym, lecz tylko w usłudze doraźnie ocenionej i zapłaconej na mocy prostej zgody stron obu, wynikłej ze wzajemnych ustępstw.

Już tej próbki dość, aby zrozumieć, ile trzebaby trudu i cierpliwości, aby wyłożyć pokrótce, a zrozumiale choćby kilkanaście główniejszych teorii, po to tylko, aby spostrzedz, że w każdej jest trochę słuszności, ale jeszcze więcej przeczeń. Przy stałem upośledzeniu bądź jednej bądź drugiej ważnej strony, można było zbudować wiele dowcipnych i pozornie logicznych konstrukcyj, ale każda już w założeniu nosiła wyrok śmierci, będąc w niezgodzie z rzeczywistością, którą miała tłumaczyć.

---

1) I. c. str. 85.

2) I. c. str. 104 — 105.

3) I. c. str. 121.

4) I. c. str. 125.

Najprościej też będzie rozpatrzeć tylko dwa biegunowo przeciwne sobie pojęcia, bo wszystkie teorie dadzą się sprowadzić do tych dwóch pojęć.

---

## XIX.

### Jak się płacze wartość z użytecznością.

Najwięcej zamętu wniosła do sprawy wartości dwuznaczność tego słowa w pospolitem użytkowaniu<sup>1)</sup>.

Jeżeli coś jest mi użyteczne, potrzebne, pożądane, miłe, powiadam zwykle, że to ma dla mnie wartość, albowiem „pozbawionemi wartości” są dla nas rzeczy niepotrzebne. Użyteczność tedy i pożądalność schodzą się z praktycznym pojęciem wartości tak prosto i łatwo, że już pierwsi ekonomiści (jak Condillac) tłumaczyli wartość przedmiotów — ich użytecznością.

Jednak dość zadać sobie pytanie, czy taka wartość, równa użyteczności, tkwi w przedmiotach, aby zrozumieć, że ona nie jest wcale tem, czego od wieków szukają myśliciele. Oni szukają wartości, tkwiącej w samych przedmiotach, wartości, która nie zależy od naszych sądów. Otóż, jeżeli jeden i ten sam przedmiot może mieć w tym samym czasie różny stopień użyteczności dla różnych ludzi oraz dla mnie samego w różnym czasie i okolicznościach, jeżeli może mieć dla jednego wartość, a dla innego wcale nie mieć wartości, czyli równocześnie może mieć wartość i nie mieć jej, — to łatwo przyjść do przekonania, że taka wartość jest tylko sądem (sądami) o ich użyteczności. Będzie ona właściwie pożądalnością. Pożądalność, pragnienie przedmiotów, tkwi w ludziach nie w przedmiotach, a więc i „wartość” użytkowa, tkwi w duszy pożądającego, i w każdej może przedstawiać się cokolwiek inaczej bez względu na istotną wartość tych przedmiotów i na ich cenę.

---

<sup>1)</sup> A nawet, jak się później przekonamy, trójznaczność.

Wartość drugą, wewnętrzną, prawdziwą, chcemy pojmować jako własną wartość rzeczy — bez względu na rodzaj użyteczności, jako też na niejednakowy stopień pożądania. Inaczej dochodzilibyśmy do tak dziwacznych sądów, jak np., że ten sam chleb miałby większą wartość na stole ubożego, niż na stole bogacza. Gdy zaś wyższa wartość powinna pociągać za sobą wyższą zapłatę, wypadłoby kazać ubogiemu więcej płacić za chleb, niż bogatemu, bo pierwszy silniej pożąda chleba, niż drugi. Jednak tak się nie dzieje. Obaj, mimo różnic pożądalności płacą za chleb jednakowo.

Komu więc potrzebne takie pojęcie wartości, które nie pociąga za sobą szacowania przedmiotów według naszych sądów o ich „wartości”? W pytaniu, któreśmy w tej chwili rzucili, już tkwi moment, pobudzający nas do poprawki wyrażenia. Odruchowo chce się odrzec, że tu nie o wartości wewnętrznej chleba mowa, lecz tylko o jego pożądalności. I zaraz wychodzi na to, że trzeba rozróżniać jakieś dwie odmienne wartości. Bo przecież nie tylko w ekonomii, ale i w życiu praktycznym przy zamianach przedmiotów, które z zasady muszą być do siebie niepodobne, chodzi o porównywanie wielkości ich wartości, dla uniknięcia omyłek oraz strat. Nie trzeba zaś długich namysłów, aby spostrzedz, że użyteczność i pożądanie za taką miarę służyć nie mogą. Niechże kto określi stały stosunek wymienny, ilościowy, między najniepodobniejszymi przedmiotami codziennej i niecodziennej potrzeby.

Usiłowano to czynić przez jakieś stopniowanie użyteczności bądź na podstawie rzadkości przedmiotów (Walras, Senior), bądź słabszej lub silniejszej potrzeby czyli pożądania (Menger i jego szkoła „użyteczności krańcowej”), ale są to wysiłki nienaturalne, rozumowania naciągane, istne roboty teoretyków z za zielonego stolika, którzy budują teorię naprzekór rzeczywistości.

Pożądalność, jako zjawisko w najwyższym stopniu niestałe, względne, nie mogło zadowolnić umysłów, szukających w zawiloci zjawisk prostoty. Wciąż narzucało się natarczywe pytanie: czy w samych przedmiotach nie tkwi jakiś wspólny stały przedmiot wartości, który mógłby służyć za miarę, bez względu na indywidualne poglądy na użyteczność przed-

miotów. Wylania się wciąż kwestya jakiejś wartości, niezależnej od zmiennych naszych sądów i od okoliczności. Twórcy szkoły klasycznej (Smith, Ricardo, Say) uznali, że tylko taką wartością powinna zajmować się ekonomia, bo tylko taka może służyć za miarę przy zamianach.

Nie był to zwrot nowy. Już geniusz Arystotelesa doszedł do tego samego wyniku. Wykrył on na drodze rozumowania, że powinnyby istnieć w niepodobnych do siebie przedmiotach, które ustawicznie wymieniamy, niby jako równoważne, jakaś wspólna treść, jakaś substancya wspólna, albowiem „wymiana nie może mieć miejsca bez równości, a równości nie może być bez spójności”. Szukał on gorliwie w niepodobnych do siebie towarach tego, co może być w nich wspólnego i co pozwoliłoby przeprowadzać prawowite porównania, ale nie mógł nic takiego znaleźć, więc skapitulował. „Podobna rzecz (substancya) nie może istnieć w rzeczywistości”, twierdzenie o istnieniu czegoś wspólnego jest „przeciwne przyrodzie”, a ludzie „uciekają się doń tylko ze względów praktycznych”. Słowem, Arystoteles nie mógł dociec, co jest treścią wartości, której istnienie zrazu podejrzewał i analiza jego rozbiła się o wielką ścisłość myślenia. Zostawił zadanie nierozwiązanem, a nawet wykreślił je z liczby rozwiązalnych. Tymczasem wynikiem głębokich rozważań nowożytnych ekonomistów stała się myśl, że jednak taką wartość rzeczową nadaje wytworom ludzkim praca ludzka i dlatego może ona stać się miarą wartości. Uznano odkrycie Smitha i Ricardo za epokową zdobycz naukową i za fundament ekonomii. Do rozwinięcia jej rzucił się cały szereg ekonomistów. Nie spostrzeżono jednak, że Smith dlatego został wielkim, że choć odkrył wspólną treść dzieł ludzkich, nie ośmielił się jednak pójść dalej niż wolno było pójść na drodze, która się przed nim otworzyła. Idea pracy ludzkiej, jako przedmiotu wartości, jakkolwiek cenna, prowadzi rychło do miejsca, z którego rozwidlają się drogi. Tyle może być sposobów pojmowania pracy, tyle następuje się trudności teoretycznych i praktycznych, że bardzo rozmaicie można je rozwiązywać, a każde rozwiązanie prowadzi do innych wyników.



Dziś rozumiemy czemu Arystoteles nie wpadł na myśl pracy ludzkiej. Oto musiał zauważyć, że na miernik ona się nie nadaje. Ale w zapale nieścislego myślenia nie spostrzeżono tego i z przedwczesnym tryumfem uchwycono się odkrycia.

Najgłośniejszą z teorii pracy jako wartości stała się teoria Marxa, bo z największym talentem i rozmachem wyzyskała myśl, że „po odrzuceniu na stronę użyteczności przedmiotów, pozostaje im ta (wspólna) własność, że są wytworem pracy, że sprowadzają się do prostego wydatku siły, bez względu na jej postać”<sup>1)</sup>. Znaczy to, że pozostaje im, „jako wartość, ilość pochłoniętej siły ludzkiej. Ile pracy ludzkiej w wyrobie, tyle w nim wartości.

Gdy towary niepodobne do siebie mogą być porównywane jedynie na gruncie czegoś wszystkim wspólnego, gdy taką ich zawartością praca—przeto ilość pracy niezbędnej do wytworzenia w przeciętnych warunkach chwili i miejsca, może być miarą wartości. Wiemy już, że ową „ilość” trudną inaczej do rozpoznania w towarze gotowym, mierzy Marx czasem pracowania, Oto zasada, która miała ułatwiać sprawiedliwą ocenę.

Jakkolwiek teoria Marxa olśniła wiele umysłów swą nadzwyczajną prostotą, poczęły się jednak podnosić coraz silniejsze wątpliwości co do praktyczności miernika, a później teoretyczne co do prawowitości samej zasady.

Przecież wcale nie będzie tem samem, czy powiemy, że trzeba brać pod uwagę ilość pracy zawartą w wytworze, czy też zużytą przy wytwarzaniu<sup>2)</sup>, lub też potrzebną do wytworzenia i w jakich to mianowicie warunkach potrzebną. Poza temi wątpliwościami, praca, pracowanie, jako przedmiot wartości, ma jeszcze tę wielką niedogodność, że nie powinna podlegać ocenie wyłącznie ilościowej, albowiem na skuteczność jej wpływa jej jakość, a tymczasem, gdy zaczniemy uwzględniać jej jakość, stanie się ona, jako miernik praktyczny, niedogodną. Otóż ta właśnie okoliczność odrazu zaniąca

---

<sup>1)</sup> Marx, Kapital, t. I, str. 2.

<sup>2)</sup> bo zużyć można więcej, niż normalnie potrzeba.

prostotę zasady i czyni ją praktycznie tyleż wartą, co zasada użyteczności, chociaż z całkiem innych powodów.

I tu więc fiasco, bo są możliwe różne interpretacje wartości pracy. Przecież równymilościowo pracom nie odpowiada równa wartość przedmiotowa ani równe zadowolenie potrzeby<sup>1)</sup>.

Wielu myślicieli zwróciło się tedy do porzuconego już kierunku poszukiwań, usiłującego wprowadzić wartość nie z zasady ilości pracy.

Zawrzało w Szkole Mengera, który około roku 1872 zbudował teorię użyteczności krańcowej, rzucili się do rozwijania jej i uzupełniania ekonomiści przeważnie austriacy (Wieser, Böhm-Bawerk, Dietzel, Dupuit, Clark, Jevons, Philippovich, Zuckerkandl i inni), ale mimo całej gorliwości i bystrości nie mogą się oni pochwalić pełnym sukcesem. Dziś, jak przedtem, nie wiadomo, kto jest na lepszej drodze, ale z samego faktu, że tyle kierunków trwa równolegle i nie może uleść sile jednego tłumaczenia, można wyprowadzić wnioszek, że ani opieranie się na wartości użytkowej, ani na zawartości pracy ludzkiej nie rozwiązują kwestyi wartości gospodarczej, oraz miernika przy wymianie przedmiotów, lub usług.

\* \* \*

Śmiało rzec można, że oba odłamy ekonomistów idą po błędnej linii, bo zabrnęły w jednostronność. Wartość przedmiotowa istnieje realnie w postaci samego przedmiotu, niezależna od naszych nań zapatrywań. Istnieją wprawdzie nasze zmienne i różne sądy, których nie wolno lekceważyć, ale istnieją również przedmioty naszych sądów niezienne i niezależne od naszych sądów — i tych przedmiotów, czyli „wartości“ również nie wolno lekceważyć. Nie pomoże

---

<sup>1)</sup> Zresztą jest i teoretyczne pytanie, bardzo ambarasujące, które stawia Gide (l. c. str. 101); jeżeliby dopiero praca ludzka nadawała dziełom ludzkim wartość, to cóżby nadawało wartość samej pracy? Na tle wiadomości, że nawet dobro naturalne miewa w pewnych warunkach wartość bez pracy ludzkiej, doprawdy niewiadomo co odpowiedzieć ze stanowiska dotychczasowych systemów ekonomicznych.

do usunięcia tego dualizmu, zamykanie oczu, aby nie widzieć bądź jednej, bądź drugiej strony. Obie się nam narzucają i obie trzeba uwzględnić w teorii, jeśli chcemy aby tłumaczyła fakty.

I nie dosyć, że oba odłamy zabrnęły w jednostronność. One jeszcze ugrzęzły w złudzeniu, że uwzględniają obie strony.

Szkole psychologicznej zdaje się, że nie przeocza wartości przedmiotowej, boć ciągle o niej prawi, szkole znowu wartości przedmiotowej zdaje się, że rachuje się tyle właśnie, ile trzeba z wartością podmiotową. Ale pierwsza zajmuje się zgoła czem innym pod nazwą wartości przedmiotowej, dla drugiej zaś wartość podmiotowa doprawdy jest tylko piątem kołem u wozu. O tem pomówimy w następnym rozdziale, tu zaś w najprostszych linjach <sup>1)</sup> postaramy się wykazać zasadność pierwszego zarzutu, t. j. zarzutu jednostronności w traktowaniu procesu złożonego.

\* \* \*

Wyobraźmy sobie, że wartość przedmiotowa polega wyłącznie na pracy ludzkiej.

Cóż bywa motywem pożądania przedmiotu cudzego? Bez wątpienia nie praca w nim uwięzła, lecz tylko przymioty przedmiotu. Przymioty te istnieją tak realnie i niezmiennie, że możnaby je uważać nawet za przedmiot przedmiotu, czyli towaru. Pożądalności zatem odpowiada nie ilość pracy, ale zbiór cech, czyniący przedmiot użytecznym. Pożądalności odpowiada nie praca cudza, ale sam przedmiot z jego cechami fizycznymi. Chociaż biorę w nim rzeczywiście jakąś ilość pracy cudzej, ale nie pytam ile jej biorę, a choćbym pytał nie dowiem się. Pracy cudzej nie widzę i nie umiałbym jej ilości rozpoznać w towarze, którego pożadam. Więcej nawet. Choćbym przypuszczał, że jej tam wcale niema, pożądanie moje przez to się nie zmniejszy. Zresztą bardzo często naprawdę jest w cudzym towarze znikoma ilość pracy w stosunku do mojej, a przecież mimo to chętnie oddaję moją

---

<sup>1)</sup> Do gruntowniejszego rozbioru przystąpimy w rozdziale XXII-im.

pracę za niepracę cudzą (czyli przedmiot jednej kategorii za przedmiot innej kategorii) i ani czuję się skrzywdzonym, ani jestem nim. Wszak gdyby dopiero praca była przyczyną wartości, to bogactwa przyrodzone nie miałyby wcale wartości, a jednak one idą wzamian za dzieła pracy. Dla czego? Bo przedmiotem wartości są i w nich cechy realne, wywołujące moje pożądanie — i to wystarcza.

Z drugiej strony nie mogę nie brać pod uwagę kwestyi pracy, bo przecież za towar cudzy płacę przedmiotami, które dla mnie mają wartość mych wysiłków. Mnie nie obchodzi znowu cechy mych wytworów, ale bardzo obchodzi trud własny, który poniosłem. Chciałbym za ten trud dostać jak najwięcej cudzego dobra, a czynię to nawet bez złej woli skrzywdzenia kogoś; poprostu dlatego, że niewiem ile cudzego trudu mam dostać wzamian w przedmiocie, którego pożądam.

W tej samej niewiedomości co do mojego trudu pozostaje druga strona—i jakoś dochodzimy do zgody. Ale, gdy takie są warunki transakcyi, jakże można stać na gruncie jednej tylko wartości, gdy w akcie wymiany najwidoczniej obie w grę wchodzi: wartość podmiotowa i ta druga, tkwiąca w przedmiocie, niezależna od mego sądu.

Więc zamiany dokonywamy nie przez ocenianie wartości przedmiotowej obu prac, lecz tylko jednej, własnej. Gdy zaś to samo dzieje się z drugą osobą, przeto każda strona bierze pod uwagę co innego: „ja“ swoją pracę — i „on“ swoją. Mamy sądy podmiotowe o cudzym przedmiocie, sądy oparte na domyśle. W cóż się więc obraca wartość przedmiotowa? W podmiotową napół, skoro przewodnikiem moim jest korzyść z zamiany, którą sobie określam subiektywnie. Zamiana nasza nie jest tedy prostą zamianą „towarami”, czyli wartościami przedmiotowymi, lecz możnaby ją raczej nazwać skrzyżowaną. Ja daję towar za nie-towar, on daje towar za nie-towar. Mój przedmiot jest tylko dla mnie prawdziwym towarem, jego zaś—tylko dla niego towarem.

Jak tu traktować kwestję wartości bez uwzględniania obu jej rodzajów równocześnie? Nie można tego czynić w teoryi, bo nikt tego nie czyni

w praktyce. A przecież ekonomiści starają się przeważnie traktować oba rodzaje wartości oddzielnie. Marx np. twierdzi, że zamieniamy się, a przynajmniej powinniśmy się zamieniać równemi prawie ilościami pracy. Prawda, że zamieniamy się pracami, ale nie trzeba zapominać o tem, że przy zamianie zwykle nie myślimy wcale o pracy drugiej strony i nie taksujemy jej, mamy na uwadze tylko 1) swoją własną pracę i 2) swoją własną potrzebę, a podobna okoliczność niweczy gruntownie ten charakter transakcyi, który chcieli jej nadać spółcześni ekonomiści obozu antipsychologicznego. Okoliczność ta z transakcyi w ich mniemaniu prostej, czyni zawiłą dla teoretyka, ale zawiłą dlatego, że chciano ją przedstawić sobie zbyt prostą, wbrew złożonej naturze procesu.

---

## XX.

### Jak się wikła w ekonomii wartość z ceną.

Nie dosyć na tem. Chęć zbytecznego uproszczenia, a nawet zmaterializowania procesu, który jest sprawą psychofizyczną, zemściła się na samych uproszczaczach w ten sposób, że na domiar zamętu, powikłała całą zawiłą kwestyę wartości, z trzecią rzeczą, którą oni niby rozróżniają, ale rozróżniają niedokładnie, mianowicie z ceną (z zapłatą), i to powikłała rozpaczliwie.

Szkoła psychologiczna (wartości użytkowej) wytyka socyalizmowi naukowemu, że jego „wartość przedmiotowa zamienna” niczem innem nie jest, jak ceną. Mylili by się jednak ktoby sądził, że to tylko przedstawiciele przeciwnego obozu ekonomicznego zarzucają niedokładne rozróżnianie ceny od wartości. Sami obwiniani wcale nie wypierają się tego grzechu i mówią wyraźnie, że „cena towaru jest to jego wartość, wyrażona w pieniądzech” <sup>1)</sup>, „Wartość, wyrażona

---

<sup>1)</sup> Kautsky. Teorya wartości, str. 243.

w pieniądzu (w powszechnym śródku wymiany), zowie się ceną”<sup>1)</sup>, „Wyrażenie wartości towaru w towarze pieniężnym stanowi cenę”<sup>2)</sup>, „Forma pieniężna wartości zowie się ceną”, „Dwa funty szterlingi są wyrażeniem pieniężnym wartości korca pszenicy, czyli jego ceną”<sup>3)</sup> i t. d.

Jeżeli zważymy, że cena jest tylko zapłatą i niczem więcej, to spostrzeżemy, że trzeźwi niby badacze dopuszczają się tu niedozwolonego pomieszania pojęć.

O wielkości zapłaty decyduje przecież zupełnie co innego; nizeli o wartości. Decyduje o niej wprost podaż i popyt, decyduje współzawodnictwo między wytwórcami podobnych przedmiotów i między ich odbiorcami. Decyduje zbyt mała lub zbyt wielka ilość danego gatunku towaru na rynku, często zaś proste „widzi mi się”. Z tego powodu każdy przedmiot może mieć ceny, niezależne od jego wartości. Wygłaszamy przecież sądy: „kupiłem coś tanio”, „kupiłem drogo”. W tych wyrażeniach mieści się myśl: „zapłaciłem coś niższej wartości lub drożej, niż warto”, czyli „najdrożej”. Jakimże tedy prawem „cena towaru” może być uważana za „jego wartość”?<sup>4)</sup>

Mamy przecież rażące przykłady niezależności cen od wartości w tak zwanych cenach amatorskich lub wymuszonych przez konieczność.

Milioner kalifornijski Huntington kupił np. niedawno na przetargu publicznym pierwsze wydanie biblii, drukowane przez Gutenberga i Fusta za 50,000 dolarów. Nie był to całkowicie kaprys bogacza, albowiem licytowano się i ten sam egzemplarz biblii miał już dawno cenę wysoką. Hoe, od którego został nabyty, sam dał zań 20,000 dolarów antykwarjuszowi Quartischowi. Z drugiej strony przedmiot ten nie przedstawia ani tej, ani tamtej „wartości zamiennej”, gdyż był sprzedany w roku 1825 w Londynie jeszcze inaczej, mianowicie za 2,500 dolarów.

1) Daszyńska-Golińska. *Ekonomia społeczna*. I. 41.

2) Kautsky, I. c. str. 46.

3) Marx, *Kapitał* I. str. 29, „jeżeli korzec pszenicy wytwarza się w ciągu tego samego czasu co dwie uncje złota”.

4) Zamienną, co ma być prawie synonimem „przedmiotowej”.

Któraż z tych cen reprezentuje „wartość zamienną?” Żadna, bo wartość zamienna, jeśli ma być przedmiotową, powinna zależeć od sumy pracy, włożonej w przedmiot, skutkiem czego powinny być niezmienną. Zatem wszystkie te ceny reprezentują raczej wartość podmiotową.

Weźmy drugi przykład.

Gdy jestem głodny w obłożonem mieście, wartość bochenka chleba może przewyższyć w iście fantastyczny sposób jego „wartość przedmiotową“, zamienną, która ma być wyobraźnielką pracy, wyłożonej na wyprodukowanie owego bochenka. Napróżno będę się wówczas powoływał na jego „wartość“ normalną. Wobec konkurencyi innych głodnych, oddam nawet cenny zegarek za chleb, od którego zależy utrzymanie mego życia.

Jeśliby cena miała być wartością towaru, wówczas złoty zegarek byłby wartością owego bochenka. O którejże to wartości mowa? O przedmiotowej? Nigdy! Więc może o użytkowej, czyli o podmiotowej? Także nie, albowiem nawet w chwili oddawania zegarka za chleb mam pełne poczucie niesprawiedliwości tej zamiany. A zatem, to co oddają za chleb — to tylko cena, zależna od podaży i popytu.

Dość chyba tych przykładów, aby zrozumieć, co za sprzeczności mieszczą się w teorii wartości Marxa i jego epigonów. Zastanówmy się tylko:

Zródłem wartości przedmiotowej ma być praca. Miarą wartości—znowu ilość pracy, czas pracowania. I nagle — wyrazem wartości cena—która nie liczy się z ilością wyłożonej pracy (czyli z „wartością przedmiotową“ klasyków), bo zależy tylko od zmiennych konjunktur rynku! W cóż się obraca ścisłość teorii, oparta rzekomo na niewzruszonej podstawie? Jeżeli chwiejna z zasady cena znaczyć ma to samo, co wartość przedmiotowa, to teoria wartości, oparta na pracy, jest jednym wielkim nieporozumieniem, bo taka „wartość“, której wyrazem zmienna cena, nie przedstawia nic stałego.

Wszak jeżeli przedmiotowi skończonemu nadała pewną „wartość“ pewna „ilość pracy“, to ilość tej pracy nie może się już zmniejszyć, ani powiększyć, więc i wartość jego mu-

si pozostać niezmienna, bez względu na okoliczność, czy przedmiot sprzedany zostanie za rzecz mniejszej wartości lub większej. On wartość swoją obiektywną (wkład „pracy”) nosi w sobie, jedną, niezmienną, jako fakt dokonany, historyczny. Nosi bez względu na losy, które staną się jego udziałem. Ale pomimo to może mieć choćby sto cen różnych.

Jeśli każdą z tych cen zaczniemy nazywać wartością (wyróżnioną w pieniądzach), — w cóż się obróci logika?

W jakiejże nauce mogłaby być cierpiąca podobna sprzeczność pojęć podstawowych? Ba! do logiki moglibyśmy apelować wówczas, gdyby teoria ekonomiczna Marxa była naprawdę naukową i [tylko naukę miała na celu, ale charakter jej jest dwoisty. Wprawdzie Marxiści nadają sobie miano „badaczy”, których celem poznawanie stosunków ekonomicznych, ale równocześnie czynią oni z ekonomii swojej sztukę. Pragną przerabiać przedmiot badania zgodnie ze swymi pojęciami o tem, jakim on być powinien. Oba te charakterystyki absolutnie nie godzą się ze sobą zwłaszcza w dotychczasowym niedostatecznym stanie zrozumienia wszystkich zjawisk ekonomicznych.

Kto chce poprawiać „złe” stosunki społeczne—ten musiał sobie już wytworzyć jakiś ideał „dobrego” porządku społecznego. Ideał taki może być wytworzony albo na gruncie dokładnego rozpoznania [wszystkich jego sprężyn i kółek „mechanizmu” społecznego, albo na drodze intuicyjnej. Tylko pierwszy będzie odpowiadał rzeczywistości, drugi musi zostać tworem wyobraźni. Do wytworzenia sobie obrazu pierwszego nauka nie doszła jeszcze, cóż więc czynią niecierpliwi ideologowie? Oto zjawia się potrzeba zbudowania teorii, a przedewszystkiem fundamentów dla niej w postaci pewnego szeregu pojęć [podstawowych.

Dopóki się niema z góry narzucających się nam ideałów, wówczas pojęcia podstawowe wyprowadza się na drodze poznawania, rozróżniania, analizy. Droga to trudna, ale przy ostrożności pewna. Ale jeśli przyświeca badaczowi już jakiś ideał, wówczas, nawet przy szczerych chęciach trudno utrzymać się w granicach czystego poznawania; praca „badacza” staje się napół twórczą. Tutaj ocena wyprzedza dokładne



rozpoznanie. Tutaj stokroć trudniej nie dać się idealowi, aniżeli znaleźć prawdę całkiem nieznaną, bo tu trzeba walczyć z gotowemi ideami—gdy tam—tylko z niewiadomością.

Ideolog zjawiska niekwadrujące z jego teorią albo przecza, albo ocenia niewłaściwie i tak właśnie stało się z doniosłym zjawiskiem współzawodnictwa.

Dlaczego Marxiści potępiają stosunki oparte na spółzawodnictwie? Oto dlatego, że ono ratuje niegłęboko ujętą teorię wartości, teorię, która z powodu idei z góry powziętych pomieszała wartość przedmiotową, niezmienną, z ceną rynkową, ulegającą wahanom.

Gdy cena nie zależy od ilości „pracy” w przedmiocie, ale od ilości takich przedmiotów na rynku, czyli od ilości pożądających, od współzawodnictwa,—przeto zamiast spostrzedz, że ceny nie można identyfikować z wartością przedmiotową, zamiast cofnąć się z drogi, która doprowadziła do błędu i sprzeczności, obmyśla się środki, z pomocą których, dałoby się uchylić spółzawodnictwo! Spółzawodnictwo sprawia, że cena nie przedstawia nic stałego, a ponieważ teoria chce, aby cena była wyrazem wartości i to wartości „czasu pracy”—ponieważ teoria chce, aby czas pracy był miarą zarówno wartości, jak i ceny, więc wniosek prosty:—spółzawodnictwo jest szkodliwe i wszystko jest szkodliwe, co sprawia, że czas pracy nie bywa miernikiem ceny. Należy dążyć do ujednostajnienia ceny z wartością przeciętną „pracy”!

Ideologa mało obchodzi kwestya wykonalności takiego zadania i trwałości stosunków, opartych na przymusowej cenie, mało obchodzą skutki, jakieby podobna korekta porządku społecznego sprowadziła, bo jemu chodzi o dopasowanie rzeczywistości do idei z góry powziętej. *Pereat mundus—fiat doctrina!*

Cóż więc się robi na widok cen amatorskich lub wymuszonych przez konieczność, rażąco przeczących teorii? Powiada się, że one nie powinny wchodzić w rachubę, bo to są wyjątki. Niechby i tak było, możnaby się zgodzić na istnienie wyjątków od reguły, ale wówczas tylko, gdyby istniały jakieś ceny, niezależne od okoliczności. Takich cen jednak niema wcale, najmniejsza bowiem chwiejność cen,

tylż waży dla teoryi co największa—a wszystkie ceny normują się zależnie od okoliczności, nic wspólnego z „wartością przedmiotu” niemających. Istnienie więc samych wyjątków od rzekomej reguły najdobitniej świadczy o iluzoryczności reguły.

Wysokość zapłaty i wartość przedmiotowa są to pojęcia zgoła odrębne i nie zależą od jednych przyczyn. Gdy wartość towaru musi być jedna—skądże przypuszczenie, aby którakolwiek z cen miała być synonimem wartości. Jeśli nawet która była zgodna z wartością—co się może zdarzyć i zdarza, będzie to tylko przypadkowa zbieżność. A tymczasem nawet w elementarnych podręcznikach powtarzają nam, że „regulatorem wartości (!) jest stosunek podaży do popytu” (np. Stecki). Przecież tu najwyraźniej mowa o cenie ale bierze się ją za jedno z wartością!

Cóż warta ekonomia, która takich rzeczy nie rozróżnia? A jednak jest to wspólną wadą wszystkich teoryi ekonomicznych, że mieszają cenność z wartością.

Wniosek z powyższego płynie następujący:

1) Wartość przedmiotowa nie tylko Marxa, Kautsky'ego oraz innych mechanicystów, ale nawet i szkoły psychologicznej nie jest wartością przedmiotową.

2) Wartość zamienna wszystkich razem — także nie jest wartością przedmiotową.

3) Wartość zamienna nie jest wogóle wartością, lecz ceną.

4) O cenie decyduje przedewszystkiem niestały stosunek, zachodzący między ilością przedmiotów danego gatunku, a ilością oraz zamożnością pożądających, czasem zaś przypadkiem lub przemoc.

Czyli: cena nie ma nic wspólnego ani z wartością przedmiotową, ani z pracą.

## XXI.

### **Dowód, że cena nie ma nic wspólnego ani z wartością ani z ilością pracy.**

Aby się o tem przekonać, wyobraźmy sobie na chwilę, że wszystko, co ludzie produkują, powstaje bez pracy ludzkiej, pojmowanej bądź po Marxowsku, bądź po naszymu. Pozostawmy przytem wszystkie pozostałe stosunki nietkniętymi. Wyobraźmy więc sobie, że sami ludzie są glebą, z której powstają naturalnie wszystkie dobra w tej samej ilości i doborze, jak dotychczas. Załóżmy dalej, że ludzkie gusta i potrzeby są po dawnemu zróżnicowane. Ludzie zatem używają bez pracy. Tworzy za nich przyroda (dajmy na to ich własna), tylko, że tworzy w równie ograniczonej ilości, jak to ma miejsce z produkcją świadomą i celową. W takim razie bogactwo zostanie czem było, tylko nie będzie nazywane „pracą zobjektywizowaną”, bo pracy niema.

Pierwszym skutkiem podobnej sytuacji będzie, że dobra owe przestaną być wartością w sensie klasyków i szkoły Marxa, albowiem ich „wartością” ma być praca.

Jakże ludzie będą się obdzielać płodami własnych indywidualności, płodami bez wartości przedmiotowej, ale pożądanymi? Czy będą je sobie darmo oddawali skoro ich nic nie kosztują?

Nic podobnego nie zajdzie, albowiem każdy ma ilość przedmiotów ograniczoną, potrzeby zaś liczne, nawet nie ograniczone. Gdyby ktoś swoje przedmioty zaczął oddawać darmo, wówczas pożądanicy rozbiorą je w jednej chwili i posiadacz rychło się opatrzy, że wyrządził sobie krzywdę, albowiem choćby mu ten i ów równie darmo udzielił swego dobra, to jednak wielu rzeczy potrzebnych nie otrzyma w taki sposób, gdyż producenci rozdali je wprawdzie innym. Następną też partję dóbr swoich, zacznie już oględniej rozdawać, żądając wzajemian od „piekarza” chleba, od „szewca” butów, od „zegarmistrza” zegarka i t. d. I tak zacznie kupczyc, bacząc, aby mu „dobra własnego” starczyło na zaspokojenie możliwie naj-

większej ilości potrzeb własnych. Przedmioty, nie mające wartości przedmiotowej (wartości pracy), będą posiadać mimo to cenę i staną się towarami. Nie sądźmy jednak, aby ta cena mogła być czemś stałym, zależnym od istoty przedmiotów.

Jeżeli zjawi się gdzie na rynku więcej sukna — niżeli go trzeba, tam cena jego spadnie, gdzie go będzie zamało — tam wzrosnie. Stosunki ułożą się, jak układają się dzisiaj. Podaż z popytem nie zejdą się nigdy na jednej linii oddawania sobie wszystkiego, czego kto zapragnie, darmo. Towary nikogo nie kosztujące będą miały cenę, zawsze daleką od zera, tem zaś dalszą, im mniej ich jest na ogół, a im więcej jest pożądających. Czy może owa cena będzie ich wartością? Gdzież tam! Wartość przedmiotowa powinna być jedna czyli stała — tu zaś nie będzie takiej. Nie możemy również przypuszczać, aby którakolwiek cena była wartością pracy, bo jej niema. A jednak wszystko będzie się odbywać tak, jak gdyby ona była i odgrywała rolę, którą jej klasycy i mechanicyści przypisują.

\* \* \*

Może kto zarzucić, że zrobiliśmy niedopuszczalne założenie, bo stosunki istniejące zależą naprawdę od „pracy” — i to u wszystkich jednakowej. Aby stało się jasnym, że nie popełniliśmy podobnej dowolności, dość będzie zaznaczyć, że pracowanie mięśniami, — to tylko jeden, niezbędny wprowadzie warunek tworzenia, ale warunek ogólny. Drugim, równie niezbędnym jest swoista twórczość osobników już zróżnicowanych funkcjonalnie, potencjalnie i psychicznie. W ten drugi warunek nie wszyscy są jednakowo uposażeni, a właśnie tylko on jest źródłem i przyczyną różności dzieł.

O ile chodzi o przedmiot konkretny, użyteczny lub przyjemny, o przedmiot „ten”, nie zaś „tamten” lub „jakikolwiek”, — to takiego warunkiem koniecznym jest swoista dla takiego przedmiotu twórczość osobnika czy osobników. Wiadomo, że kowal nie wytworzy trzewika lub garnka, szewc nie zrobi zamku do drzwi. Swoista twórczość każdego jest ograniczona, ale pomimo to jest niezbędna, bo nie daje się

zastąpić przez żadną inną twórczość. I taką „twórczość” mielibyśmy skrywać i niwelować pod nic nie mówiącą nazwą „pracowania?”

Ależ z taką specjalną twórczością, nie dającą się zastąpić żadną inną, mamy do czynienia w całej przyrodzie, dobrze ją znamy i rachujemy się z nią na każdym kroku—a nie nazywamy jej wcale „pracowaniem przyrody”. Zresztą niczyśmy nie zyskali, gdybyśmy zaczęli rozmaite twórczości w przyrodzie nazywać „pracowaniem”.

Swoista twórczość jabłoni wywołuje, powstawanie jabłek, twórczość zaś daktylowca—powstawanie daktyli. Wolno utrzymywać, że „źródłem” jabłek jest wewnętrzna „praca” jabłoni, ale kogóż obchodzi kwestya: czy jabłoń „pracuje”? Nas obchodzi to tylko, że jabłoń tworzy to czego żadna inna roślina nie tworzy. Ilekroć więc potrzebujemy jabłek, musimy zwrócić się koniecznie do jabłoni. Nam potrzebne są tedy własności twórcze jabłoni, nie zaś „praca” przyrody, gdy chodzi o jabłka, własności twórcze żyta, gdy chodzi o ziarna żyta, własności jesionu, gdy chodzi o drewno jesionu, własności twórcze kury, gdy chodzi o jajka.

Analogicznie z tem wszystkim—gdy potrzebujemy butów—zwrócić się musimy do twórczości szewca, nie zaś do kowala, stelmacha lub tkacza, albo do twórczości kogośkolwiek, pomimo, że zdolny on jest w pełni do „pracowania”. Po wszystkim przedmioty musimy zwracać się nie do każdego człowieka, byleby był zdolny do pracowania, nie do „ogólnej twórczości”,—lecz tylko do specjalnych wytwórców. Trud ich jest nam tak obojętny, jak wewnętrzna praca roślin w tworzeniu płodów nam użytecznych, nieobojętną tylko jest ich fachowa twórczość, której nie może zastąpić żaden inny rodzaj twórczości.

Nie praca zatem jest źródłem dzieł ludzkich, ale specjalne zdolności, czyli własności twórcze osobników zróżnicowanych. Bez nich ludzie tyłby właśnie tworzyć mogli—co zwierzęta.

„Pracowanie”, to tylko ogólny warunek tworzenia, konieczny wprawdzie, ale niedostateczny.

Jeżeli teraz spojrzymy na tę samą sprawę z pod innego

kąta, zyskamy nowe i bardzo pouczające oświecenie. Wszystkie dzieła ludzkie użyteczne, są nazywane w ekonomii „wartościami”, bo są niemi w samej rzeczy. Sam przedmiot, jako towar, jest wartością przedmiotową, jako zaś przedmiot użyteczny — wartością podmiotową. Trawestując zatem tylko co sformułowane orzeczenie, mamy prawo utrzymywać, że:

Nie praca jest źródłem wartości przedmiotowej ale zróżnicowane zdolności twórcze, czyli specjalne własności twórcze osobników.

---

## XXII.

### Cudowne własności towaru.

Zbierając wyniki osiągnięte, mamy prawo orzec, iż rzeczywistej wartości przedmiotowej nie znamy. Jest to wynik dużej wagi, albowiem pojęcie takiej wartości zostało wytworzone właśnie w celu znalezienia kryterium, pozwalającego uniknąć w procesie wymiany strat, wynikających z omyłek lub nadużyć przy ocenianiu towarów.

Od chwili zatem, w której doszliśmy do przekonania, że to, co dziś jest uważane za taką wartość, nie jest nią, od tej chwili, wszystkie wnioski oparte na klasycznej, a tem bardziej materialistycznym pojęciu wartości przedmiotowej okazują się bardziej, niż wątpliwemi.

Staje się wątpliwem „odkrycie“, stanowiące, zdaniem Marxa, „epokę w historii rozwoju ludzkości“, mianowicie, że dzieła ludzkie „jako wartości“ (przedmiotowe) są wyrażeniem czystej i prostej pracy ludzkiej, wydanej na ich wytworzenie <sup>1)</sup>.

W tych warunkach dążenie do poznania rzeczywistej wartości przedmiotowej nie może być już uważane za sprawę

---

<sup>1)</sup> K. Marx, Kapital, wyd. pols. t. I, str. 17.

czysto teoretyczną. Ma ono pierwszorzędną doniosłość praktyczną. Wszak jedną z trosk ekonomistów jest ustrzeżenie ludzi od zamian niekorzystnych, droga zaś do tego wiedzie, według ich przekonania, przez zamienianie się równemi wartościami. Marx sądzi całkiem słusznie, że mamy prawo brać tylko tyle, ile dajemy. Ponieważ zaś doszedł do przekonania, że wartością przedmiotu jest czysta i prosta praca ludzka, społecznie konieczna, wydana na jego wytworzenie, przeto orzekł, że powinniśmy się zamieniać równemi ilościami pracy, mierzonej jednostką, jaką znalazł w „godzinie pracy”.

My doszliśmy do całkiem innego wyniku. Przekonaliśmy się, że zamiana dlatego się praktykuje, że jest przedmiotowo korzystna dla obu stron, ponieważ „pozwala nam wszystkim brać więcej niż dajemy, i to bez krzywdy drugiego” (p. rozdz. XVII).

Tajemnica takiej nieprawdopodobnej na pozór praktyki kryje się właśnie w wartości przedmiotowej, która bywa zwykle większa od ceny i niezależna od ilości pracy własnej, wkładanej w wytwory. Jeśli taką wartość zrozumiemy i sformułujemy, tajemnica przestanie być tajemnicą.

Otóż możemy się już pokusić o sformułowanie pojęcia takiej rzeczywistej wartości i wytłumaczyć przyczynę, dla której proces wymiany został ujęty niewłaściwie.

Wprzód jednak wypada zdać sobie sprawę z natury procesu wymiany; w tym zaś celu trzeba omówić pewien wyraz, którym wypadnie się posługiwać. Wyrazem tym jest „towar”. Kryje on pewne specjalne znaczenie, co do którego nie powinno być wątpliwości.

W oczach szkoły mechanicystów wszystko, co wchodzi do obiegu gospodarczego, jest towarem, wszystko, „co przez swoje właściwości zaspokaja jakikolwiek rodzaj potrzeb ludzkich” <sup>1)</sup>. Jednak ten sam przedmiot może być, albo nie być towarem. Tylko, gdy jest wystawiony na sprzedaż, staje się towarem, inaczej pozostaje zwykłym dobrem ludzkim.

---

<sup>1)</sup> K. Marx. „Das Kapital“, wyd. 4, roz. I str. 1 i 2.

Jeżeli dodamy, że szkoła mechanicystów nie pozwala przypisywać towarowi żadnych przymiotów, żadnej użyteczności (bo te należą do samego przedmiotu, ale nie do jego „formy towarowej”), to zrozumiemy, że gdy mowa o towarze, może być mowa tylko o jego cenie lub wartości przedmiotowej. Można powiedzieć, że ucieleśnieniem takiej wartości jest sam przedmiot, ale ujmowany, jako towar.

Wartością tedy przedmiotową jest sam przedmiot, ujmowany jako towar.

Gdyśmy się porozumieli co do znaczenia wyrazu, wypada wynik badania, sformułowany na początku tego rozdziału, zastosować do towaru i powiedzieć, że 1) rzeczywista wartość towarów nie jest nam znaną, wartość bowiem, brana w sensie klasyków i mechanicystów, nie jest jego wartością, lecz ceną<sup>1)</sup>. 2) Skoro zaś nieznamy wartości towarów, przeto nie znamy i miary, mogącej służyć do porównania ich wartości.

A praca ludzka? mianowicie „godzina pracy?”

Niestety, praca osobnika — to wielkie niewiadome (p. rozdz. IV), to mieszanina pracy organizmu z duszą osobnika, mieszanina niemal stałej wielkości, z wielkościami bardzo niejednakowymi.

Skoro przekonaliśmy się już, że t. zw. „wartość pracy” klasyków i mechanicystów, to poprostu „cena pracy”, staje się pewnym, że znamy tylko ceny towarów, oparte na niestałych cenach pracy, bynajmniej zaś nie na wartości pracy.

Gdyby kto żywił jeszcze jakie wątpliwości w tym względzie, to rozproszą się one po rozszerzeniu pojęcia „towaru” i na człowieka, zgodnem zresztą z istotą towaru. Nie tylko dzieła ludzkie mogą być rozpatrywane z jednej strony jako

---

<sup>1)</sup> Co do tego sam Marx nie pozostawia wątpliwości, powielokrotnie powtarzając, że cena—to pieniężny wyraz wartości towaru, albo „to forma pieniężna towaru” (rozd. 3, str. 26), albo „to nazwa pieniężna pracy”, zrealizowanej w towarze (rozd. 3, str. 29). Miesza on ustawnie wartość z ceną, pomimo, że mają mieć odrębne znaczenie, i to tak dalece, że nie waha się powtórzyć zdania Hobbesa, iż wartością człowieka jest jego cena, czyli to, co trzeba apłacić za używanie jego siły.



wartości użytkowe, z drugiej jako towary. Każdego człowieka, występującego na rynek, trzeba tak samo traktować. Człowiek ofiarowujący innym swą „pracę” za zapłatę jest żywym towarem, który sam siebie wprowadza na rynek i sprzedaje, w całości lub częściowo, t. j. zamienia siebie (swą siłę twórczą) na inne towary, np. na pieniądze. Ponieważ jednak każdy towar podlega prawom rynku i o cenie decyduje ilość danego gatunku towaru (rozdz. XX), więc i pracownik bierze [nie „wartość” siebie, nie wartość swej pracy, lecz jakąś cenę swej pracy. W braku kupca odda się przecież nawet za bezcen. Ale towarem jest nawet samodzielny pracownik, gdyż i on, podlega prawom rynku.

Czyż wobec faktu, że praca żywego towaru osiąga zawsze tylko jakąś cenę (często niższą od jego wartości), nie upada wszelka racja do poczytywania jakkolwiekbydł oplacanej pracy za miernik wartości? Czy nie zgroza popelniać taką nielogiczność, aby rzeczą, podlegającą prawom rynku, rzeczą, nieposiadającą niezbędnych cech stałości chcieć mierzyć wartość, czyli rzecz stałą w towarze?

Ba, odpowiedzą nam, ale przecież cenę pracy można ustalić a wówczas będzie służyć za doskonała miarę.

Na to wypada zauważyć, że nawet i wówczas byłaby to zawsze tylko miara ceny, której stosunek do wartości byłby po dawnemu nieznaną. Co gorsza, taka miara byłaby poprostu ceną narzuconą. Byłoby to przecięcie trudnego do rozplątania węzła, reforma despotyczna, oparta na widzimisię, ale nie na poznaniu i uwzględnianiu wartości. Któraż bowiem z przeróżnych praktykowanych cen pracy należałoby obrać za obowiązującą dla wszystkich? A dalej, która też mogłaby zadowolnić wszystkich? Aspiracye i potrzeby ludzkie nie mają granic, ale środki, mogące je zadowolnić, są ograniczone i to bardzo<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Jesteśmy też głęboko przekonani, że żadna, choćby bardzo wysoka powszechna cena pracy nie zaspokoiliby wszystkich po-

Wiadomo, że jedna pomyłka w rachunku lub rozumowaniu, zwłaszcza początkowa, pociąga za sobą cały szereg innych i kończy się zejściem na fałszywe tory. Tak się stało z teorią, która wzięła mylnie cenę pracy za jej wartość, cenę zaś wytworów za ich wartość przedmiotową. Trzeba było póty naginać rzeczywistość do fałszywego założenia aż się wybrnęło niby z trudności, przez takie jednak zaplątanie sprawy, że już pogwałcenie logiki, jakie się w tej operacji dokonać musiało—ukryło się przed mniej bacznym wzrokiem w natłoku rozumowań naciąganych. W teryi mechanistycznej omyłkę utopiono właśnie w odmęcie, który wytworzono dokoła pojęcia „towaru”. Niewinne to pojęcie stało się idealnym narzędziem do zagmatwania sprawy.

Z „towaru” zrobiono coś tak zagadkowego, że trzeba już wysiłków, aby nie zatonać w odmęcie abstrakcyj. W najprostszych nawet wykładach ekonomii społecznej autorowie obozu mechanistycznego zdołali najeżyć kwestyę towaru takimi trudnościami, że mogą onieśmielić nielada wyrobiony umysł. Oto, co mówi Marx w pierwszym rozdziale swego „Kapitału”:

„Towar wydaje się na pierwszy rzut oka czemś bardzo pospolitą, czemś, co się rozumie samo przez się. Rozbiór nasz pokazał jednak, że to rzecz bardzo złożona, pełna subtelności, metafizycznych i teologicznych. O ile go rozpatrujemy, jako wartość użytkową, niema nic tajemniczego ani w tem, że zaspakaja przez swe własności potrzeby ludzkie, ani w tem, że jego własności zawdzięczają swe istnienie pracy ludzkiej”...

„Cóż bowiem prostszego nad to, że czynność ludzka przekształca dostarczone przez naturę materję dla nadania im użyteczności. Tak np. forma drzewa zmienia się, gdy zeń zrobimy stół, a pomimo to jednak stół pozostaje drzewem, rzeczą zwyczajną, podpadającą pod zmysły. Postać rzeczy wnet się zmienia, skoro tylko występuje, jako towar. Wtedy jest on zarazem pochwytym i niepochwytym, i już nie staje prosto

---

trzeb i aspiracyi, ale za to napewno bogactwa wytwarzałyby się w jej warunkach o wiele mniej, niż obecnie. Tak więc ani dowolną miarą, ani gwałtem nie osiągnięto tych dobroczynnych wyników, dla których otrzymania ważonoby się na reformę despotyczną: na zrównanie ceny wszystkich ludzi.

na ziemi, lecz się wspina na swej drewnianej głowie wobec innych towarów i wyrabia jeszcze dziwniejsze sztuki, niż gdyby się puścił w tany" <sup>1)</sup>).

W ten sposób rozpoczyna Karol Marx swój sławny rozdział, traktujący pytanie: „dla czego towar ma charakter fetysza?” Bo i to jeszcze trzeba przypomnieć, że Marx demaskuje niby fetyszowy jakoby charakter „towaru”, mający utrudniać pospolitym umysłem jego zrozumienie, zwolennicy zaś jego traktują owo dowodzenie jako coś kapitalnego. Oto, co w tej materii pisze Kautsky.

„Towarom, jako rzeczom, przypisuje się własności mistyczne, przynajmniej tak długo, póki nie wytłumaczy się tych ostatnich (własności mistycznych) na zasadzie stosunku wzajemnego wytwórców. Jak wyznawca fetyszyzmu przypisuje fetyszowi własności zgoła nie tkwiące w naturze tego ostatniego, podobnież i ekonomiście mieszczańskiemu towar ukazuje się jako rzecz zmysłowa, obdarzona nadzmysłowymi własnościami. Marx zowie to fetyszyzmem, przylegającym do wytworów, kiedy produkuje się je jako towary. Marx pierwszy wykazał (!?) ów fetyszowy charakter towaru oraz kapitału. Fetyszyzm ten utrudnia zrozumienie właściwości towaru, co więcej, wprost je unie możliwia. I nie podobna dojść do przeprowadzenia należytej analizy wartości towaru, dopóki nie uświadomi się sobie ich fetyszowego charakteru“. „Naszem zdaniem, rozdział „Kapitału”, traktujący o fetyszowym charakterze towarów należy... do najważniejszych ustępów dzieła. A jednak przeciwnicy, co więcej, zwolennicy doktryny Marxowskiej nie zwrócili na odpowiedni rozdział należytego baczenia” <sup>2)</sup>).

W ostatniej skardze mamy pośredni dowód, że istotnie rozumowanie Marxa nie musi być jasne, skoro nawet zwolennicy pomijają je, pomimo, że, zdaniem jego, niepodobna dojść do zrozumienia wartości, póki nie przekonamy się, że towar w oczach zwykłych śmiertelników odgrywa rolę fetysza.

---

<sup>1)</sup> K. Marx, Kapitał. Rozdz. I, str. 16.

<sup>2)</sup> Kautsky. Teoria wartości, str. 15.

Niewątpliwie nawet i czytelnicy Kautsky'ego, którym autor nie raczył wytłumaczyć wcale, na czym polega ów fetyzizm, nie są lepiej uświadomieni w tej materii, nie przeszkadza to jednak autorowi wmawiać w czytelników, że rzecz została wyjaśniona i nie podlega wątpliwości. Przecież zaraz po zacytowanym tutaj ustępie i bez dalszych objaśnień, tak przemawia: „Gdyśmy uświadomili już sobie (kiedy?) fetyzowy charakter towaru, dalszy rozbiór (wartości) przedstawia stosunkowo niewielkie trudności”.

Mocno wierzymy, że kto raz pomiesza cenę z wartością, temu towar musi ukazać się jako rzecz, obdarzona jakąś cudowną własnością wyłaniania z siebie tego, czego, jak się zdawało, nikt w nią nie wkładał. Mianowicie, z towaru, będącego rzeczywiście skończoną wartością, wyłania się przy zamianie za pośrednictwem pieniędzy..., wartość przedmiotowa większa od poprzedniej. Marx nazywa jej nadmiar, czyli to, co się nagle ukazało,—wartością dodatkową, Kautsky nadwartością, pospolici ludzie — zyskiem. Ponieważ jednak cuda nie dzieją się na świecie, trzeba było znaleźć prozaiczną genezę nadwartości, która pojawiła się nagle. Skądże się wzięła? Skoro, zdaniem Marxa, nie było jej poprzednio w towarze a nie mogła powstać z niczego, przeto musiała zostać komuś wydartą w sposób eskamoterski, A więc albo odbiorca towaru musiał zapłacić drożej, niż powinien, albo robotnik dostał mniej, niż mu się należało. Nadwartość powstała tedy z... krzywdy spożywcy, albo robotnika, albo obu razem, wyzyskanych przez... kapitalistę. Cud rzekomy został wyjaśniony bardzo prosto i... pouczająco.

Rozmowanie to jest chybione, ponieważ oparte zostało na błędnem założeniu<sup>1)</sup>.

Skoro tylko przestaniemy uważać bezzasadnie cenę kosztu za wartość sprawa przybierze inną postać. Faktem zostanie to tylko, że towar, wyrobiony czy kupiony za określoną cenę, zostaje sprzedany za cenę wyższą, dając w rezultacie zysk wytwórcy lub sprzedawcy.

---

<sup>1)</sup> Że cena kosztu równa jest wartości towaru.

Skądże się ów zysk bierze? Nie będziemy pierwszymi, którzy o to pytali. Nie był i Marx pierwszym, gdy to pytanie rozstrzygał.

Już Ramsay, dobrze znany Marxowi, nie miał co do tego wątpliwości. „Gdyby zysk nie istniał w towarze przed operacją zamiany, powiada on, to nie mógłby istnieć i po operacji”<sup>1)</sup>). Twierdzenie to wyraża on jeszcze dobitniej, gdy mówi, że „idea zysków, płaconych przez spoźwców jest całkiem niedorzeczna”<sup>2)</sup>).

Słuszne spostrzeżenie, że w towarze musi tkwić już od początku wartość większa od ceny, za jaką zostaje sprzedany, bardzo się Marxowi podobało, ale, jak to często bywa z trafnego spostrzeżenia mylnie wyprowadził wnioski. Chcąc istnienie w towarze zysku, który on da później, koniecznie sobie wytłumaczyć, chcąc zrozumieć skąd ów zysk pochodzi, — pomimo, że wobec fałszywego założenia było to niepodobieństwem, — stworzył w walce z piętrzącymi się trudnościami, całą teorię kapitalizmu i wyzysku „pracy“ przez „kapitał“. Doktryna bowiem materialistyczna, która była jego przewodnikiem, nie pozwoliła mu przeniknąć do gruntu iście cudownego charakteru towaru, który, dzięki swej bystrości dostrzegł, więc, chcąc być konsekwentnym, musiał szukać wytłumaczenia w granicach doktryny. Musiał świadectwu rachunku powiedzieć, że kłamie i ów tajemniczy charakter nazwać złudnym.

„Róbcie, co chcecie, powiada, wartość dodatkowa (=zysk) nie powstaje ani przy zamianie równoznaczników, ani też przy zamianie wartości nierównych. Wogóle obieg, nie stwarza wartości<sup>3)</sup>, i nie może być źródłem zysku, albowiem w swej prawidłowej postaci zamiana towarów jest zamianą równoważników“<sup>4)</sup>). Powtarza on tu twierdzenie Trotsne'a, że „zamiana nie może być źródłem wzbogacenia się,

---

<sup>1)</sup> G. Ramsay. An Essay on the Distribution of Wealth. Edynburg, 1836, str. 184.

<sup>2)</sup> Ramsay, l. c., str. 184.

<sup>3)</sup> K. Marx. Kapitał, wyd. pols. str. 55.

<sup>4)</sup> K. Marx, l. c. 53.

albowiem każdy daje tyle, ile odbiera" <sup>1)</sup>). Wszak ostatecznie wszyscy „sprzedawcy są zarazem nabywcami, a nabywcy sprzedawcami”, a zatem właściciel towarów, sprzedawczy je drożej od rzeczywistej wartości, kupuje inne, jako spozrywca, również po wyższej cenie" <sup>2)</sup>). „Tworzenie się wartości dodatkowej... nie może wynikać ani z tego, że jedni sprzedają towary powyżej ich wartości, ani z tego, że inni kupują je taniej" <sup>3)</sup>). „Cała klasa kapitalistów pewnego kraju nie może ciągnąć zysków sama z siebie" <sup>4)</sup>), a więc... skoro pokrzywdzonym musi tu być ktoś, a nie może tu być nim kapitalista, bo on zyskuje, przeto musi nim być pomocnik jego, t. j. ten, od którego kapitalista kupuje pracę.

Nie mogąc pojąć, aby istota towaru ujętego przedmiotowo, polegała na istnieniu w nim pewnej ilości pracy, której bezpośrednio nikt w ów towar nie wkłada, Marx istnienie w towarze większej ilości pracy fizycznej, od tej pracy ludzkiej, którą wkładają weń wytwórcy, — nazywa złudzeniem — i twierdzi, że tylko „mieszczański” umysł może przypisywać towarowi wartość początkową większą od sumy fizycznej, prostej pracy ludzkiej, w towar włożonej.

Demaskuje tedy owo złudzenie twierdząc, że (owa) pozornie większa wartość (wartość dodatkowa = zysk) wychodzi nie z żadnych cudownych własności towaru, ale z niedopłaconej wedle wartości <sup>5)</sup> pracy robotnika.

I otóż wylania się natarczywie pytanie: czy to prawda? Na niem zawisł cały ciężar kwestyi socyalnej, jaskrawo oświetlonej przez Marxa i kontynuatorów jego.

\* \* \*

Marxiści szczycą się, że mistrz ich odkrył i wykazał feytyszowy charakter towaru. My jesteśmy zdania, że on go właśnie przeoczył.

<sup>1)</sup> Le Trosne. „De l'interêt social“ (Physiocrates, Paris 1846). str. 903.

<sup>2)</sup> Marx, l. c. str. 55.

<sup>3)</sup> Marx, l. c. str. 54.

<sup>4)</sup> Marx, l. c. str. 55.

<sup>5)</sup> Zapomniał już, że sam mówił, iż „wartością człowieka jest jego cena!“

Czas zrehabilitować towar. On istotnie mieści w sobie to, czego pozornie nikt weń nie wkładał, a już napewno czego nie włożyli weń robotnicy.

I my możemy się zgodzić na uznanie fetyszowego charakteru w towarze, ale widzimy go nie tam, gdzie go ujrzał Marx.

On po zamianowaniu ceny wartością znalazł się w położeniu bez wyjścia. Chcąc więc być konsekwentnym, musiał błęd podstawowy, który go doprowadził do ujrzenia cudu, zmyć kosztem oczernienia wszystkich kupujących pracę.

Zamiast zrezygnować z tworzenia teorii naukowej, dopóki do gruntu nie zrozumiało się zjawiska istotnie zagadkowego i zamiast zostać bardzo pożytecznym obrońcą klasy pracującej przed wyzyskiem, praktykowanym przez wielu niesumiennych kapitalistów, zanadto sobie zaufał — stanął na połowie mety, sądząc, że dobiegł do niej, i, dzięki niepospolitej zręczności dyalektycznej, wytworzył naukę (teorię) o powszechnym wyzysku „pracy” przez „kapitał”; o wyzysku mającym płynąć już z samej natury „ustroju kapitalistycznego”. Nie nadużycia, które dają się ukrócić, potępił, ale postawił pod pręgierzem cały istniejący ustrój społeczny, jako oparty zasadniczo na wyzysku najuboższych. Wyobrazil sobie nawet, że można go zastąpić lepszym porządkiem. Uwierzono mu skwapliwie, bo jakże nie uwierzyć dobrej nowinie, że jeżeli cierpimy brak, to z cudzej winy, i można to będzie naprawić. Rozgoryczył w ten sposób szerokie masy, zapalając w ich sercach pochodnię nienawiści do „pijawek, tuczących się ich krwią”, rozdarł społeczeństwo i tak już zwaśnione na tle niemiłknącego w nikim głodu społecznego, na dwa jeszcze bardziej wrogie obozy, bo obudził nadzieje, które ziścić się nie mogą, i dojrzał niesprawiedliwości nawet tam, gdzie ich niema.

Jedno niedopatrzienie, zbytńia pewnośc siebie, szlachetna gorliwość — i jakie skutki!

---

### XXIII.

#### Towar przedmiotem sprzedaży, lecz nie kupna.

Aby naszą krytykę uczynić najrozumialszą, musimy zacząć od zaznaczenia, że wyobrażanie sobie, jakoby dobro ludzkie w chwili zamiany występowało przedewszystkiem w charakterze wartości przedmiotowej czyli towaru — jest z gruntu mylne.

Tak twierdzi Marx, <sup>1)</sup> ale niesłusznie. Wprawdzie chcąc porównywać, trzeba mieć na uwadze to, co jest wspólnego w towarach, nie zaś to, co je różni, ale ponieważ jest to praktycznie niewykonalne, więc psychiczny proces, toczący się w chwili wymiany, ma inny przebieg niż go sobie Marx wyobraził. Pomijam, że nikt nie zna prawdziwej wartości nawet własnego towaru, cóż zaś dopiero cudzego, — ale choćbyśmy nawet „wartość” brali w znaczeniu ceny kosztu, to przecież nawet i ceny kosztu przeważnie porównywać nie możemy, towar bowiem cudzy nie ma na czole napisane co on kosztował, lecz tylko ile zań żądają. Jakże więc rozpoznać choćby cenę kosztu towaru, który chcemy nabyć, gdy najczęściej nie wiemy nawet jak był robiony? Przecież porównywać można tylko jakości, ilości, treści czy rzeczy, które dokładnie widzimy — w chwili zaś zamiany wiemy tylko o własnym towarze: ile nas kosztował (to znaczy: znamy jego cenę, cenę trudu własnego), co do cudzego — kierujemy się domysłem, opartym na doświadczeniu, zdobywanem dopiero przez szereg omyłek, wreszcie tradycją, — ale to wszystko daje tylko przybliżony i niedokładny sąd. W takim stanie rzeczy, obcy przedmiot nie może być dla mnie towarem, rzeczą pozabawioną przymiotów. Mogłoby się wydawać, że staje się on choćby na chwilę czemś do towaru podobnem, mianowicie wówczas, gdy go już osądził z punktu widzenia użyteczności,

---

<sup>1)</sup> Powiada, on, „że towar musi wystąpić przedewszystkiem w charakterze wartości przedmiotowej (to znaczy w charakterze towaru) zanim zostanie spotrzebowany, jako wartość użytkowa“ (Kapitał, wyd. pols. rozdz. 2, str. 22).



towarem plus wartością dodatkową, czyli odrazu czemś więcej, niż towar mój. Ale i to nieprawda. On nie staje się ani na chwilę czystym towarem. Proces psychiczny jaki się tu dokonywa jest inny, niż ten, jaki maluje Marx.

W zamianie chodzi nam zawsze i przede wszystkim o zrealizowanie ideału chwili, o zdobycie rzeczy potrzebnej lub milej, ale upragnionej. Ideałem naszym nie może być „towar”, rzecz pozbawiona użyteczności, ale rzecz o której przypuszczamy, że posiada cechy, stanowiące o jej przymiotach.

Cóż skłania posiadacza naszego ideału do wchodzenia z nami w stosunek wymienny? Te same pobudki, tylko zwrócone w stronę przedmiotu naszego, który jedynie dla nas przedstawia się jako rzecz, której przymioty są dla nas zupełnie obojętne. W oczach posiadacza naszego ideału — nasz towar nie jest towarem, lecz znowu ideałem, jego ideałem... A zatem—tylko gdy sprzedaję, widzę w moim przedmiocie towar, ale pragnę otrzymać wzamian nie towar cudzy, lecz przedmiot pożyteczny lub korzystny. I to samo dzieje się z nabywcą mego towaru.

Przypominam, że już w rozdz. XIX-ym było zaznaczone, że zamianę towarami możnaby nazwać skrzyżowaną. Ja daję towar za nie-towar, i on daje towar ale za nie-towar. Obecnie możemy to równanie przedstawić wyraźniej. Oto zarówno mój przedmiot, jak cudzy, jest Janusem o dwóch obliczach. Każdy ma jedno oblicze towaru, stale zwrócone do swego właściciela i drugie: cudzego ideału — zwrócone znowu stale w stronę kupującego. Gdy tak sobie wyobrazimy oba „towary”, łatwo dostrzeżemy, czemu „towary” gdy zmieniają właścicieli, tracą natychmiast dla obu stron swój poprzedni charakter. Oto dla tego, że one dla nich nigdy innego nie miały. Obaj nabywcy przychodzą z „towarami”—po ideały, więc po zamianie unoszą ze sobą swoje ideały, osiągnięte za cenę towarów. Obaj kupujący, a możemy także powiedzieć obaj sprzedający, przychodzą jeden do drugiego, wpatrzeni tylko w „ideały”, ale nie w towary”.

Tu musimy się zatrzymać, dopóki nie załatwimy się z kardynalną sprawą, o której jeszcze wcale nie było mowy. Musimy podnieść fakt, że zwykle nie zamieniamy się towarami w ten sposób prosty, jak to zostało przedstawione. Nie zamieniamy się bezpośrednio towarami, które, jako normalne towary, posiadają zawsze stronę użytkową.

Jeżeli potrzebuję butów, a jestem stolarzem, nie mogę przecież pójść do szewca z krzesłami, bo chociaż on używa krzesel, ale niewątpliwie już je posiada. Moje krzesło nie byłoby tedy dla szewca ideałem chwili, co zaś jest obecnie jego ideałem—tego nawet nie wiem. Chociaż więc posiadam towar, użyteczny dla innych, nie łatwoby mi było znaleźć takiego szewca, który właśnie potrzebuje krzesel<sup>1)</sup>.

Weźmy drugi przykład. Jeśli jestem szewcem, również nie kupię wprost za swoje buty ani gwoździ, ani cukru, ani szafy.

Wszystkim podobnym niedogodnościom zaradza istnienie osobliwego towaru, który wszyscy biorą i dają. Jest to uniwersalny pośrednik, niezmiernie ułatwiający zamienianie się. Nazywa się pieniądz, towar uniwersalny i podzielny.

Jeżeli na pieniądź spojrzemy jako na towar, to wypadnie zaznaczyć, że lubo on niema dla nikogo bezpośrednio użyteczności, to jednak posiada ogromną użyteczność pośrednią, jako dogodny zastępca każdego towaru. I właśnie dla tego, oraz jedynie z tego powodu odgrywa on w pełni tę rolę, jakąśmy zobrazowali w naszym schemacie, przedstawiającym towar pod postacią Janusa o dwóch

---

<sup>1)</sup> Nie tylko w tym przypadku, ale prawie zawsze i każdy znajdowałby się w podobnym kłopotcie. Wyobraźmy sobie, że jestem rolnikiem i przyjeżdżam na targ po gwoździe, cukier i po szafę. Za to wszystko muszę zapłacić moim towarem. Zabieram tedy pszenicę, jedyny towar, jaki posiadam w tej chwili na zbycie i jadę do miasta. Niepodobna mi jednak płacić posiadaczom mych ideałów takim towarem, bo oni nie znają się ani na cenie pszenicy, ani na tem, jak dobra pszenica powinna wyglądać, ani jej wreszcie potrzebują. Gdyby nawet który wziął pszenicę, musiałby zaraz sprzedać towar, na którym się nie zna i którego nikt u niego nie będzie szukać. Niepodobna zresztą, abym chodził od sklepu do sklepu z ciężkim worem zboża, i odsypywał kowalowi za gwoździe garniec, kupcowi za cukier ćwierć, stolarzowi za szafę trzy lub cztery worki.

obliczach. I pieniądz ma dwa oblicza: towaru i nie-towaru, pomimo, że, naprawdę nie przestaje nigdy być towarem i nigdy nie staje się czem innym, jak tylko towarem. Cała osobliwość dwulicowości jego bez faktycznej dwulicowości polega na tem, że jest zastępcą prawdziwych towarów, rzeczy dwulicowych, więc już w chwili pożądania pieniądza upatruję w nim to, co chcę za ów pieniądz nabyć— a zatem ideał mój<sup>1)</sup>.

Więc obaj kupujący wpatrzeni są w ideały, a nie w „towary” i biorą swe ideały, nie zaś towary.

Weźmy ostatni przykład, aby charakter transakcyi handlowej nie budził już żadnych wątpliwości.

Potrzebuję butów i udaję się do szewca z pieniędzmi. Moje pieniądze są dla mnie towarem, — buty ideałem. W duszy szewca jest wszystko odwrotnie, gdyż ma on swoje potrzeby i pożądania, których zrealizowanie widzi w mym pieniądzu. Nawet jeśli zamieniają się dwaj kupcy, nabywający do odprzedaży, zachodzi ten sam stosunek<sup>2)</sup>.

Każdemu chodzi o zdobycie za cenę swego towaru jakiejś wartości użytkowej; konsument bierze ją bezpośrednio, zaś kupiec pośrednio.

W każdym przypadku bierzemy ideały, płacąc za nie trudem własnym; każdemu chodzi o zaspokojenie uczucia braku, (p. rozdz. XVI-ty), a droga do tego wiedzie przez własny towar, przez własny trud.

---

<sup>1)</sup> Jeśli wrócimy do naszego przykładu z pszenicą, za którą pragnąłem nabyć trzy inne rzeczy, to zgodzimy się, że już w chwili targu oczy moje widzą w pieniądzach, które mi ofiarowują kupiec zbożowy, same użyteczności: gwoździe, cukier, szafę, nie zaś towar pieniężny. Krążki zatem srebra lub papierowe pieniądze, które mi kupiec zbożowy daje, mają tylko dla niego oblicze towaru.

Ale też i odwrotnie, moja pszenica lubo jej osobiście kupiec zbożowy nie potrzebuje, niema zwróconego ku niemu oblicza towaru, choć ją bierze w charakterze towaru, ma bowiem oblicze jego ideału, mianowicie większej sumy pieniędzy, które ma nadzieję za pszenicę otrzymać. W tym zaś pieniądzu, który będzie stanowił czysty jego zysk, dostrzeżę już nie to, co zmysły widzą, lecz przedmiot, który zamierzają z niego zyskać pieniądze nabyć.

<sup>2)</sup> Pierwszy sprzedaje kupione buty — jako towar—ale pieniądze bierze jako swój ideał. Drugi sprzedaje pieniądze za buty. któ-

Wymiana tedy jest aktem równoczesnego zaspokajania dwóch braków, jest zamkniętym kołem, w którym występują dwie żądze i dwa zaspokojenia. Jest ona braniem więcej. Towar mój jest tylko sposobem zaspokojenia moich własnych żądań, ale nie przedmiotem kupna. Odgrywa on rolę zapłaty. Oto cała jego metafizyka.

Jak widzimy, niema tu „subtelności” ani „metafizycznych” ani „teologicznych”, stół np. nie wyrabia „sztuk dziwniejszych jeszcze, niż gdyby się puścił w tany”, a cała jego tajemniczość polega na tem, że ma dla biorącego większą wartość, niż dla oddającego. Ponieważ oczywiście mowa tu o wartości przedmiotowej, przeto potrącaliśmy w tej chwili o najważniejszy punkt rozumowania Marxa i mogłoby się wydawać, że wracamy na jego podwórko. Powiedzą nam, że przecież stół nie może mieć dla nabywającego większej wartości przedmiotowej, niżeli ją miał u stolarza i dla stolarza, gdyby zaś miał mieć rzeczywiście większą wartość dla mnie od przedmiotu, który zań oddałem, byłby to dowód, że skrzywdziłem stolarza.

A jest i drugi zarzut, natury teoretycznej. Powiadaliśmy ciągle, że zamieniający się mają na myśli przedewszystkiem wartość użytkową, a przecież niepodobna porównywać przedmiotów nabywanego i oddawanego, ani dojść do przeświadczenia, że nie przepłacam, dopóki nie porzucimy stanowiska przedmiotowego i nie spojrzymy na cudzy „towar” jako na towar.

Zarzut to chybiony, bo mówimy tu o takiej wartości, która wcale nie jest synonimem cen, mówimy o wartości rzeczywistej, — zaś Marx pod wartością rozumie ceny kosztu, wyrachowane na podstawie cen pracy ludzkiej. To są rzeczy całkiem różne.

Zamiana przedmiotowo korzystna niekoniecznie musi polegać na wzięciu większej ilości pracy wytwórcy mego „ideału”. Wartość przedmiotowa jest nam przecież dotychczas nieznaną, musimy więc ją pierwiej zrozumieć,

---

rych wprawdzie sam nie potrzebuje, ale w nich widzi inny swój ideał, mianowicie większą sumę pieniędzy od tej, którą zapłaci. Ideał obu jednak, mianowicie pożytek, ucieleśniony w zysku.

aby zrozumieć w czym leży korzyść wymiany. Narazie to tylko możemy przypomnieć, co jużesmy raz wyłożyli, że zamiany właśnie dlatego są tak powszechnie praktykowane, iż „pozwalają nam wszystkim brać więcej niż dajemy i to bez krzywdy oddającego swój towar” (patrz. rozdz. XVII).

Zamiana „przedmiotowo korzystna” dla mnie, powinna być w normalnych warunkach korzystną również i dla drugiej strony.

Jak to być może? Przecież to wyraźny nonsens, powiedzą nam. Wcale nie! Trzeba tylko głębiej wniknąć w znaczenie pracy ludzkiej.

Ekonomiści słusznie dostrzegli przedmiot wartości w dziele twórczości ludzkiej, tylko niesłusznie dostrzegli twórczość w samej pracy fizycznej. Nie zrozumieli, że wartość przedmiotowa towaru, której poszukiwali, wcale nie leży w ilości pracy, wyłożonej przez wytwórcę, ale właśnie w czemś biegunowo przeciwnem, mianowicie w **pracy, oszczędzonej nabywcy**. Ona to właśnie, ta **praca oszczędzona, więc podarowana nabywcy, stanowi całą rzeczywistą wartość towaru**, cały magnes, pociągający nas do zamieniania się; ona stanowi całą korzyść i to przeważnie ogromną korzyść, płynącą dla wszystkich z zamian (p. rozdz. XVII). Twierdzenie to uzasadnimy na właściwym miejscu.

\* \* \*

Trudno pojąć, jak można było nazywać złudzeniem własność towaru, polegającą na zapewnianiu korzyści obu stronom. Jak można było przypisywać cały zysk, osiągnany z zamieniania się towarami, wyzyskowi klasy ciężko pracującej!

Jest to rzeczą wprost kompromitującą choćby prosty zmysł obserwacyjny mechanicystów, że nie dostrzegli, iż wyzysk taki — wprost nie byłby możliwy, bo niktby nie mógł długo poddawać się podobnemu wyzyskowi, nie mógłby utracać owoców swej pracy na rzecz innych.

Pomijając już wszystkie hojne szafowania, a nawet marnowania dzieł ludzkich, jakie się szeroko praktykują, dość przecież wziąć pod uwagę samo pośrednictwo w handlu, powsze-

chnie praktykowane. Wszak ono stale podnosi ceny kosztu niemal wszystkich towarów przez dodawanie do niej ceny pracy pośredników oraz zysku tychże pośredników. Praca pośredników choć nie dodaje wcale „wartości” przedmiotom, musi być opłacana. Gdyby tedy w cenie kupna wygórowanej często przez cały szereg pośredników, spożywca płacił oprócz pełnej wartości pracy niezbędnej do wytworzenia przedmiotu, jeszcze cenę pracy pośredników, — to niewątpliwie przepłacalby mocno przedmiot pożądanym. Skutki zaś podobnego przepłacania nie dałyby na siebie długo czekać. Cały ogół pracujący, zubożałby w krótkim czasie do tego stopnia, że już żadnych potrzeb życia cywilizowanego nie byłby w stanie zaspokajać. Społeczeństwa zatem żyłyby czas krótki, pod obuchem najbezwzględniejszego „kapitalizmu”, póki, z nieuchronną koniecznością bankrutów, nie zatonełyby wraz z kapitalistami i pośrednikami, w nędzy powszechnej, płynącej z wyczerpania sił.

Tak właśnie przedstawiają nam „ustrój kapitalistyczny” adherenci doktryny socjalistycznej, ale że sprawa musi stać inaczej, dowodzi tego powszechny wzrost spożywczości, komplikowanie się ogólnych potrzeb i wzrastająca możność zaspokajania nie tylko dawnych ale i nowo zjawiających się potrzeb, — krótko mówiąc, powszechne przybywanie bogactwa ogólnego i polepszanie się zamożności nawet klas najbiedniejszych, i to właśnie tam, gdzie handel i wytwórczość są najintensywniejsze, a więc tam, gdzie klasa fizycznie pracująca powinna, według teorii, opadać na coraz niższy poziom nędzy.

A czyście się zastanowili, czytelnicy, że przecież niktby bez poważnej racyi nie kupował towaru, obciążonego szeregiem jałowych kosztów pośrednictwa.

Skoro więc transakcye, dokonywane w takich warunkach, nie tylko nie rujnują nabywców, ale pociągają coraz nowych (zamożność społeczeństw najbardziej handlowych i przemysłowych wzrasta), — to już w samym tem zjawisku, tkwi najpewniejsza wskazówka, że przedmiotowa wartość towarów musi być wyższą od wszystkich cen sprzedażnych, i dlatego może wylaniać się kolejno, pod postacią

cen coraz wyższych, a przecież jeszcze niższych, od owej utajonej wartości przedmiotów.

Dopóki przedmiot znajduje chętnego nabywcę, pomimo, że przeszedł przez kilka rąk, — dopóty mamy prawo utrzymywać, że jego cena jeszcze nie była wyrazem rzeczywistej wartości (oczywiście przedmiotowej), lecz tylko zapłatą, zależącą w całości od stosunków, panujących na rynku.

Zaczynamy wreszcie rozumieć szaloną różnicę między ceną, a wartością, różnicę niemiłosiernie zatartą nietylko przez mechanycystów ale i przez „psychologów” szkoły austriackiej. Gdy wielkość ceny mierzą wielkością trudu własnego, który muszę wydać dla otrzymania cudzego towaru, to wielkość wartości przedmiotu cudzego oceniam wielkością trudu własnego, który musiałbym wydać dla jego wytworzenia (patrz rozdz. XIX). Czem się to dzieje, to już przeczuwali dawno optymiści szkoły klasycznej (Carey, Bastiat), tylko nie umieli trafnych swych intuicji uzasadnić. Dlaczego? O tem niżej.

---

## XXIV.

### **Droga do rozwikłania zagadki wartości bezwzględnej. Sformułowanie różnicy między cennością, a wartością.**

Możemy już sobie powinszować rozplątania zawilej kwestyi wartości, stało się bowiem pewnem, że w dotychczasowych ujęciach sprawy istnieją ciężkie błędy — i wiemy nawet z kąd płyną. Pozostaje nam tylko ujawnienie błędów i wyrwanie się z pod ich wpływu. Trzeba jednak podwoić ostrożność, aby nie utracić tych korzyści, jakie nam dotychczasowa metodyczność obiecuje.

Odkąd stało się pewnem, że nie jesteśmy, nie możemy i nie powinniśmy być sobie równi funkcjonalnie i dynamicznie, albowiem społeczeństwo stoi świadczaniem sobie przez jednostki wzajemnych usług nie tylko w granicach

rodziny<sup>1)</sup>, ale w granicach „całości społecznej” czyli narodu,—odtąd na wszystkie sprawy międzyludzkie padło nowe oświecenie.

W granicach pojęć ekonomicznych na miejscu przerozmaitych wartości zarysowują się trzy zupełnie odrębne pojęcia, dla których musimy poszukać nazw odpowiednich.

Aby gruntownie postępować, przeprowadzimy sobie proces społeczny w wielkich liniach zasadniczych.

I. Sprężyną wszystkich czynności społecznych jest niemilknący w zdrowym i normalnym człowieku Głód społeczny czyli Pożądanie przedmiotów użytecznych lub miłych. Przedmiotów takich dostarcza nam pewną część sama Natura, pewną, niewielką część umiemy sami sobie stworzyć, ale największą ich ilość dostarczyć nam mogą tylko inni ludzie. Widzimy u nich mnóstwo takich przedmiotów, które budzą w nas Pożądanie. Ale gdy one są własnością innych, przeto jesteśmy głodni cudzej własności, czyli owoców cudzej działalności lub zabiegliwości, jesteśmy głodni rzeczy użytecznych lub mogących sprawić nam przyjemność. Głód społeczny działa z siłą głodu fizyologicznego i zmusza nas do czynności, zmierzających do zaspokojenia potrzeby lub pożądania. Nikt prawie nie odda nam swojej własności dobrowolnie darmo, więc musimy je albo wziąć przemocą, albo już tylko za zgodą posiadacza. W pierwszym razie, muszę użyć siły swojej, potrzebnej do odebrania, w drugim razie również będę musiał użyć siły swojej, ale już w celu otrzymania przedmiotu pożądanego za zgodą posiadacza. Czemu zaś ta sama siła własna może dać tak odmienny wynik, łatwo to zrozumiemy, gdy całe rozumowanie, któreśmy przeprowadzili w zastosowaniu do „mnie”, przeprowadzimy tak, jakby to „on” rozumował. Wówczas bowiem pokaże się, że posiadacz przedmiotu mego pożądania, umie pewnym potrzebom ludzkim sam zadośćuczynić, a tylko zaspokojenia pozostałych musi szukać równie, jak „ja” w dziełach „innego” człowieka. Zamiast więc zużywać siłę (pracę) w celu odebrania, można ją zużyć w celu otrzymania przedmiotu upragnio-

---

<sup>1)</sup> Bo to nie odróżniałoby nas od zwierząt.



nego, za zgodą posiadacza. Wystarczy użyć swej siły do wytworzenia większej ilości dzieł, które umiem sporządzać, a których „on“ nie umie zrobić, choć napewno jedno z nich będzie i „jemu“ użyteczne, — i wystarczy dać mu owo dzieło wzamian za przedmiot, którego pożądamy. Siła moja przeobrazi się wówczas z narzędzia Przemocy w narzędzie Twórczości, a gdy to samo zajdzie i z drugiej strony, przeto obie siły, ujemne i szkodliwe, przeobrażą się w dodatnie i pożyteczne. Na miejsce bezpłodnego trwonienia Siły przy odbieraniu — występuje Twórcze jej Działanie. Zjawiają się w miejscu, gdzie było jedno pożądanie i jeden przedmiot pożądanego, a prócz tego jedna siła, gotowa do spełnienia gwałtu, dwa przedmioty pożądane i dwa pożądanego. Kosztem siły, która byłaby strwoniona w akcie gwałtu — powstaje akt twórczy — i nowe dzieło ludzkie. Na miejsce gwałtu — występuje Wymiana dobrowolna.

II. Zjawiają się dwa przedmioty budzące pożądanie, „mój“ i „jego“, oraz chęć dobrowolnego oddania sobie wzajemnie Przysługi przez zamienienie się przedmiotami pożądanego. Równocześnie tedy zjawić się musi konsekwencya takiej sytuacji: potrzeba Oceny, Oszacowania obu dzieł, bo wszak przedmiot, który ofiarowuję wzajem, jest zapłatą, Ceną, za którą mam otrzymać to, czego pożądam.

Ocena opiera się na porównywaniu. I tu dochodzimy do punktu, drażliwego w Ekonomii. Zwykle powiadają, że ocena polega na porównywaniu Wartości przedmiotów, ale popelnia się w tym orzeczeniu salto mortale logiczne i gramatyczne. Nie trzeba nadużywać wyrazów i skoro mamy wyraz, od którego pochodzi cena, to nie należy go zastępować innym. Porównujemy Cennosc obu przedmiotów i sprowadzamy dwie usługi do jednej ceny. Czegóż ceną jest cena przedmiotu pożądanego? Nie jakiejś tam wartości, o której nikt nie myśli, lecz poprostu ceną Trudu, który poniosłem w porządku społecznym dla otrzymania tego, czego pożądam.

Niegdyś — trwoniono energię w akcie odbierania, trwoniono obustronnie, bo co mnie dziś, to jutro tobie. Po ułożeniu się stosunków międzyludzkich w łagodniejsze i dogodniejsze formy, wysiłki owe wsiąkają w nowe dzieło ludzkie, które m

się płaci za dzieło cudze. Gdy zaś obie strony w ten sposób postępują, więc wymieniają między sobą owoce trudu własnego, owoce Pracy własnej użytecznej.

Cena tedy jest porównywaniem obu prac, obu wysiłków, jest szacowaniem ich cenności, ale wcale — nie „wartości”, bo już prędzej mogłaby być jeszcze oceną ich „użyteczności”, gdyby to było wykonalne. Wiemy jednak, iż niepodobna porównywać użyteczności, opartej na pożądaniu, bo ono tkwi w ludziach, nie w dziełach. Trzeba porównywać to, co tkwi w dziełach. Więc używane są wszystkie zasoby doświadczenia, domyślności i sprytu, aby odgadnąć, ile też trudu cudzego biorę wzamian za swój — tylko ta wiedza praktyczna przewodniczy naszym aktom wymiennym. Prawda, że ona nie prowadzi do ocen dokładnych ani pewnych — ale innego środka niema.

Wynik ostateczny rozbioru aktu wymiany prowadzi do uznania go za akt wzajemnego płacenia sobie za trudy, poniesione na wytworzenie przedmiotów wymienianych. Płacimy sobie własnością za własność, użytecznością za użyteczność, trudem za trud, wysiłkiem za wysiłek. Czy również towarem za towar? Nie. Ta kwestya została już wyjaśniona w dwu poprzednich rozdziałach.

Ale pocóż to całe płacenie? Czy nie byłoby lepiej ograniczyć się do korzystania z tego, co sami możemy sobie dostarczyć, i dążyć do takiego zwiększania zakresu naszych umiejętności, aby wszystko zdobywać własną pracą, bez uciekania się do usług cudzych? Zdaje się, że tak działo się niegdyś, ale nie musiało to być praktyczne, skoro człowiek wiódł żywot pół-dziki, skazany na zadawanie tylko ograniczonej liczby potrzeb najbardziej „palących”. Najdzielniejsi ludzie żyli wówczas mało co lepiej od zwierząt, pomimo swej dzielności i wcale już nie zwierzęcego rozumu. Trzeba więc zgodzić się, że system pracowania dla innych, kryje w sobie źródło takich korzyści, jakich nie daje system wystarczania sobie. Płacimy trudem za trud, wysiłkiem za wysiłek, i płacimy, co najciekawsze, mniej więcej sprawiedliwie (bo ile można najstaranniej ważymy własny trud i domyślny trud cudzy, aby się nie ukrzywdzić), — a jednak choć

nam sił nie przybywa — przybywa nam przedmiotów zdolnych zaspokajać coraz nowe potrzeby lub pragnienia. Zkądże ten rażący przyrost bogactwa? Oto płynie on z systemu pracowania dla innych i z zamieniania się owocami takiej pracy. Wytłumaczenie cudowności takiego przyrastania znajdujemy w trzecim pojęciu, do którego uciec się trzeba, w Wartości. Tylko nie w tej, którą operują ekonomiści. Oni operują cennością, którą tylko podstawili pod nazwę wartości, — ale właśnie dlatego nie mogą wytłumaczyć: czem się to dzieje, że bogactwa ludzkiego coraz więcej przybywa, mimo że trudu nie wkładamy więcej w twórczość naszą.

III. Po wszystkim, co było powiedziane zgodzić się musimy, że ludzie oddają sobie w postaci dzieł swoich, tylko zapłatę za przedmioty pożądane, oddają towary za swe ideały. Zatem w szacunku, który sobie wypłacamy, objęta jest tylko konieczna zapłata za przedmiot. Ocena dotyczy tylko dwu towarów, dwa towary zaś to tylko dwie zapłaty. Gdyby dzieła ludzkie nie zawierały w sobie nic więcej, prócz trudu ludzkiego, który podlega zapłacie, gdyby posiadały wyłącznie cenność, i nic ponad to, nie dawałyby nikomu rzeczowego zysku, tylko sam pożytek. Gdyby w dziełach ludzkich nie były zaangażowane trudy przyrody, nie byłoby w nich nic ponad cenność, wynagrodzoną twórcy przez oddanie drugiej cenności. Ale w takim razie jakążby była korzyść z zamian? Trud, zapłacony trudem mniej więcej równym — dawałby w rezultacie zero zysku przedmiotowego, materialnego. Pozostawałaby tylko użyteczność, subiektywnie odczuwaną, zadowolenie pożądania. A tymczasem zysk materialny wyraźnie tu istnieje, bo przecież jaskrawo się przejawia choćby we wzrastającej masie bogactw ludzkich. Nie odczuwamy go, bo nie jest w pełni opłacany, nie jest przedmiotem szacowania przy wymianie. Przy wymianie opłacamy dzieło trudu cudzego, co do którego nie wiemy, ile zawiera naprawdę trudu cudzego, a ponieważ chcemy je mieć najmniejszym trudem własnym, więc bierzemy je od tego, kto nam takie dzieło oddaje najtaniej. Kieruje nami uniejętność poszukiwania najmniej wymagających sprzedawców

i umiejętność porównywania cenności, krępuje zaś tylko nieliczność sprzedawców takiego dzieła, jakiego poszukujemy. Ta nieliczność chroni ich od bezwzględnego wyzysku ze strony kupujących. A że wszyscy są sprzedawcami własnych towarów, więc chroni wszystkich od straty rzeczowej. Lecz nie tylko to, ona zapewnia jeszcze jakieś zyski. Wszystkim przybývá coś materialnego, coś, czego sobie nie płacimy. Otóż chciejmyż to zrozumieć, że to, czego nie płacimy sobie wzajem, a co jednak sobie dajemy, nie może już być cennością, bo cenność płacimy w Cenie. Wyłania się nam tedy pojęcie Wartości przedmiotowej, która mieści w sobie i trud własny, który sobie płacimy cudzym, i zysk własny, który sobie zdobywamy szacowaniem możliwie najwyższem trudu własnego, możliwie zaś najniższem dzieła cudzego i w dodatku jeszcze to „coś”, czego sobie wcale nie płacimy, a co przywiązane do przedmiotu, powiększa jego cenność do rozmiarów Wartości bezwzględnej. I nie co innego, tylko Wartość jest nagrodą trudów naszych i celem twórczości oraz wymiany.

Zbierzmy teraz nasze spostrzeżenia. Zarysowały się nam trzy pojęcia:

I. Pożądalność, której odpowiada użyteczność, uwarunkowana z jednej strony cechami przedmiotu, z drugiej sądem naszym o użyteczności. Celem ludzkiego pożądania jest zadowolenie głodu społecznego, ale dodatkową nagrodą poniesionych wysiłków Wartość realna.

II. Pojęcie cenności, której odpowiada równa cena dwu wysiłków, towarów lub usług. Pojęcie to niewłaściwie mianowano wartością przedmiotową.

III. Pojęcie wartości (przedmiotowej), stałej i niezależnej od cenności, obce prawie wszystkim systemom ekonomicznym, a przynajmniej bardzo mętnie ujmowane, pomimo, że wszystkie zajmują się niby wartością. Obejmuje ono w sobie płatną cenność i przedmiotowy zysk społeczny. Najwyraźniej jeszcze odróżniał je Bastiat, ale i on pomieszał je z użytecznością (Utilité), pod wartością zaś rozumiał to, co należy nazywać ceną.

Jednak pojęcie wartości, które tu zaczynamy formować, jest tak ważne, że nie zawahamy się orzec, iż cała zawiłość stosunków ekonomicznych płynie z niezależności cenności od wartości i zamieniania się nierównymi wartościami, przy czem ten, kto bierze wartość większą mniema często, że otrzymuje mniejszą od tej, którą sam dał przy wymianie. Ekonomia, to właściwie nauka o stosunku wartości do cenności, nie zaś użyteczności do cenności, nazywanej stale wartością. Ekonomia zajmuje się stosunkami powstałymi na gruncie dążenia do posiadania kosztem najmniejszych wysiłków. Otóż wymiana czyni zadość tym dążeniom.

Cenność — rzadko równa się wartości, ale gdyby w jakimś społeczeństwie równała się, byłoby to dowodem jego wiecznego zastoju. Bogactwa nie przybywałyby ponad wysiłek i ponad zużycie, pomimo najgorliwszej pracy.

Na zakończenie pragniemy jeszcze ostrzedz czytelnika, aby cenności nie brał za jedno z ceną prostego trudu ludzkiego. Cennością nazywamy przedewszystkiem tę część wartości w towarze, za którą trzeba było zapłacić. Ceny zaś, jako zależne od podaży i popytu, — mogą się układać wyżej lub niżej od cenności prostego trudu fizycznego ludzkiego i w pierwszym przypadku dają osobnikowi zysk, w drugim czystą stratę. Strata podobna, jako wynik niekorzystnych konjunktur dla osobnika, który ją ponosi, — jeżeli została rozmyślnie wywołana — będzie skutkiem wyzysku. Trafia się on i to często, ale jest zjawiskiem szkodliwym, które trzeba tępić.

Gdy dzieło ludzkie może być sprzedane kilkakrotnie coraz to nowemu nabywcy i coraz to drożej, przeto cenność przedmiotu może wzrastać, choć wartość jego pozostaje ta sama i choć cenność pierwotna była niższą od ostatniej. W wyjątkowych warunkach cenność towaru lub usługi może nawet przewyższać ich wartość. Naprzykład chleb w obłożonem mieście może być oceniony ponad jego wartość i to samo dzieje się z ceną usługi przy bardzo słabej jej podaży, a wielkim popycie. Najczęściej jednak cenność nie osiąga rozmiarów rzeczywistej wartości.

Cenność również może się zmniejszać w szeregu odprzedaży, przynosząc stratę sprzedającym, zaś zysk kupującym,

pomimo, że wartość pozostaje niezmienna i że o rzeczywistej stracie, gdyby zamieniano się bezpośrednio towarami, jeszcze nie mogłoby być mowy.

---

## XXV.

### Tajemnica dźwigni i tajemnica wartości rzeczywistej.

Jeśli tak łatwo zapominamy, ileśmy winni wiedzy, to jedynie dlatego, że cudowne jej dary spowszedniały nam i że korzystając z nich codziennie, przestajemy myśleć o ich pochodzeniu. *Lubbock.*

Stoimy już o krok tylko od dokładnego sformułowania wartości przedmiotowej.

Oto o wartości decyduje ogólna ilość pracy fizycznej, wprowadzona przez twórcę czy też twórców do dzieła, ale bez względu na jej pochodzenie. Mianowicie wszystko jedno, jak dzieło zrobimy, wartość jego przez to się nie zmieni, bo wartością przedmiotową jest ogólna ilość pracy fizycznej, niezbędna do wytworzenia dzieła z materiałów, dostarczonych darmo przez przyrodę. Gdy zatem duch stanowi czynnik, dzięki któremu siły przyrody (martwe i żywe) pracują na korzyść ludzi (rozd. VIII), przeto im więcej potęgi przyrody duch nasz zaprzęże do pracy, tem bardziej praca staje się twórczą, tem większy jej wynik materialny, tem więcej tworzy wartości. Wartość nadaje dziełom ludzkim sama przyroda wprzęgana przez ducha (rozd. XVII).

Wyręczanie się siłami przyrody może iść bardzo daleko. Pierwszy poznał to Archimedes, gdy orzekł, że zdołałby sam jeden podnieść choćby całą ziemię, gdyby tylko miał drąg dość długi, a lekki — i punkt oparcia. Wprawdzie okrzyk jego był tylko wspaniałą przenośnią, ale zawierał rzetelną prawdę. Jeżeli dźwignięcie całej ziemi przez jednego człowieka jest absolutnie niemożliwe, to tylko dla braku oparcia poza

ziemią, ale też, o ile go człowiek szuka na ziemi, to żaden ciężar fizyczny nie może być ponad siły fizyczne choćby jednego człowieka, przy posiadaniu odpowiednio potężnej dźwigni.

Co to zaś dźwignia, i jaką dźwignię miał na myśli Archimedes łatwo zrozumieć, gdy zważymy, że nie mógł on mieć na myśli zwykłego drąga materialnego, bo ten niewielkie może oddać usługi w ręku człowieka. Popatrzmy na kamieniarza, który podkłada sztywny drąg stalowy pod blok kamienny i oparłszy go na innym, małym kamieniu, czyni z drągiem najprostszą <sup>1)</sup> dźwignię. Im dłuższem będzie to ramię dźwigni, na które kamieniarz wywiera nacisk fizyczny w stosunku do ramienia drąga po stronie ciężaru, — tem większy będzie efekt fizyczny pracy jego. Ale pracowanie takim ciężkim drągiem rychło znajduje granice w granicach sił fizycznych kamieniarza. Mógłby on siłą swą nadać stokrotny efekt, ale pod warunkiem, aby sto razy dłuższem ramieniem po stronie swych mięśni — mógł władać, t. j. aby mógł także dłuższe ramie nie tylko pociągać na dół, ale i podnosić dla podłożenia krótszego pod ciężar, który zamierza dźwignąć. A to jest rzeczą niemożliwą. Ciężar żelaza, stanowiącego drąg dość sztywny, a dość długi, byłby ponad jego siły.

Jeżeli więc Archimedes twierdził, że byleby miał drąg, którego ramię dłuższe dość byłoby długiem do tego, aby własną siłą fizyczną przeważał ziemię, to oczywiście miał na myśli drąg idealny, czyli matematyczny, doskonale sztywny, ale dość lekki, aby człowiek mógł nim manewrować. Miał na myśli drąg nieważki.

Zdawaćby się mogło, że taki warunek, jak lekkość bardzo długiego i sztywnego drąga należy do nieziszczalnych, lecz nieprawda. Posługujemy się nimi prawie ciągle. Drąg sztywny i nieważki — to właśnie siły przyrody, ujarzmione przez ducha naszego przy pomocy niewielkiej ilości pracy naszej fizycznej, a punkt podparcia (hypomochlion), — to także siły przyrody. Nieważkim będzie on z tego powodu, że na hypomochlionie zostaje w równowadze praca fizyczna czysto ludzka, jako część

---

<sup>1)</sup> Choć i najcięższą.

ciężka przyszłego drąga. Do jednego zaś z ramion ciężkich przyczepiona może być w dowolnej ilości praca samej przyrody, ujarzmionej przez ducha. To ramię niema już wagi, bez względu na ilość pracy przyrody, stanowiącej jego przedłużenie, czyli bez względu na swą długość. Zostawione w spokoju nie przeważa ono ciężaru ramienia krótszego, więc wytwarza dźwignię gotową do działania. Jeżeli po stronie ciężaru będzie spoczywać na hypomochlionie jednostka fizycznej pracy ludzkiej i po drugiej to samo, ale po za tem na przedłużeniu tego drugiego ramienia będzie przymocowane 9 nieważkich jednostek pracy przyrody-ducha, wówczas wynik pracowania dźwignią będzie dziesięciokrotny. Jednostka nowej pracy ludzkiej pokonywać będzie zawsze, dopóki dźwignia się nie zniszczy, 10 jednostek oporu, samym tylko kosztem dziewięciokrotnie dłuższej drogi, opisywanej przez koniec dłuższego ramienia dźwigni.

Drągiem i punktem podparcia jest dla nas każda maszyna, bo to przedewszystkiem splątana do niepoznania kombinacja drągów i stałych punktów oparcia<sup>1)</sup>, to narzędzia do czerpania energii fizycznej siłami przeważnie samej przyrody. I dlatego [mamy prawo utrzymywać, że jeden człowiek może dokonać własną siłą fizyczną tem więcej, im więcej maszyny zaprzęże do pomocy ciała swemu.

Jeżeli jednak powiadamy, że człowiek tem więcej własną siłą może dokonać, „im więcej maszyny” zaprzęże — to mamy na myśli nie „ilość” ogólną maszyny, lecz jej doskonałość. Doskonałość zaś maszyny zależy od wzajemnego stosunku długości jej dwóch ramion idealnych. Przecież maszyna—to drąg, którego dłuższe ramię reprezentuje czyste siły przyrody, krótsze zaś—pracę fizyczną ludzką. Bywają maszyny i maszyny. Jedne niewiele oszczędzają ludzkiej pracy — inne znowu ogromne jej ilości. Zależy to od doskonałości jej struktury—czyli ostatecznie od długości zbiorowego jej ramienia nieważkiego względem ważkiego. Im dłuższem będzie ra-

---

<sup>1)</sup> Niezbędna do tego, aby długość opisywanej drogi zastąpić praktycznym dla człowieka szeregiem krótszych odcinków teje drogi.



mię nieważkie, reprezentowane przez czyste siły przyrody, w stosunku do ramienia, przedstawiającego siły fizyczne ludzkie, tem większą pracę wykonywać będą siły przyrody przy tym samym wydatku nowych fizycznych sił ludzkich — czyli efekt nowej pracy ludzkiej fizycznej będzie większy.

Prosta igła — to maszyna bardzo niedoskonała, maszyna do szycia o wiele doskonalsza. Czemu? Bo pierwsza jest mało ekonomiczna, druga o wiele oszczędniejsza. Dzieło więc, wykonane zwykłą igłą zawiera w sobie dużo dawnej i nowej pracy ludzkiej (cenneści), mało zaś pracy przyrody (wartości), — takie same zaś dzieło, wykonane maszyną do szycia, zawiera dużo pracy przyrody, niewiele zaś pracy ludzkiej.

Prosty kołowrotek — to maszyna bardzo niedoskonała. Przędzący wyrabia na nim 2,17 uncyi przędzy w ciągu 10-u godzin. W przędzalni zaś parowej już za czasów Marxa jeden robotnik działał przy pomocy 180 wrzecion, z których każde dawało przędzy sześć razy więcej<sup>1)</sup>, Wydajność więc maszyny doskonalszej była już 1080 razy większą od mało doskonałej — i Marx nie umiał wyprowadzić właściwych konsekwencji z tak bijącego w oczy faktu, wpatrzony zbyt jednostronnie w same niesprawiedliwości wytwórczości kapitalistycznej.

Lecz maszyny nie rodzą się same w przyrodzie. Tworzy je także praca ludzka z pomocą innych maszyn. A więc każda maszyna — to amalgameat fizycznej pracy ludzkiej dawnej, z użyteczną pracą przyrody, uruchomioną i pokierowaną dawniej przez ducha, — amalgameat o niezawsze jednakowej proporcji obu składników, a do tego o niewidocznym składzie. Na oko trudno ocenić ekonomiczną wartość maszyny — a w konsekwencji gospodarczą wartość dzieł, wykonywanych z pomocą maszyny w stosunku do ceny tych dzieł. I o tem trzeba ustawicznie pamiętać, wówczas bowiem zgodzimy się wszyscy, że wyraz „towar” nic wyraźnie nie określa.

Wolno nam utrzymywać, że jest on cały „skrystalizowaną pracą”, że jest wartością przedmiotową, ale to

---

<sup>1)</sup> K. Marx. I. 6. prz. pols. str. 157.

ogólnik. Odkąd wiemy, że towar jest wartością przedmiotową, ale o nieznanym i niejednakowym składzie, — odkąd wiemy, że i „praca” skryształizowana w towarze pochodzi zawsze nie z jednego, ale z dwóch odmiennych źródeł, mianowicie z ciała ludzkiego i z maszyny, których wzajemnego stosunku nie znamy (a może on być bardzo rozmaity), więc o towarze, który nam wpadnie w oko, nic pewnego z góry nie wiemy: nie wiemy ile w nim tkwi pracy samej przyrody, wprzęgniętej przez ducha. Towar, rzucony raz w obieg i oddalony od miejsca swego pochodzenia, nie zdradzi swej tajemnicy, a przecież stosunek obu składników może być rozmaity przy tych samych cechach towaru.

Może on przecież zawierać w sobie dziś więcej ducha, niżeli go zawierał taki sam towar, wyrobiony rok temu lub dziesięć lat temu, przy mniej udoskonalonych sposobach produkcji.

Wartość jego będzie jedna i ta sama choć stosunek pracy ludzkiej fizycznej do ducha będzie inny. Obojętne to przy ocenianiu towaru, ale nie obojętne przy ocenie wartości pracy robotnika, któremu dopomaga jeszcze duch ludzki, nie przez niego wprzęgnięty do produkcji.

\*

Wartością towaru jest tedy wartość koniecznej do jego wytworzenia prostej pracy fizycznej, oceniona na podstawie jakiejś stałej ceny za jakąś jednostkę pracy fizycznej ludzkiej.

Gdybyśmy w towarze płacili pracę przyrody, uruchomionej przez ducha, na równi z fizyczną pracą ludzką, wówczas cena towaru byłaby zawsze równa jego wartości. Ale tak się nie dzieje. Dlaczego, o tem dowiemy się niedługo, tymczasem musi to pozostać kwestyą uboczną, bo pilno nam podkreślić trudności rozpoznania rzeczywistej wartości towarów.

Chociaż poznaliśmy istotę wartości, nie znaczy to, abyśmy zdobyli możność rozpoznawania jej ilości w dziełach ludzkich, niechby tylko z przybliżoną dokładnością. Za wiele napotykały tu niewiadomych. Równie trudno rozpoznać

wartość samych pracowników, a należałoby ją znać koniecznie, odkąd wiemy, że jeden człowiek może wykonać własną siłą tem więcej pracy, im więcej ma do rozporządzenia maszyny.

Dziecko, wysadzające za pociśnięciem guzika elektrycznego ciężką skalę, zagrządzającą wejście do portu, jest żywą ilustracją stosunku, jaki może istnieć między człowiekiem, a maszyną — i między ilością pracy jego, a ilością maszyny (jak tutaj miny), zużytych na wykonanie dzieła.

Im więcej do prostej pracy ludzkiej osobnika dodamy pracy przyrody (ujarzmionej wogóle przez ducha), tem więcej da ona towaru, czyli cenności, a także wartości przedmiotowej, lecz czyż możemy wówczas całą ilość nowopowstałej wartości przypisywać pracy ostatniego człowieka wykończającego towar? Wszak może on być nawet owem dzieckiem, które pociśnęło guzik elektryczny pod gotową do działania minę. Rezultat pozornie jego własnej „pracy” zawdzięcza się tutaj w przeważnej części maszynie, czyli nagromadzeniu cudzej pracy fizycznej, zmieszanej z cudzą pracą duchową. Właściwie zaś zawdzięcza się stosunkowej długości nieważkiego jej ramienia względem ważkiego.

Lecz i pracownika przy „maszynie” nie możemy zgóry poczytywać za źródło jedynie pracy prostej. Nie zawsze możemy go porównywać do dziecka, które działa jedynie siłą swego paluszka. Wiemy już, że każdy działacz może być rozpatrywany, jako towar, jako zlepek ludzkiej pracy fizycznej i ducha. Praca jego płynie także z dwu źródeł: z jego fizyczności, oraz z ducha jego. Jest ona równie złożona, jak praca każdej maszyny. Im więcej w niej ducha—tem więcej da w tym samym czasie towaru czyli bogactwa.

Jeśli to uwzględnimy, to się okaże, iż na wartość każdego towaru składają się na przód dwie pozycje:  
wartość osobista wykonawcy lub wykonawców,  
i wartość maszyny.

Każda z tych wartości rozpada się z kolei na dwie kategorie:

na wartość fizycznej pracy ludzkiej

i na wartość ducha czyli fizycznej pracy nie-ludzkiej, konieczne do wytworzenia towaru.

Stosunek wzajemny obu kategorii pracy zarówno w pracowniku, jak w maszynie jego, może być bardzo rozmaity, zależy bowiem od potęgi bądź „machiny”, bądź osobnika ludzkiego. Wobec tego trudno obrachować, ile w danym towarze jest prostej pracy fizycznej ludzkiej, a ile pracy przyrody czystej, wprzęgniętej przez ducha, czynnego zarówno w wykonawcy, jak w maszynie.

O ileby maszynę wykonał jeden osobnik i on sam następnie wytwarzał z jej pomocą towary, wówczas, wiedząc, ile zatracił własnej pracy fizycznej na zbudowanie maszyny, można by na mocy znajomości ceny jego pracy określić pełną wartość jego maszyny. Wiedząc zaś raz ile pracy własnej wkłada w swoją produkcję przy pomocy maszyny o znanej trwałości, moglibyśmy znowu określić łatwo wartość jego towaru. W tej drugiej epoce jego pracowania poznalibyśmy stosunek wartości pracy maszyny do wartości jego osobistej pracy—a ponieważ maszyna była jego dziełem, moglibyśmy obrachować całą jego osobistą wartość gospodarczą. Miałaby się ona tak do ceny jego pracy fizycznej, jak długość dłuższego ramienia nieważkiego jego maszyny—dźwigni do długości krótkiego ramienia jej, reprezentującego jego pracę fizyczną.

Ale niestety, badać tak prosty stosunek nie zdarza się prawie nigdy, chyba wówczas, gdy osobnik nie reprezentuje żadnej specjalnej wartości duchowej. I dlatego nie mamy sposobu rozpoznać indywidualnej wartości pracowników, a co za tem idzie wartości ich produktów. Tyle tylko jest pewnem, że wartość jednych i drugich nie zostaje w stałym stosunku do cen zarówno pracownika jak towaru. Trudności wyrachowania rzeczywistej wartości dzieł ludzkich wyrastają do rozmiarów,<sup>1</sup> odbierających wszelką nadzieję pokonania ich, gdy zważymy, że niezmiernie rzadko się zdarza, aby towar był dziełem osobnika.

Najczęściej na dzieło ludzkie składa się działalność bardzo wielu osobników, kolejno pracujących coraz innemi zdolnościami i narzędziami. Wartością takiego towaru jest

wartość pracy wszystkich pracowników oraz wszystkich sił natury, wprzęgniętej przez ich dusze.

Gdyby przeprowadzić ścisły rachunek, wszystkie owe pozycje sprowadziłyby się do dwóch: do pracy fizycznej osób, biorących udział w tworzeniu oraz do pracy sił przyrody (albowiem działalność duchowa znalazłaby swój wyraz materialny w drugiej pozycji), i wówczas okazałoby się, że druga z tych pozycji stale bywa większa od pierwszej i wzrasta w miarę rozwoju cywilizacji, natomiast ilość pierwszej, to znaczy trudu fizycznego ludzkiego, odpowiednio się zmniejsza w towarze. Na wysokich szczeblach techniki stosunek obu pozycji staje się tak nierówny, że fizyczne siły ludzkie zaczynają reprezentować coraz drobniejszy ułamek ogólnego wydatku pracy fizycznej, wkładanej w wytwory.

Aby zilustrować go na prostym przykładzie, jednym z tysięcy, dość powiedzieć, że obecnie, w dobrze urządzonej fabryce śpilek, jeden robotnik przerabia dziennie drut na dwa miliony śpilek. Gdyby działał najprostszymi narzędziami, jak to się niegdyś musiało praktykować, z pewnością nie wyrobiłby równie dobrze wykończonych śpilek więcej nad 50 dziennie. Stosunek więc pracy ludzkiej do pracy sił przyrody przedstawia się tutaj (w tej części łańcucha produkcji śpilek) jak 1 do 40,000, a jeszcze trzeba pamiętać, że praca pierwotnego robotnika, którą oznaczyliśmy jedynką była przecież nie czystą jego pracą, lecz także połączeniem obu rodzajów pracy.

Stosunek powyższy za czasów Adama Smitha nie był taki. Na jednego robotnika przypadało wówczas 4,800 śpilek, czyli stosunek obu rodzajów pracy przedstawiał się wówczas jak 1 do 96-ciu (nie zaś jak 1 do 40,000). Cóż sprawiło, że udział robotnika zmniejszył się w tej fazie niemal 400-krotnie? Oto wzrost wiedzy technicznej, czyli wpływ kategorii psychicznej.

Kto „wartość zamienną“ (czyli cenę), uważa za jedno z przedmiotową, ten powie, że tutaj „wartość“ zmniejszyła się odpowiednio, ale to nieprawda. Wartość towaru, to przecież

sam towar, więc skoro towar jest taki sam, jak poprzednio, to i jego wartość musi być taka sama. Zmniejszyła się tylko cena śpilek <sup>1)</sup>. To samo trzeba orzec o wartości użytkowej. I ona została ta sama co dawniej, bo użyteczność nie może uleść redukcji, dopóki śpilki służą do tych samych celów.

Zatem lubo już wiemy, co jest wartością przedmiotową, dzieł ludzkich rzeczywistej wartości ich nie znamy, rachunek bowiem dla mnóstwa niewiadomych nie jest możliwy do przeprowadzenia. Jednak mamy środek do przekonania się o jej wysokości w sposób słabo przybliżony do prawdy. Do tego celu może służyć wiele przedmiotów, które niegdyś produkowano ręcznie, dziś zaś w sposób wielce udoskonalony, maszynowy. Przybliżoną wysokość ich wartości możemy poznać porównywując czas dawniej potrzebny do ich wykonania z czasem dziś do tego wystarczającym. Różnica będzie zawsze wielka, a często kolosalna. Trzeba zaś i o tem nie zapominać, iż rzeczy, mających największą wartość w stosunku do ich ceny, dzieł najwyższej techniki i nauki nie ma z czem porównywać, bo ich dawniej nie było. Wartość ich bywa nieraz wprost bezcenna, pomimo, że cena pozostaje śmiesznie niska <sup>2)</sup>.

Nie przeczę, że dokładne rozwiązywanie takich i tym podobnych zagadnień i rachunków — może być dopiero muzyką przyszłości, ale nie wolno z powodu naszej dzisiejszej bezsilności teoretycznej podstawiać pod prawidłowo wytworzone

---

<sup>1)</sup> Lubo nie w proporcji powyższej.

<sup>2)</sup> Weźmy taką np. surowicę przeciwbłoniczną, której kilkunastu kroplom zawdzięczać może życie osobnik nieoszacowanej wartości. Czyż rzeczywista jej wartość może być zgodna z jej ceną? Zarzuci mi kto zapewne, że surowica przeciwbłoniczna może mieć niezmierną wartość użytkową, ale nie przedmiotową. Odpowiem na to, że ona ma i jedną i drugą wartość wcale nie spółmierną z jej ceną, albowiem gdyby obrachować dokładnie wartość czasu wszystkich ludzi, którzy pracą naukową przyczynili się wszyscy razem do odkrycia czyli do wyrobienia owej surowicy, okazałoby się, że jej cena o miliony razy jest niższą od prawdziwej wartości przedmiotowej.

pojęcie wartości przedmiotowej czegoś całkiem innego. Zamykaniem oczu na trudności, których dziś zwalczyć nie umiemy, nie tworzy się nauki, spycha się ją tylko na manowce i hamuje jej postęp.

\* \* \*

Rozpoczęliśmy już istotę wartości przedmiotowej, niedługo będziemy mogli rozpatrzeć: czemu się z nią nie liczą ekonomiści obozu mechanicystycznego? Pozwoli to nam pośrednio sprawdzić wynik naszego poszukiwania.

---

## XXVI.

### O prawdziwym kapitale i dwóch jego kategorjach.

Gdy rozbiór pracy ludzkiej pojmowanej po dawnemu ujawnił nam w niej dwa odrębne składniki, to i w kapitale trzeba uwzględnić istnienie obu tych składników. Nie możemy go już uważać za skoncentrowaną fizyczną pracę czysto ludzką, bo to amalgamat, złożony z dawnej pracy fizycznej oraz z dawnej pracy przyrody wprzęgniętej jedynie przez ducha.

Kapitał zatem o ile chodzi o jego wartość, nie podpada pod rozważanie wyłącznie ilościowe.

Tu podniesie się instynktowy protest mechanicystów.

— Jakto? Czyż wolno utrzymywać aby np. dwa kapitały jednej ceny, jednych rozmiarów, miały bywać nierówne sobie pod względem wartości?

Nie tylko wolno, ale trzeba tak zapatrywać się, jeżeli zaś nie może się to zrazu pomieścić w głowie, to dlatego, że przywykliśmy uważać każdy kapitał za substancję jednorodną, której tylko ilość przy porównywaniu należy brać pod uwagę. Przywykliśmy utożsamiać kapitał właściwy z „pieniężnym”. Ale pomieszano tu pod jednym mianem dwie rzeczy całkiem różne.

Dla porządku pozostawimy tymczasem na uboczu kwestyę czem jest pieniądz, a zajmijmy się właściwym kapitałem, później bowiem łatwiej będzie orzec czem jest t. zw. „kapitał pieniężny”. Łatwiej zaś będzie dlatego, że kwestya właściwego kapitału wypływa z prawidłowego pojęcia wartości przedmiotowej. Możemy też przyznać się teraz, że już w rozdziale poprzednim mówiliśmy o kapitale, tylko nie użyliśmy tego wyrazu, chodziło nam bowiem wówczas o rozjaśnienie ostateczne stosunku wartości rzeczywistej do ceny. Doszliśmy nawet do wyników bardzo ścisłych i pewnych, tyczących się kapitału, tak, że wystarczy przetransponować je tylko na dźwięk kapitału, aby nabrały nowego i właściwego znaczenia.

Była tu mowa o dźwigni realnej<sup>1)</sup> oraz równoznacznej z nią maszynie, lecz czemże jest dźwignia lub maszyna, jeżeli nie kapitałem? To przecież „dobr ludzkie, potrzebne i zdatne do wytwarzania nowych dóbr ludzkich”, więc to najprawdziwszy kapitał. Zmieńmy więc tylko wyrazy w poprzednim rozumowaniu (p. r. XXV), podstawmy na miejsce dźwigni lub maszyny termin gospodarczy: kapitał, a ujrzymy, że kapitał to wcale nie jednorodne nagromadzenie prostej pracy ludzkiej, lecz amalgamat o niestałym składzie, złożony z małej ilości „skrystalizowanej” prostej pracy ludzkiej i z wielkiej ilości „skrystalizowanej” pracy przyrody czyli ducha ludzkiego. Dołączmy do niego świeżą pracę ludzką, pojmnowaną po dawnemu, a zacznie wytwarzać nowe bogactwo.

Wszelki zatem kapitał, składa się podobnie jak dźwignia z dwu nierównej długości i nierównej natury ramion, reprezentujących razem drąg prosty i sztywny. Jeżeli zaś dźwignia nie równa dźwigni, to i kapitał jednej ceny nie bywa zawsze równy kapitałowi tejże ceny.

Kapitał, to przedewszystkiem porządnny i skończony mechanizm, złożony z dawnej pracy ludzkiej czystej i z dawnego ducha, mający być poruszany nową pracą ludzką (fizyczną) i nowym duchem<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> To znaczy, że nie o „matematycznej“.

<sup>2)</sup> Jest to wartość przedmiotowa, zwykle nieznaney dobrze wartości — a tylko znanej nam ceny.



Kapitał składa się z dwóch ramion: ważkiego, widocznego<sup>1)</sup> — oraz nieważkiego, choć materialnego, reprezentowanego w pracy samej przyrody, przeobrażonej przez ducha w materię maszyny i jej fizyczną sprawność. Z tego powodu może on mieć różną wartość przy tej samej cenie, zależnie od stosunku w nim ważkiej fizycznej pracy ludzkiej do ducha, reprezentowanego w nieważkiem ramieniu.

Możemy zatem mówić o rozmaitej potędze fizycznej rzeczywistego kapitału, zupełnie tak samo, jak o potędze maszyny. Możemy mówić o rozmaitej mocy twórczej kapitałów.

Prosta igła — to nie tylko słaba maszyna, ale i kapitał bardzo słaby, albowiem wymaga dużo pracy ludzkiej do wykonania takiego dzieła, które przy pomocy potężniejszego kapitału (maszyny do szycia) wykonane będzie mniejszym nakładem pracy ludzkiej. Prosty kołowrotek, to również kapitał w porównaniu z przędzalnią parową — bardzo słaby. Wydajność pracy jednego robotnika przy ręcznym kołowrotku jest 1080 razy mniejsza<sup>2)</sup>, niżeli przy pomocy „potężniejszego“ kapitału. Skąd taka różnica?

Stąd, że kapitał potężniejszy miał ramię nieważkie (względem robotnika) 1080 razy dłuższe od ramienia, reprezentowanego w zwykłym kapitale — kołowrotku ręcznym. Kapitałem jest ogólna ilość pracy fizycznej, zawartej w maszynie (w sposób konieczny), ale bez względu na jej pochodzenie czy to z mięśni ludzkich czy to z przyrody. Im tedy mniej pracy mięśni ludzkich (i czasu pracy) kosztowało wytworzenie samej maszyny, tem ona potężniejsza względnie. Im zaś taka maszyna wymaga w ruchu mniej pomocy zarówno mięśni ludzkich, jak ducha, tem będzie potężniejszą bezwzględnie. Więc jakże tu na ślepo orzekać o sile, a tem bardziej o wartości „bogactwa twórczego“ gdy różnice w twórczości różnych kapitałów mogą być tak kolosalne?

---

<sup>1)</sup> Widocznego przez to, że reprezentuje dającą się skontrolować ilość prostej pracy ludzkiej, zużytej na wytworzenie maszyny.

<sup>2)</sup> Porówn. Marx, Kapitał, prz. pols, str. 157.

Zatem 100,000 rubli utopione w przędzalnię parową według cen bieżących nie będzie wyrażać ani jej wartości ani potęgi, lecz tylko cenę. Wartość jej i potęga może być rozmaita i przeważnie zawsze o wiele wyższa od wartości takiegoż kapitału, reprezentowanego w odpowiedniej ilości kołowroteków ręcznych.

Lecz w takim razie 100,000 rubli w pieniądzech wcale nie może być ekwiwalentem bądź tego, bądź tamtego kapitału, bo można za nie nabyć wartość i moc twórczą najrozmaitszej wysokości, zależnie od przypadku lub zjawstwa. Można zbudować fabrykę bardzo nieekonomiczną, równie jak niezmiernie ekonomiczną. Sto tysięcy rubli w pieniądzech może być tylko równoważnikiem cenności maszyn-kapitałów, za nie nabytych.

Niech nam na razie wystarczy to, co tu powiedzieliśmy o kapitale, mamy bowiem pomówić jeszcze o drugiej kategorii kapitału prawdziwego, która się nam wyłania, jako nieunikniona konsekwencja ujmowania go pod postacią maszyny-dźwigni.

\* \* \*

Niedawno (p. r. XIV) porównaliśmy mrowie ludzkie, składające się na naród do kulek równej wielkości pod względem fizycznym, zaś pod względem duchowym bardzo nierównej. W jednych mianowicie osobnikach ujrzeliśmy bogactwa duchowego o setki, a nawet o tysiące razy więcej, niż w innych.

Gdy zaś bogactwo materialne dzielimy na właściwe bogactwo, obojętne pod względem twórczości <sup>1)</sup> i na twórcze, więc to samo można i nawet trzeba zastosować i do duchowego, co też już uczyniliśmy w rozdz. XII i XIII-m. Poszliśmy nawet tak daleko, że było zaznaczone, iż osobnik ludzki z chwilą zastosowania swego bogactwa duchowego do pracy produkcyjnej, sam staje się kapitałem. Jednak tam miało to sens zastosowany jeszcze do pospolitego znaczenia wyrazu

---

<sup>1)</sup> Bo przeznaczone tylko do zużycia na zadowolenie potrzeb ludzkich.

kapitał. Mianowicie rozumowaliśmy w ten sposób: Skoro kapitałem ma być część bogactwa materialnego, potrzebna lub użyta do wytwarzania nowego bogactwa, to musimy nazwać również kapitałem duchowym tę część władz duchowych osobnika, która jest potrzebną i czynną w czasie pracowania. Obecnie bez porównania dokładniej daje się ująć myśl główna ówczesnego orzeczenia.

Przekonaliśmy się, że mamy pełne prawo rozpatrywać osobniki ludzkie, jako przedmioty wartościowe, a również jako, towary żywe, o ile same siebie wyprowadzają na rynek, bo wówczas podlegają prawom rynku narówni z każdym innym towarem.

Obecnie, gdyśmy znowu o krok jeden poszli naprzód, łatwo spostrzedz, że nawet i w nowem znaczeniu, jakie nadaliśmy tutaj kapitałowi, każdy osobnik ludzki najzupełniej odpowiada nowej definicji kapitału. Każdy bowiem mieści w sobie dwa czynniki niezbędne i dostateczne w kapitale, mianowicie, prostą siłę zwierzęcą (cenneść), oraz pewną ilość specjalnej potęgi duchowej, niezbędną do uczynienia czysto cielesnej siły—siłą ludzką, produkcyjną w jakimś ściśle określonym kierunku. Niemasz prawie nigdy takiej czynności ludzkiej, godnej nazwy pracowania, w której nie byłyby zaangażowane władze psychiczne osobnika specjalnie ludzkie, chociażby bardzo nieznaczące. Bez tego dodatku człowiek nie byłby władny wytwarzać prawdziwego bogactwa. Wprawdzie zdarza się często, że praca człowieka miewa zaledwie nieco wyższą wartość od zwierzęcej i staje się produkcyjną dopiero w połączeniu z maszyną i przez maszynę (np. prosta praca kręcenia korbą, ciągnięcia wózka, albo przenoszenia cegły z jednego miejsca na drugie), ale najczęściej towarzyszy jej pierwiastek psychiczny specjalnie ludzki, więc tem charakterystyczny, że odróżnia nawet ludzi od ludzi<sup>1)</sup> i wówczas praca staje się mieszaną pracą: ciała i ducha. Człowiek w ten sposób pracujący

---

<sup>1)</sup> Jak wiadomo ludzie (czyli jestestwa społeczne) odróżniają się tem od gromadnych, że są różnicowani funkcjonalnie. Szerzej o tem, w Nauce o cywiliz. Prolegomena, r. V i XXVIII.

wyobraża już dźwignię-kapitał. Działa w nim nie tylko siła fizyczna, ale jeszcze nagromadzona praca dawna, utajona praca ducha, przeobrażona w kapitał, (w szybkość ruchu, potrzebną do nadążenia za dłuższą drogą opisywaną przez długie ramie dźwigni), i tylko ta ostatnia decyduje o „ludzkiej” wydajności pracy, o społecznej jej użyteczności, większej od użyteczności prostej siły zwierzęcej. Najjaskrawszym przykładem takiej mieszanej pracy jest każda działalność, dokonywana z wprawą. Robotnik „wprawny” w jednym czasie i przy równym nakładzie wysiłków może wykonać dwa, cztery lub nawet dziesięć razy więcej niż surowy. Popatrzmy na wprawnego składacza czcionek w drukarni — i na początkującego ucznia. Zanim ostatni złoży jeden wyraz tamten zebrał cztery wiersze; ten każdej literki szuka w kaszcie, tamtemu ręka biega od przegródki do przegródki. On wcale nie namyśla się, gdzie danej litery szukać, nie patrzy w kasztę, palce jego trafiają zawsze i niezawodnie do właściwej przegródki.

Czemże wyjaśnić tak wielką różnicę w skutkach pracy? Automatyzmem psychologicznym. Cały szereg czynności skomplikowanych, które uczeń drukarski wykonywa świadomie, przy największym natężeniu władz umysłowych, wprawni składacz dokonywa napół bezwiednie, a nawet bezwiednie. Zdawałoby się mogło, że jego praca jest czysto mechaniczna, ale tak nie jest. To wynik zlania się dwu pierwiastków.... z których jeden jest siłą drugi był tylko początkowo świadomym procesem psychicznym”, ale przeobraził się w osobisty kapitał osobnika, różniący go od innych, które nie nabyły podobnego specjalnego automatyzmu”. Automatyzm składacza, nabyty w trudzie jego jest nieważkim ramieniem, które dołączone do ważkiego (do fizycznej wydajności normalnej jego organizmu) czyni z tego osobnika kapitał społeczny, ale będący własnością jego osobistą<sup>1)</sup>.

Zautomatyzowanie się pewnych władz psychicznych czyni osobnika poniekąd żywą maszyną, w której działalności

---

<sup>1)</sup> Osobistą zaś dla tego, że płynie z indywidualnej koordynacji procesów psychofizycznych, zachodzących w jego własnym ciele.

daleko już więcej duszy, niż ciała i dla tego wyniki przypisywać trzeba przeważnie duszy.

Wszyscy jesteśmy z całemi uzdolnieniami naszymi i z wiedzą naszą takimi machinami psychicznymi. Nie zdajemy sobie pospolicie sprawy jak dalece wszystko „prawdziwie ludzkie” jest w nas przeważnie kapitałem, polegającym na zautomatyzowaniu dawniej świadomych wysiłków i uczyńnięcia ich odruchami. Użyteczność sztuki czytania i pisanja zaczyna się dopiero od chwili, gdy czytamy i piszemy prawie automatycznie, użyteczność sztuki rachowania zaczyna się do chwili, gdy prostsze działania arytmetyczne odbywają się w nas bez nakładu świadomości, ogłada towarzyska, „formy światowe”, wiadomości nasze ogólne i fachowe, wiedza chemika, lekarza, elektrotechnika, kapitana okrętu, dyrektora fabryki, wszystko to jest zapasem, spoczywającym w nas poniżej granicy świadomości, w magazynach cudownej pamięci indywidualnej, skąd do świadomości wydobywa się z błyskawiczną szybkością to tylko, co w danej chwili staje się potrzebnem i wydobywa się w stanie gotowym. Im większy zapas, im lepiej dobrany i uporządkowany, tem więcej wart dla nas, zarówno jak dla innych. Więc ta tylko zachodzi między nami różnica, że świadomość osobnicza rządzi zasobem zautomatyzowanym niejednakiej wielkości i doniosłości, Osobniki twórcze, bez względu na ogólną wielkość ich bogactwa duchowego<sup>1)</sup> — mogą być twórcze tylko częścią swego bogactwa. Zwykle drobna tylko część tego bogactwa bierze udział w twórczości, ale tę część mamy prawo nazwać nieważką częścią dźwigni-kapitału, bo potrzeba do niej dołączyć tylko wysiłek fizyczny, aby stała się czynnym kapitałem.

Gdy tak spojrzymy na osobniki ludzkie, wówczas naród możemy sobie przedstawić już nie pod postacią kul psychicznych bardzo rozmaitej wielkości, ale dogodniej pod postacią gotowych dźwigni, bardzo rozmaitej potęgi. Wszyscy posiadamy część ważką dźwigni mniej więcej jednakową w prostej cielesności naszej, dopiero nieważkie przedłużenie jednego ramienia, miewa długość niezmiernie ro-

---

<sup>1)</sup> które jako czyste bogactwo nie twórcze — nie obchodzi już.

zmaitą. Rozmiary należą tu nie tylko od ilości, a nawet nie tylko od jakości wiedzy i doświadczenia, ale od ich najekonomiczniejszego uporządkowania, czyli od indywidualnej struktury psychicznej.

Jeżeliśmy nazwali prostą igłę nie tylko słabą maszyną, ale i kapitałem słabym w porównaniu do udoskonalonej maszyny do szycia, to można to samo powiedzieć i o mało wykształconym człowieku. Zdolny inżynier, to w porównaniu z nim i wielka machina psychiczna i potężna, a doniosłość jej potęgi daje się ocenić tylko w działaniu i w skutkach. Dwóch bowiem inżynierów, wyszłych z jednej szkoły i rozporządzających jednemi wiadomościami, możnaby nazwać ilościowo kapitałami jednej wielkości, ale pod względem mocy (włęd i wartości) mogą się tak różnić między sobą, jak maszyna drukarska systemu bardzo pierwotnego różni się od bardzo udoskonalonej.

\* \* \*

Rozróżniliśmy dwie kategorie kapitału; ludzi i maszyny,— kapitał ożywiony i nieożywiony. Uzasadnienie, że obie są naprawdę kapitałami nie. pozostawiło wątpliwości. Dlatego możemy już podnieść okoliczność, która przepysnie maluje ścisły związek zjawisk materyalnych z duchowemi, jaki charakteryzuje świat ludzi. Możemy zaznaczyć bezwładność obu kategorii, póki zostają w oddzielności. Jeden bez drugiego gospodarczo nic nie znaczy i musi zostać prostym skarbem. Co do maszyny jest to oczywiste, ale co do człowieka wydaje się mniej zrozumiałe, boć to przecież on (a właściwie jego siła fizyczna), wprowadza maszynę w twórczą działalność. Tak jest, ale zorientujmyż się, że aby zobrazować człowieka pod postacią dźwigni, trzeba było ludzki pierwiastek czynu unieruchomić; inaczej człowiek reprezentowałby samą tylko nieważką część dźwigni, oddzieloną od źródła prostej pracy fizycznej. Aby człowieka wyobrazić sobie jako cały kapitał, trzeba było czynną część fizyczną jego osoby zawieźć na hypomochlionie w stanie bezwładnej równowagi, bo wszelki kapitał— to wprawdzie potęga, ale wstanie statycznym, to dźwignia w stanie spokoju. Z uwagi że maszyna jest bezwładna, dopóki nie połączy się z ludźmi, którzy

ją obsługują, należy to samo powiedzieć i o człowieku, wyspecjalizowanym do twórczości materialnej, dopóki jest pozbawiony narzędzia lub maszyny.

Mamy tedy dwa kapitały, zostające w stanie spokoju i bezwładności: siekiereę i drwala. Cóż musi zająć, aby nastąpiło twórcze działanie?

Ani siekiera sama nie narąbie drzew, ani drwal-kapitał nie dokona tego bez siekiery. Niech to nas jednak nie przyprawia o zakłopotanie, bo tak być musi, skoro i jedna i drugi mają być kapitałami. Kapitał bez człowieka musi być bezwładny, a właśnie nawet i sam drwal został jak gdyby bez człowieka, bo uczyniliśmy kapitałem nie tylko jego umiejętność władania siekiereą, ale również i jego siłę fizyczną musieliśmy dołączyć do umiejętności, aby razem stworzyły kapitał. Niema więc wcale człowieka czynnego. Mamy tylko dwa kapitały w stanie statycznym.

Cóż teraz trzeba uczynić, aby z tych kapitałów powstała całość czynna? Wystarczy złączyć je z sobą. Z chwilą, gdy to nastąpiło w siekiereę wstępuje niejako życie i okazuje się, że drwal i siekiera są to części składowe jednej potęgi twórczej.

Czy to będą jednak części składowe jednego kapitału? Nie! Od chwili, gdy oba kapitały połączyły się z sobą, powstało odrazu coś więcej, niż dźwignia, bo dźwignia w ruchu, nie zaś w spokoju. Zjawiło się odrazu coś nowego, więc musimy się zastanowić. co tu się stało?

Jak się ułożyły cztery elementy składowe dwóch dźwigni: dwa ramiona materialne i dwa duchowe?

Dwie dźwignie: ożywiona i nieożywiona połączyły się ze sobą nieważkami ramionami, skutkiem czego ważkie pozostały na przeciwległych końcach jednej przedłużonej dźwigni. Z czterech elementów dwu dźwigni powstała jedna dźwignia złożona:

- 1) z ważkiego ramienia maszyny,
- 2) z nieważkiego ramienia maszyny,
- 3) z „ „ „ „ człowieka.

Cóż się staje z ważką częścią człowieka. Z jego siłą fizyczną? Ta nie wchodzi już w skład nowej dźwigni, bo stanie

się elementem czynnym. Element duchowy człowieka, przyczepiony do nieważkiego, duchowego maszyny, wytworzył dźwignię potężniejszą o całą moc duchową człowieka, ale dopiero siła fizyczna człowieka ma wystąpić jako element czynny, aby poruszać dźwignię siłami fizycznymi jednego zwykłego człowieka. W ten sposób jeden z kapitałów (człowiek) rozszczepił się i duchową swą częścią przedłużył dźwignię a natomiast prosta siła fizyczna jego przyczepiła się do ramienia dłuższego i wywiera działanie na przedłużoną dźwignię.

Im więcej osobnik dodał swej nieważkiej potęgi szybkości do dłuższego ramienia narzędzia — tem skutki pracowania narzędziem będą większe. Zobrazować to można na prostym przykładzie drwała. Któż się nie zgodzi, że pracować siekierą można z rozmałą wprawą i umiejętnością. Jeden osobnik setką uderzeń wykona tyle, co inny równie krzepki, ale manewrujący narzędziem nie tak sprawnie, trzema setkami. Pierwszy wyda trzy razy tyle towaru co drugi. Nie siekiera tutaj wpływa na odmienny rezultat i nie siły fizyczne człowieka, ale jedynie zautomatyzowane władze umysłowe drwała, kierujące ruchami jego ciała i ruchami siekiery w sposób ekonomiczny. Zróbmy teraz obliczenie.

Jest dźwignia-siekiera, dajmy na to, wartości decymalnej, to znaczy, że zawiera w sobie 1 dzień prostej pracy ludzkiej 9 dni pracy, oszczędzonej przez ducha. Wystarcza ona na 200 dni pracy. Dźwignię tę nabył drwał za cenę dwóch dni prostej pracy ludzkiej.

Cóż się dzieje po całodziennnej pracy siekierą? Jeżeli w pracowaniu drwała czynne były trzy jednostki pracy jego duchowej i jednostka pracy fizycznej, a oprócz tego zużyła się  $\frac{1}{200}$  wartość siekiery (i  $\frac{1}{200}$  ceny siekiery), to w towar weszło 4 i  $\frac{1}{200}$  jednostek wartości. Jednym dniem pracy fizycznej otrzymał 4 i  $\frac{1}{200}$  dni pracy fizycznej w towarze. Dajmy na to, że drwał sprzedał swój towar za cenę dwóch dni pracy prostej. Zyskał on tedy na czysto zapłatę za jeden dzień pracy prostej.

Gdyby pracował tutaj człowiek niewprawny — wynik byłby inny. Otrzymałby on tylko jednostkę wartości towaru, kosztem 1 dnia pracy własnej. Ponieważ towar swój sprzedać



może tylko za 30% wartości<sup>1)</sup>, traci tedy 50% wartości własnej pracy i  $\frac{1}{200}$  ceny siekiery. Ani siekiera, ani praca własna nie opłaciłaby się, bo otrzymałby za cenę całego dnia pracy towar, który sprzeda za cenę tylko połowy dnia pracy prostej, a prócz tego straciłby  $\frac{1}{200}$  kapitału. Jak widzimy, pracowanie kapitałem materyjalnym, ale bez własnego duchowego, byłoby tu o połowę mniej cenione, niżeli pracowanie całkiem bez kapitału, np. noszenie ciężaru,—gdy tymczasem pracowanie drwala wprawnego jest cztery razy tyle warte — choć tylko dwa razy tyle cenione, co praca czysta.

O ile chodzi o wartość wytworzonego towaru, to w pierwszym razie zjawily się cztery jednostki wartości zamiast jednej, w drugim tylko jedna. O ile zaś chodzi o cenę — drwal dzięki kapitałowi-siekierze stracił połowę ceny swej pracy. Zysk czysty dała pierwszemu drwalowi oraz odbiorcy jego towaru tylko jego umiejętność władania kapitałem. Miała się ona jak 3 do 1, i zysk jego oraz jego odbiorcy ma się również do straty człowieka, nie umiającego władać siekierą, jak 3 do 1-go. Bezwzględny zaś zysk drwala, zmniejszony dzięki współzawodnictwu między drwalami, wynosi wprawdzie tylko jednostkę na jednostce, gdy jednak zwykły człowiek, który się chciał posługiwać siekierą, poniósł stratę  $\frac{1}{2}$  na jednostce, więc nawet i tutaj stosunek wyników pracowania obu wyraża się stosunkiem 3 do 1-go.

To samo rozumowanie można zastosować do każdej pracy, więc i do działalności dyrektora skomplikowanej fabryki, gdzie pracują przy setce maszyn doskonałych setki robotników. Od pokierowania całym mechanizmem zależy powodzenie fabryki. Może ona, niedołącznie prowadzona, dawać straty — i może dawać zyski rozmaite, zależne wyłącznie od racjonalnego skoordynowania wszystkich sił i uzdolnień, czynnych w fabryce.

\* \* \*

W tej chwili nie możemy iść dalej, albowiem chodziło tu przedewszystkiem o stwierdzenie istnienia dwóch kategorii ka-

---

1) na skutek współzawodnictwa z wprawnymi drwalami.

piątku, a tymczasem został nam jeszcze do omówienia pieniądź, zwany pospolicie także kapitałem. Musimy więc wprzód zdać sobie jasno sprawę czem on jest właściwie? Potem uwydatni się nam w pełni przyczyna, dla której ekonomiści obózów zarówno mechanistycznego, jako nawet psychologicznego nie liczą się z rzeczywistą wartością towarów i okaże się, że nie jeden jest motyw takiego zaniedbania.

Pierwszym motywem są te same trudności teorytyczne, które istnieją w życiu praktycznym, więc niemal całkowita nierozpoznawalność rzeczywistej wartości zarówno towaru jak czło wieka, za drugą przyczynę można uważać teorytyczną omyłkę, w którą popadli mechanisci, a która utrudniła im przenikliwą ocenę zjawisk ekonomicznych. Kwestyę tę wkrótce poruszemy łącznie z pytaniem: skąd pochodzi niejednakowa, ale najczęściej olbrzymia różnica między wartością dzieła (bądź indywidualnego bądź zbiorowego), a jego ceną?

Na zakończenie — słówko w kwestyi dalszej nomenklatury. Ponieważ wypadnie nam odróżniać kapitał człowieka od kapitału-maszyny, a pragniemy uniknąć tworzenia nowych wyrazów, — przeto kosztem drobnej nieściśłości najdogodniej będzie odtąd człowieka nazywać kapitałem materialnym, albo wprost kapitałem. Czem się okaże pieniądź — zaraz to zobaczymy.

## XXVII

### **Pieniądź. Symbol towaru, wartości, bogactwa i kapitału.**

Pieniądź nazywają towarem, a nawet jedynym towarem, który nigdy nie przestaje być towarem, ale naprawdę jest to coś mniej, a zarazem więcej niż towar. Jest to środek ułatwiający zamienianie się towarami. Bez niego wymiany byłyby nadzwyczaj trudne, w tych zaś rozmiarach, w jakich się odbywają — wprost niemożliwe.

Materyałem na pieniądź musi być oczywiście towar, lecz aby on stał się pieniądzem — musi posiadać szereg przymiotów wymaganych od dobrego środka wymiennego.

Zdawaćby się mogło, że pierwszym przymiotem musi być powszechna pożądalność, ale to nie konieczne. Towar bowiem dogodny na środek wymienny, nabywa uniwersalnej pożądalności dopiero od chwili, gdy stał się pieniądzem. Sam mógłby wcale nie mieć żadnej użyteczności, czyli mógłby być rzeczywiście tylko towarem i zawsze towarem. Ważniejsze zatem muszą być specjalne cechy, np. mała objętość, co ułatwia przechodzenie z rąk do rąk, łatwa podzielność, trwałość i t. d.

Pieniądzem bywały już skóry, futra, bydło, płótno, sztabki i bloczki kruszców użytecznych, tabliczki soli, ale z rozrostem handlu oraz z rozwojem wytwórczości okazywały się nie dość dogodnymi i z wolna ostały się głównie kruszce szlachetne.

Tłumaczy się to licznymi ich zaletami. Kruszec ciężki, a rzadki w przyrodzie, złoto, odznaczał się wyjątkowo małą objętością, a zarazem prawie nieograniczoną, a łatwą podzielnością. Rzadkość w przyrodzie zapewniała mu wysoką cenę, niezniszczalność znowu, pomimo względnej miękości, chroniła od strat, wynikających z zepsucia się towaru.

Co jednak najważniejsza, kruszce szlachetne odznaczają się ogromną stałością ceny. Biedzono się nad zrozumieniem tajemnicy stałości ceny pieniądza kruszcowego, a zwłaszcza złotego, dawano różne objaśnienia, ale nie spostrzeżono, a przynajmniej nie położono na to odpowiedniego nacisku, że główną tego przyczyną jest niezmiernie rzadka w towarach właściwość, że cena ich trzyma się stale w pobliżu wartości.

Aby się to urzeczywistniło, muszą one należeć do towarów najdroższych (czyli osiągać najwyższą cenę w stosunku do swej wartości przedmiotowej), zaś jako przedmioty użytku muszą przedstawiać niewielką użyteczność. Inaczej mówiąc, muszą należeć do towarów najdroższych a równocześnie najmniej poszukiwanych.

Zdawałoby się, że żaden towar nie może być równocześnie wcieleniem podobnych sprzeczności, — a jednak to najczystsza prawda.

Szlachetne kruszce są niewątpliwie najdroższe z pośród towarów, cena ich bowiem jest wyrazem rzeczywistej ich wartości; że zaś należą do najmniej poszukiwa-

nych, tego dowodzi fakt, że cena ich jest zapłatą za ledwie za najprostszą pracę fizyczną ludzką, rzeczywiście w nie włożoną. I stąd właśnie płynie niepospolita stałość ich ceny, tak konieczna aby mogły służyć za środek niezawodny do wyrażania i mierzenia ceny innych towarów.

Takiej stałości ceny nie osiągają żadne prawie inne towary, zarówno najtańsze, jak najdroższe. Najtańsze bowiem spadają rychło w cenie, gdyż jako zyskowne zaczynają być produkowane w nadmiarze, najdroższe znowu nie mogą długo istnieć, bo prędzej lub później przestają być produkowane, jako źle opłacające się. Do ideału możliwej stałości ceny zbliżają się z zasady tylko najcenniejsze spożywcze płody natury, ale dla tej prostej przyczyny, że niżej w cenie spaść już nie mogą, gdyż nie zwracałyby kosztów produkcji, a zaprzestać ich produkowania również niepodobna. Takie towary bywały i bywają po za obrębem rolnictwa, ale są to wszystko efemerydy, mało poszukiwane, albo nieopłacające się, rychło więc przestają być wytwarzane, wychodzą z obiegu i przepadają.

Jest to więc ciekawem zjawiskiem, że złoto i srebro nie podlegają prawu, rządzącemu każdym towarem. Chociaż zachowują się zupełnie jak taki towar, którego podaż jest większą od zapotrzebowania i chociaż stoją wciąż na ostatecznej granicy możliwie niskiej ceny, ich produkcja nie bywa zarzucała chociaż mało się opłaca, a podaż nie staje się większą od popytu. Czem się to dzieje? Stało się to nie dla nich samych, jako towaru, ani też dla ich wartości użytkowej jako towaru, lecz jedynie dlatego, że okazały się najdogodniejszym środkiem, ułatwiającym wymiany.

Nie z potrzeby złota lub srebra mamy go tyle w obiegu, ale z potrzeby zamieniania się innymi towarami i z gwałtownej potrzeby możliwie dokładnego wymierzania i oznaczania ich ceny. Złoto i srebro, stawszy się pieniądzem — przestały być towarem, stały się zgola, czemś nowem: mianowicie najpraktyczniejszym zastępcą wszelkiego towaru, prostym znakiem do wyrażania bądź wartości bądź ceny towarów prawdziwych. I tu

mamy rozwiązanie zagadki: czemu zachowują się tak sprzecznie z naturą towaru. Będąc przedmiotem rzeczywiście mało użytecznym, są powszechnie pożądane i bezustannie produkowane, ale tylko jako symbole towarów. Są to cienie wartości, tak jednak realne, że nikt jnie może stracić, biorąc je za wartości.

W podobnych warunkach nie może być, aby pieniądze (złote lub srebrne) same w sobie były kapitałem. To tylko symbole kapitału, podobnie, jak symbole towaru. Nie mogąc zaś ulegać deprecyacji<sup>1)</sup>, bo już są możliwie najgorzej zapłacone, stają się wagą do wymierzania wartości lub ceny, stają się równocześnie kilogramem, metrem i litrem i najgodniejszym, bo uniwersalnym naczyniem do pomieszczenia wartości wszechkształtnej, bo bezprzymiotowej.

Wiemy już, że materiał na pieniądz musi być wcieleniem możliwie najniżej opłaconej pracy wyłącznie ludzkiej, ale fizycznej; musi być najmniej użytecznym ze wszystkich towarów, możliwych do użycia ich na pieniądzu. Do takiej właśnie roli nadały się wyśmienicie kruszce szlachetne i lepszego od nich materiału na pieniądzu dotychczas nie wynaleziono.

Niektórzy ekonomiści wyobrażali sobie, że wartość pieniędzy jest urojona. Może to być poniekąd prawdą, z uwagi, że w tej ogromnej ilości, w jakiej krążą, nie są wcale potrzebne, jako towary, ale ponieważ są konieczne potrzebne jako znaki i miara towarów — więc ani wartość ich ani użyteczność nie mogą być urojeniem. Gdy zaś wartość swoją realną, wartość pracy ludzkiej fizycznej posiadają nawet w nadmiarze, czem przewyższają prawie wszystkie towary, przeto naprawdę cenność ich jest może najmniej zawodna. Nie zależy od kaprysu, mody, starań, utrzymuje się z żywiołową zaciętością, bo jest zjawiskiem naturalnem.

Zadziwiającą swą stałością wysokiej ceny kruszczowy materiał na pieniądzu zawdzięcza nie tylko swej rzadkości w przyrodzie, ale głównie pierwiastkowości. O pierwiastkowości

---

<sup>1)</sup> Jeżeli jej ulegają w razie wielkiej obfitości, wówczas podlega zatraceniu już sama ich cenność, co czyni je tem bardziej towarem najdroższym.

złota, jako niezbędnym warunkiem na dobry pieniądź, w ekonomii głucho, a przecież gdyby jej pieniądź złoty nie miał, nie stałby się pieniądzem, z chwilą zaś gdyby ją utracił, przestałby być pieniądzem.

Komu wiadomo, że nauka i technika nie zdołały jeszcze ani rozkładać ani tworzyć pierwiastków, ten wie że złoto trzeba znaleźć gotowe w przyrodzie. Zrobić go nie można. Warunki jednak wydzierania złota naturze są tak ciężkie, że zdobyte złoto opędza zaledwie najprostsze potrzeby życiowe poszukiwaczy.

Jeżeli jednak pomimo to zawsze znajdują się ludzie, gotowi szukać w ziemi złota, to dzieje się to jedynie dla kapryśności przyrody, która ten kruszec rozmieściła tak nierównomiernie w piaskach czy w składach, że górnikowi zawsze przyświeca nadzieja natrafienia od razu na większe ilości kruszcu, więc nadzieja hojnej zapłaty za ciężką pracę. Ta nadzieja ziszcza się dość często, aby zawód kopacza uczynić ponętnym dla tych, którzy nie mają nic do stracenia, ale dość rzadko, aby zmienić stosunek ceny złota do wartości. Poszukiwacz złota jest tedy nieuleczalnym graczem w loteryę. Wydaje prawie zawsze więcej, niż odbiera. Że zaś wydaje ciężką pracę fizyczną, złoto chłonie ją w siebie, pęcznieje od niej, jak sucha gąbka i staje się wcieleniem najgorzej opłaconej pracy ludzkiej, bo opłaconej tyle tylko, aby mogła być wydawaną nadal. I stąd płynie właściwość złota, że niżej w cenie spaść już wiele nie może, bo i tak stoi już nieco pod poziomem najgorzej opłaconej pracy ludzkiej. Pomimo nawet, że pewna część złota i srebra dobywana ulepszonymi sposobami, zawiera pewną ilość ducha, nie wpływa to na zmianę sytuacji, gdyż znacznie większe ilości tych kruszców pochłonęły mnóstwo wcale nie zapłaconej pracy ludzkiej fizycznej, więc drobny plus równoważy się w ogólnej masie wielkim minusem. Niechby jednak zaczął ktoś robić złoto, poczęłoby ono stawać się także wcieleniem ducha ludzkiego. Zaczęłoby go przybywać ponad potrzebę pieniądza, i wówczas poczęłoby spadać w cenie, jak spada każda użyteczność w nadmiarze, przyprawiając o ogromne straty wszystkich posiadaczy dawnego złota.

Nie próżno alchemicy dociekali sztuki robienia złota. Alchemik<sup>1)</sup> posiadłby skarby niewyczerpane dla jednostki, ale gdyby długo i obficie rzucał złoto w obieg, sprowadziłby powszechny zamęt w gospodarstwie, zamęt, którego pierwszych skutków trudno przewidzieć, ostateczny tylko jest pewny, mianowicie ten, że złoto utraciłoby swą rolę pieniądza, spadając do niesłychanie niskiej ceny towaru mało komu potrzebnego.

Szlachetne kruszce i bez tego spadają w cenie, ale następuje to pod wpływem nagromadzania się ich zapasu<sup>2)</sup> oraz ulepszających się środków dobywania, zawsze prawie z niezmierną powolnością, więc bez wstrząśnień zbyt dotkliwych. Skoro raz weszły w użycie i nie dają się niczem innym zastąpić, a niepodobna przyrostu ich ilości zahamować— to już do poziomu ich wciąż obniżającej się ceny bywają dociągane ceny wszystkich innych towarów i otrzymujemy złudzenie, że wszystkie ceny towarów wznoszą się powoli, gdy de facto stoją one w miejscu, a tylko cena złota spada. Ponieważ jednak proces ten dokonywa się powolnie, — można utrzymywać, że i cena złota naprawdę nie spada przez to niżej jego wartości, kurczy się tylko powszechna miara wartości, zostawiając wszystkie stosunki nienaruszone. I jeżeli na kim odbija się szkodliwe owo kurczenie się miary powszechnej, — to tylko na posiadaczach samego pieniądza, zwłaszcza większej jego ilości, więc na kapitalistach, którzy majątek swój lokują w pieniądzach. Pozatem nikt nie traci, owszem, szeroki ogół zyskuje to właśnie, co tamci tracą.

Zanim pójdziemy dalej — potrzeba jeszcze rzec słówko o pieniądzu papierowym. To już prosty zastępca kruszcowego, więc jego wartość oparta jest na kruszcowym. Wartość to czysto umowna i polega na zaufaniu, a racya pieniędzy papierowych spoczywa w nieustającej potrzebie ułatwień w obiegu wartości. Pieniądz kruszcowy był już najłatwiejszym do przenoszenia, ale potężniejszy handel, operujący wielkimi

---

<sup>1)</sup> podobnie jak górnik, któryby natrafił na niewyczerpną żyłę złota.

<sup>2)</sup> Zużywanie się ich jest mniejsze od wzrastania potrzeby pieniędzy na skutek rosnących obrotów i wzrostu ludności.

wartościami, potrzebuje jeszcze większej przenośności i lekkości pieniądza — i właśnie tej potrzebie czyni zadość papier, któremu można nadać dowolną, choćby nawet bardzo wielką wartość. Tak więc pieniądz papierowy jest tylko doskonałym pieniądzem pomimo dużej wady, że łatwo go uszkodzić lub zniszczyć. Zresztą zachowuje się zupełnie, jak kruszcowy, który, jako ekwiwalent i gwarancja papieru, spoczywa spokojnie w skarbcach tych, którzy pieniądze papierowe w kurs puszczają. To samo znaczenie ma bilon, tylko w kierunku przeciwnym. Ułatwia on drobne operacje handlowe.

## XXVIII.

### **Najniższa cena pracy ludzkiej jedynym wyrazem i miarą wszelkich cen i wartości. Pieniądz symbolem jedynie kapitału.**

Miarą zatem ceny czyli „wartości zamiennej” towarów nie może być, jak to nam powtarzano, praca ludzka, ilość czasu pracowania, ale koniecznie jakaś stała cena pracy ludzkiej.

Pieniądz jest miarą cen towarów, dlatego tylko, że sam posiada jedną z najstalszych cen, z tego powodu, iż będąc wcieleniem najgorzej opłacanej pracy ludzkiej już niżej w cenie spaść nie może bez straty posiadacza, a znowu wyższej ceny nie może osiągnąć, nie posiada bowiem użyteczności i równie skwapliwie jest oddawany za towary, jak skwapliwie był brany. Z tego jedynie powodu, stanowi bardzo dobrą miarę do wyrażania bądź ceny, bądź wartości. Ale też na tem kończy się jego rola, Do wyznaczania bowiem wartości, a choćby tylko ceny, czyli do ich odkrywania, rozpoznawania w towarze, służyć nie może. W pieniądzu możemy tylko wyrażać zarówno ceny jak wartość, bo pieniądze dajemy za towar tyle, ile musimy zapłacić, wcale zaś nie tyle, ile towar wart.

Pieniądz to tylko ciężarek uwagi, pozwalający wyrazić chwilową cenę każdego kapitału, podobnie jak towaru.



Ponieważ aż nadto upowszechniło się nazywanie zapasu pieniężnego kapitałem, musimy tu użyć jeszcze jednego środka, aby jaskrawo zaznaczyć, że wszelki pieniądź może być tylko symbolem, znakiem umownym kapitału, ale nie kapitałem. W tym celu pójdziemy jeszcze dalej w zidealizowaniu pieniądza, niżeli dzieje się to w praktyce w formie używania pieniędzy papierowych do zastępowania kruszcowych.

Skoro pieniądź kruszcowy właściwie wyobraża tylko jakąś ściśle określoną ilość pracy ludzkiej fizycznej, to możemy sobie wyobrazić taki moment w życiu ekonomicznym narodu, w którym ludzie powiedzą sobie, że dogodniej im będzie obchodzić się całkiem bez realnego pieniądza, albowiem wystarczy im najzupełniej idealny. W tym samym celu co monety, sporządzane z drogich kruszców, mogłyby być powołane do istnienia pieniądze papierowe całkiem nieoparte na kruszcowym zapasie pieniądzy, gwarantującym ich wartość. Skoro kawałek złota reprezentuje pewną ilość pracy ludzkiej, tkwiącej w nim beczynninie, to kawałek papieru mógłby wyobrażać taką ilość pracy ludzkiej, fikcyjnie w nim tkwiącej. Byłby on dla nas zastępcą pewnej ilości i pracy. Gdybyśmy się wszyscy zgodzili na zaakceptowanie takich papierów, nicby się nie zmieniło w obiegu oraz w bogactwie ogólnem, papierki bowiem takie doskonale służyłyby za równie dobry środek wymienny jak złoto; zasłaby tylko ta różnica, że owe papierki byłyby już wyłącznie symbolem bogactwa, gdy pieniądze kruszcowe sązarówno symbolem, jak też i realnem bogactwem. Chociaż pieniądze takie pozbawioneby były wartości przedmiotowej, odgrywałyby jednak rolę pełnej wartości na nich wypisanej, podobnie jak monety złote. Oczywiście, że koniecznym warunkiem wartości obiegowej takich pieniędzy byłoby zaufanie, że puszczono ich obieg tylko ilość niezbędną oraz, że każdy je przyjmie. Gdyby się to dało osiągnąć, wówczas stałby się zbytecznym cały zapas kruszców szlachetnych, pozostający w charakterze pieniędzy.

Taka teoretyczna, ale tylko teoretyczna możliwość jaskrawo dowodzi, że ta ogromna ilość pracy ludzkiej, jaka uwięzła w kruszcowym zapasie pieniężnym w niczem nie przy-

czynia się do dalszego pomnażania dóbr ludzkich, czyli że wciąż pozostaje bierną. Na tym przykładzie ujawnia się też, że suma pracy, tkwiącej w walorach pieniężnych, jest bogactwem fikcyjnym, polegającym na umowie, bo wcale nie jest koniecznym, ażeby w owych środkach wymiennych tkwiła jakaś wartość realna. Rola pieniędzy kruszcowych ogranicza się tylko do symbolizowania jakiejś wartości, jakiejś ilości pracy ludzkiej, więc przy zaufaniu może być obojętnym, czy ta wartość tkwi w nich, czy też tylko ją sobie wyobrażamy.

W takich warunkach „kapitał” pieniężny, zostający w ręku prywatnym, to tylko prosty kwitek, udowadniający, że ów osobnik puścił w obieg tyle to a tyle własnego realnego bogactwa materialnego, więc kwitek, upoważniający go również do otrzymania od kogokolwiek takiej to i takiej ilości realnego bogactwa, jakiego od innych zażąda, Sam w sobie kwitek zgoła może nie przedstawiać żadnej realnej wartości, a jednak będzie bogactwem, równem odpowiedniej ilości złotych wartości. Wszystko bowiem jedno, czy pieniądz jest pełen tej pracy, którą wyraża, czy też jest pusty. Użyteczność jego będzie jednaka. A więc również wszystko będzie jedno, czy „kapitał” pieniężny będzie pełny, to znaczy, że będzie miał postać złota, lub też postać prostego kwitu; rola jego i użyteczność będą jednakie.

Chociaż więc prawdą jest, że taki pieniądz, jaki dziś mamy, zawiera w sobie wielką ilość pracy, że można uważać go za prawdziwy towar, ale doprawdy nie w tym charakterze znajduje się on w obiegu, i dlatego możemy całą sumę pracy, wyłożonej na добыcie kruszców, na wybicie z nich monety i t. d. uważać za zatraconą i traktować ją jako prosty symbol.

Właściciel! pieniędzy jest wierzycielem ogółu lub osób prywatnych. jest tym, który oddał swoje bogactwo innym za prostym kwitem, poręczającym mu zwrot tego bogactwa. Pospolicie uważamy, że on coś posiada, ale to złudzenie; on wyzbył się właśnie swego bogactwa, skredytował je innym, sam zaś posiada tylko dowód, że dał, upo

ważniący go do odebrania tylu wartości po cenach bieżących, ile ich dał innym.

\* \* \*

Pieniądz wcale nawet nie posiada warunków, niezbędnych do tego, aby był kapitałem, choćby w znaczeniu dobra ludzkiego, potrzebnego do wytwarzania nowych dóbr, a cóż dopiero w znaczeniu nowem, które nadajemy kapitałowi. Reprezentuje on tylko bezwładną bryłę „skryształizowanej pracy ludzkiej”, użyteczną na rynku jedynie jako dogodny zastępca użytecznych dóbr ludzkich — i nic ponad to. Sam w sobie niezdatny on do wytwarzania nowego dobra, choćby nawet przyłączyła się doń nowa praca ludzka. Kapitał w naszym rozumieniu to koniecznie twórcza konstrukcja fizyczna, to połączenie materji z duchem, to dźwignia, której dłuższe ramię musi reprezentować ducha, a dopiero krótsze fizyczną pracę ludzką. Tymczasem w pieniądzu niemasz wcale treści duchowej.

Jeżelibyśmy chcieli koniecznie porównywać pieniądz z kapitałem, to możemy go nazwać tylko ważką częścią dźwigni, ale i wtedy nie trzeba zapominać, że będzie on tylko idealnym jej zastępcą.

Ponieważ jednak zanadto już przywykliśmy pieniądz nazywać kapitałem, możemy sobie i nadal pozwolić tak go mianować, pod warunkiem, że będziemy pamiętać, iż to tylko dogodna przenośnia. Dlatego też źle przedstawiają sprawę handlową mechanycyści, gdy utrzymują, że np. pieniądz jest kapitałem, zwłaszcza w ręku kapitalisty lub kupca.

To nieprawda! Nie pieniądze tutaj rodzą nowe pieniądze, nikt bowiem jeszcze nie widział, aby dukaty mnożyły się same w szkatule. Póki pieniądz leży w szkatule, póty pozostaje bezpłodnym skarbem. Musi on wyjść pierwiej ze szkatuły do rąk obcych, ale też wówczas nie pieniądz, ale prawdziwa dźwignia zań kupiona zaczyna pracować pod parciem cudzej pracy świeżej i cudzego ducha. Gdy jednak dźwignia materyalna faktycznie została kupiona za pieniądze kapitalisty, nie popełniamy omyłki, mianując jego pieniądz za-

stępcą kapitału materialnego, albo nawet przez skrócenie, samym kapitałem. Pamiętajmy tylko, że tutaj pieniądz bezduszny został już wymieniony na kapitał, czyli na materję połączoną z duchem, więc na coś, zasadniczo odmiennego od pieniędzy. Jeżeli więc kapitalista osiąga zysk bez własnej pracy, to ów zysk płynie z połączenia jego byłych pieniędzy z nową pracą cudzą, czyli ze spółki prawdziwego już kapitału (nabytego za pieniądze kapitalisty), z pracą jego dłużnika. Pieniądze jego nie odgrywają tu już żadnej roli, gdy poszły w obieg i krążą dalej po świecie jako symbole, pracuje zaś faktycznie prawdziwy kapitał twórczy, nabyty za bogactwo kapitalisty oraz człowiek obcy, który ów kapitał obrał sobie za narzędzie pracy. Nie pieniądz tedy kapitalisty robi mu pieniądze, ale prawdziwa dźwignia z uczepionym u niej pracownikiem. W tych warunkach nie potrzebujemy już pytać: czemu pracownik dzieli się „swoim” zyskiem z wierzycielem. Dzieje się to dla tej prostej przyczyny, iż wierzyciel dał dźwignię, dłużnik dopiero pracę i ducha swojego, które jednak zostałyby nadal bezsilne bez dźwigni. Zawartą więc tutaj została spółka, chociaż bez formalnego aktu spółki. Jeżeli potem do szkatuły kapitalisty wpływają z rąk dłużnika nowe pieniądze w charakterze „procentów”, to są one zyskiem cichego spółnika w przedsiębiorstwie twórczym. Czynny spółnik dzieli się z cichym wartością, stworzoną przez pracę i maszynę, wartością, któraby nie powstała bez udziału kapitalisty. Nie kapitał zawarł tu spółkę z pracą, lecz bierny właściciel materji społecznej, z posiadaczem mocy społecznej. Jeden bez drugiego nie osiągnąłby zysków. Słusznie więc posiadacz mocy społecznej, pozbawiony materji społecznej, dzieli się wytworzoną wartością, bo istotnie część tej wartości stworzona została przez maszynę, na którą został zamieniony pieniądz kapitalisty. Ów pieniądz był symbolem bogactwa kapitalisty, który mógł swoje symbole wymienić każdej chwili na coby mu się podobało, choćby na własny kapitał, jeśli by chciał pracować, a jeżeli ich nie zamienił na rzeczy jemu tylko użyteczne, lecz powierzył obcemu, choćby dla własnej korzyści — to już jego prawo.

## XXIX.

### Teorya zysku handlowego, Ścisły związek wartości z własnością.

Ale nie o takiej operacyi myślą ci, którzy zapewniają, że same pieniądze są prawdziwym kapitałem. Oni widzą, że pieniądz mnoży się w ręku kupca, który nie tylko nie ma warsztatu, ale może się nawet obywać bez tak zwanego kantoru lub sklepu.

Otóż i tutaj wcale nie pieniądz, ale dopiero prawdziwy, twórczy kapitał rodzi nowe pieniądze, i to zupełnie na tej zasadzie, jak rodzi rzemieślnikowi. Różnica tylko w odmienności źródeł, z których obaj czerpią. Kupiec nie tworzy nowych wartości z przyrody, jak to czyni rzemieślnik i fabrykant, tylko wydobywa na jaw istniejące już w towarach realne wartości i cenności, nie zapłacone nikomu i te sprzedaje. Dlatego nie potrzebuje on maszyny, do którejby się przyczepił. On w swoim pieniądzu ma już ważkie ramię gotowe, i potrzebuje tylko nieważkiego. Jeśli się tedy czuje na siłach przyśrubowywa się sam do ważkiego ramienia i wytwarza z siebie samego, t. j. ze swych zdolności handlowych, ze swej wiedzy handlowej oraz ze swoich pieniędzy pełną dźwignię, czyli kapitał. Siła tej dźwigni zależy już tylko od proporcji ramienia nieważkiego (które sam reprezentuje), względem ważkiego. Więc i tutaj nie pieniądze są kapitałem, któryby rozdził nowe pieniądze, ale dopiero sam kupiec (jako siła duchowa) wraz z pieniędzmi, które obraca towary. Sam pieniądz, to skarb martwy i bezwładny; do tego, aby stał się potęgą twórczą, brakuje mu duszy.

Lecz skądże kupiec czerpie swój zysk? Przecież nie z pieniędzy, boć pieniądz nie ma w sobie wartości w nadmiarze, a zresztą wychodzi z rąk kupca nienaruszony. Musi je zatem wydobywać z towarów. I tak jest rzeczywiście. Kupując na najtańszym rynku, sprzedając zaś tam, gdzie towar ów ceni się najwyżej, wydobywa kupiec na swą korzyść pełną część wartości, skoncentrowaną w towarach, nie po-

krytą ceną kupna, cóż tedy dziwnego, że osiąga w zysku różnicę między ceną kupna, a sprzedaży.

Mechanicysta powie, że w takim razie kupiec przyprawia kogoś o stratę, że bogaci się cudzym kosztem, albowiem ktoś musiał przecież stracić to, co on zyskał.

Ani myślimy upierać się, jakoby tu nikt nie stracił. Ktoś musiał stracić, zachodzi tylko kwestya kto stracił — i co stracił? Marx utrzymuje, że albo spożywca stracił to, co za dużo zapłacił za towar, albo wytwórca (czytaj robotnik) stracił to, co mu zostało niedopłacone za jego pracę, my zaś powiemy, że lubo się i to zdarza dość często, jednak w normalnych warunkach ani robotnik ani spożywca nic nie tracą. Zachodzić tu mogą dwa odmienne stany rzeczy.

Pierwszy polega na zjawieniu się (na rynku zbytu), dzięki działalności kupca nowej cenności, a (oczywiście i wartości), pomimo, że jej nie wytworzył ani kupiec ani jego dostawca. Drugi polega na rzeczywistej stracie, tylko, że traci tu ktoś taki, o kim Marx wcale nie myślał i kto sam nie uwierzyłby w swoją krzywdę, choćby go najusilniej o tem przekonywano.

To drugie objaśnienie, które później poprzemy dowodami, odpowiada na pytanie kto stracił. Jeżeli teraz zechcemy odpowiedzieć na pytanie: co zostało stracone? — wypadnie odzecz, że jeśli znowu pominiemy przypadki nadużyć i rzeczywistych krzywd, których się dopuszcza chciwość ludzka na niemogących się bronić słabych i uciśnionych, to w normalnym przebiegu handlowej operacji, rzekoma strata tego, który dostarczył kupcowi towaru, ogranicza się właściwie do niezyskania, czyli do zmniejszonego zysku. W przypadku zaś, o którym mówiliśmy, że dzięki działalności kupca pojawia się nowa wartość, bo ujawniają się nie użytkowywane dotychczas cechy przedmiotu (np. dzieła przyrody), to oczywiście nie traci nikt<sup>1)</sup> — a tylko kupiec zyskuje część utajonej wartości, która nabrała ceny na rynku.

---

<sup>1)</sup> gdyż dawna cenność jest zapłacona.

Że tego nie rozumieją mechanicyści, niema w tem nic dziwnego. Kto powtarza za starym Trosnem frazes, który nigdy nie był poparty dowodami, iż „zamiana nie może być źródłem wzbogacenia się, albowiem każdy daje tyle, ile odbiera”, kto powiada że „obrót nie może być źródłem zysku, albowiem w swej prawidłowej postaci zamiana towarów jest zamianą równoważników”<sup>1)</sup>, ten musi upierać się przy twierdzeniu, że zysk kúpca powstaje z czyjejs̄ straty, ale niechże kto powie: o jakiejże to równoważności towarów mowa u Marxa? Czy o równoważności cen, czy też wartości? Po tem, cośmy odsłonili, każdy zrozumie, że równoważność cen nie decyduje o wartości, lecz tylko o jednakowej cenności towarów w chwili zamiany, i o niczem więcej, a co do rzeczywistej wartości — nie może być mowy o równej wartości towarów (więc np. towaru i pieniądza) choćby dlatego, że obaj zawierający tranzakcyę nie znają wartości towaru. Gdzież tu więc równoważniki w chwili zamiany, gdzie pewność, że każdy daje tyle, ile odbiera?

Już Condillac, jeżeli nie rozumiał tego tak dobrze, jak to obecnie rozumiemy, to przynajmniej czuł, że tak być nie może gdy wołał: „Fałszem jest jakoby przy zamianie dawano wartość równą za równą. Przeciwnie, każdy zamieniający się daje wartość mniejszą za większą<sup>2)</sup>. Gdyby zawsze zamieniano wartości równe, to nikt z zamieniających się nie miałby nic do zyskania. A tymczasem o b a d w a j z y s k u j ą, lub powinni zyskiwać”.

Marx nazwał go za to „dziecinnie naiwnym” i wołał rozprawić szeroko o „sprzecznościach kapitału”, niż dostrzedz, że pomieszał dwie rzeczy pod jedną nazwą: kapitał twórczy i pieniądze, a także cenę z wartością.

W takich warunkach nie mogło być mowy o zrozumiałości tak doniosłego zjawiska gospodarczego, jakim jest z y s k przedmiotowy, realny i godziwy, jak również o zrozumia-

<sup>1)</sup> K. Marx. I. c. 53.

<sup>2)</sup> W tej części twierdzenia Condillac mylił się, ale nie mógł on w swoim czasie wyrazić się inaczej, gdy pod wyrazem wartość i on i jego adwersarze rozumieli cenę; nie dotarł on do pojęcia rzeczywistej wartości.

łości najważniejszego faktu ekonomicznego: przyrastania sumy bogactwa w społeczeństwach rozwijających się.

Trzeba było potępić wszelki zysk i nazwać go wyzyskiem i odbieraniem komuś jego własności. A przecież samo prawo własności i indywidualnej również pozbawiono podstawy.

Dlatego też powtarzamy, że klucz do należytej oceny stosunków międzyludzkich daje dopiero rozciągnięcie pojęcia kapitału i na samych ludzi.

Z chwilą, gdy dla wartości duchowych znalazło się miejsce równoległe do wartości materialnych, okazało się, że pierwsze mogą być wymieniane [na drugie, jako wzajem się pokrywające. Wszystko, co bywa pożądane, już staje się towarem i przedmiotem zamiany, czy to będzie wartość duchowa, czy materialna, czy to będzie usługa lekarza, śpiewaka, profesora, lub też sztuka płótna albo pudełko zapalek.

Tem bardziej jednak staje się realną wartością kapitał duchowy. Skoro bowiem żaden akt twórczy nie może zająć bez przyłączenia się kapitału duchowego do materialnego, skoro duchowy jest właściwą przyczyną twórczości i ojcem dzieł ludzkich, czyż nie należy rachować się ze strukturą duchową indywidualną daleko bardziej, niż z pracą czystej cielesności?

Ale nasz system wyznacza miejsce nie tylko dla wartości duchowych. Gdy one są własnościami indywidualnymi osobników, przeto muszą być jakoś równorzędne z własnościami materialnymi i mogą być wymieniane jedne na drugie, jako godne siebie przedmioty zamiany, jako towary! W systemie mechanistycznym niema właśnie miejsca ani na wartości, ani na własności duchowe. Wszystko sprowadza się tam do najniższej cenności prostej pracy ludzkiej i zdradza jaskrawą sprzeczność z rzeczywistością. Przez szkła systemu mechanistycznego dostrzegano tylko nierównomierny rozkład między osobnikami bogactwa materialnego, przeoczono zaś nierównomierność w rozkładzie kapitałów duchowych. Nasza teoria ukazuje, że obie własności rozłożone są w narodzie bynajmniej nie w stosunku proporcjonalnym do wartości obu, czyli odsłania istnienie takich jeszcze niespra-



wiedliwości społecznych, których nie dostrze-  
ga szkoła materialistyczna. Nie dostrzega ona upo-  
śledzenia bardzo wielu wartości duchowych, ale za to  
w przypadkach, gdzie owego upośledzenia niema, gorszy się  
zaraz dostrzeganą równowagą, mianując ją poprostu  
dziełem wyzysku.

System materialistyczny uznaje tylko pracę prostą za  
własność indywidualną. Nawet i w systemie austriackim nie-  
ma miejsca na własność indywidualną, zwłaszcza duchową, bo  
niema tam miejsca nawet na realną wartość dzieł material-  
nych. Tam prawo własności indywidualnej przyjmuje się  
z góry, bez uzasadnienia, jako proste prawo przyrodzone,  
choć wcale tak nie jest, bo to właśnie prawo wyłącznie  
społeczne, możliwe tylko w świecie ludzkim. Ono opiera  
się właśnie na wartości duchowej indywiduów czyli na  
własności duchowej i pociąga za sobą drugie prawo, pra-  
wo do odpowiedniej mu wartości materialnej, możliwe do zreali-  
zowania tylko przez prawo do zysku. Nie trzeba więc  
utożsamiać zysku z wyzyskiem, ani też wiązać przyczy-  
nowo zysku jednego ze stratą drugiego, bo zysk, w spo-  
łeczeństwie, dziwnie prosto wiąże się z twórczością  
i z twórczości się wyłania.

.....

Zgoda, ale w takim razie jakimże prawem kupiec zbiera  
zyski, gdy on przecież nie tworzy? Sprawa kupca jest bardzo  
prosta, tylko należy ją rozdzielić na dwie i każdą osobno  
rozpatrzyć.

Kto traci i co traci w przypadku, gdy kupiec zyskuje część  
wartości; wytworzonej przez człowieka, o tem dowiemy się ni-  
żej, teraz wystarczy wskazać w czem spoczywa i skąd płynie  
ta wartość, zagarnięta przez kupca. Oto już w warsztacie czy  
w fabryce wtłoczona została do towaru znaczna ilość wartości,  
nie pokryta ceną sprzedaży kupcowi. Ponieważ ona  
tam jest, więc w sprzyjających warunkach rynku część jej mo-  
że być sprzedana spożywcy — i to bez krzywdy jego, bo  
spożywca i tak otrzymuje jeszcze resztę wartości darmo,  
i to najczęściej ilość bardzo znaczną. Ale owa dodatkowa

cenność, reprezentująca zysk kupca<sup>1)</sup>, niekoniecznie musi pochodzić z krzywdy robotnika, bo niekoniecznie jemu zawdzięcza swe istnienie. Zwykle ma ona inne pochodzenie, a jakie, o tem będzie później.

Teraz rozpatrzmy, czy kto traci, jeżeli kupiec zyskuje część wartości, niewytworzonej przez człowieka.

Aby o tem wyrokować dość przypomnieć, że do zjawienia się wartości nie jest wcale konieczne tworzenie jej przez człowieka. Przedmiot wartosciowy i cenny może być całkowicie dziełem natury, tylko obcej temu środowisku, w którym staje się wartościowym i cennym. W takim razie kupiec choć nic nie wytwarza, może być dostarczycielem wartości przez sam akt przeniesienia przedmiotu ze środowiska, w którym będzie pożądanym, użytecznym i cenionym. Choć nic nie wytwarza — ów kupiec może być uważany wraz z jego pieniędzmi za prawdziwy kapitał, tworzący wartości, bo dzięki wiedzy handlowej i pracowitości przeniesie dzieło natury z jednego kraju, w którym jest bardzo nisko cenione lub wcale nie cenione, do kraju, w którym jest lub będzie cenione wysoko, z powodu pewnej sumy cech realnych, zapewniających mu użyteczność i pożądalność.

Właśnie handel surowcami lub półsurowcami płodami natury ma to do siebie, że przerzucając nadmiar płodów użytecznych z jednych krajów do innych, przymnaża wartości, choć ich nie wytwarza. Nie spożytkowywane na miejscu, czyli marnujące się, zamienia w pożądane gdzieindziej. Przez proste przenoszenie odgrywa rolę zupełnie taką, jakby wytwarzał wartości, albowiem zużytkowywa czyste siły natury, w części na korzyść swoją, w części na korzyść odbiorców i spożywców. Jeżeli zakupuje w Indiach lub w Ameryce południowej drzewo hebanowe albo korę chinową, więc tam, gdzie one mają małą wartość z powodu braku zastosowania, zaś małą cenność, z powodu nadmiaru — i przewiezie do Europy, która pożąda drzewa o własnościach, jakich nie posiadają krajowe gatunki, i jeżeli do kosztów, ja-

---

<sup>1)</sup> Cenność druga wyższa od pierwszej cenności.

kie poniósł, doliczy sobie przyzwoity zysk osobisty, to nie można twierdzić, aby kogoś skrzywdził, choćby nawet krajowców, którzy nie dbają o te plody, albowiem ten, kto od niego nabywa, dostaje owe drzewo jeszcze o wiele taniej, niżeli gdyby po niewielką jego ilość sam pojechał do Bombaju, na archipelag malajski lub do Peru, celem zakupienia wprost od krajowców.

Kupiec, wywożący plody naturalne z krajów egzotycznych, zyskuje w tym przypadku wcale nie na ludziach, lecz na samej przyrodzie, dzięki swej przedsiębiorczości, tak właśnie, jak szczęśliwy znalazca samorodnej bryły złota w piasku złotodajnym. Ów kupiec zyskuje tem prawem, jakim zyskuje rolnik, któremu gleba (czyli siły chemiczne i potęgi życiowe) wyrabia towary (plody rolne) w drobnej części tylko siłami pomocników rolnych, w większej zaś części siłami przyrody (powinowactwami chemicznymi, i siłą życiową roślin i zwierząt), któremi kieruje jego kapitał duchowy.

Kupca tedy można pod względem roli społecznej umieścić wpośrodku między fabrykantem, a rolnikiem, gdyż łączy w sobie coś z działalności obu — i bliższym jest do obu — niżeli ci wzajem do siebie.

Kupiec, zwłaszcza hurtownik egzotyczny, odgrywa względem swego kraju taką rolę, jakby dzieła, które sprzedaje — wytwarzał. Nie było ich w kraju — i nagle zjawiają się na rynku. O ile są pożądane i poszukiwane, a nie zjawiają się w nadmiarze, któryby ich cenność obniżył — sytuacja jego podobna jest do sytuacji fabrykanta, rzucającego na rynek towar niezbyt spospolitowany. Może on wówczas dość znaczną część własności naturalnych swego towaru przeobrazić w cenność i uczynić swoją własnością. Zwykle też udaje mu się podnieść pierwotną cenność swego towaru wyżej — niżeli rolnikowi, bo ten otoczony jest liczniejszymi współzawodnikami. Różnica jednak w zyskach obu jest zupełnie naturalna i zrozumiała. Kupiec egzotyczny wprowadził w działanie większy kapitał duchowy, większą przedsiębiorczość i ryzyko, on liczniejsze pokonał przeszkody, niżeli pospolity rolnik, zawsze pewny pokupności swego towaru. Na kupca pracuje w kraju przeważnie duch

jego — na wieśniaka gleba i warunki atmosferyczne. Pracując więc mocniejszym kapitałem duchowym, ma kupiec prawo do większego zysku od pospolitego rolnika, który obchodzi się w gospodarstwie słabszym kapitałem duchowym.

To samo dotyczy wszystkich kupców. Ale też tylko prawdziwych kupców, których odróżniać należy od spekulantów. O tych ostatnich będzie niżej. Lubo nie są producentami, to jednak przenosząc towary z niedostępnych dla spożywców źródeł produkcji ułatwiają nabycie, oszczędzają trudu spożywcom; oszczędzając zaś ich cenność — mają prawo dzielić się płynącym stąd zyskiem dla spożywcy. W gruncie rzeczy i zysk fabrykanta czy rzemieślnika z podobnych usług płynie. Zysk więc handlowy opiera się na tej samej zasadzie wzajemności usług. Przez oszczędzanie innym trudów i czasu służy twórczości innych. Zysk materialny, t. j. zatrzymanie dla siebie pewnej wartości bezpłatnej jest wynagrodzeniem za dostarczenie innemu również bezpłatnej wartości. Jest zapłaceniem sobie niepłatną wartością za bezpłatne dostarczenie innemu pewnej wartości, jest podzieleniem się z odbiorcą nową wartością bezpłatną — czyli powiększeniem swojej własności z tej racji, że powiększyłem równocześnie cudzą własność.

Zysk osobisty, przemysłowy czy handlowy, jest spółczeństwem w zysku drugiego, jest oddaniem sobie usługi lub cenności — za oddanie usługi lub cenności innemu. W razie jeżeli oddaję innym duże usługi — mam prawo do oddania sobie równie poważnej usługi. Nawet zatem osiągając duże zyski mogę nietylko nie krzywdzić nikogo — lecz przeciwnie być dla innych bardzo użytecznym dostarczycielem wartości, cenności i własności.

Oto, czego nie chcą czy nie mogą rozumieć materialści<sup>1)</sup>, patrzący na świat oczyma tępego doktrynera, trzymają-

---

<sup>1)</sup> Zresztą — i szkoła austriacka tego nie rozumie. Boehm-Bawerk nie wytłumaczył powstawania zysku. W jego teorii zysk powstaje z niczego a jednak jest on tak realnym zjawiskiem gospodarczym (nie zaś pojęciem historycznym jak słusznie mówi sam B.-Bawerk), że nawet w ustroju socjalistycznym nie może nie istnieć.

cego się oburącz bezkrytycznie ukutej formułki, sprzecznej z rzeczywistym stosunkiem ludzi do ludzi, którzy wcale nie są jednowartościowi.

### XXX.

#### O cenie i wartości ludzi.

Wiemy już, że kapitał materialny tyle znaczy praktycznie, jakby go nie było, dopóki nie przyłączy się doń duchowy. Pozostanie on póty martwym skarbem, podległym destrukcyi, póki nie przyłączy się doń odpowiednio wielki i mocny kapitał duchowy. Wyłania się tedy fakt, że obie kategorie kapitału, jako prywatne własności, rozmieszczone są między osobników w narodzie bez wzajemnej zależności. Istnieją tu wszelkie możliwe stosunki, które najprościej będzie zebrać w cztery grupy:

1) pewna ilość osobników w narodzie posiada wielkie kapitały materialne, choć reprezentuje niezmiernie drobne kapitały duchowe.

2) pewna ilość osobników, reprezentuje wielkie kapitały duchowe, ale nie posiada znowu materialnego lub bardzo mały.

3) pewna ilość osobników reprezentuje drobne kapitały duchowe i żadnego materialnego, wreszcie

4) pewna ilość osobników lub całości społecznych, jest obdarzona jednym i drugim mniej lub więcej harmonijnie.

W tej chwili dotkniemy tylko prostych następstw podobnego rozkładu, a więc przymusowej stagnacyi kapitałów materialnych w pierwszej grupie, zaś w drugiej i trzeciej — duchowych. Tu bowiem materya społeczna — tam moc nie mogą przejść w stan czynny. Z obu stron mamy tylko skarby bezsilne.

Cóż się więc dzieje? Zjawia się pogoń właścicieli materialnego za kapitałem duchowym i odwrotnie. Oba kapitały, niby dwie płci różnoimienne pożądamy się i szukają wzajem, aby się zlać w pełną dźwignię twórczą.

Idea jest pierwiastkiem twórczym, ale pogrążonym jak-gdyby w próżni. Potrzeba jej materji. I to samo zachodzi z bezwładną materją. Dopiero gdy nastąpi połączenie, zaczyna się działanie twórcze, zjawia się coś zupełnie podobnego do życia. W bezwładną materję wstępuje życie.

Zachodzi pytanie czy te dwie niezbędne sobie potęgi wchodzą w stosunek wymienny zgodnie z prawdziwą wartością obu? I jakież są szanse, aby spółki takie stawały się najwydatniejszymi?

Na wszystkie te pytania odpowiedź wypada niekorzystna dla kapitałów, wartości i własności duchowych.

Naprzód nie posiadamy łatwego środka do określenia wartości kapitału duchowego.

Tylko gdy osobnik posiada własny kapitał materialny może on nie poddawać się egzaminowi i wedle własnej woli stać się siłą twórczą, odpowiedzialną jedynie przed sobą za wyniki swej działalności. Inaczej musi on znaleźć ufego właścycę pieniędzy, ale musi on pierwej sam znać swą wartość, aby się nie dał niedoszacować, tymczasem rzadko znamy własną wartość i bądź przeceniamy się, bądź nie doceniamy sami.

Z tych powodów, jak również ze złej woli jednej lub drugiej strony, istnieje pewna ilość spółek niesprawiedliwych, jeszcze zaś większa ilość takich, o których nie umiemy wydać sądu.

Zjawia się tedy potrzeba zastanowienia się jak mamy szacować kapitał duchowy? Nie znając środka do sprawdzenia wartości dzieł — nie posiadamy tem samem środka do poznania wartości ich twórców.

Zdawałoby się, że sytuacja należy do beznadziejnych, ale tak źle nie jest. Podstawą, na której możemy się wesprzeć, jest pewność, że kapitału duchowego jest znacznie więcej, niżeli materialnego. Inaczej bowiem nie byłoby postępu.

Gdyby wartość kapitału duchowego była opłacana w pełni i według wartości materialnego, wówczas cena dzieł byłaby równa ich wartości, tylko tak bardzo wysoka, że nie opłaciliby się nikomu ich nabywanie. Nie byłoby postępu.

Sam więc fakt, że ceny dzieł są zawsze niższe od wartości wskazuje, że wartość czynnego kapitału duchowego musi być wyższa od jego ceny.

Gdy więc z jednej strony widzimy, że przy małej ilości kapitału duchowego — nie byłoby ekonomicznego produkowania, a z drugiej wiemy, że produkowanie ekonomiczne wzmaga się z postępowaniem, to już mamy stwierdzenie, że kapitału duchowego musi być znacznie więcej, niżeli materialnego, i to tem więcej, im naród jest produkcyjniejszy. Ale nie dosyć tego. Cena kapitału materialnego dostarcza nam stałej skali do mierzenia i wyrażania wartości duchowego. Skoro raz posiadamy tę skalę, to już łatwo dojść do przybliżonego choćby wyobrażenia o wielkości kapitału duchowego drogą oceny tych oszczędności, jaką niesie duchowy. Wysoki rozwój techniki oszczędza iście nieprawdopodobne ilości prostej pracy ludzkiej a choć nie we wszystkich działach oszczędność bywa równie wielką, to jednak dziś technika oszczędza bez porównania więcej pracy ludzkiej, niżeli jej pochłania. Ta pewność wystarcza do postawienia twierdzenia, że wartość czynnego kapitału duchowego musi być bez porównania większą od jego ceny. Nie przesądza to jeszcze o stosunku wzajemnym osobistych kapitałów duchowych względem takichże materialnych, — ale to wskazuje, że w ogólnym bilansie narodu kapitał duchowy nie reprezentuje ceny, równej jego wartości, a więc, że bardzo znaczna ilość duchowego pracuje bezpłatnie. Dowodzi tego powszechnie znany fakt, że ceny ogromnej większości towarów utrzymują się w pobliżu ceny pracy t. zw. robocizny.

Mogłoby się zdawać, że takie zjawisko świadczy przeciw naszym wywodom, że „wartość” i „cena pracy (cennosc)” schodzą się niemal ze sobą, ale takiego mniemania nie można brać na seryo. Odkąd wiadomo, że wszelka cena jest

wynikiem spółzawodnictwa, to całe zjawisko niskich cen towarów, trzeba złożyć na karb silnego spółzawodnictwa we wszystkich rodzajach wytwórczości. Ono to sprawia, że wszystkie ceny dążą do możliwie najniższego poziomu. Ale cóż ceny niskie mają wspólnego z wartością, gdy wiemy, że przyciśnięty potrzebą, odda choćby złoty zegarek (jeśli go ma) za bochenek chleba, jeśli tego chleba koniecznie potrzebuje.

Ludzie i własności ich duchowe, będąc także towarami, podlegają wszystkim prawom rynku, jeżeli więc takiego towaru, któremu na imię „kapitał duchowy” jest więcej, niżeli go potrzeba na rynku, i jeżeli taki „kapitał-towar” ma tę nie dającą się usunąć wadę organiczną, że musi jeść i mieszkać pod dachem, aby nie zginąć, to w braku kupca musi się oddać, choćby za bezcen. Tak też bywa. Gdy już wszystek zapas materji społecznej, gotowej do działania został połączony z kapitałem duchowym, pozostaje bardzo znaczny nadmiar ostatniego, zmuszony do bezczynności jedynie dla braku ważkiego ramienia, do którego mógłby się przyłączyć. Z takiego stosunku płynie nieuchronny spadek ceny kapitałów duchowych. Moc twórcza, jak każdy towar, ocenia się tem niżej, im jej więcej na rynku.

Stąd płynie wybitna dążność fachowców, pozbawionych bogactwa materialnego albo do wynajmowania sobie materji kapitałowej od tych, którzy jej posiadają nadmiar, albo też — do wynajmowania siebie na usługi posiadaczów materji, czyli tak zwanych kapitalistów.

I oto staje się zrozumiałem czemu materialne bogactwo, pozostające we władaniu prywatnem dusz słabotwórczych, nie się im zyski bez pracy. Zyski te niesië im ich użyteczność społeczna, pozwalająca innym osobnikom osiągać zyski większe, niżeliby sama ich praca im dawała, a w konsekwencji przyczyniająca bogactw materialnych. Dusze twórcze, skazane na bierność, wołają się dzielić z dostarczycielem ważkiej części dźwigni, wartościami nowo-wytworzonemi, niżeli trwać w bezczynności przymusowej. I to samo dzieje się często z drugą stroną — obie więc na wejściu w spółkę zyskują. To tylko trzeba zaznaczyć, że najczęściej zyskuje daleko więcej właściciel materji kapitałowej, niżeli ka-



pitału duchowego, ponieważ ma nad drugim przewagę jako właściciel towaru bardziej poszukiwanego.

\* \* \*

Możemy już poruszyć w całej rozciągłości pytanie (postawione w r. XXIV), skąd pochodzi olbrzymia najczęściej różnica pomiędzy wartością dzieł ludzkich, indywidualnych lub zbiorowych, a ich ceną? Czemu w praktyce handlowej nikt nie liczy się z rzeczywistą wartością towarów i czemu sami ekonomiści, zwłaszcza z obozu socjalistów również nie interesują się rzeczywistą wartością towarów?

Dwie są tego przyczyny i rozpatrzmy je po kolei.

### XXXI.

#### **Przyczyna nierachowania się z wartością przedmiotową dzieł ludzkich.**

Odkąd za źródło bogactwa uznano pracę, odtąd zapomina się niemal całkowicie o potędze twórczej ducha. Zapomina się dlatego, że zawdzięczamy ją jakoby w całości pokoleniom minionym — umarli zaś nie potrzebują już zapłaty. Taki punkt widzenia niesie poważne następstwa. Jeżeli kapitał dawny duchowy uznamy za darowany społecznym, to wówczas praca natury, wprzęgana przez siły psychiczne, znika z rachunku i przenosi się do rubryki niczyich sił przyrody. To co by powinno obciążać rachunek, już go wcale nie obciąża. Ten mylny sposób przedstawienia sobie rzeczywistości nie miałby poważniejszych następstw, gdyby pierwiastek duchowy odgrywał jednak o czynną rolę w każdej pracy ludzkiej. Wówczas pominięcie kategorii ducha, jednakowo ważnej w każdej pracy, nie fałszowałoby stosunków. Byłoby tem, czem skurczenie powszechnej jednostki miary, czem odkreślenie jednakiej liczby zer przy wszystkich liczbach, czem powszechne zredukowanie wartości monety obie-

gowej. Redukcja taka nie byłaby redukcją, gdyż wszystkie stosunki pozostałyby nienaruszone; wartość kapitału duchowego nicby nie wyrażała, choćby tkwiła w każdym towarze, niktby jej nie szukał.

Na tem stanowisku stanęła właśnie szkoła przeciętnej wartości pracy. Tak prostą jednak formułę wówczas możnaby tylko uznać za poprawną, gdyby, powtarzam, każdy pracował z jednakim kapitałem duchowym, gdyby działalność każdego miała równą wartość, podobnie jak praca wszystkich koni, wszystkich motorów o jednakiej sile. Ale tak nie jest, pomimo, że Marxiści uwzględniają niby wyższą wartość pracy „kwalifikowanej”. Naprawde nie spostrzeżono, że Marx naznaczył na ludzi ceny jednostronnie i despotycznie, nie pytając o słusność. Jesteśmy też świadkami oryginalnego widowiska. niesprawiedliwy układ stosunków istniejących broni się przed narzuceniem równie niesprawiedliwego, tylko innego stosunku, obmyślonego przez teoretyka. Dlaczego zaś musi się bronić? Oto dlatego, że doktryna jego jest bardzo sympatyczna i zyskowna dla licznej klasy t. zw. prostych robotników. Dla tej klasy kwestya prawdziwości doktryny jest obojętna; niechby sobie była sto razy nieprawdziwą, jest dość na tem, że obiecuje poprawę bytu, więc jest dobra.

Ponieważ jednak wszelka taka poprawa musi się dokonywać kosztem klas pozostałych, więc te są również zainteresowane i słusnie pytają: czy doktryna jest prawdziwa, czy nie zawiera błędu? Wielu szlachetnych „szczęśliwców” chętnieby się zgodziło na każdy stosunek inny od dotychczasowych, byleby mieli pewność, że będzie on podyktowany przez prawdziwą mądrość, że jest ugruntowany na słusności. Zachodzi więc pytanie, czy ceny, proponowane za prace złożone, odpowiadają choćby w przybliżeniu ich rzeczywistej wartości, a choćby tylko proporcjonalnej.

Marzyciele, zapatrzeni w ubóstwo, unoszą się niecierpliwością, serca ich buntują się przeciw okrutnemu porządkowi rzeczy, panującemu wśród ludzi, radziby zmniejszyć zło, ulżyć cierpieniom. Widząc więc z jednej strony dotkliwe braki z drngiej obfitość, wpadają odruchowo na myśl,

że gdyby ująć jednym, a dodać drugim, zapanowałby raj na ziemi, bo miernym dostatek stałby się udziałem wszystkich. Oto idea przewodnia wszystkich wymarzonych systemów społecznych.

Jak dojść do tak pożądanego ideału? Tu rozchodzą się drogi — jedni proponują ewolucję, inni rewolucję, ale wszyscy twórcy szczytnych utopii<sup>1)</sup> wierzą, że tylko równość uposażenia zapewni powszechną szczęśliwość i wierzą, że to będzie równość w dostatku. We wszystkich prawie utopiach przeważa ideał Państwa, w którym wszyscy byłiby niejako robotnikami [przy wspólnym wielkim warsztacie, gdzie narzędzia pracy czyli kapitał byłby własnością Państwa. Obywatelom pozostawałoby prawo władania tylko swem bogactwem prywatnem, otrzymanem za pracę, ale pozbawionem charakteru kapitału. Możliwie największa równość jest tu hasłem naczelnem.

Przypomnijmy sobie manifest Babooufa, „Icaryę” Cabeta i jego czarujący opis komunistycznego raju równych, przypomnijmy sobie liczne pomysły i poczynania Owen’a, ideały Lassale’a, przypomnijmy sobie następcę jego, Bernarda Beckera, który już nazywał siebie „prezydentem ludzkości”, a zrozumiemy, że ci marzyciele, gdyby mieli dość siły, nie wahaliby się przerobić świat cały zgodnie z pomysłami swojemi<sup>2)</sup>. Były to szczególne jednostki—ci teoretyczni reformatorzy. Szlachetność i zapał szły w parze z nazbyt wielką wiarą w swój rozum. W odpowiedzi na krytykę nie zawahał się przecież Lassale rzucić następujących dumnych słów: „każdy wiersz, który piszę — piszę uzbrojony wszystkimi nabytkami oświaty mojego wieku”, a znaczy to: wiercie mi na słowo, bo ja się nie mylę.

---

<sup>1)</sup> „Utopia” Morusa, „Oceana” Harringtona, „Respublica” Platona, „Salente” Fenelona, „Icaria” Cabeta. i t. d.

<sup>2)</sup> Obecnie jesteśmy świadkami przeprowadzania na ogromną skalę takiej „reformy” w krajach ekonomicznie zrujnowanych i zdeorganizowanych okropnościami najbardziej zaciętej wojny. I widzimy, jakie skutki niosą zamierzenia idealistów, którzy w rachunkach swoich zapomnieli, że rozpętać chciwość ludzką stokroć łatwiej, niżeli ją zaspokoić, zwłaszcza drogą rewolucyi, zamiast ewolucyi.

Gdy prawdziwy uczony sprawdza sto razy wyniki swych dociekań i jeszcze wątpli, jakże dziwnie odbija ta pycha i wiara w swego wieku nieomyślność! I gdybyż tu chodziło o kwestyę akademicką, np. o ilość azotu w powietrzu, albo o trafność odczytania napisu hieroglificznego, tymczasem tu chodzi o rozwiązanie zadań nietylko najtrudniejszych, ale w dodatku najważniejszych. I nietylko o to — chodzi jeszcze o reformowanie stosunków realnych zgodnie z teoretycznym rozwiązaniem.

Niewiele czasu upłynęło i nowe nabytki wiedzy, nieznanne zbyt zarozumiałym synom swego wieku, zamęczają idylle, któremi oni cieszyli swoje serca. Zjawia się poważną wątpliwość co do możliwości równości w dostatku, nie w nędzy.

Wszystkie nabytki wiedzy zdają się przemawiać za obawą, że zaszłaby tu równość ale w barbarzyństwie, w tem właśnie, z którego wydobył niektóre ludy tylko narastający kapitał duchowy. Nowsze nabytki wiedzy odsłaniają nam tę prawdę, że kapitał duchowy, którego podstawą jest wolność indywidualna, nieodłączna od własności indywidualnej, począłby się kurczyć i niknąć z daleko większą szybkością, niżeli narastał, a wraz z jego ubywaniem bogactwo materialne począłoby się redukować do coraz prostszych form, aż stopniałoby na poziomie zaspokajania zaledwie najniezbędniejszych potrzeb ludzkich. Gdy zaś równoległe z tem zwiększyłyby się powszechna ciemnota z jej ujemnymi stronami, wielkie zachodzi pytanie: w ilu też sercach ostałyby się iskierki szczytnego humanizmu, gaszone bezustannie ciężką i coraz brutalniejszą walką o byt?

---

## XXXII.

### Potrzeba rachowania się z wartością ludzi.

Bogactwo duchowe osobników nie może być poczytywane ani za dobro przyrodzone, ani za dobro ogólne. Nie jest ono ani niczyjem, ani społecznem lub cudzem. Jest to osobliwe dobro, które wytwarza się w osobniku, nie ginąc wcale w jego otoczeniu. Ono się przerabia. To jest jego pierwsza właściwość wyłączna, a drugą jest jego doskonała znikomość. Nie przenosi się na innego osobnika.

Każdy osobnik, bez względu na wielkość swego kapitału duchowego, jest bańką mydlaną, a wraz z nim, cała jego potęga duchowa. Jego bogactwo z chwilą śmierci—przepada bezpowrotnie dla ogółu. Ono nie może być odstępione innemu, ani darmo nabyte. Jeżeli więc bogactwo duchowe narodu, pomimo znikomość indywidualów nie zmniejsza się, ale w społeczeństwach, podległych rozwojowi, rośnie, — nie jest to objaw nieznikomości, lecz tylko wynik bezustannego tworzenia się na nowo.

Potęga tworcza narodu, będąca potęgą dusz indywidualnych, jest zawsze nową potęgą dwóch pokoleń wstępujących, które zastępują potęgę pokolenia wymierającego. Przywykliśmy uważać dobra duchowe za skarb, niemogący podlegać zagładzie, ale dzieje się to jedynie dla tego, że dzielność całego narodu prawie nigdy nie upada tak szybko, aby to było widoczne dla osobnika, boć przecież linia przeciętna wszelkich zjawisk masowych nie może wznosić się lub spadać rażącymi skokami.

Aby też wyrobić sobie właściwe wyobrażenie o znikomości bogactwa duchowego—trzeba uciec się do fikcyjnego założenia w granicach możliwości teoretycznej.

Otóż wystarczy, aby jedno pokolenie przestało nagle i zupełnie odtwarzać je w sobie, a zniknie całkowicie i bezpowrotnie. Pokolenie następne zastanie już kartę tak czystą, że będzie musiało stwarzać nową potęgę duchową

od samych podstaw, od początku, i pomimo mozołu, zostawi następному bardzo skromną puściznę, którą dopiero długi szereg pokoleń będzie zwiększał z takim samym mozołem, jak się to działo w zaraniu cywilizacji.

Cóż więc z tego, że bogactwo duchowe nazywamy darem całej przeszłości, gdy wystarczyłoby zaniedbanie się jednego pokolenia, aby ten rzekomy „dar“ doszczętnie utracić. W podobnych warunkach—to, czem rozporządza ludność żyjąca—musi być uważane za prawą jej własność, bo dobroek długiej przeszłości, który mógł być zatraconym — nie został zatracony jedynie przez dzielność i wolę tych, którzy żyją.

Gdy to weźmiemy pod uwagę, zjawia się pytanie: którzy to z żyjących są podtrzymywaczami owej najcenniejszej, ale najbardziej znikomej spuścizny? Czy wszyscy w równym stopniu, i jeżeli nie wszyscy, — którzy to właśnie?

\* \* \*

Mówiliśmy o wielkiej nierówności dynamicznej dusz, mówiliśmy, że bogactwo duchowe jest rozłożone bardzo nierównomiernie w narodzie, że główna siła twórcza narodu przechowuje się w bardzo nielicznej ilości dusz, stanowiących jego kwiat i szczyty. Z tego powodu bogactwo to można nazwać skarbem podwójnie znikomym, nie trzeba bowiem wiele do tego, aby naród bogaty duchowo, i z tego powodu potężny materialnie opadł do stanu bezsilności. **Starczyłoby, aby przestały się odtwarzać wielkie i mocne dusze.** Do tego, by znikła wyższa technika wystarcza, aby nie powstały dusze, umiejące ją wprowadzać w wykonanie, do tego aby znikła wiedza głębsza, nauki, sztuki, wystarcza, aby się nie wytworzyli jej przedstawiciele. W takim razie zostanie mierność, otoczona ciemnotą, zostanie to, co nie przechodzi miary drobnej, co nazywamy najprostszymi wiadomościami i umiejętnościami, ale na tle masy, zgoła bezsilnej. Bogactwo duchowe, którem szczycą się narody, to nader wątła roślina, musi ona być starannie pielęgnowana, aby nie zmarniała. Wystarczy, aby jakaś gałązka wiedzy lub

umiejętności została zaniedbana przez jedno choćby pokolenie, a zginie. Wówczas łańcuch niezmiernie długi, rozwijający się od wieków ulegnie nagłej przerwie, która znaczy tyle co śmierć dla zolbrzymiałej już wartości duchowej i materialnej. Już ona nie wskrześnie, może się tylko na jej miejsce w pomyślnych warunkach inna począć tworzyć, ale nie będzie ani taka sama, ani równej siły, bo do jej rozwoju potrzeba pracy długich pokoleń. Tak więc to, co stanowi o potędze narodu, odtwarza się zawsze tylko w nader nielicznych osobnikach w narodzie.

Gdybyśmy bogactwo duchowe mogli mierzyć jak materialne, wówczas statystycy ukazałoby nam ciekawe widowisko: nieliczna garstka osobników najbardziej twórczych, przeważałaby szalę, na której umieścilibyśmy całe pozostałe mrowie narodu. Nie byłoby wówczas sporu komu naród zawdzięcza ten potężny strumień bogactw materialnych, który bije z działalności całego narodu, zużywa się przez wszystkich i nie tylko nie wyczerpuje się, ale rośnie i potężnieje.

Czy można takie osobniki uważać za własność niczyją albo ogólną? Nie można! Materiał ludzki nie jest bezwładnym. On nie z samej pracy wyłożonej przez innych, powstaje i nabiera wartości niby kondensator i akumulator tego, co weń wtłaczają. On jest skomplikowaną strukturą duchową, która się sama z siebie i sama w sobie przerabia, przeobraża i rozwija, a kresu i wyników jej rozwoju nikt nie jest w stanie przewidzieć. Dusza ludzka jest zrazu drobnym ziarenkiem, które może łatwo zmarnieć, zatrzymać się w rozwoju, ale także może bujnie rozrastać się i osiągnąć imponujących rozmiarów; to jednak, co bierze z otoczenia społecznego i to z najwyższych poziomów, odgrywa w niej tylko rolę materiałów odżywczych, ale nie decyduje o rozwoju. Gdyby to było możliwem, wytwarzano by już przecież oddawna geniusze tak samo, jak się wytwarza olbrzymie i ekonomiczne maszyny. Recepty do zostania wielkim w różnych dziedzinach mamy przecież, a jednak prawdziwy mocarz ducha, w jakiegokolwiek dziedzinie, zjawia się niewiedomo kiedy i skąd, a wyrasta najczęściej nie z tego materiału, w którym pokładano nadzieje. Nie otoczenie tworzy wielką duszę,

jej siłę i wartość, nie postronni tworzą człowieka wielkiej miary, on się sam tworzy. Może wystrzelić, niby rakietą z nizin, oświecając blaskiem swym cały naród, może stać się błogosławieństwem i chlubą jego, chociaż prawie nic nikogo nie kosztował, a przedewszystkiem sferę, z której wystrzelił. Dzieje cywilizacji, wiedzy, umiejętności, sztuki potwierdzają tę prawdę niezliczonymi dowodami. W dziejach najsilniej zaważyli ludzie, którzy sobie zawdzięczali czem byli i co stworzyli. Nawet ci, którzy wiedzę swoją czerpali wprost od mistrzów, to także wartości niewspółmierne zarówno z kosztami ich wyprodukowania, jak i z wartością mistrzów, więc również wielkość swą zawdzięczali przeważnie sobie i sobie podobnym. Wszak oni wzniesli się nawet ponad mistrzów, pomimo, że liczni spółtowarzysze ich czynnego środowiska, np. spółsłuchacze tych samych mistrzów, zostali drobnymi i znikli w szarzyźnie tłumu.

Zważmy, co wziął, a co dał z siebie ludzkości jeden Pasteur, jeden Lister, jeden Stephenson, Franklin, Gutenberg, a zgodzimy się, że wartość społeczna każdego z nich przewyższała o miliony razy zarówno ich własną „cenę” społeczną, jak „wartość” razem wziętych milionów innych, pospolitych osobników, którzy spółcześnie z nimi żyli i działali. Spostrzeżemy, iż każdy z tych olbrzymów darował owym masom dobra, niedające się wyrazić w handlowych cyfrach pieniężnych. Ich ogromna wartość nie może podlegać żadnej wątpliwości, cóż więc dziwnego, że to, co kosztowali, jest drobnostką w porównaniu z tem, co dali. Ogół zrobił na nich doskonały interes, słusznie więc czcimy ich pamięć, bo to literalnie wielcy „dobrodzieje”, bo dobro, które z nich się poczęło — rosnącemi falami zalewa świat cywilizowany. Ale czy wolno nie rachować się z pytaniem do kogo należą te wielkie wartości materialne, które im i podobnym ludziom bez przerwy zawdzięczamy jedynie z tej racji, że nikt zanie nie płaci, że korzystamy z nich darmo?

Aby to rozstrzygnąć dość przypomnieć, że to już w rozdz. XIV rozwiązane. Wyjaśniło się wówczas, że każdy osobnik jest równocześnie swoją i społeczną własnością, ale właśnie dla tego wzajemne prawa wszystkich do wszystkich uma-



rzają się i każdy zostaje panem siebie, pod warunkiem, że nic od innych darmo żądać nie będzie.

Pójdźmy teraz do końca w rozważaniu poprzednio w polowie dopiero przeprowadzonym. Jeżeli osobnik jest swoją własnością — to i moc jego, musi być jego własnością; cała jego „wartość” społeczna musi być jego własnością, oczywiście dopóki jej nie sprzedał za jakąś cenę. Nie należy do rzadkości, że w trudnych warunkach rynku osobnik bierze za siebie cenę znacznie niższą od wartości. Otóż jeżeli ubolewamy i często słusznie nad zbyt niską płacą robotnika, robotnika, to wiedzmyż, że istnieją na rynku „wartości” które nigdy nie osiągają cen, odpowiadających choćby w przybliżeniu wartości ich rzeczywiście. Do takich stale i najmocniej upośledzonych należą wszyscy wielcy. Oni zawsze sprzedają się za bezcen i nigdy nie otrzymują ceny, któraby odpowiadała ich wartości.

Nie dla rozczulenia Czytelnika nad losem „wielkich” podkreślamy ten fakt. Nam chodzi o jego następstwa. Nam chodzi o stwierdzenie, że jeśli jakaś wartość przechodzi z rąk prawego właściciela do innych za bezcen, to zyskują ci, którzy ją biorą, czyli straty osobiste wielkich twórców wyłaniają się dokoła nich w postaci odpowiednich zysków. Co traci jednostka, to zyskują ci, którzy własność jej nabywają lub nabyli po bajecznie niskiej cenie. Skarb bowiem, choćby najslabiej zapłacony, nie przestaje być skarbem. Zmienił tylko właściciela ale wartości nie utracił.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu.

Jeżeli skromny uczony, docent jakiegoś uniwersytetu, utrzymujący się ze skromnej pensji odkryje praktyczny sposób zabijania filoksery i opublikuje swoje odkrycie, to hodowcy winorośli zarobią na nim miliony i będą je zarabiać corocznie, gdyż winnice ich byłyby bez niego od czasu do czasu dziesiątkowane nadal, dopóki by kto inny nie odkrył środka skutecznego przeciw filokserze.

Żadnemu z hodowców po uwolnieniu się w tych warunkach od szkodnika nie przyjdzie do głowy myśl, że znaczna część ich zysków płynie z pracy docenta, nie zapłaconej we-

dług wartości, czyli że stanowi **własność podarowaną im przez owego człowieka**, żyjącego nadal ze swej skromnej pensyjki.

Cóż jednak będzie, jeśli ktoś zwróci uwagę docentowi, że odkrycie jego ma wielką cennosc realną? Cóż będzie jeśli docent **założy fabrykę środka przeciw filokserze**, i naznaczy taką cenę, żeby zyskiwał połowę tego, co oszczędzi sobie każdy właściciel winnicy?

Oczywiście za cenę uratowanych wartości skromny docent zostanie niespodzianie milionerem.

Czy będzie tu kto skrzywdzony? Nie. Właściciele winnic będą jeszcze radzi, bo zarobili to, co na pewno musieliby stracić. Nastąpi tylko rozdział zysków inny, niż w pierwszym przypadku, i napewno słuszniejszy.

Wyobraźmy sobie teraz, że filokserę po kilku latach stosowania odkrytego środka zupełnie wytępiono. Majątek docenta nie będzie się powiększać. Czy jednak inni na tem nie zarobią?

Owszem, właściciele winnic będą i nadal odnosić corocznie te same korzyści, bo pozbyli się radykalnie szkodnika. Ale korzyści ich osobiste będą zależne od tego, czy skutkiem obfitości wina, towar ich nie stanieje. Jeśliby nie staniał, wówczas zyskiwać będzie hodowca, i jego robotnicy, którzy upomną się o podwyżkę płacy i otrzymają ją, bo hodowca będzie miał z czego zapłacić ich lepiej. Jeżeli zaś wino stanieje, hodowcy i robotnicy zostaną przy swych płacach, ale zysk zostanie, tylko rozłoży się niedostrzegalnie między wszystkich spożywców, Już nie sto tysięcy robotników w winnicach zostanie obdarowanych przez docenta i nie paruset hodowców,— ale miliony ludzi oszczędzą sobie pewną sumkę rocznie.

Kto sądzi, że umie rozumować, ten przypisze taniość wina słońcu, wiatrom, deszczom, wreszcie staranności robotników, ale mało komu przyjdzie do głowy, że to sprawiła cicha potęga, być może ukryta nadal w skromnym pokoiku i ani domyślająca się, że corocznie przysparza innym realne miliony.

. . . . .

Ponieważ świat społeczny dużo już lepiej dzisiaj niż do niedawna opłaca zasługę naukową, zwłaszcza gdy niesie praktyczne korzyści<sup>1)</sup>, przeto bardzo być może, iż nasz „docent” zostanie oceniony nawet gdy nie zrealizuje odkrycia w sposób wyżej opisany. Dadzą mu np. katedrę, osiągnie szczyt marteń i dobrobyt, a jednak i teraz stosunek jego wartości do płacy ulegnie nie wielkiej zmianie.

Nie od rzeczy będzie uzupełnić ten przykład jednym z tysięcy autentycznych.

Karol Tellier przez lat 11 studyował sposoby konserwowania zapasów spożywczych za pomocą niskich temperatur i nareszcie w r. 1876 przywiózł pierwszy transport mięsa z Buenos-Aires, świeżego, pomimo, że podróż trwała 105 dni. Tryumf jego był zupełny, zabezpieczył się patentami, ale ojczyzna jego odmówiła mu poparcia i patenty rychło przepadły. Podjęli jednak jego wynalazek Anglicy i Niemcy, uzupełniając w drobnych szczegółach i stwarzając przemysł, który wkrótce obracał już kilkoma miliardami. Powstały setki Towarzystw, eksploatujących wynalazek, ale Tellier przez całe życie pozostawał w ubóstwie, w ostatnich czasach prawie w nędzy. Nie złamał się jednak duch wynalazcy. Blisko 80-letni starzec spostrzegł, że system oziębiania nie daje się zastosować w krajach o trudnych komunikacjach, zwrócił się więc do całkiem innej metody, do fabrycznego uwalniania płatów mięsa od bakterii wywołujących gnicie i następnie do obsuszania tych płatów. Praca została uwieczniona powodzeniem i w r. 1911 zaprodukował w kilku miastach francuzkich mięso świeże, chociaż dwumiesięczne, doskonałe w smaku i tańsze od oziębianego. Zastosowanie nowej jego metody wpłynęło w wielu krajach na stanięcie mięsa, zawiązało się już bowiem olbrzymie przedsiębiorstwo angielskie, realizujące wynalazek starca, który nareszcie u schyłku życia, nieco za późno, znacznie może odbierać owoce swej działalności, oczywiście nie zostające w żadnym rozsądnym stosunku, do tego, co dał innym<sup>2)</sup>. Milionowe bowiem „wartości” marniejące w miejscach produkcji (w Kolumbii, Australii, Paragwaju zaledwie trzecią część bydła hodują dla mięsa, reszta przedstawia wartość jedynie skóry), przetrzuci tam, gdzie są poszukiwane. Mięso — pozbawione na miejscu i ceny i wartości, — odgrywające więc rolę niepotrzebnej nikomu czystej przyrody, przeobrazi w prawdziwe wartości i w towary.

---

<sup>1)</sup> oraz gdy chce i umie dopilnować praw swoich.

<sup>2)</sup> Cały tekst powyższy, napisany w roku 1912-m zostawiam bez zmiany, traf jednak zdarzył, że w chwili oddawania tego ustępu do druku znajdujemy w dziennikach (w połowie października r. 1913) następującą notatkę:

„W Paryżu zmarł w 90-ym roku życia, wynalazca chłodnictwa Tellier. Twórca ten olbrzymiego już przemysłu zmarł wprost z głodu

\* \* \*

Z takich to dobrowolnych lub musowych darów jednostek pracowitych, utalentowanych lub genialnych składa się lwia część ogólnego dobra narodów. Od czasów przedhistorycznych dokonywują się odkrycia, wynalazki i ulepszenia; inicjatorowie korzystają za życia w różnym stopniu, najczęściej wcale nie odnoszą korzyści, ale po każdym przejmują żyjący całe dziedzictwo duchowe zwiększają je, sami mijają i pozostawiają zwiększony oraz zmodyfikowany<sup>1)</sup> dorobek następcom. W ten sposób przez tysiącolecia narastał kapitał duchowy oraz materialny, którego też przeważna część nic już nikogo nie kosztuje — nikt bowiem za nią nikomu nie płaci. I oto główna przyczyna, dla której **ceny dzieł ludzkich nie tylko nie dosięgają ich wartości, ale zwykle trzymają się tak zdala od niej**, że nawet nie troszczymy się o poznanie prawdziwej wartości dóbr, z których na każdym kroku darmo korzystamy. Jeżeli bowiem prawy właściciel oddaje coś dobrowolnie za bezcen, — nie leży w interesie otrzymujących załamywać ręce z tego powodu.

Jeżeli po mocnych duchem pozostaje ich dziedzictwo to dlatego, że zawsze jest dość dużo mocnych duchem, aby je podjąć, a nawet nieco powiększyć, wystarczająco zaś dużo, aby owe bezcenne idee nie stały się monopolem jednostek. Czem się zaś to dzieje? Właśnie tem, że bogatych duchem, wiedzą jest w narodzie daleko więcej, niżeli ich potrzeba w charakterze kapitału.

Jeżeli powstaje wcielenie jakiejś idei w postać realną „rzeczy nowej” i użytecznej, wnet setki umysłów twórczych, porywają nową ideę, dokonywają ulepszeń lub przeobrażeń, dają jej nowe zastosowanie. Pchnięcie raz dane wywołuje

---

i wycieńczenia na poddaszu. I trzeba trafia, że w kilka chwil po jego zgonie nadszedł dla niego list z przekazem na 10.000 franków, przysłanym mu przez pewnego przemysłowca, który, przeczytawszy w dziennikach o nędzy wynalazcy, pośpieszył mu z pomocą — za późno”.

Okazuje się, że słowa: „zacznie może odbierać owoce...” — nie ziściły się, ziściła się zato wątpliwość, wyrażona w owym maleńkim słówku „może”.

(*przyp. autora*).

<sup>1)</sup> więc czasem „ulepszony”, czasem pogorszony.

szereg nowych inicjatyw i stosownie do kierunku, w jakim potoczył się rozwój pierwszej idei, zjawiają się ulepszenia dawnych oraz nowe wynalazki. Spójrzmy np. na działalność techników w sprawie zużytkowania odkrytej prężności pary wodnej i następnie coraz lepszego i wielostronniejszego jej zużytkowania.

Zacznając od czysto teoretycznych działań Branki (1629 r.) i Papina<sup>1)</sup> mamy długi szereg zarówno naśladowców, jak rzeczywistych inicjatorów. Pomijając długi szereg drobnych ulepszcycieli, widzimy łańcuch wybitnych twórców, którzy kolejno przeobrażają słaby kocioł parowy i słaby silnik parowy w postaci, funkcyjną coraz energiczniej.

Przewijają się przed naszymi oczyma: Savery, Newcomen (1712), James Watt (1770), Seguin, Murray, Evans, Cavé, Poncelet, Navier i następują z wielką szybkością setki innych. Do czego doprowadził ten szereg działaczy, niech zaświadczy parę cyfr. Dziś budują się maszyny, dające **przez całą godzinę siłę jednego konia parowego, kosztem zużycia niecałego funta węgla!** W połączeniu z innym szeregiem udoskonaleń, ulepszenia te pozwalają dziś przewozić **1000 kilogramów ładunku na odległość 40 kilometrów również kosztem spalania zaledwie funta węgla.**

Któż odnosi korzyści z tych zwycięstw ducha oraz kto powinien odnosić? Jeśli zostanie zbudowany przez inżyniera kocioł parowy, dający 10% więcej siły, to odkrycie jego ma stałą wartość oszczędzonego opalu. Gdyby część czwarta<sup>2)</sup> tej wartości oszczędzonej dostawała się inżynierowi, stałby się on milionerem. Ale do tego potrzebaby nieistnienia innych uzdolnionych inżynierów, trzebaby, aby postęp zatrzymał się oraz aby inżynier A mógł doczekać się zamiany wszystkich dawnych kotłów na jego model. Warunki te są nieziszczalne. Zanim rok upłynie już ktoś wprowadzi ulepszenia, skutkiem których dalsze zastępowanie zużytych

---

<sup>1)</sup> który nawiasem mówiąc nieoceniony i zapomniany, jak tylu innych wynalazców, zmarł w nędzy.

<sup>2)</sup> Przyjmujemy część czwartą dlatego, że połowę korzyści oddajemy ogółowi.

kotłów będzie się już dokonywać nie na model A, lecz na B. Ale i to nie potrwa długo, inni bowiem zbudują jeszcze oszczędniejsze modele C, D, E i t. d. Zysk więc dalszy wymyka się naprzód z rąk A do B, potem z rąk B do C i tak dalej. I dlatego — nawet pomimo poszanowania dla własności osobistej, każdy inżynier następny będzie odbierać poprzednikowi słuszne jego zyski, z tego tylko powodu, że tworzy jeszcze większe wartości zanim tamten swoje sprzedał. W ten sposób wczorajsza wartość ceniona przeobraża się w nieposzukiwaną, dziś ceniona, stanie się jutro obojętną.

Byłoby omyłką wyrażać się, że „wczorajsza wartość utraciła swą wartość“ czyli przepadła. Tak nie jest, ona straciła tylko cenność, bo zjawiała się większa wartość za tę samą cenę. Inżynier B wywłaszczył tylko inżyniera A i to nawet nie na swoją korzyść, lecz odrazu na rzecz ogółu. To bowiem, z czego sam odnosi korzyść, jest tylko nową wartością, dołożoną do dawnej, która stała się już bezpłatną. Ale i jego samego czeka los podobny.

W tych wyścigach każdy z inżynierów zyskuje coś ale najwięcej zyskuje szeroki ogół, który wszystkich przeżywa.

To samo trzeba zastosować do t. zw. kapitalistów. I oni jedni drugim odbierają zyskowność swych udziałów w przedsiębiorstwach. Kres indywidualnym korzyściom zakreśla postęp i spółzawodnictwo.

Kwestya tedy: czy zysk, płynący z eksploataowania nowych odkryć lub wynalazków sprawiedliwie przypada jednostkom, staje się tylko kwestyą stosunku inicjatora do właściciela materji kapitałowej. Ogół bowiem małowórczy jest tym trzecim, który zawsze dość prędko zyskuje.

Sprawiedliwsze więc wykonywanie prawa własności duchowej — nie naruszałoby interesów nizin, — redukowałoby jedynie zyski t. zw. „kapitalistów”, którzy zwykle zagarniają większą część tego, co słusznie przypadaćby powinno inicjatorom.

Gdyby wartości duchowe wchodziły w spółkę z materialnemi w proporcji słuszniejszej, niż to się dzieje, szeroki ogół nicby na tem nie tracił, a tylko pewna część bogactw prywatnych zmieniłaby po pewnym czasie właścicieli, prze-

chodząc tam, gdzie być powinna, i niewątpliwie ku korzyści tego ogółu. Masy narodu, biorące słaby udział w tworzeniu, nie odczułyby ujemnie całego procesu, regulacja bowiem dokonałaby się ponad ich głowami<sup>1)</sup>.

---

### XXXIII.

#### O względności pojęć „drogo” i „tanio”.

Dowód, jak korzystnym jest dla szerokiego ogółu stały nadmiar potęgi duchowej, bijącej ze szczytów narodu, mogliśmy mieć w obniżaniu się cen wszystkich niemal towarów. Ale, niestety, sprawa nie przedstawia się tak prosto, aby to wszyscy spostrzegli. Umysły więc praktyczne tak mogą rozumować.

Jeżeli to prawda, że własność twórców-inicyatorów staje się w ogromnej części własnością publiczną; jeżeli to prawda, że podlega bezpłatnemu rozproszeniu wśród społeczeństwa; jeżeli dzieła, wytwarzane coraz ekonomiczniejszymi sposobami, zawierają w sobie coraz mniej pracy ludzkiej, a z drugiej strony spółzawodnictwo inicjatorów i wynalazców, jak również ich obojętność dla bogactw materialnych, nie pozwala im długo korzystać ze zwycięstw ducha nad przyrodą; to w społeczeństwie, które się rozwija, dobrobyt sfer słabo twórczych powinienby się stale zwiększać, a jako symptom tego, wszystko powinno by ogromnie tanieć, albowiem prawie nic nie bywa nadal produkowane sposobami mniej oszczędnie. Drożeć nie powinno by nic, nawet przedmioty, wytwarzane po dawnemu, bez żadnego postępu.

---

<sup>1)</sup> Połowę miejsca dzisiejszej plutokracji zajęłaby inna, świat bez porównania ciekawszy.

Stałby się on ogniskiem szerokich polotów i subtelniejszych gustów. Głębia umysłów, śmiałość i różnorodność idei, przenikliwszy pogląd na świat — stworzyłyby potęgę odmienną od potęgi dzisiejszej plutokracji i „arystokracji“. Idee nowe byłyby wcielane w czyn z energią i fantazją dziś nieznaną. Nauki oderwane od zadań praktycznych znajdowałyby niezawodne poparcie, bo nawet i próżność „mecenasów“ byłaby subtelniejsza. To strona dodatnia obrazu, nie trzeba jednak zapominać o odwrotnej. Gdy wiedzy, geniuszu, talentu, nie dziedziczy się—możemy

Cenność dzieł powinna się statecznie obniżyć.

Wszystko to powinno nastąpić, a tymczasem ceny wielu, i to najpotrzebniejszych towarów wciąż rosną.

Przyczyn podobnego stanu rzeczy jest kilka i to niezależnych od siebie. Niektóre są czysto formalne i polegają na pozorach, inne dopiero należą do rzeczywistych.

Pierwsza przyczyna niejasności sprawy spoczywa w niejednakowo chyżem wydłużaniu się nieważkiego ramienia dźwigni narodu na całej linii wytwórczości, skutkiem czego **cenność różnych towarów obniża się z niejednakową chyżością.**

Jednak gdyby tu nie zachodziły komplikacje i przeszkody, o których zaraz będzie mowa, to **wobec stałego przyrostu mocy duchowej ceny dóbr we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności obniżałyby się statecznie, choć nierównomiernie.** Najbardziej taniałyby wytwory wysoko rozwiniętej i szybko doskonalącej się techniki (więc np. wyroby tkackie, drukarskie, przetwory chemiczne, dzieła większości gałęzi przemysłu metalurgicznego), — najslabiej niektóre podstawowe produkty rolnictwa, dzieła drobnych rzemiosł i wszystkie te, gdzie przeważną rolę odgrywa najprostsza praca ludzka. Nie byłoby podnoszenia się cen, skutkiem czego było-

---

z góry być pewni, że dzieci i wnuki wybitnych twórców — nie sprostają ojcom ani mądrością, ani ideałami. Świat nowej arystokracji stoczyłby się na stare tory i ta byłaby tylko różnica, że zawsze przybywałby nowy kontyngens kapitalistów ze sfery ludzi potężnych duchem, stanowiąc czynnik subtelniejszy i szlachetniejszy w sferze kapitalistów.

Możnaby łatwo obmyśleć jeszcze niejedną poprawkę, wnoszącą więcej sprawiedliwości do stosunków społecznych. Możnaby np. zasadę dziedziczenia dóbr materialnych udoskonalić przez uznanie za blizkich nie tylko blizkich krwią, ale również i duchem. Stosownie do tej zasady inicjator należy także do najbliższych w specjalności, w której pracuje, każde bowiem odkrycie jest przygotowywane przez wiele głów i spada na szczęśliwego, niby owoc powolnie dojrzewającej rośliny.

Zatem w imię solidarności społecznej owoce odkrycia należą się także tym wszystkim, którzy poprzednio lub równocześnie pracowali przy tem dziele. Lecz ci należą już przeważnie do przeszłości, korzystać z zapłaty nie mogą.

Co się tyczy współczesnych — i tu byłoby niepodobieństwem wysłedzić kto i w jakiej mierze przyczynił się pośrednio do powodzenia ostatniego ogniwa w łańcuchu tworzenia. W tak skomplikowanych warun-



by powszechnie oczywistem, że warunki życia wszystkich warstw narodu stale się poprawiają, bo przy tych samych wysiłkach fizycznych produkuje się coraz więcej, a zatem i zużywać może się coraz więcej. Byłoby także oczywistem, że polepszenie się warunków bytu płynie tylko z udoskonalenia się techniki.

Na przeszkodzie tak prostolinijnemu wyrażaniu się ogólnego poprawiania się dobrobytu staje dwojaki sposób, w jaki mogą wyrażać się te same korzyści i w równoczesnem panowaniu w praktyce obu tych sposobów. Dwoistość ta tak dalece zacięra jasność obrazu, że już nawet w głowach wielu ekonomistów wywołuje zamęt i daje np. złudzenie stagnacji tam, gdzie jej niema, oraz krzywd tam, gdzie są tylko zyski.

Otóż prawdą jest, że bardzo wiele rzeczy drożeje, ale drugą prawdą jest że całe owo drożenie jest fikcyjne, płynie bowiem z obniżania się wartości pieniądza pod parciem słabotwórczych rzesz do lepszego bytu.

Jeżeli dziś płacimy więcej za jakis towar, to łatwo przyjść do wniosku, że ów towar „zdrożał”, ale kto tak rozumuje, ten zapomina o automatycznej kurczliwości pieniądzy.

---

kach należałoby zapłatę rezerwować dla tych, którzy pracują dla późniejszych odkrywców. Świat naukowy odbierałby przynajmniej z dołu część owoców, zawdzięczanych poprzednikom. Mogłoby się to odbywać przez roztoczenie opieki materyjalnej nad uzdolnionymi pracownikami na niwie nauk, oderwanych od celów praktycznych. Część zysków, przypadająca inicjatorowi czy wynalazcy — słusznie mogłaby iść na uposażenie pracowników czystej wiedzy. Naród oddawałby w ten sposób tylko to, co się należy mniej szczęśliwej kategorii najwyższych pracowników — bez obciążania innych warstw ludności.

Ale wymiar tej subtelniejszej sprawiedliwości praktycznie jest niewykonalny, wszelkie zaś próby złożenia go w ręce Państwa w granicach dość szerokich, aby stały się równie sprawiedliwe jak owocne, byłyby w większej części zawodne.

Wobec tylu trudności praktycznych, trzeba przyznać, że doprawdy, nie wiele gorzej rozwiązuje je samo życie — przy umiarkowanej interwencji prawno-państwowej. Choć bowiem i ono niesie wiele zawodów, ale z uwagi, że nieco tylko lepszy wymiar sprawiedliwości kompensowałby się ogromnem skrępowaniem wolności jednostek, licznemi omyłkami, a często złą wolą szafarzy, — należy uznać, że żadne reformy gwałtowne, choćby najmądrzej obmyślane nie przyniosą większej sumy sprawiedliwo-

Jeżeli prosta praca ludzka, będzie opłacana podwójną ilością pieniędzy, wówczas pieniądze tracą połowę swej wartości, czyli spadają w cenie<sup>1)</sup>.

Wprawdzie nie pieniądź spada tutaj w cenie, bo tylko praca drożeje, ale wychodzi to na jedno, skoro jedyną cennością pieniądza jest praca ludzka.

Mamy tu zjawisko stosunku odwrotnie proporcjonalnego ceny pieniądza do ceny pracy, niezbyt zrozumiałe dla tych, którzy chcą rachować się z wewnętrzną cennością złota. Pieniądź spadać w cenie może i musi, gdyż lubo jest miernikiem cen — nie przestaje być także towarem, musi więc podlegać ogólnym prawom rynku. Gdyby złota zjawiała się podwójna ilość ponad potrzebę, cena jego w normalnych warunkach spadnie o połowę.

Podobno chwiejność ceny pieniądza może się na razie wydać sprzeczną z jego charakterem stałej miary cen, ale właśnie tylko ona gwarantuje użyteczność pieniądza jako miary cen i narzędzia wymian.

Rozumiał to już Marx, gdy utrzymywał, że „złoto, jako stała skala cen, oddaje zawsze te same usługi bez względu na zmiany, zachodzące w jego wartości”<sup>2)</sup>, albo gdy mówił, że „zmiana wartości złota nie przeszkadza jego funkcji, jako miary”<sup>3)</sup>. Włęczęj nawet, on rozumiał, że ta względność pieniądza „jest jedną z jego zalet, zamiast być jego wadą”<sup>4)</sup>, warunkiem bowiem dobrej miary dla cen musi być nieobecność w pieniądzu czystej wartości, a obecność samej tylko cenności. Zatem tylko dzięki swej kurczli-

---

ści, nad tę jaką można uzyskać ulepszeniem stosunków prawnych, w miarę jak potrzebę ich nastrocza życie i naturalna jego ewolucya.

<sup>1)</sup> Czy może się co zmienić w cenności (= w cenie) dzieła, które dziś zawiera już tylko połowę pracy ludzkiej, dawniej niezbędnej, jeśli praca dzisiejsza będzie zapłacona dwa razy drożej niż dawniej? Nic, albowiem oszczędność (zysk), którą dała maszyna dwa razy wydajniejsza, została pochłonięta przez dwa razy wyższą cenę pracy opłacanej. Produkt nie staniał dlatego, że praca zdrożała.

<sup>2)</sup> Marx, Kapitał I, str. 28. Wyraz „wartość” należy tutaj rozumieć jako cenność.

<sup>3)</sup> tamże.

<sup>4)</sup> tamże.

wości pieniądź jest dobrą miarą powszechną, sprowadzającą automatycznie do równowagi to, co wychodzi z równowagi. Jak w naturze nic z niczego powstać nie może, tak i w świecie twórczości ludzkiej. Włęcz podrożenie pracy, nieusprawiedliwione większą jej twórczością, unicesztwia się automatycznie odpowiedniemi podrożeniami towarów, albowiem miernikiem powszechnym jest najniżej opłacana praca ludzka, upostaciowana w pieniądzu. Nic włęcz nie znaczy, czy ceny pracy i towarów wyrażają się w większych lub mniejszych ilościach jednostek monetarnych, bo automatyczne tanienie lub drożenie pieniądza ogarnia cały rynek i utrzymuje stosunki w stanie niezmiennym.

Kto będzie wpatrzony tylko w większą ilość jednostek pieniężnych, płaconych dziś za towar, ten pomyśli, że towar zdrożał o całą różnicę między jego ceną dawną, a obecną, a tymczasem bardzo być może, że nic się włęcz nie zmieniło prócz wyrazu, prócz ceny pieniądza. Pieniądź skurczył się, ale bez zmiany w nazwie. Trzeba odtąd dawać za wszystko włęcz jednostek pieniężnych. Różnica w rozmiarach pieniędzy musi być wynagrodzona różnicą w ich ilości. Daje to wprawdzie wrażenie drożenia towarów, ale bez faktycznego drożenia. Nie łatwo spostrzegamy ten odwrotnie proporcjonalny stosunek cen pieniędzy do nie-pieniędzy, ale dlatego, że w razie tanienia pieniędzy podlegamy podobnemu złudzeniu, jekiego doświadcza się w windzie, posuwającej się na dół. Zamiast odczuwać opuszczanie się windy, odbieramy wrażenie, że cały dom wznosi się w górę. Zamiast odczuwać drożenie pracy, odbieramy wrażenie, że towary drożeją. I dopiero gdy zważymy, że jednak za tę samą ilość pieniędzy nie otrzymuje się już tyle towaru, co dawniej, zaczynamy rozumieć, że i zdrożenie pracy stało się fikcją. Pieniądź wszystko wyrównał.

Wniosek z powyższego jasny. Ilość pieniędzy, płaconych za towary dziś i dawniej nie daje bezpośrednio wskazówki co do drożenia lub tanienia towarów. Sam fakt, że płacimy dziś drożej za takie towary nie upoważnia wcale do twierdzenia, że one drożeją. To tylko kurczy się pieniądź pod naciskiem rosna-

A teraz spróbujmy sobie wyobrazić inny przypadek, mianowicie, że przy tych samych cenach pracy kapitał duchowy wzrósł nagle do dziesięciokrotnej potęgi. Wówczas ta sama ilość pracy zacznie dawać dziesięciokrotną ilość bogactwa. Cóż nastąpi? Ponieważ spółzawodnictwo dusz mocnych nie zniknie, bo jest ich nadmiar, więc ceny wszystkich towarów staną się w przecięciu dziesięciokrotnie. Nie będzie i tu równomierności, najtańszymi staną się znowu jedynie produkty kapitałów najekonomiczniejszych (najpotężniejszych), ale czy stosunki społeczne zostaną podobnie mało zmienione, jak w pierwszym przypadku? Wcale nie!

Ogólny dobrobyt i spożywczość mas wzrosną do niebywałych rozmiarów. Najskromniejszy nawet budżet odczuje ogromną obfitość i taniość dzieł, — więc przy tej samej ilości wykładanej pracy dobrobyt sfer szerokich stanie się bez porównania większy.

Dwa te przykłady dowodzą niezbicie, że to, z czego szeroki ogół dziś korzysta, zawdzięcza on przeważnie potędze duchowej wyżyn narodu — i tak będzie zawsze. Polepszenie się bytu materialnego wszystkich warstw w narodzie płynie przeważnie z wyżyn, z niedocenianej potęgi twórczej tych, o których twórczości realnej szeroki ogół wątpi najmocniej, bo go wychowano w lekceważeniu społecznych (gospodarczych) zasług inteligencji zarówno bogatej materialnie, jak ubogiej. Od lat sześćdziesięciu czyni się wszystko, aby wpoić w szeroki ogół przekonanie, że tylko robotnik tworzy bogactwa, z których wszyscy korzystają, choć najskąpiej właśnie prawdziwi ich sprawcy, i robotnik święcie w to wierzy, nie domyślając się nawet jak potwornym grzeszy brakiem logiki.

Jest to już jednak wyłączną zasługą materialistycznej filozofii i podążającej za nią takiejże ekonomii, że tak gruntownie poprzewracała w słabych głowach, iż trzeba dopiero zapraszać do porównywania bytu szerokich warstw narodu z bytem odległych naszych przodków, aby ocenić należycie te wielkie skarby, z których korzystają bezpłatnie

nawet najmniej twórcze niziny — nie domyślając się, że nie swoim mięśniom ani głowom je zawdzięczają.

Materyjalizm, który apoteozuje tylko żyłastą pięść, uzbrojoną młotem, a zapomina o głowie, która stworzyła młot parowy, był tylko przez krótką chwilę użyteczny w ekonomii, gdy w przesadnym uproszczeniu procesu twórczego odsłaniał istotne nadużycia wielu pracobiorców, ale pozatem narobił stokroć więcej zła, bo zmącił pojęcie wartości i własności prywatnej, będące opoką dobrobytu społecznego i postępu, a zmącił dlatego, że nie kwadrowało z jego światopoglądem. Jednak prawy przyrodnik, chociaż nie wierzy w skutek mechaniczny większy od przyczyny mechanicznej, grzeszy raczej nadmiarem optymizmu przyrodniczego, bo sam przecież dąży do ovladnięcia siłą życia, która jaskrawo zaprzecza jego niewystarczającej zasadzie mechanistycznej. Dopiero uczeń jego w socjologii schodzi na manowce i chce zrównać dusze, bo mu ich różna wartość i potęga nie zgadzają się z przyjętą zasadą mechaniczną. Właśnie dlatego schował najdonioślejszą w ekonomii kwestyę wartości pod korzec ceny, a w twórczym współzawodnictwie społecznym widzi tylko proces krzywdzący tylko słabszych. Tymczasem rzecz ma się odwrotnie: mianowicie korzyści dla słabszych płyną od mocnych. Nie sfery więcej posiadające wywłaszczają sfery ubogie, ale dzieje się odwrotnie. Drożenie pracy prostej jest przyczyną ustawicznego wywłaszczania jednostek bardziej twórczych na rzecz słabiej twórczych i nic tego procesu nie zahamuje, chyba zniszczenie samego źródła twórczego, ale i wówczas stałoby się to nie tylko bez korzyści dla słabo twórczych, ale ku wielkiej ich klęsce, gdyż potężni duchem w dzisiejszym stanie zaludnienia są już warunkiem istnienia tej ogromnej ludności, jaka się utrzymuje na ziemi.

---

## XXXIV.

### O niedostatku, ubóstwie i nędzy.

Czem się to jednak dzieje, że pomimo ogromnego przybywania bogactwa i altruizmu bardzo wielu jednostek, powszechne są skargi na niedostatek, a ubóstwo i nędza jest stałym zjawiskiem nawet w narodach bogatych? Jakie są widoki, aby taki stan uległ zmianie na lepsze?

Dużo już myślano nad kwestyą nędzy i nad środkami jej usunięcia. Jedni przyczynę jej upatrywali w prawie własności prywatnej, inni dopatrywali się źródła nędzy w zbyt szybkim przymnażaniu się ludności, w braku pracy, chronicznie powtarzającym się, we wzrastającej drożyznie i t. d.

Kto nie chce tracić słów napróżno, ten musi z miejsca odróżniać kwestyę nędzy od kwestyi ubóstwa i niedostatku.

Gdy żywot w stanie natury jest bezustannem dążeniem do zaspokajania uczucia braku, to i żywot w społeczeństwie, musi być tem samem, „różniąc się tylko skalą skomplikowania potrzeb, a zarazem ich podwójnością” (r. XIII). Dążność do sytości, będąc potrzebą ciała, nie milknie w żadnym osobniku ludzkim i nad nią dopiero rozwija się druga dążność czysto społeczna; dążność do dobrobytu. Obie są nienasycone, gdyż pierwsza odnawia się ciągle, druga nie znajduje zaspokojenia dlatego, że stale wzrasta. Kres „sytości” społecznej ustawicznie się oddala mimo zaspokajania, albowiem człowiek wciąż dostrzega coraz nowe przedmioty, godne pożądania.

Na tle zatem zabiegów o elementarną sytość rozpościera się dziedzina druga zabiegów o posiadanie tego, co się widzi u innych, albo przynajmniej o utrzymanie się na poziomie raz zdobytym. Sprężyną tych zabiegów głód takich rzeczy, które dla indywidualnej struktury duchowej stanowią zrealizowanie ideałów chwili. Głód ten nie daje prawie nikomu spocząć, a będąc sprężyną rozwoju cywilizacji, stanowi zjawisko normalne i dodatnie,

Jeśli wystawimy sobie naród jako nawarstwienie osobników według ich ciężaru gatunkowego, czyli według ich zamo-

żności społecznej, to zrozumiemy, że każda dusza dąży do swojej atmosfery materialnej. Więc dusze rosnące wznoszą się wyżej. I dla tego istnieje ruch stały z dołu do góry.

Mówią, że fortuna kołem się toczy, ale ona zna tylko ruch prostolinijny, unoszący z różną szybkością jednych w górę, innych na dno społeczne. Istnienie dwóch tych prądów można uważać za warunek spójności narodu, gdyby bowiem osobniki jednego rodu miały stale utrzymywać się, wciąż na swoich miejscach, to wówczas różne poziomy społeczne czyli różne grupy, stanowiłyby światy, wyodrębnione od innych na stałe. Ale gdy wzmagająca się użyteczność jednych osobników wyprowadza ich wciąż wyżej, zmniejszająca się zaś zmusza innych do opadania, przeto przedstawiciele r o d o w i wszystkich środowisk zmieniają wciąż miejsce, ocierają się o siebie i utrzymują ogólną wspólność rodową a właściwie narodową oraz rozumienie się wzajemne.

Niezależnie od ruchu w górę istnieje nieustanny ruch zstępujący, uwarunkowany naprzód nieszczęściami losowemi, spotykającemi przedstawicieli nawet najwyższych poziomów, powtóre najrozmaitszemi wadami nabytymi, których wyliczanie byłoby zbyt liczne. Próżniactwo, lekkomyślność, rozrzutność, szkodliwe nałogi spychają zawsze pewną ilość jednostek z wyższych środowisk. Wszystkie one cierpią niedostatek, ale względny, i dopiero na najniższym poziomie sytuacja się zmienia, osobniki tu opadłe znajdują się nagle u kresu zaspokojeń najskromniejszych ludzkich potrzeb. Nawet ubóstwo jest tylko niskim stopniem dobrobytu, nędza dopiero bezwzględny jego brak.

Niedostatek na każdym poziomie może być jeszcze dostatkem na poziomie wymagań nieco niższych, bo suma zaspokojeń, dająca jednym wrażenie niedostatku, dla mniej wymagających może być jeszcze szczytem marzeń. Uczucie niedostatku najczęściej pobudza do wysiłków twórczych, jest dążeniem wyżej lub broniением się przed opadaniem, uczucie nędzy jest już tylko beznadziejnym broniением się bezsilności przed śmiercią głodową.

Otóż zjawia się pytanie: czy niedostatek krańcowy może być poczytywany za skutek niesprawiedliwości społecz-

nej, lub też nadmiaru ludności, dla którego nie wystarcza już bogactwa istniejącego, albo też jeszcze jakichś innych przyczyn? I drugie pytanie, czy może być usunięty na drodze społecznych zarządzeń?

Zdawałoby się, że zaradzenie nędzy powinno być zadaniem łatwym, boć przecież niema jej tak wiele stosunkowo do obfitych środków u góry, jednak dużo daje do myślenia fakt, że nędza jest stałym zjawiskiem nawet w społeczeństwach nie tylko najbogatszych, ale i najofiarniejszych.

Malthus doszedł do przekonania, że choćby nawet równo uposażyć wszystkich, jeszczeby się nie usunęło nędzy, bo coraz nowe kadry popadałyby w niedostatek i cała ludność skończyłaby po pewnym czasie na nędzy, albowiem mnoży się ona prędzej, niżeli środki do życia, mianowicie w stosunku geometrycznym, gdy środków do życia przybywa tylko w arytmetycznym. Żadna też dobroczynność prywatna i publiczna nie może, według niego, doprowadzić do zniesienia nędzy, gdyż miłosierdzie sprzyja raczej dalszemu przyrostowi ludności małego produkcyjnej. Domagał się też zaprowadzenia różnych ograniczeń, któreby kładły tamę zbyt szybkiemu przyrostowi ludności.

Teorya Malthusa wywołała długi szereg gorących sporów. Przeciwnicy jej twierdzili, że rozwój techniki będzie dostatecznie zwiększać bogactwo, aby go starczyło dla przynależającej się ludności, a także, że i sam przyrost ludności nie jest znowu tak wielki ani jednakowo szybki, aby wymagał sztucznych ograniczeń,

Jakkolwiek twierdzenie Malthusa co do mnożenia się ludzi w proporcji geometrycznej a środków utrzymania tylko w arytmetycznym nie potwierdziło się, bo i nie mogło się potwierdzić, jako oparte na dowolnem powiązaniu dwóch zjawisk niezależnych od siebie, mimo to główna idea Malthusa utrzymuje się i dzisiaj w szerokich kołach, a nawet wywarła niemały wpływ praktyczny. Cały szereg myślicieli, więc Place, Owen, Mill, Drysdale, Mantegazza, Stille, znani pod nazwą szkoły nowomaltuzjanizmu, odrzucając pewne strony nauki Malthusa, widzą jeden tylko środek, mianowicie ochronne obcowanie, choć nie biorą pod uwagę, że tam właśnie, gdzie



ono byłoby najpożyteczniejsze<sup>1)</sup>, tam niema poczucia jego potrzeby i nikt nie władny przeprowadzić zalecanych ograniczeń.

Nam wydaje się cokolwiek dziwnem, że można było bronić w teorii Malthusa tego, co się obronić nie da, jak również atakować szczegóły drugorzędne trafnego spostrzeżenia, gdy jądrem zagadnienia nie jest kwestya zbyt szybkiego przyrostu ludności, ale kwestya, czy nędza może być ograniczona? Maltuzjaniści kwestyę nędzy sprowadzają poniekąd do kwestyi nadmiaru twórczości życiowej. Niewątpliwie mają oni dużo słuszności, ale dostrzegli jedną tylko przyczynę, gdy jest ich dwie, przyczem ta druga wlecej waży od tej, którą uznali za jedyną.

Pierwsza tkwi w bujności życia, które stale i wszędzie powołuje do istnienia więcej ciał, niżeli ich może środowisko wyżywić. Instykt rozrodczy mnoży jestestwa żywe aż do przesycenia środowiska.

W całej przyrodzie życie tryska w ogromnym nadmiarze, w tak wielkim, że gdyby miało warunki, rychło zamieniłoby choćby całą materję ziemi w swoje formy. Ale ponieważ te warunki wszędzie są bardzo ograniczone, więc wypełnia czarę tylko po brzegi, nadmiar zaś wylewa ustawicznie na zagładę. Wszystko niedość silne i nie udane ginie już na wcześniejszych stadyach rozwoju z powodu braku wolnego miejsca na ziemi.

Nadmiar życia zwykle najbardziej uderza widza w lesie podzwrotnikowym, ale niesłusznie, bo tam bije w oczy głównie obfitość form życia i wielkie ich nagromadzenie, które bierzemy mylnie za nadmiar. Nie jest to wcale nadmiar, skoro stale się utrzymuje. Właściwy nadmiar ukryty jest przed pospolitym wzrokiem — i stale marnieje zaraz w pierwszych stadych pojawiania się nędzy życiowej osobników. Co się tyczy prawdziwego nadmiaru, to panuje on proporcjonalnie taki sam nawet na jałowych skałach górskich, gdzie skromne i jednostajne w swych wymaganiach życiowych mchy

---

<sup>1)</sup> wśród warstw najmniej oświeconych i najbiedniejszych, w krajach egzotycznych i wśród najwęższych.

i porosty walczą o każdy cal gruntu, o każdy pyłek ziemi urodzajnej. Nawet na tych skałach rodzi się stokroć więcej, niż może się utrzymać. Zarówno też w lesie podzwrotnikowym, który pod względem różnorodności form i niejednakowych wymagań życiowych może być bardzo trafnie porównywany do mocno zróżnicowanego społeczeństwa, jak na jednym stajnym stepie oraz jałowych skałach podśnieżnych upadki stokroć są częstsze od powodzeń, a nędza wielkiej ilości osobników pospolitem zjawiskiem.

Skądże więc mogłoby być inaczej w świecie ludzkim?

Szlachetni myślicie na widok bezmiaru nędzy, w jakiej boryka się materiał ludzki na nizinach bytu społecznego, dzwonią na alarm, wołając „ratunku dla ginących!” „miłosierdzia”, a nawet „sprawiedliwości!”

Niestety, za mało są przyrodnikami, aby zrozumieli, że najgorliwsze nawet zaspakajanie potrzeb tych, którzy się już narodzili w warunkach niekorzystnych, nie zaradzi złemu, bo z nich zrodzą się nieuchronnie nowi, potrzebujący ratunku, a zrodzą się właśnie dlatego, że znalazły się warunki dla nowego kontyngensu istot żywych. Im więcej pomocy tam, gdzie panuje bezsilność społeczna, tem więcej powstanie tam nowego życia surowego, domagającego się z kolei nietylko ratunku przed zagładą, ale zaspokojenia potrzeb ludzkich, jak wiemy niełatwych do zaspokojenia, bo bezgranicznych.

W tem zmaganiu się miłosierdzia z bujnością życia, największa nawet ofiarność nie poradzi, bo siła życia zawsze wypełni czarę po same brzegi, choćby się te brzegi ustawicznie wznosiły w górę. Ale takie wznoszenie się ma przecież swoje granice, więc też pierwej zabraknąć musi środków, aniżeli kandydatów do życia. Więc najofiarniejszej walki z nędzą osobników nietwórczych koniec byłby jeden. Świat twórczy zbiedniałby do ostatnich granic, odmawiając sobie coraz to innych potrzeb, mniej koniecznych, i zamiast zgładzić widmo nędzy tych, co nie tworzą, albo zamało tworzą, cały znalazłby się na skraju nędzy.

Na rzecz prostego życia dokonałoby się samobójstwo cywilizacyi, samozagłada wyższej formy bytu dla

utrzymania niższej, samozagłada ducha na rzecz ciała, a w dodatku bezużyteczna, bo tej obfitości materiału ludzkiego, wobec coraz słabnącej wytwórczości, ziemia jużby nie zniosła, więc po ruinie cywilizacji nastąpiłaby zagłada całego bardzo już wielkiego nadmiaru jestestw, ludzkich, oczywiście na skutek powszechnej i beznadziejnej walki o kęs strawy. Ostałaby się tylko garść, zdolna utrzymać się przy słabej produktyjności pracy. Ostałyby się tedy rozproszone po niegdyś gęsto zaludnionych obszarach, na tle ruin, z których uleciało życie, osobniki najsilniejsze fizycznie i najbezwzględniejsze. Wróciłyby stosunki głęboko przedhistoryczne bardzo podobne do surowych stosunków, panujących wśród zwierząt wolnych, żyjących na łonie czystej przyrody.

Jak widzimy, nieograniczona miłość bliźniego i zaparcie się siebie, bezwzględnie stosowane, dokonałyby tego samego dzieła, co nienawiść do możliwych i bezwzględny egoizm ciemnoty. I niema w tej jedności skutków, nic dziwnego, bo zarówno miłość samoofiarna, jak nienawiść atakująca drapieżnie, czyniłyby to samo. Dokonywałyby likwidacji wyższej formy bytu na rzecz niższej. Przecież, czy rozdam dobrowolnie majątek, czy mi go zabiorą siłą, wynik materialny dla mnie musi być ten sam.

Dla cywilizacji jednak mogłyby być dwa różne wyjścia. Jeśliby mój majątek przeszedł do jednostki, która nic nie miała, nic się nie zmieni prócz osób, ale jeśli jeden majątek rozbiere tysiąc mało produkcyjnych nędzarzy wówczas zniknie majątek, ale nędza zostanie, bo majątku było za mało na potrzeby tysiąca, choć aż nadto na potrzeby jednostki a zarazem i dlatego, że w pierwszym przypadku majątek był odnawiany przez wielką twórczość — w drugim może być tylko spożywany. Miał więc słusność Malthus, przestrzegając przed nadmiarem ofiarności, czy dobroczynności, która nie rozwiązuje zadania, tylko niepotrzebnie drżał przed mnożnością ludzi, bo ta może rosnać bez organiczenia tylko na papierze; w rzeczywistości nie przedstawia się tak groźnie. Dowodem choćby Francja, kraj przecież niemal najbogatszy, a jednak najsłabszego przyrostu ludności. Ale też sama Francja daje odpowiedź i na drugie zagadnienie, na bez-

skuteczność miłosierdzia. Pomimo, że dobroczynność pracuje tam ofiarnie, a ludności prawie nie przybywa, przecież i tam istnieją kadry nędzarzy.

Kwestya nędzy wcale nie jest prostą kwestyą przeludnienia, boć i to także pojęcia względne. Gęstość ludności, to przecież dzieło łatwości wyżywienia się. Ludność żyjąca z myśliwstwa i rybactwa jest już zbyt gęsta, jeżeli będzie dwóch mieszkańców na jednym kilometrze kwadratowym, Ludy myśliwskie stepowe, jak Patagończycy, Buszmeni i Australijczycy, żyliby już w przeludnieniu, gdyby wypadło na milę kwadratową więcej głów niż 40, gdy tymczasem ludność rolnicza Europy środkowej nie jest zbyt gęsta przy 2,000-ch głów na mili kwadratowej, zaś w okręgach bardzo przemysłowych nawet przy gęstości 15,000 głów na mili kwadratowej. W porównaniu do koczowników lub czystych rolników żyjemy od dawna w przeludnieniu, a jednak na ogół lepiej żyjemy i ludności przybywa zarówno tam, gdzie jej niewiele na mili kwadratowej, jak tam gdzie jej bardzo dużo. Przeludnienie ziemi może być dopiero grozą przyszłości, jeżeli będzie stale przybywać tak jak obecnie<sup>1)</sup>, albowiem powierzchnia ziemi ma granice i coroczny przyrost kilkunastu milionów głów, jeśliby się powtarzał bez zmiany, już po stu latach podwoi ludność ziemi. Ale i to może nie być groźne, jeżeli w parze z przybywaniem ludzi przybywać będzie dzieł ręki ludzkiej i ducha ludzkiego. Mamy tego dowód i próbkę na Europie, Japonii i Stanach Zjednoczonych, gdzie nawet prosty robotnik trzeźwy i pracowity, żyje bez porównania lepiej od patagończyka buszmena lub australijczyka, nie znających wyzysku kapitalisty.

Maltuzjanizm sprowadza kwestyę nędzy do nadmiaru t w ó r c z o ś c i ż y c i o w e j, tymczasem owej twórczości zaradza twórcza potęga ducha, tak skutecznie, że lepiej się żyje i bardziej się jest człowiekiem mając kilka metrów kwadratowych wolnej przestrzeni w mieście, niż wolny kilometr czystej przyrody dokoła siebie, gdzie trzeba się mieć ciągle na baczności przed dziką bestyą i samemu żyć prawie jak dzika bestya.

---

<sup>1)</sup> Średnio przybywa rocznie około 1% ludności ziemi.

Nie jest również nędza kwestyą zbyt słabej produkcyjności osobników z warstw najbiedniejszych, ani zbyt niskiej normy wynagrodzeń za pracę, boć przecież nawet bardzo słaba użyteczność społeczna, już wystarcza do opędzenia głównych potrzeb życia, a w najlepiej urządzonych krajach, do dostatecznego utrzymania się. O to zabiega rozumne prawodawstwo.

Przyczyna nędzy jest bardziej skomplikowana. Polega ona na tem, że przesylenie środowiska inne skutki niesie w środowisku naturalnem, a inne w społecznem i również inne w bardzo pierwotnym stanie społeczeństwa, inne zaś w mocno rozwiniętym. W „dobrym” stanie natury twarde warunki bytu stawiają skuteczną tamę nie tylko nadmiernemu rozradzaniu się, ale wyradzaniu się. Natura usuwa brutałnie i bezlitośnie wszystko, pozbawione pełni zalet, dających prawo do egzystencji, a więc pozbawione siły, dzielności. Z tego powodu ostaje się tylko elita w swoim gatunku, zdolna utrzymać się własnymi siłami.

Natura nie zna pozbawionych węchu lisów, głuchych zająców, ślepych antylop, sparaliżowanych jaskółek, niewytrzymałych na suszę kaktusów i sosen, nie zna dlatego, że co utraci zalety swoje, to musi zaraz ginąć z głodu lub pożarte przez wroga.

Ale byt w cywilizacji odznacza się tem właśnie, że nawet bardzo wadliwy organizm ludzki rzadko umiera z głodu<sup>1)</sup>. Wyżywić się tak łatwo w społeczeństwie, nawet ubogiem i nawet nic nie robiąc, że można nie tylko trwać pośród ludzi, ale jeszcze dawać życie, będąc okazem nawskroś zwyrodniałym, którego by czysta przyroda nawet dwudziestu czterech godzin nie tolerowała. Cywilizacja jest też poniekąd cieplarnią dla wszelkiego rodzaju niedołęgów, które na łonie czystej przyrody nigdy nie mogłyby dożyć wieku dojrzałego. Cywilizacja dokonywa tego cudu, bo przecież tak łat-

---

<sup>1)</sup> Częściej przytrafia się to, niestety, dzielnym i śmiałym, dlatego, że ani tak głośno ani tak łatwo nie proszą o ratunek.

wo wyżyć ciało i tak świętym obowiązkiem miłosierdzia jest podtrzymywanie życia ludzkiego!

Przybywa tedy obficie nikomu niepotrzebnego materiału na ludzi, nie tylko dobrego, ale i bardzo wadliwego. Że jednak ostatni nie dość że nie był potrzebny, ale jeszcze, jako lichy i słaby, nie dał się należycie zrobić, więc znaczny jego procent wyrasta surowym, mało lub wcale nieużytecznym, a nawet szkodliwym.

Wprawdzie jedyną rację bytu człowieka w społeczeństwie stanowi jego użyteczność społeczna, a główną osłodą życia i warunkiem względnego szczęścia na ziemi krzepkość sił i zdrowie, ale gdy etyka otoczyła nimbem świętości to co cierpi, choćby już było bezużyteczne (*res sacra miser*), więc podtrzymuje się już nie tylko emerytów lub wdowy i sieroty po nich, co jest najpierwszym obowiązkiem społecznym, ale wszystko bez różnicy, co tylko żyć zaczęło, czyli co zrazu jest tylko dziełem czystej przyrody i niczego więcej. Organizmowi ludzkiemu potrzeba do istnienia bardzo niedużo. Może on karmić się dziko odpadkami i jeszcze nie zginie. Pozbawiony też racji bytu zwyrodniały osobnik trwa, bo cywilizacja nawet zupełnie niedołęstwo życiowe i społeczne gorliwie ochrania od zatury.

Ba! gdyby tytko to; jest gorzej, bo ona podtrzymuje istnienie nawet szkodliwości społecznej pod maską kultu dla duszy ludzkiej. Wielka zaleta moralna społeczna, poszanowanie atomu społecznego, ma jednak złą stronę dla rozwoju Narodu, ponieważ nie czyni różnicy między atomem użytecznym a choćby obojętnym, a szkodliwym. Nie dość więc, że obciąża indywidua dodatnie balastem bezużytecznym indywiduów, popadających w dekadencję, że sprzyja trwaniu, bo odnawianiu nędzy. Ona podtrzymuje rozkładową potęgę, potęgę która tworzy się wszędzie, gdzie zachodzi proces życiowy, twórczy. Nie tylko nędza, ale wielka część tego, co nazwaliśmy niedostatkiem, jest już wynikiem procesu rozkładowego, który towarzyszy wszelkiemu twórczemu na wszystkich poziomach bytu społecznego, jest wynikiem wyradzania się osobników w warunkach bytu i trudnych i zbyt łatwych jednocześnie. W tru-

dnych, bo żywot w środowisku wysokiej cywilizacji jest bardzo anormalny dla ciał, w łatwych, bo, powtarzamy to jeszcze raz, cywilizacja ochrania istnienie i powstawanie osobników zwyrodniałych fizycznie i moralnie, które społeczeństwu i samym sobie są już tylko ciężarem.

Byt na łonie przyrody podtrzymuje się wysiłkami skutecznymi. Wszystko, co wyszło z normy, co się psuje, czyta przyroda uwalnia od ciężaru życia. Serca czule nazywają ten porządek okrutnym, a przecież on] to zmniejsza sumę cierpień na świecie. O ileż byłby okrutniejszym, gdyby wszystko musiało żyć, co już utraciło zdolność do normalnych wysiłków, co cierpi, albo co stało się już szkodliwym dla istnienia gatunku.

I właśnie okrutne dzieło, przed którym zatrzymała się sama przyroda, pełni względem swych dzieci cywilizacja—przez „litość” i „miłosierdzie”. Ona jedna nie uwalnia od ciężaru życia osobników, których byt stał się samem cierpieniem lub jeszcze szkodliwością. Moralność ludzka sprysnęła się aby mnożyć i przedłużać cierpienia pod pozorem ich uchylania, nagromadzać elementy rozkładające się lub rozkładowe, pod pozorem naprawiania ich. Etyka nasza walczy] z naturą, ale nie tylko z cierpieniem, lecz z jedyną od nich wybawicielką, ze śmiercią, walczy zaś tak nieszczęśliwie, że miast przerabiać „zło” w „dobro” — mnoży głównie pierwsze. Ona płynie przeciw prądowi, zszywa wciąż, co się już rozpada, łąta, co nie warto łątania, miast zabiegać, aby dobre nowe stawało się lepszym. Nie rozróżnia tego, co godne trudów, od tego, co ich nie warto.

Etyka nasza uważa za obowiązek podtrzymywać takie nawet ciała, dla których śmierć byłaby wybawieniem od mąk niezastużonych. Niedość, że podtrzymuje nieuleczalnie i nieprzytomnie chorych<sup>1)</sup>, dziedzicznie zaraźliwych i zwyrodniałych fizycznie, np, kretynów. Ona uważa za „szczytny obowiązek” utrzymywanie przy życiu trędowatych, niepoczytalnych paralityków, a nawet nieuleczalnie chorych niemowląt,

---

<sup>1)</sup> większość chorych umysłowych, paralityków i t. d.

i nazywa to pielęgnowaniem, tylko niewiadomo czego, chyba samego nieszczęścia! Cui bono dzieją się takie potworności? Jeżeli w imię wyższych ideałów, to zaprawdę, „wyższość” ich musi być problematyczna. Ale i tego mało. Ona nagromadza elementy ujemne (passives) pod względem moralnym i zatrzuwa ciało społeczne. I tu właśnie mamy wiecznie bijące źródło nie tylko nędzy u dołu, ale większej części nieszczęść społecznych w ogólności. Wprost podziw bierze, czemu się o tej stronie bytu społecznego tak niechętnie myśli i mówi w nauce.

Hodujemy nie tylko męczenników, ale nawet zdeklarowaną szkodliwość i zbrodniczość, zawsze przez kult dla życia prostego, ale deklamujemy potem z rozpaczą, że świat się psuje. Jakże się niema psuć, gdy samo miłosierdzie gorliwie pracuje, aby materiał na ludzi stawał się coraz gorszym!

Doprawdy, miał słuszną znakomity socyolog, Lester Ward, gdy powiadał, że w sztuce społecznego rządzenia się żyjemy jeszcze, jak „dzicy” z epoki „kamiennej”, a ludzie „z przerażeniem patrzeć będą kiedyś na nasze dzisiejsze stosunki gospodarczo-państwowe”<sup>1)</sup>.

Nawet słabe i zapóźnione w rozwoju narody, zamiast wszystkie siły skierować na ulepszanie wyborowego materiału ludzkiego, stawiają sobie za punkt honoru pielęgnowanie dla przyszłych pokoleń nieszczęścia, a za to dla ogromnej ilości zdrowych i dzielnych nie mają zmiłowania, gdy przyjdzie kryzys ekonomiczny. Rozpędza się w ciężkich latach<sup>2)</sup> wyborowy materiał ludzki na cztery wiatry, bez żalu i wyrzutów sumienia, toleruje się i ułatwia emigrację ludności najdzielniejszej, wyrzuca się za okno zdolność, zręczność, wytrwałość i wszelkie wyższe, a nawet najwyższe wartości, które ojczysta ziemia zaledwie wypielęgnowała, — zawsze dość dużym nakładem, oddaje się to wszystko darmo na po-

---

<sup>1)</sup> Dynamic Sociology.

<sup>2)</sup> które zawsze przychodzą po łżejszych, sprzyjających mnożeniu się ludności.



żytek innego narodu, ale w domu hoduje się w dalszym ciągu i otacza możliwemi wygodami zdeklarowanych cherlaków, darmozjadów i szkodników, wydaje się ogromne sumy nie tylko na łagodzenie nędzy, ale na forsowne pomaganie tym degeneratom, którzy stanowią w znacznej części wiecznych kandydatów już tylko do kadrów zbrodni i nędzy.

Niechby się znalazł hodowca zwierząt lub roślin użytecznych, któryby prowadził selekcję w kierunku odwrotnym, któryby mnożył najgorsze okazy, a najlepsze skazywał na zagładę, a okrzykniętoby go waryatem i szkodnikiem, ale w gospodarce społecznej nazywa się to obowiązkiem!

Cóż tedy widzimy? Oto w obronie przed nadmiarem altruizmu, będącego zresztą najsubtelniejszym tworem cywilizacji, staje sam instynkt życia cywilizacji, przejawiający się w egoizmie ludzkim. Duch ludzki bezwiednie broni się tym środkiem przed zagładą, bo skoro się zjawil już na ziemi, dąży do rozwoju, nie zaś do samounicestwienia. I on jest formą życia, odzianą w materię społeczną, więc póty tylko popiera samo życie nieużyteczne innym, póki to nie zagraża jego własnym interesom. Cywilizacja usiłuje trwać i rozwijać się, więc broni swego istnienia obojętnością pewnej liczby swych części składowych, przeciwstawiającą się porywom altruistycznym serc czułych. I na razie tylko pewna równowaga egoizmu z altruizmem uwalniania świat ludzki od nadmiaru elementów rozłożonych i rozkładowych, od szybkiej degeneracji. Uwalnia jednak powolniej, niżby się to dziać powinno w interesie ducha, jako też w interesie bezpotrzebnie cierpiących,

Dopiero też może kiedyś wyższa moralność, społeczna, zacznie rozwiązywać racjonalniej kwestję szkodliwości społecznej, stanowiącej wiecznie otwartą i krwawiącą ranę społeczną i główne źródło nędzy i zbrodni.

Miał słuszość Ward. Ludzie ze zgrozą wspominać kiedyś będą naszą „sztukę” rządzenia się, nasze pojęcia o obowiązkach miłosierdzia.

### XXXV.

## Co mniemać o szkodliwości drożyzny środków spożywczych?

Teraz dopiero miejsce na trafną ocenę pewnego zjawiska, powszechnie uważanego za nieszczęście narodu, mianowicie na wzmaganie się drożyzny środków żywności. Sprawa ta wymagała uprzedniego zrozumienia, czym jest wszelka drożyzna, albowiem wcale nie jest identyczna z drożyzną środków nie-spożywczych, a przytem wiąże się z nią kwestya nędzy, którąśmy już oświetlili, kwestya granic wydajności ziemi, oraz zagadnienie klerunku, w jakim potoczy się rozwój stosunków ekonomicznych, stosunków, które ulegają coraz donioślejszym zwickłaniom pod parciem szerokich mas do lepszego bytu.

Podnoszenie się cen żywności zachodzi we wszystkich niemal krajach, lubo nie z jedną chyżością i wywołuje wszędzie zaniepokojenie.

Niedawno angielski urząd Board of trade ogłosił dochodzenie w tej sprawie za przedostatnie lat 10 (od 1901—1911 r.) Okazuje się, że ceny środków żywności wzrosły w tym okresie:

w Anglii . . .	o 7 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	w Włoszech . . .	o 18 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
w Norwegii . . .	„ 11 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	w Rosyi średnio „	21 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
we Francyi . . .	„ 17 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	w Niemczech . . .	„ 28 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
w Holandyi . . .	„ 17 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>	w Japonii . . . .	„ 38 <sup>o</sup> / <sub>o</sub>
w Stanach Zjedn. Ameryki o 39 <sup>o</sup> / <sub>o</sub> .			

Jest to dla nas rzeczą dziwną, że niemal wszyscy traktują ową drożyznę jako zło, przeciw któremu należy szukać środków zaradczych w coraz doskonalszej produkcji.

Dopóki tak mniema nieoświecony ogół, jest to rzeczą zrozumiałą. Również dopóki producenci dążą do coraz ekonomiczniejszego wytwarzania artykułów spożywczych pierwszej potrzeby, wszystko to są rzeczy naturalne. Ale dziwnem jest, że nie tylko ekonomia, lecz nawet socjologia uważa owe dążenia za pożyteczne dla dobra ogólnego.

My nie możemy z tak rozczulającą prostotą spoglądać na zagadnienie drożyzny chleba powszedniego i wręcz musimy

wyznać, że nie dziwi nas to zjawisko, nie żywimy zarazem złudzeń, aby obniżanie się cen głównych artykułów żywności, gdyby nawet było możliwe, miało wychodzić komukolwiek na korzyść.

Ludzie marzą, jako o szczęściu o pomnażaniu środków żywności, radziby ziemię i niebo poruszyć, aby tylko zdobyć więcej chleba i widzą w tem panaceum na wszystkie niedomagania społeczne. Co za zaślepienie, jakież błąd?

Powtarza się tu zupełnie to samo, co w świecie przedstawicieli pracy niekwalifikowanej, który dąży jedynie tylko do podwyższania cen pracy i w tem widzi jedyne lekarstwo na biedy swoje. Przekonaliśmy się przecież, że podwyższanie cen pracy bez zwiększania jej wydajności jest deptaniem w miejscu bez pozytywnych rezultatów. Im wyższa płaca, tem wyższe muszą być ceny towarów, co w rezultacie sprowadza iluzoryczne korzyści robotnika do zera. To samo trzeba mniemać i o skutkach przymnażania żywności, lubo dla innych przyczyn i następstw. Błąd opiera się na przeoczeniu prawa natury, któreśmy scharakteryzowali mianem stałego **przesycenia środowiska**.

Środki spożywcze podlegają innemu prawu, niż pozostałe dzieła ludzkie, w pórzek bowiem prawu podaży i popytu staje tutaj żywiołowa dążność życia do szerzenia się, czynna w rodzie ludzkim. Nadmierna obfitość płótna, rzucona na rynek, obniży cenę płótna do granic ostatecznej możliwości na skutek spółzawodnictwa fabrykantów, wyjdzie więc spożywcom na dobre. Ale nadmierna obfitość chleba, choćby nawet zrazu zniżyła ceny chleba, rychło powoła do życia nowy kontyngens ludzi i zwiększy zapotrzebowanie chleba, sprowadzając stosunki do dawnego stanu.

Jednak trwałego obniżania się cen chleba nie należy spodziewać się jeszcze i dla innych powodów. Oto warunki, które mogą zwiększać ilość środków spożywczych są wprost przeciwnie tym, które zwiększają obfitość bogactw niespożywczych. Środki spożywcze należały pierwotnie do bogactw naturalnych; odnawiały się bez interwencji ludzkiej. Było w nich tylko tyle cenneści, ile pracy ludzkiej, a tej za-

wsze bardzo mało w porównaniu do ilości pracy przyrody, która nic nie kosztowała.

W miarę pomnażania się ludności zjawiała się potrzeba sztucznego powiększania ilości tych płodów przez zwiększenie w rolnictwie i przy hodowli zwierząt użytecznych kapitału.

A zatem, gdy dawniej w płodach spożywczych znajdowało się bardzo duży pracy przyrody, bardzo zaś mało pracy ludzkiej oraz kapitału, dzieła te pod względem gospodarczym przedstawiały się tak, jak dzieła przemysłu, wytwarzane przez najpotężniejsze dźwignie, pomimo, że były wytwarzane przez dźwignie słabe.

Stosunek ten, w miarę przymnażania się ludności, zmienia się wciąż na gorsze. Twórczość natury musi być wspierana coraz mocniej twórczością ludzką, skutkiem czego w materiałach spożywczych tkwi coraz więcej pracy ludzkiej płatnej, a coraz mniej bezpłatnej pracy przyrody. Można powiedzieć, że produkty rolne zaczynają się stawać coraz bardziej dziełami przemysłu. Już tylko coraz większa ilość pracy i kapitału zmusza potęgę życia do działania twórczego. Zatem nawet bez podnoszenia się skali płacy za trudy ludzkie, ceny tych produktów muszą wzrastać.

Nie możemy już patrzeć na zboża, mięso, ogrodowizny, jako na dzieła przyrody, bo to już dzieła niemal nawskroś ludzkie, ale tem odmiennie od dzieł wysokiego przemysłu, że zawsze w nich dużo pracy prostej, która kosztuje najdrożej i kompensuje wysokowartościową a niskopłatną pracę dusz mocnych. Pomimo więc, że są tu zaangażowane nawet i mocne kapitały, są to jakgdyby dzieła słabych dźwigni. Gdy przypomnimy sobie, że początkowo było wprost przeciwnie, łatwo zrozumieć czemu nie tanieją i tanieć nigdy nie mogą.

Nie dosyć jednak, że to są jak gdyby dzieła słabych, więc z zasady drogie dźwigni, trzeba jeszcze dodać, że to dzieła dźwigni, hamowanych od czasu do czasu przeciwnościami meteorologicznymi, które niszczą zarówno to, co się zawdzięcza czystej sile życia, jak to, co się zawdzięcza już tylko potędze ducha.

Środki spożywcze nigdy tanieć nie mogą z powodu, że nie przynoszą na rynku trwałego przesylenia; czara życia musi być wypełniona po brzegi.

Jeżeli palę suto pod kotłem parowym, zyskuję większą prężność pary, więcej energii, ale jeżeli ludności dodaję coraz więcej żywności, wówczas przybywa nie energii, ale ciał, które trzeba żywić. Nie wzmacnia się tutaj prężność, bo kocioł się rozszerza. A tymczasem paliwo wciąż jest droższe! Oto przyczyna, dla której żadne doskonalenie produkcji rolnej nie może prowadzić do udostępnienia środków żywności. **To są towary, produkowane coraz większym kosztem**, a więc sprzeczne z naturą wszelkich innych dzieł.

Tragizim sytuacji w tem spoczywa, że środki spożywcze drożeją jeszcze pod wpływem drożenia pracy sfer najmniej wydajnych, czyli pod parciem tych sfer do poprawy bytu, gdy zaś poprawa nastąpi, płodność tychże sfer sprowadza sytuację do dawnego poziomu, co zmusza je do nowego śrubowania cen pracy, wywołując naprzód nową drożyznę środków spożywczych, następnie drożyznę pracy — i tak w kółko.

Czy środków żywności będzie przybywać, czy nie będzie, nic się nie zmieni, bo w pierwszym razie będzie się wzmacniać zaludnienie, w drugim drożyzna, obie zaś przyczyny prowadzą do tych samych następstw,

Jaka na to rada? Całkiem skutecznej niema.

Na pytanie zatem czy drożenie artykułów żywności jest szkodliwe dla narodów, odpowiedź musi brzmieć, że conajwyżej jest to kwestya obojętna.

Żadne doskonalenie produkcji środków spożywczych nie sprowadzi obniżania się cen żywności,—ale za to niewątpliwie umniejsza i będzie umniejszać te wielkie zyski, jakie obiecuje na wszystkich pozostałych polach twórczości coraz ekonomiczniejsza gospodarka, i to o tyle właśnie, o ile przymnaża ludności.

Nazwaliśmy z razu dążenia do wytwarzania coraz więcej żywności — kręceniem się w błędnem kole, teraz użyjmy silniejszego słowa i, spoglądając z wysoka na przyszłość narodów, musimy je uznać wprost za szkodliwe nawet społecznie. W interesie ducha i dla osiągnięcia możliwie większej sumy

szczęścia w świecie ludzkim, nie leży wcale mnożenie rodu ludzkiego w nieskończoność, ale jedynie ulepszenie dusz, bo świat ludzki to nie królestwo ciał lecz ducha, ilość zaś ciał nigdy nie zastąpi jakości dusz. Mnożyć należy to tylko, co idzie z ducha i służy duchowi. Co zaś sprzyja przybywaniu surowego a zwłaszcza pośledniego materiału ludzkiego, zuboża tylko naród, rozpraszając owoce twórczych wysiłków na większą liczbę głów i utrzymując status quo ante.

Spróbujmy teraz spojrzeć na przytoczone cyfry krytycznie, aby zdać sobie sprawę: skąd płynie uderzająca ich niejednakowość i czy wyrażają one to właśnie, co zdają się mówić? Nie, one świadczą tylko o dobroczynnem wzmaganiu się produkcji bogactw nie spożywczych, a potem o podnoszeniu się cen pracy prostej.

Postęp techniki robi swoje i wyrzuca na rynki bogactwo coraz mniejszym kosztem pracy, i gdyby ostatnia nie drożała, odczuwalibyśmy to wyraźnie wszyscy. Ponieważ jednak pod parciem mas słabotwórczych, dążących do lepszego bytu, ceny pracy wznoszą się, maskując rzeczywiste tanienie dzieł ludzkich, więc drożyzna pracy daje się odczuwać najdotkliwiej tam właśnie, gdzie wzrost wartości ponad cenność jest najsłabszy, a takim on w rolnictwie.

Najsłabszy tedy wzrost drożyzny produktów spożywczych w Anglii tłumaczy się najsłabszym stosunkowo wzrostem ekonomiczności produkcji w ostatnim dziesięcioleciu, bo ona była tam już bardzo ekonomiczna; następnie najniższem zdrożeniem cen pracy, bo były tam już dość wysokie. Poza tem bogate śpichrze taniej żywności w koloniach robią swoje przy taniości komunikacyi. W Niemczech na większy skok złożyły się szybkie postępy przemysłu przy znaczniejszem podrożeniu pracy, jako też szybszy przyrost ludności. W Rosyi do obu przyczyn przybył jeszcze znaczniejszy przyrost ludności, niż w Niemczech.

Okoliczności, że we wzroście drożyzny żywności jednaki prym trzymają Stany Zjednoczone i Japonia, zdają się być niejednakowe. W Japonii musi to być wyolbrzymione gruntownym przewrotem polityczno-ekonomicznym, jaki wstrząsnął posadami tego państwa, dodając mu ludności, bogactwa, a jednocześnie podnosząc niepomiernie niskie dawniej ceny pracy na wszystkich polach działalności. Stany Zjednoczone bez wstrząśnień i zmian ukazują to samo, co działa w Rosyi, tylko podniesione do potęgi. Dobrobyt dźwiga się tam najgwałtowniej, więc produkcya żywności, wlokąca się zawsze w arjergardzie — nie może dotrzymać kroku wzrastaniu ludności oraz jej potęgi ekonomicznej.

Tak więc rosnąca drożyzna chleba nie jest zjawiskiem zatrwarzającym, raczej mogłoby być niem zjawisko odwrotne, tylko że takiego nigdzie nie zauważono.

Ponieważ potęga życia nie może już ilości swych płodów zwiększyć bez sztuki ludzkiej, która jednak kosztuje zbyt drogo, przeto dopóki na drodze chemicznych, a dość tanich reakcji, nie będą otrzymywane substancje, zastępujące żywność naturalną, dopóty pomnażanie żywności taniej będzie niemożliwe. I bądźmy z tego zadowoleni, albowiem jeśli się udało rozwiązać tanio problemat sztucznych środków żywności, powstałby po niedługim czasie inny, o wiele przykrzejszy i drażliwszy od kwestyi, która sprowadza dziś troskę na czoło przyjaciół ludzkości.

---

### XXXVI.

#### O względności bogactwa.

Skorośmy uwzględnili nierówność dusz — twórczości, należy ją uwzględniać także w używaniu. Należy bogactwo oceniać także od strony psychicznej jego spożywców. Wtedy spostrzeżemy, że wszystko, co tworzymy, to pokarm duchowy, bardzo dziwny, gdyż pożywny nie dla każdego, ale tylko dla tych, którzy tym pokarmem umiają się nasycić.

Bogactwo, cenność, to ogólniki, nawet wartość jest to abstrakcja, porządkująca nasze pojęcia ekonomiczne, ale nie dająca należytego pojęcia: czem jest bogactwo. Dopiero gdy uwzględnimy stronę psychiczną dzieł ludzkich, odsłoni się nam względność bogactwa jako celu pożądań.

Dzieła ludzkie są zawsze zrealizowaniem pewnych ideałów. Tylko rozważane w charakterze handlowym, są one czemś, co się mierzy, poniekąd ilościowo. Rozważane w charakterze ideałów — są one czystem zadowoleniem z pożądań i muszą być rozpatrywane od strony jakościowej, od strony użyteczności, od strony podmiotowej. Ideały ludzkie nie są ani jednokie, ani stałe. Co jest ideałem dla jednego, może nie być nim dla drugiego; niemal każdemu trzeba czego innego.

Im myśli, uczucia, a więc i dążenia osobników mniej do siebie podobne, tem ich ideały muszą być różniejsze. A po-

nieważ wszystko, co znamy pod mianem bogactwa, posiada ściśle określone cechy, więc ideałami (choćby chwili) muszą być tylko przedmioty o ściśle określonych cechach. Gdy duże różnią się niezmiernie między sobą, więc każda rzecz może w stosunku do różnych indywiduów być lub nie być ideałem. Potrzeby i pożądanja nasze zaspokaja wcale nie materya, tkwiąc w bogactwie, ale te i nie inne kształty jej i właściwości. **Bez odpowiednich cech największa nawet wartość nie stanie się pożądaną.** Dzieło Rafaela lub teleskop w sferze dla której nie będą ideałem, muszą mieć cenność niższą nawet od ceny samych materyałów, użytych do wytworzenia dzieła. Wartość i użyteczność płótna Rafaela lub teleskopu będą w nieodpowiedniej sobie sferze zgoła niezrozumiałe. Ileż to razy przekonywano się o tem po masowych pogromach wojennych, gdy lud niżej stojący w cywilizacyi marnował bezcenne dorobki (dzieła nauki i sztuki) ludu wysoko cywilizowanego, ileż razy w życiu codziennem dowiadujemy się o podobnych niedocenianiach największych nawet wartości, gdy dostają się we władanie dusz, niezdolnych ani ich ocenić, ani czerpać z nich zadowolenia<sup>1)</sup>.

Jakże względne posiadają znaczenie obliczenia statystyczne tych rachmistrzów, którzy, dokonawszy pracowitego obrachunku kupieckiego wszystkich bogactw według ich cen rynkowych, doszli do wyrażenia ogółu bogactwa danego narodu w jednej sumie pieniężnej, np. majątku niemieckiego w sumie 300 miliardów marek. Dzielią oni potem otrzymaną sumę przez liczbę głów w narodzie i okazują, że w danym kraju na głowę przypada tyle to setek marek, np. tu 200, tam 400 lub tysiąc.

Jako cyfry, ilustrujące zamożność narodów, będą to liczby pouczające, ukażą np., że Niemcy zajmują, a raczej zajmowały przed wojną, po Anglii i Frnncyi trzecie miejsce w Europie pod względem zamożności, my zaś jedno z ostatnich, ale trzeba na tem poprzestać. Jeśli bowiem ktoś na tych cyfrach chciałby budować wnioski zastosowane do indywiduów i wyobrażał sobie, że rozdzielenie majątku narodowego równo mię-

---

<sup>1)</sup> Jakie tragiczne potwierdzenie tego daje nam rozpasanie mas ciemnych w Rosyi.



dzy wszystkich uczyniłoby każdego posiadaczem majątku w cenności 200, 400 lub tysiąca marek, ten popadłby w wielki błąd. Wprawdzie statystyka podsuwa prostemu umysłowi myśli że istotnie każdy stałby się po repartycji właścicielem małego wprawdzie, ale realnego bogactwa, to jednak nie trudno przejść do przekonania, że użyteczność owego bogactwa indywidualu byłaby grubym złudzeniem. Złudzenie owo płynie z utkwienia wzroku w samej ilości tego, co nazywamy cennością, zamiast w jakości.

Równy podział istniejącego bogactwa czy to według cenności, czy wartości (a nawet to ostatnie tem bardziej) — nie zadowolilby nikogo z tych nawet, którzyby byli stroną wyłącznie biorącą; przeciwnie, przyniosłby wszystkim ogromne rozczarowanie. Aby najprościej wykryć tego przyczynę, wyobraźmy sobie, że nie majątek narodu między miliony osobników, ale zwykły majątek zamożnego osobnika zawarty w przedmiotach, nie w gotówce, ma być rozdzielony w naturze i równo między stu nic nie posiadających ludzi i że po dokonanych obrachunku na każdego wypadnie bogactwa aż na 2000 marek.

Ponieważ w owym majątku będzie urządzenie jednego mieszkania kosztownego, będzie tam 5 cennych obrazów, piękna rzeźba w marmurze, dwa cenne zegary, cztery dywany perskie, fortepian, biblioteka, zastawa stołowa na 12 osób i t. d., zachodzi pytanie: jakże się wypadnie podzielić? Ze względu, że zegarów, obrazów, fortepianu i t. p. nie można pokrajać na sto części, przeto kilkunastu ludzi wyjdzie, mając za majątek po obrazie olejnym, po zegarze, jeden stanie się posiadaczem pięknego fortepianu, dwóch innych razem wyniesie marmurową rzeźbę, medytując, jakby się nią podzielić. Kto tu będzie zadowolony? <sup>1)</sup>

Gdyby podobna likwidacya zdarzyła się w warunkach, umożliwiających sprzedanie otrzymanych przedmiotów i to po normalnych cenach, wszyscy wyszliby zachwyceni, albowiem

---

<sup>1)</sup> Coś podobnego dzieje się obecnie na znaczną skalę w Rosyi, opanowanej przez złudne hasła doprowadzonego do absurdu socjalizmu na tle ciemnoty i barbarzyństwa. Mamy tam jaskrawą ilustracyę „idealnego” podziału dóbr sfery „więcej posiadających”.

(Przypis. autora w r. 1918).

nowy właściciel fortepianu pozbyłby się zaraz niepotrzebnego instrumentu i za otrzymaną gotówkę nabyłby ideały swoje i to samo zrobiłby prawie każdy. Ale my rozważamy podział w warunkach, wyłączających zamianę, bo wyłączających istnienie tych, którzy mogą podobne rzeczy od niezadowolonych odkupić. Wszak cały majątek narodu idzie do równego podziału i nikt nie potrzebuje już nic innego — prócz rzeczy niezbędnych dla człowieka, mającego za cały majątek 2,000 mk. W podobnych warunkach nikt nie zechce wziąć ani samego fortepianu, ani obrazu, ani cennego futra, ani nawet dywanu lub książek, bo wyszedłby biedakiem, niemającym co do ust włożyć.

Przykład ten ujawnia prawdę, że istniejące bogactwo jest dopasowane do wielkiej różnorodności dusz i do znacznych różnic w ideałach naszych i to tak ściśle, jak jedna skorupa do jednego ślimaka.

Ogromna ilość bogactwa służy tak nieprzeciętnym potrzebom, że nie posiada żadnej użyteczności poza sferą, dla której została stworzona. Można by przestać produkować nadal takie przedmioty, jakie się produkuje ale bez ogromnych strat podzielić się istniejącem bogactwem równo, według jego cenności lub wartości nie można.

Zatem przez równy podział tego co istnieje, naród zubożałby nagle w rozmiarach bardzo dotkliwych. Odebrano by ideały sferom wyższym, ale bez pożytku dla niższych. Z wartości cenionych zrobiłyby się nagle nieużytki, któreby zmarniały, żałowane tylko przez ich dawnych właścicieli, dla reszty całkiem obojętne.

I co uległoby tutaj zagładzie? Właśnie, to co ma największą wartość i najwyższą użyteczność, co służy wyższym potrzebom, wyższej cywilizacji. Gdy zaś zważymy, że właśnie ta kategoria bogactw odznacza się wartością znacznie wyższą od swej cenności i że ona szeroki ogół najmniej kosztowała, to zrozumimy, że zasłaby tu zagłada tej czystej wartości, która, jako dzieło dusz najpotężniejszych jest prawą ich własnością. Lecz nie tylko to. Przecież owa kategoria bogactw jest realnym pokarmem owych dusz najrozleglejszych.

Zabranie im owych ideałów dokonane bez żadnego pożytku dla dusz mniejszych, byłoby równocześnie śmiertelnym ciosem dla szerszych i subtelniejszych. Znikłyby nie tylko realizacje ideałów szerszych ale i same ideały. Subtelne dusze ludzkie skurczyłyby się do rozmiarów pospolitych,—ale **pospolite ani na jotę przez to nie rozszerzyłyby się.**

Lecz może uczyniłyby się szczęśliwszymi? I to nie, gdyż wszystkie dzieła ludzkie zapewniają posiadaczom jednaką sumę szczęścia. Wyższe nie dają wcale większego, dają tylko inne. Zadowolenie z urzeczywistnienia pragnień może być na każdym poziomie i każdymi środkami, równie pełne.

A więc skoro równy podział tego, co jest, nie przysporzyłby ani użyteczności ani szczęścia nizinom, ale za to odebrałby użyteczności, ideały i szczęście sferom wyższym, przyprowadzając je o zanik (w cierpieniach)—byłby on ciężką krzywdą dla Narodu i cywilizacji, czynem bezrozumnym i zbrodniczym. Ogromna ilość obu bogactw roztopiłaby się, jak śnieg wiosenny, gdyż jedno bez drugiego istnieć nie może, ale roztopiłaby bez pożytku dla obdarowanych.

Jeżeli rzadko bywa to zrozumiane w całej pełni i grozie, powód jest zawsze ten sam: niezdawanie sobie sprawy z faktu, że na jednym gruncie ocierają się o siebie światy duchowe zgoła niepodobne do siebie i nie rozumiejące się wzajemnie. Nie mogą już one zadawalać się jednakowymi środkami, zupełnie tak samo, jak żyjąca na ziemi różnorodna fauna z jej tysiącami kształtów, natur, potrzeb i dążeń, nie może już żywić się jednakim pokarmem. Chcieć wszystkie zniwelować do odczuwania jednych potrzeb i zadawalać się jednemi pokarmami byłoby dążyć do ich zagłady, boć to przecież rozwój uczynił je z pierwotnie jednakowych i prostych zróżnicowaniami i skomplikowańszymi.

Nawet, gdyby się to planowało wyłącznie dla szczęścia nizin narodu bez oglądania się na losy wyżyn, byłoby i wówczas obraniem mylnej drogi barbarzyńskiej, a nie celowej, gdyż zamiast zabijać to, co wystrzela wysoko i co najcenniejsze w ludzkości, można podnosić—co niskie.

Z drogi zresztą, po której kroczy większość ludów, do-  
prawdy niema powrotu. Mocni duchem stali się już nie tylko  
warunkiem względnego szczęścia całego ogółu, ale wprost  
warunkiem istnienia tej ogromnej ludności, jaką  
ziemia nosi. Oddawna już żyjemy w przeludnieniu. Ich  
zniknięcie wywołałoby wprost katastrofę, bo nieuchronną  
z gubę większości słabotwórczych ludzi, a oczywiście  
i całej cywilizacji materialnej i duchowej. Tylko mocni  
duchem i w spółce z bogatymi w materję kapitałową zawsze  
będą pracować na korzyść reszty ludności, pracując  
na własną korzyść, albowiem bogactwa najobficiej  
przybywa tylko z ducha, bezpłatnie pracującego  
na to, aby wszystko stawało się coraz dostępniejszem dla  
każdego.

To, czego domagają się komuniści i niedojrzali idealści,  
aby dać wszystkim, przez brutalne odebranie bogatym, doko-  
nywa się ustawicznie przy istniejącym ustroju, tylko nie wi-  
docznie dla pospolitego oka. Potężni sami się wydzie-  
dziczają na rzecz nizin, z tą różnicą od aktu powszech-  
nego wywłaszczenia, że nie tracą swej mocy twórczej,  
swej atmosfery społecznej, niezbędnej do ich istnienia, ani  
niezbędnego warsztatu twórczego.

Pamiętajmy wreszcie i o tem, że szczęście na żadnym  
poziomie nie istnieje w stanie statycznym, ale tylko dynamicz-  
nym. Szczęście, to skuteczne dążenie wyżej, do coraz  
nowych zadowoleń, to ruch ku wyższym ideałom. Nieszczęś-  
ciem, ruch wsteczny, opadanie.

Kto to rozumie, ten może sprzyjać tylko powszechnemu  
pochodowi w górę nie kosztem niszczenia wyżyn, tylko przez  
podnoszenie nizin.

\* \* \*

Jeszcze raz przekonywamy się, że nie żaden „kapitał”  
cięży żelazną łapą nad klasą małoposiadającą, lecz tylko z jed-  
nej strony wyzysk osobników niesumiennych, które się wytwa-  
rzają we wszystkich warstwach społecznych, nie  
tylko wśród pracobiorców, z drugiej zaś strony te odwieczne  
wady i braki natury ludzkiej, które we wszystkich stule-

ciach doprowadzały ludzi do nędzy, podobnie jak ich nieobecność wyprowadza innych na szczyty. Nie wolno wydawać tyle, co się zarabia, oto recepta na byt znośny, a na byt dobry jeszcze druga; trzeba powiększać swą moc twórczą, ów majątek wewnętrzny, którego ani ogień ani woda nie zabierze. Tylko człowiek oświecony i wykształcony (mniej-  
sza w jakim fachu i do jakiego stopnia) staje się ekonomicznie czemś więcej od zwierzęcia roboczego, a doprawdy ogromna ilość ludzi nawet w wieku XX-m reprezentuje siłę, zaledwie nieco wyższą od sił czysto zwierzęcych. Ubóstwo nie wzrosło, owszem, zmalało, tylko przez prosty kontrast z powiększonym stanem posiadania „mocnych”, wydaje się dotkliwszem. Świadomość ubóstwa (w warstwach mało-produkcyjnych) powiększyła się przez szybki wzrost aspiracji,—oto wszystko. Wszelkie zaś piorunowania na „ustrój kapitalistyczny” opierają się na niezdawaniu sobie sprawy, gdzie prawdziwe źródło bogactwa w ogólności, a zwłaszcza ogromnych bogactw, przyrastających w ostatnim kilkudziesięcioleciu.

---

## XXXVII.

### Wiek kapitalizmu.

Wiek XIX nazwano wiekiem kapitalizmu i całkiem słusznie, bo jeszcze nigdy, kapitał nie był tak twórczy, jak teraz na obszarze, zajmowanym przez rasę białą, a zwłaszcza przez najpotężniejsze ekonomiczne jej odłamy.

W końcu XVIII-go stulecia siła maszyn w Anglii równała się sile roboczej 10-ciu milionów ludzi. Była to potęga, przysparzająca dużo bogactwa, ale dopiero, gdy porównamy z nią siłę machin czynnych w Anglii w roku 1870, zrozumiemy co za przewrót zaszedł w ciągu krótkich lat 80-ciu. W owym roku siła machin doszła do wydajności siły miliarda ludzi.

Gdybyśmy nawet przyjęli, że przy tych machinach pracuje 20 milionów ludzi, a nad wytworzeniem ich pracowało choćby drugie 20 milionów, to okaże się, że nad produkcją

bogactwa Anglii pracowała w roku 1870 sama przyroda z siłą 960 milionów ludzi.

Jeżeli odliczamy starców, dzieci i niezdatnych do pracy, to będziemy mogli powiedzieć, że maszyny angielskie pracowały na korzyść Anglii z siłą całej ludności ziemi. Zatem duch anglików pracował dla nich z siłą ludności całej ziemi. Czy może nas dziwić szybki wzrost bogactwa Anglii, gdy w ciągu lat 80-ciu wiedza zaprzęła tam sto razy więcej niż dawniej sił przyrody?

Musiałoby się to odbić niesłychanym przynależaniem bogactwa, jakoż odbiło się przeobrażeniem wszystkich stosunków ludzkich. A przecież za Anglią, do wyścigu, poszło jeszcze kilka innych narodów. Tak nadzwyczajnego skoku w przyroście użytecznej twórczości próżnoby szukać w całej historii świata. Nie było go i zapewne nigdy już nie będzie. I cóż dziwnego, że wiek XIX wywołał istny przewrót, i tych, którzy pamiętają co było dawniej, oszalamia, innym zaś którzy nie umieją już wyobrazić sobie warunków, w których żyli jeszcze dziadkowie nasi, wydaje się rzeczą zwykłą i naturalną.

Jednak wcale nie w intencji podkreślenia dobroczynnej potęgi kapitału zamianowano wiek XIX wiekiem kapitalizmu. Uczyniono to w zamiarze wprost odwrotnym, dla napiętnowania społecznego ustroju mianem wyjątkowo niesprawiedliwego. Wszak to niezadowoleni ochrzczili ubiegłe stulecie tem mianem, nadając mu treść złowrogą. Kapitał ogłoszono za „prawnie usankcjonowaną formę rabunku”, za wroga „pracy”.

Któraż ocena słuszniejsza? Na to pytanie odpowiedź łatwa. Kapitał w dawnym rozumieniu ma być w całości swej zaoszczędzonym owocem pracy tylko ludzkiej, zatem „ustrój kapitalistyczny” ma oznaczać ustrój, w którym nieliczni posiadają owoc pracy bardzo wielu osobników, odebrany im na drodze ciągle niesprawiedliwego dzielenia się zyskami, płynącymi ze wspólnej pracy.

Jeśli tak będziemy tłumaczyć ustrój kapitalistyczny, to dziwnem musi się wydać, dlaczego dopiero wiek XIX napiętnowano mianem „kapitalistycznego”, gdy wszystkie czasy znają kapitał i posiadaczy kapitału. Nigdy nie było innego us-

troju nad kapitalistyczny. Dlaczegoż dopiero wiek XIX-ty okrzyknięto wiekiem kapitalizmu?

Oto dlatego, że kapitał nigdy jeszcze nie pomnażał się tak błyskawicznie, jak w wieku XIX-ym i nigdy jeszcze nie przysparzał tak wiele bogactw użytkowych jak teraz.

Lecz cóż zaszło, coby tłumaczyło ten nieznaną dawniej przyrost bogactwa? Jeżeliby miało być trafnem dawne pojmowanie kapitału, że jest on owocem pracy, odebranym klasie przeważnie fizycznie pracującej, to z nieodpartą logiką należałoby przyjąć za prawdę, że ta klasa poczęła nagle w wieku XIX-m pracować bez porównania silniej, niżeli we wszystkich wiekach poprzednich i że stosunkowo mała garść „wyzyskiwaczy” zagarnia ustawicznie dla siebie wszystkie owoce jej pracy. Lecz czyż to jest podobieństwem, aby klasa fizycznie pracująca miała nagle stać się tak znacznie pracowitszą, a równocześnie produktyjniejszą? Wszak wszędzie dzień roboczy ulega skróceniu, a mimo to zapłata za trudy pozwala coraz lepiej żyć tej klasie, zwłaszcza w przemyśle fabrycznym, którego kapitały rosą z największą szybkością. Jakże to wszystko może się ze sobą godzić? Coraz mniej się pracuje, coraz lepiej się żyje i pomimo to coraz większe zyski z tej samej pracy, pobierane przez wyzyskiwaczy! Skądże się one brać mogą? Przecież już starożytni umieli bardzo silnie wyzyskiwać pracę ludzką. Całe niewolnictwo — to przecież nieprzerwany łańcuch wyzysku pracy na rzecz właścicieli niewolników. Jeżeli więc pomimo tak bezwzględного wyzysku gromadziło się dawniej bez porównania mniej owoców pracy w rękach kapitalistów, niż w wieku XIX-ym, czyż można utrzymywać, żeby bogactwa społeczne płynęły tylko z pracy ludzi wyzyskiwanych?

Utrzymywać coś podobnego byłoby nonsensem, a w takim razie pochodzenie tak błyskawicznie rosnących kapitałów społecznych rasy białej musi być inne. Fizycznym niepodobieństwem jest, aby to miał być owoc pracy najemników źle płatnych. Choćby ich praca miała być nie wiem jak już nisko opłacana, a siły nie wiem jak skrupulatnie wyzyskane, jeszcze niezrozumiałym byłoby faktem, skąd

się tyle owoców tej pracy może gromadzić w rękach rzekomych wyzyskiwaczy? A przecież nigdy jeszcze klasa fizycznie pracująca nie zużywała na swoje potrzeby tyle właśnie, co zużywa w „epoce kapitalizmu”, a i nigdy nie potrzebowała mniej pracować jak właśnie w epoce najnowszej.

Pomijając nieliczny kontyngens, cierpiący nędzę, przeważnie niepracujący, albo jako ciemny i niechętny, pracujący źle, cała pozostała ilość jako tako pracujących cieszy się nie tylko dość znaczną spożywczością, ale jeszcze corocznie odkłada, zwłaszcza w krajach bogatszych, milionowe oszczędności. Skądże się bierze to wszystko, co ludność ciężko pracująca zużywa, co oszczędza i co przybywa do rąk wielkich i średnich posiadaczy?

Odpowiedź daje dopiero nasze ujęcie kapitału, jako maszyny, którą poruszają dwie nierówne siły: ludzkie fizyczne i siły przyrody, przyczem stosunek obu sił ustawicznie zmienia się w ten sposób, że pracuje na korzyść naszą coraz więcej sił przyrody poruszanej przez ducha.

W takim razie gwałtowny przyrost kapitału w epoce szybkiego rozwoju twórczej potęgi staje się zupełnie zrozumiałym. Kapitał — to istotnie zaoszczędzony owoc pracy, ale w małej tylko odsetce pracy zwykłych robotników i wogóle ludzkiej — w największej zaś części samej przyrody, puszczonej w ruch przez potężnych duchem. Nie może to już być owoc, odebrany robotnikom (na drodze niesprawiedliwego podziału zysków), tylko owoc, zdobyty na samej przyrodzie. Robotnicy w niczem się do niego nie przyczynili, bo zużyli już wartość, do której pojawienia przyczynili się istotnie swą pracą. Zagadka ogromnego przyrostu bogactw spoczywa w fakcie, że kapitał nigdy jeszcze nie był tak mocny, jak obecnie.

Korzyści zatem, na które zawistnym okiem patrzy klasa robotnicza, płyną z bezpłatnej pracy przyrody, uruchomionej nie przez nich. Ta właśnie daje tak dużo, że „kapalista” nie tylko nie potrzebuje czyhać na tanią pracę prostego robotnika, nie potrzebuje go „wyciskać, jak cytrynę”, ale przeciwnie jest w możności opłacać ją, i nawet opłaca ją coraz lepiej. Czyim kosztem? Kosztem zbyt słabo



opłacanych przedstawicieli wielkiej mocy duchowej, których jest zbyt dużo na to, aby się mogli drożyć, i którzy zresztą pogrążeni w duchowym świecie, dającym wyższe i trwalsze rozkosze, nie dbają o większy majątek i z pogodnym czołem przymnażają bogactwa innym, nie zazdroszcząc im i nie powiadając, że są wyzyskiwani. Oni tworzą, jak „bogowie”, dla samej przyjemności i żądzdy tworzenia.

Nie o tych więc kapitalistach (duchowych) może być mowa w sensie ujemnym, ale o właścicielach dóbr materialnych.

Rodbertus i Marx takich właśnie okrzyknęli za wrogów klasy ciężko pracujących.

Czy słusznie? W zasadzie niesłusznie — choć w poszczególnych przypadkach licznych nadużyć, płynących z niczem nie nasyconej chciwości, bardzo słusznie.

Jednak w teorii gospodarczej nie należy wyjątków od zasady, choćby nawet ich było dużo, podawać za przedstawicieli zjawiska normalnego, boć od każdego normalnego zjawiska wyjątki istnieją. Przecież i w sferze przedstawicieli samej pracy istnieją niezliczone osobniki, bezwarunkowo wysoce szkodliwe, nie tylko dla kapitalistów, ale dla własnej klasy, a jednak nikt nie uważa za słuszne identyfikować ich z normalnymi przedstawicielami klasy pracującej. Krzywdzicieli przeto ze sfery więcej posiadających nie wolno podstawić pod miano normalnych władców materji kapitalowej, którzy zostają w uczciwym stosunku względem przedstawicieli pracy słabo kwalifikowanej. W tem znaczeniu — ani kapitał nie może być wrogiem pracy, ani kapitaliści wrogami ludu słabo produkcyjnego, dotkliwe zaś różnice w uposażeniu są przedewszystkiem prostem następstwem większej lub mniejszej siły twórczej osobników, oraz różnicy w zaletach duchowych i dzielności.

„Wiek kapitalizmu”, to pusty frazes, bo innego ustroju nad kapitalistyczny nie było i być nie może w społeczeństwie rozwiniętem z pieluch bytu przedspołecznego. Ustrój kapitalistyczny — to tylko rozwinięty ustrój społeczny, w którym marnieje przeważnie to tylko, co samo się wydziedzicza pozbawione zalet społecznych.

Nie z krzywdy ludzkiej wyrosły i wyrastają bogactwa kapitalistów, lecz z rozwiniętej władzy nad przyrodą, jaką wywierają dzielni. I dlatego też pozostały za nimi w tyle ciemnota, bierność i niedołęstwo, które umieją tylko skarżyc się i zazdrościć, gotowe zawsze brać, ale bez odpowiedniego dawańia. Pracy dzielnej i głów dzielnych ustroj kapitalistyczny jest prawie zawsze sprzymierzeńcem, o ile tego nie pokrzyżują źli ludzie jakiegokolwiek kategorii. Przy jakimkolwiek ustroju, choćby nawet dał się wymyśleć i zaprowadzić zgoła inny od obecnego, zawsze społeczeństwo składać się będzie z osobników o wybitnej indywidualności i woli, oraz z przedstawicieli szarzyzny; zawsze w niem będą dziejni i niedołężni, oszczędni i rozrzutni, źli i dobrzy, drapieżni i ustępliwi, uczciwi i nieuczciwi. Ustrój więc społeczny spólczesny, a również i dawne historyczne, tem tylko różnią się od przedhistorycznych, że dawna, przedspołeczna przewaga fizycznie dzielnych i silniejszych, późniejsza, przedhistoryczna przewaga mądrzejszych nad słabszymi duchowo. posiadających lepsze narzędzia nad posiadaczami pośledniejszych, musiała nabrać szerszego znaczenia i niesie skutki bardziej wyraźne. Skala różnic w uposażeniu wyolbrzymiała na skutek równie olbrzymich różnic dynamicznych,

Równości sił, działań i charakterów niema w całym świecie, skądże miałyby zjawić się tu właśnie, gdzie najwięcej danych do wzmagania się różnic? Dlaczego zaś najwięcej o to prawie pytać nie trzeba, bo gdy w świecie zwykłego życia siły, uzdolnienia i charaktery przynosi się ze sobą na świat, w świecie ludzkim, w świecie ducha wszystko to można rozwijać, a przede wszystkim trzeba wyrabiać. Zwierzę jest niewolnikiem swej doli, ale my w ogromnej mierze kowalami własnych losów. Mądrze to wyraża ludowe przysłowie: „jak sobie kto pościele, tak się wyśpi”.

Demagogowie powtarzają, że kapitał jest źródłem ubóstwa mas. Nieprawda. Kapitał mocny jest źródłem nie tylko bogactwa tych, którzy nim rozporządzają, ale także obniżania się cen większości towarów i dóbr publicznych, więc nigdy ubóstwa rzesz słabotwórczych. Między bogaceniem się ednostek mocno twórczych, a ubóstwem sła-

bo twórczych niema związku przyczynowego. W zwykłym porządku rzeczy nie kapitał, ale ciemnota mas i wady ich są źródłem ich ubóstwa.

Nie zgadza się ten wynik z oklepaną piosenką ciemnych lub niesumiennych demagogów, że gdzie jeden zyskuje, tam wielu musi tracić, ale dlatego, że owi płytcy, a złośliwi pochlebcy tłumów nie chcą mu mówić prawdy woczy—i wszystko złe widzą po jednej stronie—zamykając oczy na istniejące po drugiej.

Nie zamierzamy iść wzorem owych pochlebców. Nie myślimy twierdzić jakoby szerokim warstwom pracującym bez własnego kapitału nigdy nie działa się krzywda. Przeciwnie, jesteśmy głęboko przekonani, że świat ludzki pełen jest krzywdy, podobnie, jak zwierzęcy i możemy być raczej zaliczeni do pesymistów, bo wierzymy, że krzywda jest nieśmiertelną i nic jej nie usunie z oblicza ziemi. Ale też właśnie dlatego, że z krzywdą należy walczyć, aby ją srowadzać do możliwego minimum, **mamy obowiązek dobrze rozróżniać krzywdzicieli od sprawiedliwych, abyśmy się sami nie stali krzywdzicielami i niewdzięcznikami.**

\* \* \*

Jakże łatwo oddać każdemu, co mu się należy! Widzieliśmy, że słabe kapitały nie mogą rościć pretensyi do równie znacznych zysków co mocne. Widzieliśmy, że duże nawet zyski nie muszą płynąć z krzywdy ludzkiej. W tych warunkach obie kategorie kapitalistów możemy uważać za użyteczne zarówno sobie, jak innym, z tym warunkiem, że od nikogo nie biorą więcej wartości, niż dają.

Otóż czas zaznaczyć, że wielu kapitalistów właściwych nie czynią zadość ostatniemu warunkowi. I rzecz osobliwa dotyczy to właśnie tych, których przyjęto ogólnie nazywać kapitalistami, gdyż co do kapitałów duchowych, te dla ich większej obfitości, rzadko mogą być stroną wyzyskującą i rzadko nawet chcą być nią.

Więc prawdą jest, że materya kapitałowa, a prościej mówiąc bogactwo, niesprawiedliwie jest rozdzielone, że nie

według zasług, ale według ślepego trafu<sup>1)</sup> lub przemocy, ale ta niesprawiedliwość dotyka nie tych, którzy rozporządzają jedynie tylko niższymi władzami ludzkimi.

To, co ogólną chciwość i zazdrość budzi, zwłaszcza w analfabetach, to niemal wyłącznie dzieło wielkich dynamicznie, a w połowie i własność takich dusz, dzieło i własność mędrców i cichych pracowników wiedzy. Istnieją krzywdziciele w osobach wlelu bogaczy, ale ci nietylko nie stali się bogatymi z krzywdy rzesz małowórczych, lecz jakby dla ironii właśnie z ich szeregów przeważnie się rekrutują. Większość prawdziwych i najbezwzględniejszych kapitalistów, to przecież nie rodowi potentaci, a nawet nie potężni duchem, tylko sprytni i bezwzględni parweniuse. Pyszną się też, jak barbarzyńcy, swem bogactwem, do którego często niedorośli. Ale i oni zagarnęli przeważnie nie wasze owoce, ludu małowórczy, lecz własność tych potężnych, ale prostodusznych, jak dzieci, władców przyrody, którzy nie zbierają złota, lecz hojnie je rozsypują, aby je inni podnosili.

Z „potu” tych wszystkich, którzy się najgłośniej upominają o własność wielkich, zagarniętą przez t. zw. „kapitalistów”, nie mogło powstać nawet to czem owe masy rozporządzają, a gdyby nie wielcy — prowadziliby oni żywot jeszcze o wiele surowszy nad ten, jaki prowadzą.

### XXXVIII.

#### **Czemu cenność dzieł ludzkich opada niespodziewanie powoli?**

Przypadek raptownego wzrostu potęgi twórczej ziścił się w krajach najbardziej oświeconych i przemysłowych, rzeczywistość znacznie przewyższyła przykład, wzięty (w rozdz. XXXIII) dla ilustracyi naszych założeń; siła robocza maszyn Anglii, Francyi stała się kilkadziesiąt razy większą, niż była

<sup>1)</sup> np. urodzenia, lub tego, co nazywamy „mieć szczęście” lub mieć „elastyczne sumienie“.

przed stu laty, jednak ceny dzieł przemysłu fabrycznego nie spadły wielokrotnie, jak tego należało oczekiwać.

Przypuszczaliśmy, że w razie 10-krotnego wzrostu potęgi twórczej dzieła przemysłu fabrycznego powinnyby przecięciowo stać się dziesięciokrotnie tańszymi.

Ale mniejsza o ceny, bo te mogą być tylko względną miarą taniości. Aby wyrokować o rzeczywistym tanieniu towarów, trzeba by porównać dawną cenę z obecną, dawną jego ilość i potrzebę handlową z obecną, ilość mieszkańców kraju i szybkość obrotów handlowych. Gdy taka droga byłaby zbyt długa, mamy prostszą i krótszą. O skutkach wzrostu potęgi twórczej możemy sądzić, porównując dawną spożywczość narodu z teraźniejszą.

Otóż spożycie Anglii i Francji podniosło się wprawdzie znakomicie, jednak nie do tego stopnia, jakby teoretycznie wypadalo. Skądże płynie niezgodność teorii z rzeczywistością?

Niema tu żadnej sprzeczności, zawód zaś płynie z niespodzianki, że produkcya nie poszła takimi torami, jakimi pójśćby mogła. W naszym założeniu traktowaliśmy sprawę jakby się potoczyła musiała, gdyby społeczeństwo istniało samo jedno, izolowane, a tymczasem zjawisko ekonomiczne rozgrywa się stale na tle wielu i to niejednakowo rozwiniętych społeczeństw. W takich warunkach sprawa musi wyglądać inaczej.

Ogromna obniżka cen produktów szerokiej użyteczności, proporcjonalna do zwiększonej wydajności kapitałów, zaszłaby nieuchronnie, ale pod warunkami następującymi: 1) aby ta sama ilość ludzi tym samym wysiłkiem ciała wyrzucała na rynek o tyle więcej towarów, o ile wzmogła się siła fizyczna kapitałów; 2) aby odbiorcą tych towarów była ta sama ilość ludzi, co dawniej, nie zaś większa, 3) aby siła wszystkich kapitałów czynnych stała się jednako maksymalna, i 4) aby produkowała te same co dawniej przedmioty, nie zaś jeszcze zupełnie nowe.

Żadnemu z tych warunków nie stało się zadość:

1) ludność Anglii, wziętej za przykład, wzrosła przez ten czas o 2 i pół raza tyle co dawniej, podobnie zresztą wzrosła i ludność innych krajów wysoko, a nawet i słabo przemysłowych (przecięciowo dwukrotnie);

2) odbiorcą stała się nie tylko zwiększona ludność kraju, ale i ludność zagraniczna;

3) tylko część sił fizycznych kapitałów czynnych w różnych działach przemysłu stoi na wysokości technicznego maksimum chwili;

4) siła twórcza nie idzie wyłącznie ani na produkowanie bogactwa takiego samego, jak dawniej, ani przeznaczonego na spożycie w kraju, ani wreszcie na produkowanie samego bogactwa. Łście bajeczne siły twórcze narodów przodujących, wcieliły się zaledwie w małej części w zwykłe bogactwo prywatne, w ogromnej zaś części w bogactwo publiczne oraz w kapitały. Gdy zaś publiczne, dostarczające wszystkim wiele korzyści za drobną opłatą, stanowi coś w rodzaju kapitału, przeto można powiedzieć ogólnie, że kapitał zwrócił swoją moc twórczą przeważnie na rozrastanie się i to w dwojakim kierunku oraz z dwojakiemi skutkami.

Jako bogactwo publiczne, krajowe, służy on wszystkim w kraju, choć nikomu wyłącznie, ale jako kapitał prywatny zwrócił się na zewnątrz, i służy już przedewszystkiem za narzędzie bogacenia się.

Jest jeszcze trzeci i czwarty upust dla potęgi twórczej, mocno rozwinięta produkcja dzieł zgoła wątpliwej użyteczności, będąca jedynie tylko orężem walki kapitalistów, spółzawodniczących ze sobą. Chęć i potrzeba reklamowania się i zaćmiewania się wzajemnego, pochłania więcej środków twórczych, niżeli się tego domyślamy. Obok tej zaś rubryki poważne miejsce zajmuje militarizm i produkcja przedmiotów prawdziwego zbytku, które dają tylko złudzenie większej użyteczności, w gruncie zaś rzeczy utrudniają tylko życie wszystkim, którzy się w sferę zbytku dostali. Wszystko to mocno zredukowało korzyści, przewidywane dla szerszego ogółu i zwolniło mocno tempo opadania cen towarów rzeczywistej użyteczności.

I tylko rozrost bogactwa publicznego można uważać za pewną kompensatę strat, ponoszonych przez szeroki ogół z powodu niedostatecznego tanienia mnóstwa towarów, rozrost zaś

kapitałów i popierających ów rozrost środków reklamowych służy tylko nielicznej sferze kapitalistów.

Ale, jeżeli uwzględnimy szczególne warunki, w których znalazły się narody mocno twórcze spostrzeżemy, że nie mogło stać się inaczej. Siła twórcza kapitałów mocnych nie mogła pozostać w roli dostarczycielki dzieł użytecznych wyłącznie dla ludności kraju własnego, albowiem naród mocno twórczy jest otoczony wielu narodami, znacznie słabszymi pod względem potęgi twórczej, istnieją więc korzystne rynki zbytu dla towarów poza krajem, dalekie od nasylenia.

Towary nie mogą spadać gwałtownie w cenie w kraju bardzo twórczym, dopóki zagranicą istnieją liczni odbiorcy, gotowi płacić ceny dość wysokie, z powodu, że u siebie zmuszeni są płacić jeszcze wyższe dla słabości własnych kapitałów. Tacy właśnie odbiorcy zjawili się (a właściwie byli i przedtem), a przybywa ich jeszcze ciągle: 1) z powodu rosnących ułatwień w komunikacji, 2) w miarę rozszerzania się skali potrzeb ludzkich pod wpływem coraz nowych zadowolnień, 3) z powodu stosunkowej nizkości cen towarów, produkowanych ekonomicznie, którym nie mogą przeciwstawić się towary miejscowe, produkowane mało ekonomicznie.

Więc dopóki za te same towary można osiągać na rynkach zewnętrznych ceny lepsze, dopóty nie leży w interesie wytwórców wstrzymywanie się od produkowania ich w ilości zbytecznej dla kraju, ani też obniżanie cen na rynku wewnętrznym. Zresztą nie byłoby to środkiem skutecznym do zatrzymania tych przedmiotów w kraju, bo wówczas, sami ich odbiorcy zaczęliby wywozić towary, osiągające za granicą wyższe ceny. Ze spożywców staliby się kupcami-eksporterami.

Zamiast produkować coraz taniej dla kraju, producenci woleli produkować dość drogo dla obcych. Co więcej, zaczęli gorączkowo poszukiwać coraz odleglejszych rynków zbytu na przedmioty, których można było wytwarzać ilość nieograniczoną, ale zbywać w kraju tylko ilość ograniczoną. Weźmy przykład. Choćby igła lub maszyna do szycia kosztowały 10 razy taniej, naród nie może zużyć igieł i tych ma-

szyn więcej, niż ich potrzebuje. Choćby płótno nie wiem jak taniało, zużycie jego ma swoją granicę.

Ale czego jeden naród nie potrzebuje, tego może pożądać zagranica, która to wszystko produkuje drożej, bo większym nakładem pracy ludzkiej. Otóż mnóstwo towarów tanich zaczęło odpywać do krajów obcych. Narody słaboprodukcyjne, zamiast wyrabiać je swojemi, droższemi sposobami, zaczęły je chętnie kupować u obcych. Rozwinął się kolosalnie wywóz. Handel taki opłacał się sobie, ze względu, że w krajach słabo przemysłowych obcy towar, nawet obciążony zyskiem pośredników oraz kosztami transportu i ceł, mógł być sprzedawany taniej od produkowanych drogo na miejscu.

W ten sposób produkcya towarów codziennej potrzeby stała się dla narodów mocnych produkcją materji kapitałowej, gdyż za towary, wyrabiane w nadmiarze, wracały pieniądze z zyskiem. Materji kapitałowej ustawicznie przybywało. Ponieważ zaś nie można było już tej ilości uruchomić z równą korzyścią na wewnętrzne potrzeby kraju, przeto poszły do pracy na obcych terenach, poszły na podbój ekonomiczny obcych krajów na korzyść macierzystego.

Tu mamy moment, rozgrzeszający do pewnego stopnia chciwość kapitalistów, bo ostatecznie egoistyczna ich działalność stała się pożyteczną dla przyszłości ich kraju. Egoizm więc i chciwość jednostek oddaliły tylko chwilę przesylenia rynku wewnętrznego przez rozszerzenie go w rynek światowy, mogący pochłonąć bardzo wiele i zapewniający do czasu mocnym narodom nie tylko owocną działalność, ale i wielki przyrost bogactw. Działalność mocnych dusz w narodzie oraz kapitalistów, lubo jeszcze nie dała całej ludności zysku spodziewanego, to jednak rozszerzyła ich ojczyznę i zwiększyła jej siłę.



### XXXIX.

#### **Zjawisko twórczości nie mogło pójść torem, przewidywanym przez teoretyków.**

Aby gruntownie zrozumieć, co się teraz dzieje w świecie, trzeba porzucić ciasny wldnokrąg jednego miasta, powiatu, a nawet kraju i spojrzeć z wysoka na glob ziemski. Trzeba spojrzeć na sieć dróg żelaznych, coraz gęściej oplatających ogromną jej powierzchnię. Wszak już kosztowną linią drogi żelaznej możnaby opasać dwadzieście dwa razy ziemię na równiku! Dość spojrzeć na pajęczą płataninę drutów telegraficznych i kabli podmorskich, na dziesiątki tysięcy statków, krążących po wszystkich morzach, na tysiące miast i miasteczek, opatrzonych siecią wodociągów, rur gazowych, przewodów elektrycznych i t. d., i t. d., i dość pomyśleć, że jeszcze przed stu laty nie było tego wcale, aby pojąć gdzie skierował się ów bezmiar sił przyrody, posłusznie pracujących pod kierunkiem ludzkiego rozumu i woli? To wszystko nie dzieło mięśni ludzkich, jak zapewniali mechanicyści, nie dzieło przeważnie mięśni ludzkich, jak to było w starożytnym Egipcie a nawet w Helladzie i Państwie Rzymskiem, ale, dzieło samego cieplika, uwalnianego przez geniusz ludzki z węgla, pary wodnej, to dzieło sztywności żelaza, twardości i elastyczności stali, powinowactw i antagonizmów chemicznych. siły ciężenia, magnetyzmu. elektryczności i t. d., i t. d.

Dość ogarnąć wzrokiem te wszystkie urządzenia, które pochłonęły liczne miliardy jednostek cenności, aby pojąć, że wybują jak nigdy kapitalizm lat ostatnich oddał się na usługi wszystkich. Każdy coś skorzystał, nawet najbiedniejszy.

Znikły odległości, zbliżyły się kraje, wymiana towarów odbywa się tak łatwo między odległymi krajami, jak do niedawna między wioskami. Tym samym kosztem, co dawniej spożywaliliśmy płody własnej okolicy, jadamy płody czterech części świata, znikła groza klęsk głodowych, dawniej dziesiątkujących kraje, tysiącom nowych potrzeb łatwo czynimy za-

dość. Płacąc stosunkowo skromne podatki, korzystamy z niezliczonych dobrodziejstw wielostronnej własności publicznej, jesteśmy za drobną opłatą obsługiwani przez pocztę wszechświatową, przez drukowane słowo, tanie jak nigdy, wszystkich współwłasnością są niezliczone wygody publiczne, i to takie, o jakich do niedawna nie marzyło się nawet największym potentatom. Słowem powiększyło się kolosalnie nie tylko bogactwo prywatne, ale publiczne, t. zn. należące do wszystkich, nawet najuboższych ośobiście. Każdy bierze udział w tem wszystkim, czy kto posiada jeszcze prócz tego własny majątek, lub go nie posiada, czy posiada duży, czy mały. Szalony wzrost kapitału nie odbił się w obsłudze jedynie bogatych, jak o tem zapewniają socjaliści, komuniści i anarchiści, przeciwnie, rozszerzył jak nigdy bogactwo publiczne, dostępne darmo lub prawie darmo dla wszystkich.

\* \* \*

Skądże wzięła szybko potężniejąca moc twórcza ducha angielskiego, a wkrótce potem francuzkiego, materję kapitałową, której poprzednio w Anglii i Francji nie było znowu tak wiele? Wiemy przecież, że najbardziej twórczy duch nic nie stworzy bez posiadania materji kapitałowej. Otóż zrazu duch twórczy wziął się małemi środkami do wyzyskiwania bogactw naturalnych kraju własnego. Węgiel i żelazo własne przeobraził w maszyny, w koleje żelazne i okręty. Wcielił się w dźwignie coraz potężniejsze, które oddały się na usługi handlowi międzynarodowemu. Dzieła przemysłu angielskiego a później i francuskiego szły arterjami wodnymi i lądowymi do najodleglejszych krajów a wracały surowe i półsurowe płody naturalne obcych krajów. Przerabiano je w ojczyźnie na dzieła przemysłu, rozsyłano znowu, biorąc wzamian płody naturalne. Zasadą handlu, jako źródła bodactwa narodów, jest kupowanie towarów tam, gdzie są najtańsze, sprzedawanie tam, gdzie za nie najlepiej płać. Najtańszymi są wszędzie swojskie płody natury, więc sieć ulepszonych komunikacyi zaczęła Europie Zachodniej służyć do coraz tańszego sprowadzania tych płodów, które w kra-

jach obcych spoczywają w nadmiarze lub nie są cenione. Te płody w stanie półprzerobionym lub całkiem przerobionym sprzedawano zaraz do krajów, gdzie były pożądane, ale niedostępne dla braku własnego handlu i dróg komunikacyjnych. Zyski ztąd płynące, tylko w części zużywano, w znaczniejszej zaś przeobrażano w mocny kapitał, więc rozszerzano i ulepszano sieć komunikacji, zwiększając swą siłę handlową oraz, przemysłową. Oto rozwiązanie zagadki czym kosztem rozwija się coraz potężniej sieć komunikacji angielskich, lub za angielskie pieniądze budowanych w krajach obcych i służących przedewszystkiem Anglii. Rychno Anglia stała się dostarczycielką dzieł ludzkich, zaś odbiorczynią dzieł przyrody obcych krajów, ciągnąc ogromne zyski ze swojej roli. Za jej przykładem poszło kolejno kilka innych narodów, najlepiej przygotowanych do rozwinięcia tej samej siły i z wyzyskiwanych zrazu — stały się same wyzyskującymi ziemie dziewicze i kraje o słabych kapitałach. Podzielono się terenem operacji handlowych i „sferami wpływu”, i dziś te kraje zarzucają swemi towarami rynki całego świata, co więcej, rozrzucają już nawet swą materję kapitałową w postaci pieniędzy, oddając takowe za opłatą do użytku tym narodom, które własnych mają za mało. Jest to także mądra polityka.

Towary zatem mocnych narodów płyną nieprzerwanymi potokami po całej ziemi wodnymi drogami lub po stalowych szynach, i temi samymi drogami powracają pod postacią pieniędzy albo tanich surowych płodów do ognisk przemysłu, skąd znowu rozpływają się na obwód w postaci towarów wszędzie pożądanych, aby wrócić w postaci surowych płodów lub większej ilości pieniędzy.

W takim rozlewaniu się bogactwa z ognisk mocnej twórczości do miejsc słabszej, mamy zjawisko zupełnie podobne do czysto fizycznego zjawiska wyrównywania się ciśnień, dążenia płynów lub gazów do wyrównania istniejącej równowagi. Ekscentryczny prąd kołowy towarów wytwarzanych ekonomicznie w ogniskach silnej produkcji musi trwać póty, póki nie wyrówna braków wszędzie, dokąd ma dostęp. Wówczas dopiero ceny w kraju o moc-

nej produkcji zacząć ulegać stopniowej obniżce, wywołując kolejno wszędzie odpowiednie obniżki. Towar bowiem tani zachowuje się względem drogiej, jak materya płynna lub gazowa względem próżni; dąży on do wypełnienia próżni, a choćby tylko miejsc, lżejszych wypełnionych materyą. Zyskowność zaś podobnego odpływu dla kraju, produkującego ekonomicznie, na tem polega, że taki sam stosunek między towarem tanim a drogim zachodzi na całym obwodzie. I na obwodzie towary tanie na miejscu zachowują się jak materya gęsta, wypełniona wartością, odpływają zatem łatwo na miejsce opróżnione, osadzając w nich całą swą wartość, która nie była pokryta ceną sprzedażną.

Zysk więc krajów mocnych na tem polega, że za duchowe wartości — biorą materyalne, podobnie, jak strata krajów słabych w tem znowu leży, że oddają materyę kapitałową (złoto lub bogactwo naturalne), chociaż mają ich ilość ograniczoną, za wartości, podlegające zupełnemu spożyciu i to za wartości, które oddawców niewiele już kosztują, bo płyną z nieopłacanej już nikomu potęgi duchowej. Kraje przemysłowe zaopatrują świat pozostały w bogactwo, podległe spożyciu, ale odbierają bogactwo naturalne<sup>1)</sup>, przeobrażające się w kapitał i to mocny. W ten sposób narody mocne, zubożają bez przerwy ludy mniej twórcze, które spożywają więcej niż tworzą, i nie mogą płacić dziełami własnego ducha, rabują swe ziemie z bogactw naturalnych.

Nie wolno wydawać więcej, niż się zarabia, niszczyć więcej, niż się tworzy, bo to grozi bankructwem, ale narody słabe zdają się nie wiedzieć o tem, bo zachowują się tak, jakby były bezgranicznie bogate. Aby zaspokoić swe nadmiernie rosnące potrzeby, wynoszą z domu bogactwo naturalne, będące materyą kapitałową przyszłych pokoleń, biorąc to, co służy tylko do zużycia, a nawet, co jest zbytkiem. Bywa nawet gorzej, jeżeli prócz płodów potęgi życia prostego, oddaje się bogactwa mineralne, a zwłaszcza grunt, ziemię, bo tych nie przybywa. Zachodzi więc z narodami to samo, co

<sup>1)</sup> bo innego nie potrzebują.

z właścicielem majątku rolnego, gdy ustawicznie pożycza na hypotekę, ale nie dla podniesienia produktywności majątku, ale aby używać. Z chwilą, gdy zadłuży się powyżej ceny rynkowej swego majątku, nic w nim nie będzie miał swojego, wszystko stanie się niepostrzeżenie własnością wierzycieli.

Właśnie nad takim wyzuwaniem z naturalnej własności narodów słabo produkcyjnych, ale dużo spożywających, pracuje cały system środków komunikacyjnych i cały system kredytowy narodów mocnych.

Który naród pierwaj stał się silny duchem, ten zbiera zniwo wszędzie, gdzie rozpościera się bierność. I więcej jeszcze. Ten nie daje czasu słabszym do wzmocnienia się, bo wciąż ubiega słabszych. Mocny kapitał cudzy, niby smok dwugłowy zapuszcza swe dwie paszcze we wszystkie zakątki świata, i jedną paszczą zsypuje wartości, ale drugą czerpie znacznie więcej, niż daje.

Od wieków prowadzi się taki proces, ale dawniej z powodu niewielkich różnic pomiędzy kapitałem mocnym a słabym, a także złych komunikacyi, dokonywał się za małą skalę, więc nie wyrządzał szkód gwałtownych.

Dopóki potęga ducha nie była tak wielką, u niektórych przedstawicieli rasy białej, póty nie stanowiła niebezpieczeństwa dla rozwoju narodów uboższych duchem. Dojrzewały one wiekami w ciszy do czasu, aż przychodzi na nie okres męźnienia duchowego. Jedne szły w górę i rozwijały swoistą cywilizacyę, inne drzemały jeszcze na nizinach, szarpane od czasu do czasu przez wyprawy wojenne chciwych łupu sąsiadów, ale szarpane niezbyt szkodliwie. Z czasem przychodził zmierzch siły drapieżnych sąsiadów, wyczerpanych używaniem, a wtedy budził się naród drzemający, nieskrępowany, swobodny, goił swe rany i rósł powoli w siłę twórczą oraz bogactwa.

W tak sielankowych stosunkach, trwających przez liczne wieki, wywołało gruntowny przewrót dopiero ostatnich lat kilkadziesiąt. Już nie tylko siła ramienia, nie zastępy męźnych wojowników, nie miecz, nie łupy i kontrybucye wojenne, nie okropność wojny, okrywające kraj zgłiszczami i mogiłami wycieńczają ludy słabsze i rzucają je pod nogi zwycięzców, ale

mocno twórczy kapitał, idący na podboje na pozór z różdżką oliwną i dłonią pełną nęcących oko i serce bogactw. I dokonywa on podbojów stokroć cięższych niżeli dawne wyprawy krwawe po łupy. Marsa zastąpił Merkury tak skutecznie, że już nawet dzielny Mars narodów ekonomicznie podbijanych nie zdolny mu stawić czoła. Już tylko jeden Merkury swojski mógłby tamtemu podolać, ale niestety, wielki Merkury nie pozwala małym wyrosnąć, więc w nierównej walce, a raczej w zwycięskim pochodzie bezkrwawym, owszem, na pozór błogosławionym, narody bogate stają się coraz bogatszymi, biedne coraz ubożeją, właśnie dlatego, że nie umieją się już oprzeć darom bogatych sąsiadów, ani przeciwstawić im własnej potęgi ekonomicznej.

Niegdyś było inaczej. Kwitnący Egipt z okresu trzeciego Państwa (r. 1600—1100 przed Chr.) oraz czasu Ptolemeuszów cały nadmiar sił twórczych, co prawda w porównaniu do dzisiejszych potęg sił pygmejskich, obracał wewnątrz kraju na budowy tak kolosalnych, a zbytkownych dzieł architektonicznych, że i dziś budzą one podziw i zachwyty; powstawały zdumiewające piramidy, świątynie, rozrzutne aleje sfinksów. Dziś wszystko to byłoby dla Europy igraszką; sił i kapitałów, wystarczyłoby jej na znacznie większe dzieła, naprawdę robi się jeszcze więcej, jeżeli zważymy, że to dopiero sto lat pokryło Europę tysiącami muzeów, pałaców oraz bezcennych dzieł wyższej techniki, nauki i sztuki, gdy Egipt pracował na swoje pomniki dwa tysiące lat. Ale moc nowożytna zwróciła się głównie nie w tę stronę. Kapitał rzucił się nie na pomnażanie prostego bogactwa wewnątrz kraju, ani też zbytku, dogadzającego dumie najmożniejszych, ale na opanowywanie świata. Odrzuca on tylko odsetki na tworzenie bogactwa we własnym kraju, i te odsetki wystarczają narodom mocnym do zadowolenia nawet wyrafinowanych ich pożądań, główną zaś swoją potęgę skierowywał na zewnątrz; wylał się na cały glob ziemski, wszędzie pracując, jakby potworna pompa.

Już trzecie pokolenie narodów mocnych pracuje nad kompletnym gospodarczym podbojem świata, ale biernie, słabo-twórcze i ciemne narody i ludy, choć zadłużają się coraz głębiej u bogatych dostarczycieli

dobrobytu, nie spostrzegają, że przjadają swoją ojczyznę, a gdy przyjdzie opamiętanie, nie będzie już ani co ratować, ani czem wyrwać się z niewoli, bo choćby się i zjawila moc duchowa, to bez własnej materii kapitałowej — i bez własnej ziemi będzie już zmuszona pracować tylko na rzecz właścicieli tej ostatniej. Owe narody nawet u siebie w domu staną się już tylko sługami i dłużnikami obcych.

## XL.

### Nauka o potrzebach narodu.

Znaczna część pisarzy określa ekonomię, jako „naukę o dobrach”, ale Karol Gide słuszną wprowadza tu poprawkę, mówiąc, że przedmiotem ekonomii nie jest samo bogactwo, ale „stosunki powstające między ludźmi żyjącymi w społeczeństwie, w zakresie ich potrzeb materialnych”<sup>1)</sup>.

Z uwagi jednak, że właściwie niema stosunków ludzkich poza społecznych, można powiedzieć, że przedmiotem ekonomii są stosunki międzyludzkie, póki chodzi o jednostki ludzkie, międzynarodowe zaś, o ile chodzi o społeczeństwa. Na nic bowiem nie zda się generalizowanie stosunków społecznych, skoro ponad osobnikiem, stoi zawsze nie żadna „ludzkość”, ale naród, żywa całośćka skończona sama w sobie, ze swemi własnymi prawami do bytu, do niezależności i doskonalenia się wszechstronnego. Kartezjusz odkrył dopiero połowę prawdy, gdy powiedział: cogito—ergo sum, myślę — więc jestem. Druga połowa tej prawdy odsoniła się z chwilą rozpoznania stosunku mowy do myśli. Dziś „ergo” kartezjuszowskie ma inne zakończenie. Myślę, więc jestem, ale nie sam, bo jestem przecież człowiekiem przez to, zem częścią mego narodu. Myślę, więc jest nade mną naród, rzecz większa odemnie. Jest indywidualność rozległa, kształtująca się od najbardziej zamierzchłej

<sup>1)</sup> „Zasady ekonomii społecznej”. Warszawa 1913, s. 3.

przeszłości, z którą jestem związany tyciącem węzłów w całość swoistą. Myślę, więc jestem synem odwiecznej mej Ojczyzny. Czy ona wielka, czy mała, jednak mi droga, bo tylko ona jest moja.

Wszystko, co żyje, musi walczyć o miejsce na ziemi, o zachowanie swej indywidualności. Zwierzę, ta biedna efemeryda, prowadzi walkę prostą i jedną, bo tylko o zachowanie swego ciała, ale człowiek musi prowadzić aż trzy. I dopiero w szerszych ramach potrójnej walki o byt: walki o zwiększającą sytość, o zaspokojenie ludzkich potrzeb ciała, o interesy ducha, wreszcie o interesy narodu, ojczyzny — przedstawia się w pełni głębia starć, których widownią świat ludzki. Obowiązki moje są potrójne: nakarmić ciało, nakarmić własnego ducha i nakarmić ojczyznę, więc też wszyscy, którzy przez trud twórczy zabiegają o interesy własne, służą tem samem niemal zawsze interesom swego narodu.

Gdy wszakże niejednakowa jest potęga gospodarcza narodów, ich polityka gospodarcza nie może być jednakową. Polityka ekonomiczna narodów silnych dąży do najkorzystniejszego wyzyskania stosunków sąsiedzkich, polityka zaś narodów słabszych do bronienia się, zwłaszcza na punktach najbardziej zagrożonych.

Olbrzymie znaczenie Adama Smitha polegało właśnie na tem, że pierwszy wykazał w czem leży słabość i potęga narodów, że był pierwszym ekonomistą narodowym. Marx jest rzecznikiem tylko człowieka, a nawet jednej klasy i dlatego jest apolityczny, międzynarodowy, a nawet wprost antynarodowy. Jednak gdy Smith był ekonomistą narodu mocnego przemysłowo, więc i nauka jego nosiła cechy jednostronne. Dopiero Fryderyka Lista \*) można nazwać ekonomistą narodowym, bo uzupełnił dzieło Smitha, który był dlań jeszcze nazbyt kosmopolitą oraz indywidualistą, jako bezwzględny rzecznik niekrępowanej konkurencyi. Łatwo jednak zrozumieć czemu Smith, będąc narodowym, mógł być kosmopolitycznym. Oto on nie drżał o moc i przyszłość na-

\*) Das nationale System der politischen Oekonomie, Stuttgart, 1840. Siódme wyd. 1884.



rodu swego, nie obawiał się dlań niczyjej konkurencji. Dopiero patriota niemieckiego narodu, bardzo wówczas słabego ekonomicznie (List), mógł spostrzedz, że co jest dobrem dla mocnych, może być zgubnem dla słabych. Więc rozglądając się bystrem okiem po świecie i szukając środków do prędkiego podźwignięcia sił swej ojczyzny, udowodnił, że nie rolnictwo ani handel, ale dopiero „siła przemysłowa wpływa na wszechstronny rozwój narodu”. Zauważył, że narody bogate i potężne przechodziły w swym rozwoju przez cztery fazy, z których dopiero ostatnia daje bezwzględną przewagę nad innymi narodami; więc ponieważ narody nie żyją w odosobnieniu i nie stoją na jednym stopniu rozwoju, przeto pomyślny rozwój narodu słabszego gospodarczo wymaga innej polityki niż polityka silnych, a także wymaga polityki, zmieniającej się stosownie do potrzeb chwili.

Gdy w pierwszej fazie mało jeszcze kapitału, przeto na zaspokajanie wszystkich potrzeb musi wystarczać rolnictwo. Należy dbać o jego rozwój i o najkorzystniejszy wywóz płodów rolniczych. W tej fazie trzeba obcemu przemysłowi otworzyć wolną drogę do kraju.

W drugiej fazie zawiązuje się w kraju wytwórczość przemysłowa. Ponieważ ona jest zrazu słaba, więc rozumna polityka nie pozwala na utrudnianie przywozu obcych dzieł przemysłu, zwłaszcza narzędzi i maszyn, dopóki nie wzmocni się własna w tym kierunku wytwórczość. Wówczas dopiero system cel ochronnych, uwzględniający słabsze strony przemysłu, sprzyjać będzie dalszemu jego wzmaganiu się. Wprawdzie taka polityka wywoła podrożenie wytworów krajowych, ale wzmocni warsztat narodowy, zapewniając ceny niskie w przyszłości. Co naród traci zrazu, to odbierze później z nadwyżką.

Ta trzecia faza rozwoju trwać musi, póki siła wytwórcza nie przewyższy siły przemysłowej innych narodów. Wówczas trzeba powrócić do zasady wolnego handlu, bo przemysł mocny nie lęka się już konkurencji obcej, a za to otrzymuje taniej obce płody rolnicze i materiały surowe, co mu daje nową siłę.

Pięćdziesiąt tylko lat stosowania podobnej polityki, przy dzielności i pracowitości narodu niemieckiego, pokazało do czego dojść można. Z narodu przeważnie rolniczego, ubogiego i zalewanego produktami przemysłu obcego, Niemcy pod koniec XIX-go stulecia stały się narodem silnym i bogatym— i dziś wyzyskują wszystko, co dokoła nich jest słabszem ekonomicznie<sup>1)</sup>. Pod niejednym względem prześcignęły nawet swych nauczycieli i skutecznie zalewają produktami swego przemysłu rynki Anglii, Francji, a nawet Stanów Zjednoczonych Ameryki, nie mówiąc o tem, że zdobywają kolejno egzotyczne rynki zbytu, dotychczas wyłączny teren operacyjny famtych.

Zasługą Lista było, że drogę do najszybszego rozwoju potęgi narodu dostrzegł wówczas, gdy jeszcze nie rozumiano jak dziś: co znaczy materya kapitałowa wsparta wielką wiedzą — i gdy nie było jeszcze tak olbrzymich różnic między mocnym kapitałem, a słabym.

Na tle naszej koncepcyi, wszystko, czego gorliwie dowodził na mocy wewnętrznego przekonania, i czego współczesne mu umysły nie rozumiały, przysparzając mu wiele zgryzot, i przyspieszając śmierć<sup>2)</sup>, wydaje się oczywiście, elementarnem i naturalnem

Zasługą Lista jest jeszcze zwrócenie uwagi na **przeciwstawność dwu klas w narodzie: kupców i wytwórców**, więc zwrócenie uwagi sfer rządzących, aby rozróżniały wymagania, płynące od narodu i nie jednako skwapliwie czyniły im zadość. Interesem przemysłowców jest utrudnianie przywozu obcych dzieł przemysłu, więc system ceł ochronnych, interesem jednak kupców zwłaszcza obcych narodowi, jest ułatwianie takiego przywozu; oni są zawsze zwolennikami wolnego handlu.

---

<sup>1)</sup> Pisane to było w roku 1912, gdy nikt nie podejrzewał możliwości huraganu wojennego, który rozpętany przez Niemców, zdruzgotał ich potęgę, ponieważ stała się zbyt zachłanną i groźną dla świata.

(Przyp. autora).

<sup>2)</sup> W Kufsteinie r. 1846, rozgoryczony opozycją i niepowodzeniami swych patriotycznych planów, pozbawił się życia.

Wśród przemysłowców hasłem jest korzyść narodo-  
wa, choćby w przyszłości, edukacja narodu, wyrabianie potęgi  
twórczej własnej, zawsze zrazu słabej; wśród kupców ha-  
słem doraźny interes spóżywców, choćby zgubny na przy-  
szłość, właściwie zaś interes osobisty kupca. Tu hasłem  
patryotyzm, tam hasłem, a właściwie szyldem humanizm  
kosmopolityczny.

Wytwórca widzi w zagranicznym konkurencie wroga nie  
tylko osobistego, ale wroga kraju, ale dla kupca kosmopo-  
lity obojętnem jest od kogo kupuje. Ponieważ zaś zarabia le-  
piej na towarze zagranicznym niż krajowym, więc przekłada  
zagraniczny, hamując rozwój przemysłu swojskiego.  
Hasłem kupca, zwłaszcza obcego narodowi, jest nabywać to-  
wary najtaniej, choćby z końca świata i choćby się przez to  
zabiło jakąś początkującą gałąź wytwórczości krajowej.

Takie sprzeczności interesów zawsze utrudniały rozwój  
przemysłu narodów zapóźnionych, ale cóż dopiero mówić  
o skutkach w czasach dzisiejszych. Ostatnie półwiecze uczy-  
niło kraje wysokoprzemysłowe potężnemi jak nigdy. W kra-  
jach słaboprzemysłowych nie możnaby już nawet marzyć o roz-  
woju własnej wytwórczości bez systemu cel ochronnych. W ta-  
kich krajach — zapanowanie wpływu kupców, pozbawionych  
patryotyzmu, całkowicie powstrzymałoby, rozwój bogactwa  
krajowego.

W dzisiejszych więc czasach wszędzie, gdzie stan  
kupiecki bierze górę, jako doradca sfer rządow-  
ych, tam dzieje się narodowi krzywda.

Do hamowania zaś rozwoju narodów ekonomicznie sł-  
bych skutecznie się przyczynia prócz klasy kupców importe-  
rów, jeszcze bezwiednie klasa robotnicza, żywiłowo dążą-  
ca do podwyższania ceny za pracę swoją. Jest to dążenie  
zupełnie usprawiedliwione, o ile chodzi o interesy jednostek  
ludzkich, ale odbija się fatalnie na interesach narodu i staje  
się kamieniem u nogi słabego pływaka, albowiem  
w kraju o mocnym przemyśle płaca robotnika mniejszą gra  
rolę niżeli w kraju słabym.

Dawniej narody przeważnie rolnicze mogły mężnieć pozwoli, albowiem pracowała na nie siła twórcza samej ziemi, siła życia, kierowana choćby nawet umiarkowaną wiedzą rolniczą i zastępowała twórczą siłą ducha. W ten sposób Polska XVII-go stulecia, pomimo bezsilności przemysłowej, nietylko miała co jeść, ale była względnie bogata.

Czem się to działo? Oto prowadziła dość znaczny handel wywozowy. Wysyłała zboże do Anglii, Holandyi, Włoch i innych krajów. Miliony korcy zboża szły rocznie z kraju, nazywanego nie bez zasady „śpichrzem Europy”, kraj więc mógł rosnać w siły i zdobywać materię kapitałową do dalszych inwestycji. Ale czy byłoby to dziś możliwe? Nigdy! Polska dlatego sprzedawała swe zboże, bo miała znacznie mniej ludności.

Teraz, przy dawnych sposobach gospodarowania nie starczyłoby zboża nawet na własne potrzeby. Siłą twórczą ziemi nfuśi wesprzeć już nawet na roli potęga ducha i pieniądz. Zkąd go zaś brać, przy tylu nowych potrzebach rozmnożonego narodu? Ileż energii nowej musi naród wyłonić, aby sprostał zapotrzebowaniu bogactwa, podlegającego zużyciu, potrzebom, rosnącym nakształt kuli śnieżnej, i aby jeszcze mógł odkładać materię kapitałową na powiększanie i wzmacnianie kapitału? Co dziś poradzą nawet tęgie głowy, choćby istniały, gdy niema pieniędzy na założenie warsztatu **postępowego**, wrzeszcie, gdy już jutro warsztat wzorowy, zanim się zużyje, okaże się niezdatnym w wyścigu, bo obcy wymyślą doskonalszy? A tu naród niecierpliwi się i radby mieć wszystko, co mają członkowie narodów potężnych i zasobnych,

Przecież już nawet nie można odgradzić się, jak dawniej, cłami ochronnymi, aby dojrzewać samodzielnie, bo na to narody mocne nie pozwolą. Dziś o traktaty handlowe wypowiada się wojny! Na straży przewagi ekonomicznej stoją armaty i milionowe wojska. Zuchwały naród, któryby považył się wystarczać sobie — rychło przestałby się rządzić u siebie, rzucony pod nogi mocnego kapitału. Ludy słabe ekonomicznie potrzebne są — aby mocnym nie zabrakło rynków zbytu oraz korzystnych lokat dla kapitału.

I właśnie z tego powodu zarysowała się nam w rozdziale poprzednim iście tragiczna perspektywa dla narodów słabych.

Dość spojrzeć na kolonie egzotyczne, aby poznać, jak daleko zaszedł już podbój krajów zapóźnionych. Narody silne rozebrały już między siebie wszystkie ziemie, należące do ludów najsłabszych, wzięły je, jak niczyją własność bez pytania nawet czy się to podoba pierwotnym właścicielom. Wszystkie ludy kolorowe, pogrążone w zastoju [umysłowym, stały się niepostrzeżenie z panów swej ziemi zaledwie jej lokatorami. Czterdziestomilionowy naród angielski zapanaował w ten sposób nad 360 milionami ludności ekonomicznie słabej. Nieocenione bogactwa naturalne ich ziemi stały się już bogactwem angielskim, kapitał duchowy angielski rozszerzył tak ojczyznę Anglików i podniósł tak ich siłę, że rządzą dziś trzecią częścią świata. Nawet bez wyzyskiwania pracy autochtonów Anglia zdobywa miliardowe zyski, bo pracuje dla niej sama przyroda wszystkich stref geograficznych.

Podobną rolę, odgrywają inne narody mocne i tylko, że w koloniach dość jeszcze ziemi dla dalszej ekspansyi, pozostałe narody, nie odczuwają jeszcze całej przewagi, któraby w innych warunkach spadła na nie. Co było najcenniejszego do wzięcia, to już zabrano, nie pilno więc potęgom podbijać nominalnie a z trudem, krajów, które i tak splecają ciężki haracz ekonomiczny i nie mogą się od niego uchylić.

W takich warunkach co mają robić narody zapóźnione, choć nie pozbawione zdolności do rozwoju? Co mają czynić zwłaszcza te, które nie mogą prowadzić własnej polityki gospodarczej, bo nie rządzą się u siebie?

Jeżeli dziś nawet Państwa wielkie, uchodzące za potężne, nie mogą się wyzwolić, jakąż perspektywę przed narodami podbitemi, które z a l e w a o b c z y z n a, nie dając zdolnościom krajowym czasu na wzmocnienie się? A tu czas, sprzymierzeniec silnych, coraz mocniej zaciska obręcz niewoli ekonomicznej, za którą idzie groza roztopienia się w falach cywilizacji obcych.

Zdawałoby się, że niema już ratunku dla narodów zapóźnionych, których położenie z każdym dziesiątkiem lat ulega gwałtownemu pogorszeniu.

W istocie, musiałyby się tu skończyć po podboju ekonomicznym zagładą miejscowych cywilizacji, gdyby kapitał był tem, za co go ekonomiści brali. Ale spuścili oni z uwagi czynnik nieważki, który może nie tylko złe odrobić, ale nawet klęski obrócić w zwycięstwa, oczywiście, o ile naród nie jest u kresu sił swoich duchowych i chce istnieć.

Człowiekowi raz wyczerpanemu z majątku może nie starczyć już czasu na powetowanie klęsk ani na wyrobienie nowych sił twórczych, ale naród, póki nie utracił swej odrębności, może jeszcze rozwinąć swą moc wbrew wszelkim prawom fizycznym. Gdy bowiem zwykłej energii lub materji musi koniecznie ubywać tyle w jednym miejscu, ile przybywa w innym, nie tak jest z potęgą duchową. Ta może przyrastać bez żadnej straty dla miejsc, skąd się rozchodzi, bo nie rozchodzi się ona znikąd, tylko bywa wzbudzana.

Naród wyzyskujący może zadawać drugiemu ciężkie klęski materyalne, może także wynaradawiać wiele jednostek, ale jest jeden haracz, który musi spłacać, chce, czy nie chce, narodom zdolnym do rozwoju. Haraczem tym jest jego własna potęga duchowa, która może się udzielać przedstawicielom narodów słabych. Naród, który umie pobierać ten haracz, nie jest stracony.

Istnieje więc ogromna różnica między ludem, pogrążonym w duchowej stagnacji, a narodem już wyrobionym, dzielnym i czynnym. Różnica conajmniej taka, jaka zachodzi między kulą bilardową, zostającą w spoczynku, a kulą, będącą w ruchu. Tam lada pchnięcie nadaje biernej kuli kierunek narzucony, tu zaś kierunek już jest dany, więc, aby ruch wstrzymać, trzeba o wiele większej siły, aby zaś wstecz skierować—jeszcze większej. Ale za to dość niewielkich pchnięć naprzód aby ruch przyspieszyć.

Jest jeszcze jedna pozycja, tępiąca ostrze najazdu mocnych kapitalistów na kraj słaby, mianowicie nieuniknione przyswajanie sobie przez naród obcych elementów czynnych. Roz-

ważymy, z czem idą przedstawiciele narodów mocnych na podbój ekonomiczny i przeciw czemu? Dzielnym osobnikiem lokuje się ze swą potęgą w kraju, który zamierza eksploatować. Robi on pieniądze, bo wie, jak się wziąć do tego i nie doznaje przeszkód z powodu otaczającej go bezsilności ekonomicznej. Idzie w pełnym rynsztunku swej potęgi, ale język swój musi zostawić w domu. Z narodem wyzyskiwanym może się komunikować tylko w jego mowie. Chcąc nie chcąc staje się tedy dwujęzycznym. Z tą chwilą jednak wchodzi, jako obcy atom do wielkiego zbiorowiska atomów miejscowych, złączonych wspólną więzią języka i tradycji. Jego moc gospodarcza odbiera narodowi wyzyskiwanemu trochę bogactw materialnych, ale nie całkiem darmo, gdyż na tle spółyżycia naród zapładnia się pierwiastkami wyższości przybysza, dusza zaś jego, lubo zrazu obca, żyje się jednak częściowo z duszą kraju, jeżeli nie jest barbarzyńskim i jeżeli każe się szanować.

Stąd dzieci przybysza, przygożdżone majątkiem do narodu, wśród którego wzrosły, zlewają się najczęściej z duszą kraju, zaś dusze wnuków wcale już nie czują się obco, boć przecież one całe, jak są, wytworzyły się w środowisku, w którym przyszły na świat. Nie kraj dziadków, ale nowa ojczyzna wytworzyła je, jakimi są, od początku, więc wszystko, co charakteryzuje rozwiniętą duszę krajowca—jest już ich własnością. Tylko krew została obca, dusza jest już w pełni krajową. To nie są już przybysze, ale w dosłownym znaczeniu tego słowa dzieci jednej ojczyzny<sup>1)</sup>). Więc co się staje z kapitałem obcym i przymnożonym? Staje się integralną częścią bogactwa narodowego a to za sprawą ducha narodu.

W ten sposób znaczna część kapitałów, wychodzących na podbój ekonomiczny, przeobraża się w bogactwo krajów podbijanych. Proces przenikania się wzajemnego narodów dokonywa się ciągle, i on najskuteczniej broni narody rozwija-

<sup>1)</sup> Nie można tego utrzymywać o takich „krajowcach“, którzy stanowią w kraju obcą narodowi kulturalną całość i posługują się obcym językiem. Ci są ekspozyturą tego narodu, którego językiem, choćby zepsutym, się posługują, pozatem są obcym ciałem względem narodu wśród którego mieszkają.

ce się od gospodarczego wywłaszczenia. Miast osłabiać, on je wzmacnia i przyspiesza dojrzewanie duchowe.

Prawdziwe szkody wyrządza tylko przyływ obcych towarów, przeznaczonych na zużycie, wszelkie bowiem narzędzia, maszyny, surowce i półsurowce — oraz materia kapitałowa, pożyczana dla wzmocnienia produkcji przynoszą również daleko więcej korzyści niż straty.

Jeśli teraz zbilansujemy wpływy, rezultat nie okaże się tak rozpaczliwy, ale pod warunkiem, że naród, który chce żyć, stoi twardo przy swym języku i tradycji, pielęgnuje swoją odrębność, a rozwija moc twórczą.

---

## XLl.

### Widoki na przyszłość.

Żyjemy w epoce, jakiej świat nie widział. Gwałtowny rozwój techniki tak przeobraził warunki życia, że trudno się zorientować dokąd prowadzi. Całe doświadczenie wieków nie wystarcza ani do oceny; co się dzieje, ani do przewidywania, co jeszcze być może. Czy to początek jakiejś równie bezprzykładnej epoki, czy może początek końca?... Pesymiści są, jak zwykle, najgorszych przeczuć. Ich zdaniem wytwórczość przemysłowa doszła już do granic nedorzeczności; tak komplikuje potrzeby, że aż utrudnia życie. Żądny tworzenia i zysków „przemysł” zalewa nas potopem rzeczy naprawdę nikomu niepotrzebnych, będąc raczej zawadą niż ułatwieniem życia, rzeczy coraz lichszych w swoim rodzaju.

Dlatego sądzą, że cywilizacja, która taką produkcję wywołała, załame się własnym ciężarem, ciężarem nieszczęść, jakie sprowadza, grzebiąc w gruzach z trudem wznoszony gmach dzieł materialnych, jako przekleństwo głupiej roboty. Ponieważ zaś wielu żywi głębokie przekonanie, że cały ten tandetny zbytek i „dyabelski” nadmiar, jest okupowany nędzą, krzywdą i zdziczeniem mas robotniczych, przeto z rozczule-



nlem wspominają dawne dobre czasy, w których nie było 10-piętrowych domów, niespokojnych telefonów, szalonego zgietku i ścisku po miastach, zalewu drukowaną bibułą, oślepiających słońc elektrycznych nad byle kramem i t. d., i t. d.

Alboż to wszystko, co z takim trudem i kosztem rozwoju dusz zdobywamy, zwiększyło sumę szczęścia ludzkiego, czy uczyniło ludzi lepszymi? Orgia, która wszystkich wyczerpuje, musi się źle skończyć, przede wszystkim zaś dla tych, którzy ją wywołali.

Niewątpliwie dużo w podobnych skargach słuszności, i tak być musi, boć pesymiści — nie są to ludzie, obrani z rozsądku. Ale pomimo to narzekania czarno nastrojonych umysłów polegają w znacznej mierze na nieporozumieniu.

Więc naprzód nie trzeba wymagać od „postępu” techniki tego, czego on dać nie obiecywał. Tylko w głowach poetów i optymistów może utrzymywać się myśl o jakimś trwałem i powszechnem szczęściu na ziemi. Postęp nie usunie, ani nie zmniejszy cierpień, bo to nieodłączne towarzysze zarówno prostego życia, jak skomplikowanego; on tylko rozszerza skalę czuć, a więc rozszerza w obie strony, czyniąc życie psychiczne pełniejszym i głębszem. Zmiana ciągła i coraz większa obfitość odcieni, oto wszystko, co postęp niesie. Jednak co do tęsknoty za dawnymi „lepszymi” czasami, to opiera się ona na prostem złudzeniu perspektywicznym. Zawsze człowiek idealizuje przeszłość, zawsze mniema, że stoi u kresu nowości oraz możliwości, zawsze nieufnie spogląda w przyszłość; zawsze tym, co się starzeją, zdawało się że świat leci, w przepaść, a jednak on trwa — wiecznie młody. Więc zanim się potępi nowe zjawisko, trzeba zrozumieć: w czem ono gorsze od dawnych i nie zamykać oczu na strony dodatnie.

Prawda, że często źle korzystamy z rosnącej potęgi twórczej, że szafujemy jej owocami lekkomyślnie, jak dzieci, którym udało się rozniecić ogień, a nie wiedzą jeszcze, że on nietylko grzeje, ale pali. Fabrykanci i kupcy wymyślają coraz bezmyślniejsze zabawki dla starych dzieci, byle maszyny warczały. Świat potrząsa błazeńskimi dzwoneczkami ale nie dziw, bo większość dusz jeszcze nie dorosła do wyższych

rozkoszy. To nie elita zordynarniała, lecz tłum nie może jej sprostać w pochodzie rozwojowym. Jaki chwilowo popyt, taka podaż. Ale wiedza, która to wszystko wywołała, przynosi nie same szkody i błazeństwa. Mądrość, która jej towarzyszy, ukrywa się szczerlnie w swych skromnych świątyniach i pracuje nadal gorliwie, zarówno pod żywiołowem parciem twórczości i głodu poznawania, jak z bezinteresownej miłości ludzi i ideałów, pracuje bezwiednie nad tem, aby wszystkim było lepiej.

To, co nas przeraża lub gorszy, to tylko skutek gwałtownego rozwoju twórczej potęgi, do której nie zdążyły dopasować się masy. Rządy kapitałem spoczywają jeszcze przeważnie w rękach nowożytnych barbarzyńców, cóż więc dziwnego, że dwa światy ludzkie: górny i niski, dzieli szersza niż dawniej przepaść? Że walka o dobra materialne pełna jest nadużyć? Pamiętajmy przecież, że z rajy zesłiśmy na ten padół, że nigdy na świecie krzywd nie brakowało, więc i pod tym względem nic się tak bardzo na gorsze nie zmieniło.

Kto zdaje sobie sprawę z faktu, że ta hucząca fala prawdziwych i tandetnych bogactw, co świat zalewa i wywołuje zgorzenie, jednak coraz mniej pracy kosztuje, ten będzie ufniej patrzeć w przyszłość. Nie dlatego, aby miał wierzyć, że rychło zjawi się nieziszczalny na ziemi raj, ale dlatego, że nie uwierzy, aby dlatego tylko było o wiele gorzej, że jest i naczęj. Nie uwierzy, aby zjawisko, którego bujność przyprowadza nas o zawrót głowy, miało być samym tylko zatrutym owocem i zapowiedzią sromotnego upadku.

Ot, jedno jest faktem, że przyszło nam żyć w chwili istnego wybuchu potęgi twórczej, oddawna zresztą kielkującego, i ten nas zaskoczył nieprzygotowanych. Marnujemy zbyt rozrzutnie nadmiar sił, które geniusz ludzki rozpętał. Ale to jeszcze nie racya, aby tak miało dziać się i nadal, lub też abyśmy mieli łatwo wyczerpać ów źródło, który dziś toczy w sobie dużo mętów. Przeciwnie, kto patrzy bez uprzedzeń na cały „postęp”, ten zgodzi się, że przyszłość nie zapowiada się ciemna.

Na rozkazy ducha ludzkiego oczekuje tak niewyczerpany ogrom sił przyrody, że jutro już może zaćmić wczorajsze

tryumfy. Jeśli potęga techniki będzie wzrastać w podobnem tempie, jak rosła w wieku XIX-m, to niedalekim jest czas, gdy ludzie z uśmiechem pobbłażania przypominać będą sobie tryumfy i zachwyty naszych czasów. Ale choćby nawet prawdopodobne postępy techniki zawiodły, to i bez nich, samo to, czem geniusz ludzki już dziś rozporządza, może przeobrazić świat ludzki w ciągu niewielu lat o wiele gruntowniej, niż to uczyniły trzy ubiegłe pokolenia. Dotychczas bowiem obserwujemy jeszcze ciągle głównie powiększanie samego warsztatu twórczego. Fabryka bogactw materialnych wciąż się jeszcze buduje, pochłaniając na rzecz kapitału to, co mogłoby już służyć szerokim warstwom pod postacią czystego bogactwa. Twórczość buduje kapitały dla przyszłych pokoleń. A przytem większość narodów jeszcze nie stanęła do mocnej produkcji. Gdy ognisk wielkiej twórczości przybędzie, wówczas nadmiar mocy twórczej obróci się z konieczności na produkcję tanich bogactw użytkowych. Dla narodów przodujących w twórczości, będzie to kres gwałtownego bogacenia się, dla pozostałych stanie się początkiem ery dobrobytu. Wówczas też dopiero rozwój dobrobytu pójdzie po zdrowej linii produkcji, opartej o rynki własne. Dziś z powodu wielkich nierówności narody mocne muszą zatapiać większą część sił twórczych w kosztowne komunikacje wszechświatowe, niezbędne dla eksportu; na siły militarne, przeznaczone do obrony lub do rozszerzania granic, oraz na rozszerzanie sfery wpływów handlowo-przemysłowych. Dziś owe komunikacje służą głównie do powiększania kapitału. Przewożą towary i kupców. Ale z chwilą gdy rynki obce zadawalniać się zaczną miejscową mocną produkcją, zyskowność produkcji na eksport stanie się mitem. Środki komunikacji zejda też do roli skromniejszej, i ogólnie użyteczniejszej. Gorączkowe przebieganie globu wzdłuż i wszerz przez wyżłów handlu i przemysłu zmniejszy się. Ustanie gwałtowna potrzeba trzymania ręki na pulsie handlowo-przemysłowym całego świata ludzkiego, bo różnice ciśnień, o których była mowa, wyrównają się. Dziś poczty i koleje uginają się pod przewagą czysto handlowych depesz, listów i przesylek, a ludy pod ciężarem politycznej i ekonomicznej nierównowagi; jedne

gorączkowo dławią, bo mogą, inne rozpaczliwie bronią się przed zupełnem zdławieniem. Później i ten ciężar osłabnie skutkiem zmniejszonej zyskowności handlu międzynarodowego. Znikną ludy niezdolne wznieść się do wyżyn samodzielności gospodarczej, a ziemie ich opanują ludy mocne. Produkcya tych ostatnich z konieczności zwróci się ku zaspokajaniu potrzeb własnych. Można też spodziewać się, że wzrost mocy twórczej narodów, zdolnych do rozwoju, odbije się nie tylko całkowitą poprawą ich własnego dobrobytu, ale nawet wzrostem dobrobytu mniej twórczych warstw ludności krajów dziś eksportowych. Utrata bowiem obcych rynków zmusi kapitały do pracy u siebie; rozdział bogactw w narodzie stanie się równiejszy.

Korzyści staną się obustronne, a najbardziej odczują je słabotwórcze sfery narodu. Kto zaś będzie tej nowej fazy twórcą? Znowu tylko potężni duchem, inicjatorowie i osobniki rozległej i gruntownej wiedzy.

Niech więc oba kapitały rosną, bo tylko one mogą rozwiązać kwestyę socyalną ku powszechnemu zadowoleniu. Dopiero przesycenie kapitałem wyzwoli ród ludzki z pogoni za tem, co wydawało się warunkiem szczęścia i wówczas przyjdzie kolej na rozumną oszczędność w używaniu i na ograniczenie produkcji mnóstwa rzeczy istotnie zbytecznych. Dzięki temu kapitalizm o dzisiejszych formach sam się strawi, bogactwa stanieją, pracowanie zdrożeje, kapitał zaś bez żadnych wywłaszczeń stanie się własnością mas szerokich. Proces ten już się rozpoczął w najbardziej twórczych narodach, a będzie się dalej toczyć z nieuchronną koniecznością. I nic w tem dziwnego. Gdy bowiem sama surowa praca jest zerem, przed którem dopiero moc twórcza stawia wartości (tem większe, im potężniejsza), bo tworzy wprawdzie przez pracę, ale literalnie z niczego i to w progresyi rosnącej wbrew prawom fizycznym i biologicznym, gdy sama przyroda pod parciem geniuszu ludzkiego tem silniej pomaga, im więcej wiedzy i mądrości towarzyszy funkcji, którą nazywamy pracowaniem, to jasnym jest, że przed dzielnym i oszczędnym stoją piękne perspektywy. Że zaś sama praca naprawdę i czem, najlepiej to widać z wyników „pracy” narodów oświeconych i zacofa-

nych. Gdy bogactwo pierwszych wylewa się już na ekonomiczne podboje, u drugich wieczny brak, pomimo, że tam i ciężiej i dłużej się pracuje.

Jednak tyleż szkód, co brak mocy i materyi, wyrządza zła organizacya sił, które powinny być splotem współdziałań nie zaś przeciwdziałań. Jak dwie najdoskonalsze nawet maszyny, postawione przeciw sobie znoszą swoje działanie, tak również największe wysiłki, ale nieskoordynowane, nie wydadzą spodziewanych owoców. Narody przodujące zdołały już zredukować nieuchronne tarcia do możliwego minimum i zbierają tego owoce, u słabych zaś i zacofanych nawet mocna twórczość rozbija się jeszcze o bierność i bezpłodność mas, mądrość o tępą ciemnotę, dobra wola o złą wolę.

Naród pod względem organizacyi sił można też porównać do jednej maszyny lub fabryki. Jeżeli więc zastanowimy się nad pytaniem, czem różni się maszyna wydajna od małoekonomicznej, zrozumiemy różnice gospodarcze między narodami. W maszynie wydajnej bierna masa została zastąpiona przez konstrukcyę. Gdy w prostej maszynie było jeszcze dużo materyi słabo spójnej, a mało energii, później stosunek staje się odwrotny. Zachodzi ekonomizacya materyi na rzecz energii. Wszystko zostało tak uporządkowane, aby najmniejszą siłą osiągać największy skutek. Usunięto co było zbyteczne, zostawiono tylko, co niezbędne. Rozłożono najbardziej celowo siły i opory, odrzucono materiały mniej zdadne, przybrano właściwsze, skoncentrowano mechanizm i sprawiono, że przy mniejszej objętości i wadze daje o wiele więcej żywej energii. Wymiana usług między częściami maszyny została doprowadzona do doskonałości. Usunięto tarcia i bezużyteczne balasty, zmniejszono straty energii i dopięto celu. I w fabryce doskonale urządzonej, mamy szczyt oszczędności w działaniach, osiągnięty przez wykluczenie wszystkiego, coby funkcye całości utrudniało. Masę zastąpiła konstrukcyja, materję energia, duch energię i materję,

Ale wszystko to funkcjonuje oszczędnie póty, póki nie wcisną się przeszkody. Jak dobry zegarek zaczyna „złe cho-

dzić”, jeżeli wpadnie do mechanizmu choćby włos, tak samo powstaną w fabryce straty i zastój jeżeli zajdzie uszkodzenie jakiejś części lub złe funkcjonowanie któregoś pracownika. Fabryka nieskomplikowana daleko lepiej znosi takie przeszkody, ale też mała z tego pociecha, bo mniej daje korzyści, co zaś ważniejsza, spółzawodnictwo nie pozwala już cofać się do pierwotnych stosunków. Lubo więc w całym „postępie” daje się wyczuwać czająca się w nim rozkładowa potęga bezwładności, dla której pokonywania stają się niezbędne coraz większe wysiłki, lubo redukuje to korzyści, oczekiwane teoretycznie od postępu, niepodobna już wracać do stanu natury.

Koncentracja np. ludności po wielkich miastach jest jednym z warunków bytu społecznego, oszczędza bowiem bezmiar wysiłków, dawniej niezbędnych; choć więc wymaga coraz koskonalszego dopasowywania się do siebie wszystkich, choć d-ażda siła dzika wywołuje ogromne tarcia, zamęt i redukuje korzyści, nie można wracać do pierwotnych stosunków, lecz raczej zabiegać, aby tarć było coraz mniej.

Jeżeli teraz zważymy, że żywiołów słabouspołecznionych i szkodliwych niepodobna ze społeczeństwa usuwać w ten prosty sposób, jak to się dzieje we wzorowej fabryce, to łatwo rozumiemy, że pozostaje tylko przerabianie ich na dodatnie.

Wygląda to na paradoks jeżeli powiemy, że z postępowaniem zachodzi konieczność coraz większego krępowania swobody jednostek po to, aby wszystkim zapewnić więcej swobody ruchów i dobrobytu, a jednak tak jest. Ludzie muszą rachować się coraz bardziej z cudzym interesem, aby zabezpieczyć sobie poszanowanie własnych interesów.

Gdzie tedy charakter ludu mniej sprzyja składnej organizacji sił, tam, choćby nie brakowało jednostek dzielnych, zawsze będzie dużo zamętu i strat.

O ile też w przyszłość rodu ludzkiego można spoglądać z ufnością, o tyle, gdy chodzi o narody, sprawa przedstawia się gorzej. Przyszłość jest tylko przed najzdolniejszymi do życia w coraz skomplikowańszem stłoczeniu, czyli przed obdarzonymi instynktem ładu i karności. Każde też opóźnienie w rozwoju tych zalet działa podwójnie szkodliwie, gdyż wzmacnia pozycję spółzawodników. To też przed narodami zapóź-

nionemi, a zdolnemi do rozwoju jedna już tylko alternatywa Albo wybić się całą siłą pośpiesznie wyrabianej potęgi rozumu i woli, a zarazem zmysłu oszczędności, niezbędnej dla wytworzenia materji kapitałowej,—albo roztopić się w mocniejszych całościach. Trzeciej drogi niema, bo na samoobronę pół-mocą, pół wysiłkami, pół-dążeniami w dzisiejszym stanie świata ludzkiego — z a p ó ż n o.

## XLII.

### Pro aris et foci certamen \*).

Gdy się powiedzie wzrokiem po naszym przemyśle, po naszym handlu, po naszej gospodarce rolnej, a potem ogarnie się rzutem oka nie nasz przemysł, kwitnący na naszej ziemi, nie nasz handel i nie nasze kapitały i głowy, pracujące u nas ale nie dla nas, mimowoli serce zamiera z trwogi o przyszłość i zawisa u warg pytanie: czem się to dzieje, żeśmy wciąż tak biedni i bezsilni i czy nie zapóźno już na ratunek?

Można bowiem spierać się jeszcze, czy jest z nami źle lub bardzo źle, ale niepodobna ukrywać, że gdyby podobny stan miał potrwać długo, musiałby się zakończyć zagładą naszej cywilizacji, wydziedziczeniem i rozplynięciem się w obcych dzielniejszych całościach.

Czy nie zapóźno? Pytanie to nabiera tragicznej siły gdy zważymy, jak mało jest głów, któreby grozę sytuacji oceniały, a zwłaszcza gdy zważymy, ilu zalet duszy, jakich wysiłków potrzeba, jakiego hartu i ofiarności ze strony uświadomionych, aby porwać za sobą co nieświadome niebezpieczeństwa i skarlałe w fatalnych warunkach nierównej walki.

Przecież dzieło odrodzenia możliwe jest tylko póki naród nie znalazł się u kresu swych sił życiowych, a któż nas zapewni, żeśmy już nie próchnem?

---

\*) Chociaż cała praca ma charakter ogólny, niepodobna mi zakończyć jej bez zejścia, choćby na chwilę na węższy teren stosunków i potrzeb narodu, którego jestem synem.

Chętnym się wprowadzić starodawną kulturą ducha. Nie jesteśmy ludem, któryby się dopiero wylaniał z pieluch bytu, ludem, któryby potrzebował swoją cywilizację budować od podstaw.

Nie potrzebujemy się wstydzić swej przeszłości. To prawda. Duch nasz chadzał już po wszystkich wyżynach dostępnych człowiekowi; w mowę naszą oblekały się już najsubtelniejsze abstrakcje, podatna ona do każdej najszczytniejszej pracy; niema dziedziny ducha, do której nie wnieśliśmy swej dobrej cząstki. Zdolności nasze wcale nie są w zaniku, przeciwnie, wszędzie, gdzie trzeba dużej nawet potęgi i harmonii ducha, energii i lotności, umiemy pracować nie gorzej od innych.

Będąc potrosze cyganami świata, mamy już na punkcie uzdolnień opinię nawet wśród obcych ustaloną. Niema zakątka świata, gdzieby nasz duch i wola nie pracowały owocnie bądź dla siebie, bądź dla obcych, choć najczęściej dla obcych. Ale cóż z tego? Sądzimy, żeśmy przystosowani do bytu społecznego, boć przecież „jesteśmy jeszcze prawdziwymi Europejczykami“ i nic ludzkiego nie jest nam obce, ale zapominamy, że siedm dziesiątych narodu tkwi w objęciach głębokiej ciemnoty i bezsilności gospodarczej; zapominamy, że naród nasz w gorszym położeniu od ludów, zwanych „dzikimi“, bo gdy tamte mają jeszcze co jeść we własnych lasach i szafasach, naszego narodu cały przyrost, i to najzdolniejszy, musi w charakterze surowego materiału rozchodzić się na przepadle po szerokim świecie, opuszcza zaś ojczyznę z wyrzutem, jak macochę, na łonie której byłoby mu jeszcze gorzej.<sup>1</sup>

Gdy fale emigracji angielskiej stworzyły już potężne i rozległe ojczyzny poza Anglią (np. Amerykę Północną i Australię), bo szły bądź z jednym, bądź z dwoma kapitałami, my nie umiemy utrzymać w swych rękach nawet odwiecznie własnych, a szczupłych dziedzin. Ziemia się nam pali pod stopami, dach gore, po znędzniałych i uszczuplonych naszych ogrodach chadzają swobodnie kozy i wieprze, ale my wciąż tkwimy głowami w chmurach i nie czujemy już nawet żeśmy żywym anachronizmem, wśród ludów dawniej nam równych.



Dumni z naszej poezji i sztuki, z kultury kwiatów, pogardzający rzemiosłem, a zwłaszcza handlem, jak czemś co hańbi, idziemy jak poeci naprzekór życiu; chcemy marzyć i gniewa nas, kto ośmiela się budzić do twardej rzeczywistości. Wsłuchani w bajki miłych piastunek o tem, co minęło, a raczej czego nigdy nie było, zapatrzeni w wizye rozkołysanej wyobraźni, nie słyszymy nawet grzmotów wyężonej i składnej pracy obcych, huczającej dokoła nas, a nawet wśród nas; nie spostrzegamy, jak znojnje pracują nawet potężni, jak nie spoczywając na laurach, kują coraz lepszą przyszłość dla swych dzieci—kosztem anachronistów bez mocy, steru i opieki.

Oto nasz europeizm! Metamorfoza świata dokonała się ponad naszymi głowami, byliśmy przy niej nieobecni i ztąd niedowierzanie nawet: czy rzeczywiście wszystko się zmieniło tak bardzo dla nas na gorsze?

Niestety—tak! Nam się przecież jeszcze zdaje, że prawie wszyscy umiemy pracować, ale to złudzenie, a płynię z niedopatrzenia czem dziś prawdziwa i owocna praca, że wysiłek ciał w niej niczem, a wszystkim już tylko potęgą wiedzy i organizacyi.

Szczycimy się naszą starą i dostojną cywilizacyą, uważając ją za jakiś skarb nieprzebrany, za tarczę, która nas uchroni od zguby; w jej cieniu czujemy się bezpieczni. Ale i to złudzenie! a nawet coś w tem z fetysyzmu! A toż cywilizacya nasza—to my sami. To co minęło—należy już do historyi, to cień i wspomnienie. Cywilizacya nasza musi być ciągle żywa; musi tkwić w nas samych, musi być naszą duszą i naszymi siłami. Zewnątrz nas, jest niczem.—Zresztą i co do przeszłości zapominamy, że jeszcze nigdy nie była „nasza“ cywilizacya cywilizacyą całego narodu. Lud miał i ma do dziś swoją przedhistoryczną i tę trzeba ziniczyć, pogłębić i rozwinąć. Nigdy także nie była jeszcze ta nasza „wyższa“, nadludowa, tak znowu świetną i „naszą“, jak się nam z oddali wydaje. Wszystkie złote nici, które nas włączają z powszechnieludzkim postępowaniem i dobrem, zawsze były nieliczne i wątłe. Rwały się i rwą do dziś ciągle, bo nas na wyższych piętach pracy zawsze bywało o wiele zamało na to, aby się rozwijała swoiście,

a wszechstronnie. Nasz duch wystrzelał wprawdzie wysoko, ale zawsze zbyt wązkim i wątłym słupem, skutkiem czego nie masz w nim ciągłości. Każde pokolenie zaczyna wszystko po swojemu i niemal od początku. Nasza cywilizacja ta prawdziwa nasza nie jest jeszcze ani wysoka ani szeroka, reszta zaś to refleksy obce albo stan iście przedhistoryczny. Nasza cywilizacja musi być nadbudowana; wszystko tu jest dopiero do zrobienia. Baczmyż, aby nam starczyło czasu, zanim słabych i wydziedziczonych nie zaleją obce fale!

Niejedni z pośród nas chcą usypiać nasze sumienie legendą, żeśmy ofiarami fatalnego położenia geograficznego między Zachodem i Wschodem, że jako kresowcy, musieliśmy od wieków tracić zbyt wiele sił na prostą obronę bytu. Że trudno było rozwijać się bujnie, gdy się zbyt obficie krew wylewało.

Niewątpliwie jest w tem trochę słuszności, ale i to nas ani rozgrzesza, ani pociesza. Nie my bowiem jedni toczyliśmy nieszczęśliwe boje. Żaden z potężnych dziś narodów nie stąpał po samych różach, przechodziły i one ciężkie chwile. Czemuż ich losy tak różne od naszych? Czemu tylko nasze rany i blizny krwawią tak długo i trzymają w bezsilności? Rzucamy to pytanie nie w formie wyrzutu, lecz w poszukiwaniu dyagnozy i ratunku.

Otóż wszystko zdaje się przemawia za tem, że słabości naszej samiśmy przyczyną, co zaś najważniejsze, że nie jest ona śmiertelna. My rozwijamy się tak świetnie i śpiesznie jak nigdy. Zdradzamy żywotność, rokującą najlepsze nadzieje. Los twardy jest nam dobrą szkołą, bośmy silniejsi, niż byliśmy kiedykolwiek. Twórczość nasza nigdy jeszcze nie była tak wielką, jak dzisiaj, ani tak wielostronną. Pomimo pozorów upadku stoimy w apogeum dotychczasowych sił naszych<sup>1)</sup>, jeśli zaś tego nie widać wyraźnie, główną przyczyną jest nasza rozrzutność z jednej strony, rosnąca zaś jeszcze prędzej siła

---

<sup>1)</sup> Cały ten rozdział, pisany przed wojną, zostawiamy w nienaruszonej formie, choć tak dużo się zmieniło u nas i dokoła nas. Przystosowywać go do chwili, choćby przełomowej, w wydaniu niezmienionem nie czujemy się ani w prawie, ani w obowiązku.

(Przyp. autora w grudniu 1918 r.)

naszego otoczenia. My tworzymy już dużo i dość ekonomicznie, tylko nie umiemy jeszcze oszczędnie używać.

Nie wszyscy rozumiemy, że tajemnica dobrobytu i potęgi gospodarczej nie leży w samej oszczędnej twórczości, ale w większej mierze w oszczędnem używaniu. I tylko dlatego brak nam kapitałów, że nie umiemy jeszcze prostego bogactwa przeobrażać w kapitały. Obcy nam jest zmysł oszczędności jak również organizacyi sił twórczych. Trudno też obrachować ile corocznie tracimy na tej drodze, ale to pewna, że tylko w tej otchłani toną siły nasze. Trzeba abyśmy wszyscy byli kapitalistami, a dzisiejszy system kredytowy umożliwi to każdemu; tylko dzięki drobnym kapitałom rosną tak gwałtownie siły roztropnych i mocnych sąsiadów. Tworzyć więcej niż zużywać, w tem główny ratunek, poza tem hodować siłę pod wszelką postacią, hartować dusze, tępić zaś szkodliwość społeczną i niedołęztwo. Bronić się anarhii i rozbieżności działań, bo te najsilniejszą całość rozkładają; karmić ojczyznę mocnym czynem i mieniem.

Gdy jest wielką i potężną — wolno umierać indywiduom choćby tylko dla jej większej chwały; tak dla ojczyzny swojej świadomie i dumnie ginął pod biegunem z jej słodkim imieniem na ustach kapitan Scott z towarzyszami. Wolno i warto umierać nawet wielkim indywiduom. Ale gdy jest biedną i uciśnioną, tego rodzaju ofiary byłyby zbytkiem, a nawet występkiem. Dla takiej trzeba żyć, aby pracować, aby rozwijać swą moc, a przez to jej moc do granic ostatecznych. Tylko nie wolno żyć dla siebie i jak nam dogodniej, — trzeba żyć dla niej, dla całego narodu. Nie wolno, powtarzam, pracować przestarzałą wiedzą przy przestarzałych warsztatach, trzeba zastępować słabe dźwignie dźwigniami ostatniej doskonałości, bo tylko takie są coś warte w obliczu ostrego spółzawodnictwa.

Nie otaczać się zbytkiem, zwłaszcza obcego pochodzenia, choćbyśmy nawet mieli do tego osobiste prawo, ale po pracy w warsztatach, szkołach i na uniwersytetach, walczyć wśród kurzu fabryk tak zajadle z obcą konkurencją, jak zajadle rycerstwo walczyło dawniej wśród dymu krwawych zapa-

sów, bo i to godne wnuków rycerskich, gdy warunki bytu uległy gruntownej zmianie.

Pamiętajmy, że nikomu nie zależy na naszym bycie prócz nas samych, więc też znikąd, tylko od siebie samych musimy oczekiwać ratunku.

I nie mówmy, żeśmy słabi i ciemni, bo każdy rodzi się słabym i niedołącznym, a jednak może dochodzić do szczytów potęgi. Nie mówmy także, że nie rządymy się u siebie, bo tak źle nie jest<sup>1)</sup>. My jesteśmy wszechmocnymi panami u siebie i nad sobą i nic nam tej władzy odjąć nie może. Wszak potrzeby gospodarcze sami zaspakajamy, więc wszyscy mamy wolny wybór zaspakając je tak, jak się nam podoba, jak tego nasz, nie zaś cudzy interes wymaga. My we własnej dłoni dzierzymy nasze losy i losy naszych wnuków— i póki nas rozum nie opuścił— nie jest zapóźno!

Hodujmy tylko silnych ludzi, silne głowy i charaktery,— bo w nich moc narodu. Dość wytworzyć, choćby wysiłkami, jedno dzielne pokolenie,— a moc narodu zacznie już rosnać jak lawina, bo takie jest prawo społeczne, że potęga ludzka wprost z niczego wyrasta, wbrew prawom prostej mechaniki. Ona szerzy się jak pożar, tylko nie trawi jak pożar, lecz buduje.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna  
nr II-456306  
ul. H. Łopacińskiego 10  
Lódź

Biblioteka  
ul. H. Łopacińskiego 10  
Lódź

<sup>1)</sup> Pisane to było przed wojną.



# Wydawnictwa Księgar

Biblioteka im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie

456306 £

z II.2000

ASKENAZY SZYMON.	Przymierze Po	
"	" Sto lat zarząd	
	1800-1900. Wy	
"	" Uwagi — w dru	
BRAILS福德.	Liga Narodów	w druku . . . . .
CHMIEŁOWSKI PIOTR.	Historia literatury polskiej od czasów	
	najdawniejszych do końca w. XIX z kil-	
	kuset ilustr. Brosz. Mk. 150, w oprawie . .	240. --
DZWONKOWSKI WŁ.	Historja Polski na monografiach źródło-	
	wych oparta. Cz. I . . . . .	30. --
GIDE.	Ekonomia społeczna — w druku . . . . .	
HANDELSMAN M.	Anglia—Polska (1814—1864) . . . . .	12. --
"	Napoleon a Polska . . . . .	20. --
"	Studja historyczne . . . . .	30. --
"	Trzy konstytucje (1791, 1807, 1815) . . . . .	30. --
K CHANOWSKI J. K.	Nad Renem i nad wisłą, antyteza dziejowa	40. --
"	Polska w świetle psychiki własnej i po-	
	równawczej — w druku . . . . .	
"	Postęp ludzkości jako wyraz praw psy-	
	chicznych rozwoju . . . . .	80. --
"	Tłum i jego przywódcy . . . . .	8. --
KOSSOWSKI ST.	Wśród romantyków i romantyzmu, z życia	
	i twórczości poetów, z 3 podobiznami. . . .	40. --
KUKIEL M.	Dzieje wojska polskiego w dobie napoleońskiej . .	30. --
"	1812-1815. Dzieje wojska polskiego--w druku	
MAJEWSKI ERAZM.	Praca i kapitał. Wyd. V-e „Kapitału” skró-	
	czone przez autora . . . . .	30. --
"	" Nowożytni słowianie na ziemiach dzisiej-	
	szej Germanii. Wyd. II . . . . .	2.50
OLTARZEWSKI WŁ.	Zarys dziejów powszechnych rozumowa-	
	nych. Próba socjologii stosowanej do	
	dziejów . . . . .	30. --
ORŁOWSKI W.	Dokumenty Wielkiej Wojny Europejskiej . . . .	16. --
RUDAUX L.	Jak studjować gwiazdy . . . . .	30. --
SMITH AL.	Podręcznik chemii ogólnej i nieorganicznej. Prze-	
	łożyli A. Dominikiewicz i M. Dominikie-	
	wicz ze 117 rys. . . . .	60. --
STERLING-OKUNIEWSKI ST.	Technika badań bakterjologicznych	
	w druku . . . . .	
ZALESKI Z. L.	Dzieło i twórca. (studja i wrażenia literackie)	40. --
ZEBROWSKI A.	Zarys uatryi -- w druku . . . . .	

1000831687

